

Norbert Dudziński

Zamęt

Książkę dedykuję córce Joannie

Mam na imię Iwona. Mam na imię Iwona i właśnie zakochałam się w kimś kto jest całkiem inny niż ja. Właśnie nie jest dobrym słowem, zakochałam się w kimś odrobinę wcześniej niż właśnie, ale to wcześniej tak mnie pochłonęło, pochłonęło całkowicie, pochłonęło beznamiętnie, że to właśnie stało się jednością ze słowem wcześniej, o wiele wcześniej. I to wszystko się zlało w jedną całość, w jedną szaloną miłość do jednego mężczyzny o imieniu Jakub.

Mam na imię Iwona, właśnie zakochałam się w kimś, kto przez miłość do mnie może zginąć. Może zniknąć i ja nic nie będę mogła z tym zrobić, żeby go przed tym zniknięciem, przed tą śmiercią uratować, zatrzymać przy sobie na dłuższy czas, na taki czas, żeby choć trochę oszukać przeznaczenie. Przeznaczenie, które niebezpiecznie czai się za moimi plecami. Czai od dłuższego czasu. Ale ten czas, teraz, właśnie teraz, zbliżył się do mnie zbyt blisko, zbyt niebezpiecznie, zbyt rozpaczliwie. Rozpaczliwie dla mnie, rozpaczliwie do mojego powoli spełniającego się przeznaczenia.

Nie wiem co się dzieje, co się dzieje koło mnie od pewnego czasu. Ginią osoby, które są dla mnie ważne, które coś dla mnie istotnego znaczyły. Znaczyły więcej, znaczyły mniej. I bez względu na to czy to znaczenie jest mocne, intensywne, czy może słabe, prawie bezbronne, te osoby znikają, rozmazują się w rzeczywistości na niewidzialne odbłaski słońca, na niewidzialne przebłyski nocy.

Powoli tracę ich zapachy, kształty, odgłosy, lęki, krzyki, pragnienia, marzenia, a nawet ich porażki. Tracę wszystko to, co łączy człowieka z człowiekiem, tracę wszystko to, co zbliża człowieka z człowiekiem na zbyt bliską odległość, na zbyt bliskie uzależnienie duszy od duszy, ciała od ciała.

Poznałam kogoś, bo zawsze chciałam kogoś takiego poznać. Chciałam poznać kogoś, kto będzie dla mnie ważny, ważny teraz,

ważny kiedyś. I wtedy pojawił się Jakub. Tak, właśnie ten ktoś ma na imię Jakub. Czekałam na niego całe życie. Jeśli całym życiem można nazwać kogoś na kogo czekało się trzydzieści lat. Dla jednych to mało, dla mnie dużo, prawie cała wieczność. Cała nieskończoność dnia i nocy. Cała nieskończoność pragnień i marzeń niespełnionych w nocy, niespełnionych za dnia.

Czekałam, niecierpliwiłam się, wątpiłam, płakałam w nocy, często przez sen, bo sen najbardziej rozumie lęki człowieka, pragnienia człowieka. Rozumie najmocniej, najbardziej rozpaczliwie właśnie wtedy, gdy przez to najmocniej, najbardziej rozpaczliwie człowiek musi płakać w nocy przez sen, gdy na coś czeka. Na coś czeka zbyt długo, zbyt niecierpliwie. Ale czeka. Czeką przez noc, przez płacz, przez sen.

Jakub jest inny niż ja. Ja jestem szalona, nieprzewidywalna, jest we mnie tyle niespodzianek, tyle niecierpliwości schowanych w tych niespodziankach, a on, Jakub, jest spokojny, mądry, ma w sobie to czego nie mam ja i nigdy nie będę miała – spokój. Spokój przesiąknięty mądrością, życiową mądrością. On więcej widzi, więcej czuje, więcej słyszy przez tą swoją mądrość, przez ten swój spokój. Ludzie mu ufają i ja też mu zaufałam, zaufałam poprzez miłość, którą mu dałam, którą on mi dał.

Jesteśmy inni, tak bardzo różni się od siebie. Jesteśmy jak dzień i noc, jak burza i słońce, jak ogień i woda, ale mnie to nie przeszkadza, jemu to nie przeszkadza. Połączyła nas miłość, miłość do tego czego nie mamy w sobie, ani on, ani ja. Miłość do odmienności w drugim człowieku. Do odmienności która sprawia, że nic już nie ma znaczenia, nie ma znaczenia istotnego, nie ma znaczenia wartościowego. Bo miłość często ociera się o odmienność, o inność, o to coś, czego nie mamy i nigdy nie będziemy mieć. Bo tak naprawdę miłość to branie od innego człowieka rzeczy, które są dla nas obce, branie rzeczy które są dla nas niebezpieczne. Bo miłość to dotykanie kogoś przez odmienność, przez skutki tej odmienności w innym człowieku.

Mam na imię Iwona i od jakiegoś czasu nie jestem sobą...

Stoję na balkonie na szóstym piętrze, patrzę jak wszystko się zmienia, jak ja zmieniam się poprzez te wszystkie zmiany, poprzez

te wszystkie niedociągnięcia świata wokół mnie. Patrzę się na osiedle, moje osiedle z tęsknotą. Dawne osiedle było mi bardziej bliskie, bardziej znajome. Teraz z trudem rozpoznaję kształty, zapachy, krzywizny, załamania tego dawnego osiedla. Ono się zmieniło, ja się zmieniłem. Razem wciąż się zmieniamy, niestety nie na dobre.

Czasami gdy tak stoję na tym balkonie i patrzę się na pawilon po lewej stronie, metalowy komunistyczny relikw dawnych czasów, gdy nie widzę boiska za tym pawilonem, lecz widzę tylko bloki, nowe bloki, gdy przed moim blokiem zamilkła już trawa, zanikło dawne klepowisko gdzie graliśmy często w piłkę nożną, a bramki były z dwóch szarych kamieni, a teraz też stoją tam bloki, nowe bezimiennne figury, a w nich nowi bezimienni ludzie, gdy na to wszystko patrzę, teraz coraz bardziej obojętnie, to czuję coś w środku mocno, czuję tragicznie, czuję, że zbyt szybko oddalam się od tej dawnej bliskości, która mnie kiedyś tak uparcie kształtowała i wciąż, co mnie też nadal zdumiewa, wciąż mnie w jakiś dziwny sposób ta bliskość kształtuje. Kształtuje w tej nowej rzeczywistości. Tej, nie tamtej.

Teraźniejszość, owszem, ma dla mnie jakieś znaczenie, jednak jest to znaczenie poboczne, znaczenie nieszkodliwe. Nieszkodliwe dla ciała, nieszkodliwe dla duszy. A przeszłość, cóż, przeszłość wciąż we mnie jest i pewnie nigdy nie zniknie. Bo przeszłość to dom, to spokój, to cisza, która nas zawsze zabierze do miejsc znanych, bliskich, gdy będzie nam kiedyś źle, niebezpiecznie w życiu. Będzie nam ostatecznie w życiu. Bo brutalna prawda jest taka, że każdy człowiek zbyt szybko zbliża się do ostateczności, nawet wtedy, gdy choć trochę potrafi kontrolować to coś, co się wciąż niebezpiecznie koło niego dzieje.

Jeszcze raz zerkam na kwiaciarnię przed moimi oczami, na warzywniak tuż koło niej, na drewniak w którym wciąż sprzedaje się alkohol, sprzedaje od niepamiętnych czasów. Patrzę się na kładkę nad rzeką Sudoł i znikam w mieszkaniu przy ulicy Pachońskiego. Mieszkam tuż przy samym pawilonie, w pierwszej klatce długiego wieżowca.

Duży pokój, telewizor tuż przy oknie, przy którym w święta stała zawsze choinka z niebieską gwiazdą na szczycie, brązowe meble, lakierowane, na zewnątrz srebrne ręczki w szufladach, za szybą w

tych meblach obrazki święte, dużo obrazków, po całej długości tych mebli kryształ, dużo kryształów w których zawsze odbijało się światło dnia, blask nocy. Na górze, na tych brązowych, lakierowanych meblach duże zegary, figury świętych i dwa duże samowary, jeden większy, drugi mniejszy, samowary które wciąż zmieniały swoje miejsce na meblach, wciąż szukały swojej przynależności do tych mebli, raz po lewej stronie, raz po prawej. W kącie przy ścianie, na której są jasne tapety aż do sufitu stoi zielony narożnik rozsuwany na noc, gdy jest taka potrzeba, a pod nim dywan kolorowy, dywan pełen kwiecistych wzorów. I ława drewniana przy narożniku, ława gdzie czas się zatrzymywał gdy były święta, gdy byli goście, gdy było życie, dawne, dobre życie. Na ścianie przy narożniku zegar brązowy, drewniany z miedzianą tarczą i brązowa rzeźba wisząca tuż nad głowami siedzących ludzi na narożniku. I lampa naftowa, zawsze na telewizorze, lampa która być może kiedyś działała, ale nie teraz, nie już, nie dzisiaj.

Tak wyglądał mój duży pokój, tak wyglądało w nim życie kiedyś, tak wyglądało w nim życie teraz.

Obok dużego pokoju jest sypialnia. W niej duże łóżko, białe, niebieskie jak niebo pościel, zawsze lekko pofałdowane jak morze przy lekkim wietrze w słoneczny dzień, nad łóżkiem obraz Matki Boskiej, obok biały mebel, nieduży, na nim budzik, zawsze zbyt głośny, szafa biała z lustrem i telewizor tuż przy drzwiach na małym stoliku. To wszystko, to nic, gdy na to patrzę, sprawia, że czuję jakiś ból. Ból za tym co było i już nigdy nie wróci. Bo rzeczy dobre nigdy do nas nie wracają, a już na pewno nie wracają w takim kształcie i wymiarze jak kiedyś.

To była sypialnia rodziców, to był mój dobry czas, teraz już w zamkniętym na zawsze pokoju.

Przedpokój, kolorowe linoleum na podłodze, szafa we wnęce, prawie po całej długości przedpokoju, brązowa, w której zawsze było tyle narzędzi, tyle szans, żeby jeszcze coś naprawić w tej dużej przestrzeni na szóstym piętrze. Naprawić, nie zniszczyć. Bo człowiek, gdy ma odpowiednie narzędzia i chęci, może tak wiele rzeczy zmienić w swoim życiu. Naprawić w swoim życiu.

W rogu przedpokoju, tuż za szafą, niska, brązowa, rozsuwana szafka na buty. I lustro naprzeciwko szafy. Lustro, które widziało

wzloty, upadki, pragnienia, ucieczki, strach, radość i nadzieję. Myśle, że to lustro widziało tak dużo nadziei w oczach, w oczach które już miały odwagę spojrzeć w to lustro tak uważnie, tak świadomie, tak szczerze. Szczerze kiedyś, nie teraz.

I jeszcze kuchnia, pomarańczowe meble, cała ściana w odcieniu księżycy w nocy, zbyt jasnej nocy, zbyt gorącej nocy, meble aż do okna, przy którym stał zawsze stół, biały stół, nad nim nieduża szafka, obok lodówka, a na niej różno z rusztem, srebrne, z którego czasami, kiedyś, unosił się zapach luksusu, luksusu w czasach komuny. I jeszcze stół składany, przypięty do ściany na stałe, stół przy którym nad ranem czasami jeszcze tętniło życie, czas się zatrzymywał, rozmowy się zatrzymywały, niekiedy milkły, ale zawsze coś znaczyły, coś ważnego, coś istotnego.

Bo rozmowy nad ranem to rozmowy, które zawsze ocierają się o jakąś prawdę, o jakiś ból, o jakieś nadzieje. To rozmowy schowane niewidocznie w tej prawdzie, w tym bólu, w tej nadziei. W resztkach bólu ukrytych w ciemności nocy.

I jeszcze jeden pokój z dużym narożnikiem, rozsuwanym narożnikiem, na ścianie tego pokoju tapety i regał długi, brązowy, z drewna, z dobrego drewna, regał zrobiony ręcznie i stół, pod nim cztery krzesła z oparciami, i szafa, duża szafa z dużym lustrem, rozsuwana, a obok okna mebel z książkami na którym kiedyś stało akwarium, pływały w nim rybki, na którym kiedyś była klatka z kanarkiem, na którym kiedyś była szklana klatka z chomikiem. To było kiedyś, dawno temu. Kiedyś, gdy czas był inny, gdy życie było inne, gdy ból był inny. Bardziej czysty niż teraz. Bo ból może wiele znaczyć, gdy ociera się o przeszłość, o skutki tej przeszłości w człowieku.

I ostatni pokój, tuż za łazienką, pokój który wciąż się zmieniał, który wciąż żył. Był tam kiedyś lakierowany stół, na którym się grało w ping ponga, była wersalka rozkładana, miękka, była stojąca lampka z jasnym światłem, teraz wydaje mi się, że jaśniejszym niż światła teraz, ze światłem które dawało nadzieję, radość, ze światłem które dawało sygnały, że życie może być inne, musi być inne gdy w siebie uwierzymy już na starcie. Bo światło zawsze daje nadzieję, gdy człowiek wątpi, gdy człowiek nie potrafi uwierzyć w siebie. Stał w tym pokoju kiedyś gramofon, na meblach, tuż przy

ścianie, były płyty obok tego gramofonu, płyty z dobrą muzyką, i ten gramofon, bardziej adapter niż gramofon, w piątki, w wieczorne piątki, tuż po liście przebojów Marka Niedźwieckiego, puszczał muzykę, i ta muzyka, jej sens, jej prawda, prawda ocierająca się o światło lampki tuż przy łóżku, światło ciepłe, kruche, prawie niewidoczne, i ta muzyka była niczym kołdra w zły, pochmurny dzień. W dzień niepokładany nawet pod wieczór, w dzień nieposklejany aż do końca.

I jeszcze łazienka, i ubikacja, to był mój dom. To było mieszkanie mojego dzieciństwa. Mieszkanie w którym wciąż mieszkalem, teraz już sam. I wciąż nie miałem odwagi i siły żeby coś w nim zmienić. Bo przeszłość, bo ja, bo wspomnienia, bo czas. Bo człowiekowi ciężko coś zmienić w życiu, gdy jest już naprawdę sam, a jedyne co go łączy z przeszłością, dobrą przeszłością to kształty czegoś co wciąż jest koło niego i nie może zniknąć. Bo tylko od tego człowieka zależy czy wspomnienia należy wykreślić już teraz, czy kiedyś. I to kiedyś zawsze jest bolesne, zawsze jest zbyt nagle. Zbyt spieszne. Zbyt niewyjaśnione.

Rodzice, cóż, byli, a teraz ich nie ma. Jedna choroba, czas, tak naprawdę brak czasu na jakąkolwiek szansę; druga choroba, znów brak czasu na jakąkolwiek szansę i ciemność w ich oczach, ciemność obezwładniająca.

Widział jak walczyli, próbowali, wierzyli, chcieli – to wszystko widział w coraz bardziej gasnących oczach. Cierpieli, tak bardzo cierpieli, a potem się poddawali, gdy zrozumieli, że czas każdego człowieka ociera się zawsze o jakiś kres, o jakąś granicę. I oni właśnie, powoli, cicho, prawie szeptem, w milczeniu zbliżali się do tej granicy, do tego kresu.

Cierpienie zabiera człowiekowi wszystko, nawet złudzenia, zabiera całą godność, całe uzależnienie od życia, całe uzależnienie od tej godności.

Zostałem sam w tym mieszkaniu. Jednak wciąż czuję obecność rodziców koło siebie. Są, a jednak ich nie ma. Czuję ich obecność poprzez zapachy, poprzez zanikające odbłaski słońca na meblach, kryształach w dużym pokoju.

Najbardziej czuję ich obecność w nocy, kiedy całe mieszkanie zanurzone jest w ciemności. Zegar cicho tyka, przesuwa wskazówki na swojej tarczy i wraz z tym zegarem na ścianie czuję, że oni tutaj wciąż są, jeszcze tutaj mieszkają, to dla nich moment przejściowy, za chwilę już ich tutaj nie będzie, będą tam, lecz na razie wciąż są tutaj, tutaj jedną nogą, ale kiedyś znikną i pozostanie po nich cisza, jakieś złudzenia i kilka zdjęć, z których powoli też będą odchodzić, oddalać się na niewidzialną odległość.

Nadal nie chcę nic zmieniać w tym mieszkaniu. Choć tak naprawdę to nie mam siły nic zmienić w tym mieszkaniu. I wtedy myślę, ja Jakub, ja prawowity właściciel tego mieszkania teraz, myślę cicho, prawie szeptem, niech nadal będzie wszystko tak jak jest. Niech czas, cisza, jakaś niezgłębiona odmiana smutku, tego czasu, tej ciszy pozostanie jeszcze wciąż na swoim miejscu. I wtedy jest mi lepiej, bardziej lekko na duszy. Choć wiem, dobrze to wiem, że odwlekam coś nieodwlekanego, że powstrzymuję coś niepowstrzymanego. Kiedyś na pewno się odważę, jednak jeszcze nie teraz.

Trzeba mieć dużo siły i odwagi, żeby tak jednym pociągnięciem zniszczyć całą przeszłość. Zniszczyć bezpowrotnie. Zwłaszcza zniszczyć przeszłość po stracie. Po stracie ostatecznej.

I tak chodzę po tych pokojach, po całym mieszkaniu i nie mam odwagi nic w nim zmienić. Nie mam odwagi nic w nim zmienić, podobnie jak nie mam odwagi nic zmienić w swoim życiu.

Umówiłem się z Weroniką w jej mieszkaniu na Azorach, na godzinę siedemnastą. Kto to jest Weronika, co znaczy dla mnie Weronika, jak wpływa na kształt mojego życia, na wyraz mojego życia w przyszłości, nawet nie przyszłości dalekiej, ale przyszłości bliskiej, jeszcze niepoznanej, ale już znajomej poprzez sny, które powoli zaczynają przemieniać się w słowo, wyraz, może symbol – przyszłości z n a j o m e j.

Weronika jest dla mnie wszystkim, jest tym wszystkim czym może być kobieta dla mężczyzny. Jest nadzieją, że mogę żyć tak jak chcę, jest miłością, że mogę kochać tak jak chcę, jest wiedzą, że mogę poznawać i rozumieć świat, swoje życie tak jak chcę, jest dotykem, że mogę ją kochać tak jak chcę, poznawać w nocy, za dnia poprzez ten dotyk, przez skutki tego dotyku w rzeczywistości. I co

najważniejsze, jest moim przyjacielem, co oznacza, że mogę z nią rozmawiać tak jak chcę. O ciemności w moim życiu, o mroku, o porażkach i wzlotach – wzlotach rzadkich i niepewnych.

Weronika ma mądre oczy, zielone jak morze, jak jakiś szlachetny kamień wydobyty z kopalni wśród gór, ma czarne włosy, długie, kręcone, falujące przy samych ramionach. Jest mądra, zbyt mądra dla mnie. Więcej widzi, więcej czuje niż ja. I co ważne, więcej rozumie z tego widzenia i czucia niż ja. Rozumie dosłownie i rozumie w przenośni. Bo Weronika wie, że mądrość, czas, życie każdego człowieka to jedna wielka przenośnia, w której człowiek musi się zanurzać każdego dnia.

Weronika jest konserwatorem zabytków. Często pracuje w kościołach. Sprawia, że czas, czas przeszły tak doskonale odnajduje się w rzeczywistości, dzięki jej dłoniom, jej duszy, jej pragnieniu czynienia dobra za wszelką cenę.

Jeżdżam windą na sam dół. Wychodzę z klatki, idę w kierunku metalowej kładki nad rzeką Sudoł. Gdy wychodzę przed blok, odwracam się, patrzę się na czwarte piętro. Uśmiecham się. Nasz klatkowy alarm, nasze osiedlowe centrum informacji.

Zawsze za dnia, zawsze na posterunku, bez względu na pogodę, czas, stan ducha. Dwie kobiety, matka i córka. Dwa światy schowane w oknach. Dużo widzą, dużo wiedzą, dużo czują, zanurzają się w każdym ruchu ciał w pobliżu bloku. Ten wraca o tej godzinie, ten wrócił zbyt późno niż zazwyczaj, ten gdy wraca z pracy nad ranem, a jest taksówkarzem, zawsze siedzi w samochodzie, coś pije, o czymś myśli, czegoś pragnie, żeby zasnąć, żeby zbyt szybko nie wrócić do domu. Zawsze rano, zawsze o świcie. Ten chodzi codziennie do knajpki, do Darka, bo musi, bo chce, bo może, bo jest zbyt samotny w zbyt dużym mieszkaniu jak dla jednej osoby. Ten się kłóci zawsze z żoną gdy wraca z zakupami, gdy wychodzi z samochodu. To kłótnie ciche, ale skuteczne. Potem żona milczy, długo, ale w końcu mu wybaczają, wybaczają do następnych zakupów. Ten zmienił samochód, nie musiał, ale zmienił. A inni jeżdżą tylko samochodami w niedzielę. To nielogiczne, bezsensowne. Osiedlowe centrum informacji, dwie strażniczki pokoju na czwartym piętrze.

Mijam kwiaciarnię. Jeszcze jest w niej życie. Wszyscy tam zamawiają kwiaty na wesela, pogrzeby, imieniny. Jeszcze kwiatki

pachną mocno, intensywnie, jeszcze kwiatki chcą żyć, istnieć. Mienia się swoimi kolorami w kierunku nieba, w kierunku chmur, w kierunku życia.

Za kilka lat kwiaciarnia zniknie, zniknie tak szybko jak szybko znikają miejsca ważne dla każdego człowieka. Najszybciej znikają wtedy, gdy ich człowiek tak bardzo potrzebuje. Potrzebuje dla siebie, dla wspomnień.

Wchodzę na metalową kładkę, widzę rzekę Sudoł, rzeka zarasta, drzewa, coraz więcej drzew i krzewów tworzy zielony pierścień wokół rzeki. Schodzę schodami, mijam kiosk ruchu po prawej stronie, kiosk który tutaj był zawsze. Naprzeciwko kiosku jest teraz sklep spożywczy, dawniej była tutaj wypożyczalnia kaset video, tyle filmów, tyle wspomnień.

Przypominam sobie czasy gdy wieczorem w sobotę szedłem do tej wypożyczalni kaset video, szedłem bo wierzyłem, że dostanę tam coś wyjątkowego i czasami tak bywało. Kręciłem się wśród kaset, patrzyłem na opakowania, na nazwiska, na opis filmu i potem z lekkim, z jakąś obawą szedłem do domu. Chwila ciszy, napięcia i coś się działo, czasami coś wyjątkowego. I to było piękne i to było zawsze w jakiś dziwny sposób wyjątkowe. Wierzyłem wtedy, że człowiek potrafi czasami w obrazach zobaczyć siebie, potrafi ujrzeć coś, co ma w środku, coś co w nim jest a tego sam nie potrafi dostrzec bez tych obrazów. Bo dobre filmy zawsze docierają do tego co ma człowiek najlepsze w sobie, do tego co ma człowiek najgorsze w sobie.

Mijam przedszkole po prawej stronie, mijam bloki, kolejną ulicę i idę przez park Krowoderski, park z górką po prawej stronie, z górką z której w zimie zjeżdżało się na sankach. I stadion obok niej, bardziej boisko niż stadion, miejsce gdzie czasami się grało w piłkę nożną, gdzie czasami się biegało wieczorami, gdy człowiek wierzył, że sport może coś zmienić w człowieku. W nas tak naprawdę nic nie zmieniał. Burzył w nas tylko jakąś harmonię życia. Burzył na jakiś czas.

Dochodzę do małego pawilonu tuż koło parku. Teraz jest tam sklep spożywczy. Tyle sklepów powstało w mieście, myślę, sklepów które karmią tyle zagubionych ciał, tyle zagubionych dusz. Czasami karmią niepotrzebnie.

Dawniej w tym miejscu była kawiarnia Ludwisia. Siedzieli tam taksówkarze, zamawiali lornetę i meduzę, czyli dwie pięćdziesiątki wódki i galaretę i marzyli, że mogą jeszcze lepiej żyć niż żyli, choć dobrze wiedzieli, że ich życie w tamtych czasach było bardziej niezwykłe niż życie innych ludzi. Siedzieli, myśleli, załatwiali swoje interesy. Wiedzieli więcej niż inni. Co? gdzie? kiedy? za ile? dla kogo? ile można na tym zarobić? To było ich życie, to był ich czas, dobry czas. Obok nich siedzieli ci co handlowali walutą. Tam można było wiele zdobyć, można było wiele zapomnieć. Stracić.

Byłem tam kilka razy, przeważnie w ciągu dnia. Za szklaną ladą były lody, galaretki, napoje jabłkowo-miętowe, jakieś ciastka. Byłem, siedziałem chwilę, jadłem lody z metalowych pucharków i wychodziłem. Czułem, że dopiero wieczorem zaczyna się tam życie, inne, niezwykłe, przepełnione nadzieją życie. Lepsze życie.

Potem mijam szkołę średnią, skręcam w lewo i dochodzę do ulicy Jaremy. Długi blok, pierwsza klatka obok małego sklepu spożywczego, pierwsze piętro, brązowe drzwi obok windy.

Pukam. Otwiera mi Weronika. Moja miłość, moja nadzieja, że mogę być lepszym człowiekiem. Wiem, że dzięki niej stanę się kimś innym, kimś lepszym.

Wchodzę, całuję ją w czerwone usta, czerwone od szminki. I jest mi teraz jakoś lepiej, jakoś bardziej wyjątkowo podczas tego pocałunku. Oddalam się moimi ustami od jej ust i znów do nich wracam, wracam do jej teraz trochę rozmazanych ust, rozmazanych od moich pocałunków.

Mijam mały przedpokój, ściany zrobione są z boazerii, linoleum na podłodze, pod nim parkiet, w ogóle w całym tym dwupokojowym mieszkaniu jest drewniany parkiet.

Po prawej stronie kuchnia, brązowe meble kuchenne, lodówka w kącie i mały stół drewniany. Kuchnia jest otwarta, duże okno bez szyby wychodzi na pokój, duży pokój. W oknie tej wystawianej kuchni brązowe drewniane bele, ciemnobrązowe.

Duży pokój, na całej ścianie masywne meble, brązowe z rączkami złotymi. W środku tych mebli szyba, za nią szklanki do wina, wódki, soków. Telewizor na środku pokoju, tuż przy oknie, stoi na brązowym stoliku z szybą, pod telewizorem wieża z kolumnami. Długie łóżko w jasnych kwiatowych kolorach, obok niego lampka

stojąca z czerwonym kloszem i masywny stół drewniany, rozsuwany.

Dalej mały przedpokój z białą szafą wnękową, obok łazienka, w niej brązowe kafelki na ścianach i podłogze, mała wanna, piecyk biały i dwa duże lustra.

I mały pokój, szafirowe meble po prawej stronie, niebieski dywan, zielone rozsuwane łóżko i małe jasne biurko.

To było mieszkanie Weroniki, mieszkanie, które wynajmowała od prawie pół roku. Czuła się w nim dobrze, wszędzie miała blisko, do mnie, na rynek, do parku Wyspiańskiego gdzie ja w młodości często bywałem. Jeździliśmy tam na rowerach, zbieraliśmy jarzębinę i sprzedawaliśmy do Herbapolu. Czasami w nocy piliśmy wino. Dawne czasy, dobre czasy.

- Zaraz będę gotowa – mówi cicho, prawie szeptem Weronika.

- O której jest ten wernisaż? – pytam ją prawie nie pytając.

- O dziewiętnastej godzinie – mówi Weronika poprawiając szminką usta, poprawiając je przeze mnie. – W Muzeum Józefa Czapskiego. W pawilonie Czapskiego, na tarasie, na samej górze.

- Zdążymy?

- Już kończę. Zamów taksówkę. Tak będzie szybciej. Tak będzie lepiej. Tak będzie wygodniej.

Wykręcam numer, podaję adres, Jaremy 1, mieszkanie numer 4. Czekam. Na Weronikę, na taksówkę, na czas, który zaczyna płynąć szybciej. Szybciej i ciekawiej niż zazwyczaj.

Kocham te momenty, te chwile w moim życiu gdy nagle czas zaczyna płynąć szybciej i ciekawiej niż zazwyczaj. Gdy coś się nagle zmienia koło mnie. Zmienia nieodwracalnie. Zmienia na coś innego i ciekawszego. I ja tylko muszę się temu innemu i temu ciekawszemu poddać. Iść z prądem do przodu, bo wtedy przód oznacza lepiej, oznacza inaczej. A inaczej dla tak szarego człowieka jak ja to lepiej, zawsze lepiej. I to wszystko mnie wtedy jakoś uskrzydla do życia, daje energię bym czuł więcej, żył więcej, czerpał więcej z siebie, z innych.

- Wychodzimy – mówi Weronika i zakłada czarną skórę, skórę dopasowaną do niej jak ciało do głowy, jak głowa do ciała.

Zamykamy drzwi, schodzimy na dół, taksówka już czeka. Wsiadamy do tyłu.

- Muzeum Czapskiego – mówię stanowczo.

- Wie pan, gdzie to jest? – pyta cicho, trochę z lękiem, z jakąś obawą Weronika.

- Jeżdżę w Krakowie od dwudziestu lat – mówi z uśmiechem mały, łysy taksówkarz. – Wiem wszystko o tym mieście. Wszystko o życiu tego miasta w ciągu dnia, w nocy. Znam to muzeum. Nawet nie wiecie kogo woziłem tym samochodem. Przeważnie w nocy. Najciekawsze osoby, najciekawsze rzeczy zawsze zdarzają się w nocy, gdy ciemność zakrywa swoim płaszczem całą obojętność miasta.

Jadą, patrzą się na nieregularne kontury miasta, na kształty kamienic na Alejach Mickiewicza. Ja milczę, Weronika milczy, taksówkarz w skupieniu patrzy się przed siebie. Tylko szum silnika, tylko szum miasta za szybą, tylko szum ludzi pędzących po ulicach przed siebie.

Muzeum Narodowe po prawej stronie, obok Hotel Cracovia, hotel wciąż stoi, milczy, czeka na swoją szansę, kolejną szansę. W końcu ulica Piłsudskiego, samochód się zatrzymuje, płacimy, wychodzimy, przez chwilę stoimy w milczeniu przed Muzeum Czapskiego.

- Idziemy – cicho mówi Weronika.

- Tak, idziemy – mówię równie cicho jak ona, może nawet jeszcze ciszej niż ona.

Wchodzimy do muzeum, do kawiarni na parterze.

- Do wernisażu zostało jeszcze pół godziny – mówi Weronika. – Jakieś wino, może kawa?

- Jakieś wino, może rozmowa? – uśmiecham się do niej.

Lubię z nią rozmawiać, o wszystkim, o niczym, o rzeczach ważnych, o rzeczach nieistotnych, o nas, o tym wszystkim co jest poza nami, poza nią, poza mną. Rzadko rozmawiamy o złych rzeczach, o złych ludziach. Chcemy żeby całe zło tego świata było gdzieś poza nami. I przeważnie tak jest, bardziej w rozmowach niż w życiu.

Krzesła metalowe, wzory francuskie, kształt francuski, wino czerwone, dobre i ona, Weronika, jej oczy, mądre oczy, zielone jak niebo tuż przed zmrokiem, ciemno zielone.

- Znów coś się dzieje w naszym życiu, coś dobrego – mówię patrząc się na kamienicę obok muzeum.

- Z tobą większość rzeczy ociera się o jakieś dobro, nasze wspólne dobro.

Gdy kończymy pić wino idziemy do środka muzeum. Na pierwszym piętrze jest wystawa poświęcona Czapskiemu – jego obrazy, listy, szkice i pokój z Paryża, cały przeniesiony, taki jaki był, wtedy gdy żył. Idziemy wyżej, na taras. Tam jest wernisaż, wystawa prac studentów ASP. Wystawa „Paryż dawny, Paryż zapomniany”.

Wchodzimy na taras. Wszyscy, którzy mieli tu być, już są. Ktoś podaje nam wino, ktoś inny podaje przekąski, a potem kurator wystawy coś mówi o Paryżu, dawnym Paryżu. O artystach, o ludziach, o pisarzach, o tym wszystkim co przyciągało ludzi do Paryża, dawnego Paryża.

Chodzimy wśród obrazów, patrzymy się na nie z jakąś nostalgią. Zbliża się wieczór, żółte światła dotykają swoim blaskiem obrazy. W kamienicach obok muzeum zapalają się światła, są jak ogniska na pustyni w nocy, zaginione ogniska.

Na jednym z obrazów Montmartre, malarze siedzą, coś malują, coś próbują sprzedać, obok kawiarnie pełne ludzi.

Łuk Triumfalny, taras, Paryż z góry, kamienice, Sekwana w oddali, na kamienicach, na dużych balkonach kwiaty, dużo kwiatów. I ludzie na dole, zagubieni, zmęczeni, bez nadziei na twarzach.

Moulin Rouge, wiatrak, tłum ludzi przed wejściem i gwiazdy na niebie, i ten czerwony blask bijący od kabaretu. Blask pełen niepokoju, napięcia.

Ogród Luksemburski. Staw, pałac, ktoś karmi gołębie, ktoś gra na skrzypcach wśród drzew, kwiaty, dużo pięknych kolorowych kwiatów.

Sekwana, ludzie sprzedają książki, plakaty, pamiątki z Paryża. Na rzece widać statki, dużo statków. Jedne płyną cicho, bezimiennie, inne stoją, czają się jak koty w nocy do ataku. Ludzie spacerujący nad rzeką. Niektórzy zakochani, inni w rozpacz, za czymś co było i już nigdy nie będzie. A już na pewno nie będzie w takim kształcie i wymiarze jak kiedyś. Paryż zakochany, Paryż zagubiony.

Bazylika Sacre Coeur, schody. Widać miasto z góry. Jakiś blask. Widok w nocy. Całe miasto lśni jak świetliki w nocy. Miasto tańczy, śpiewa, czasami milczy. Miasto żyje swoim własnym snem. Snem o lepszym jutrze.

- Dobrze obrazy, bardzo dobre – stwierdza Weronika. – Jak ktoś maluje już tak dobrze na studiach to może wszystko w życiu. Może iść śmiało swoją drogą do celu.

- Dobrze, że już wiedzą, jaką drogą chcą iść do celu. Niektórzy gdy umierają, wciąż nie wiedzą jaki cel mieli w życiu.

- Większość ludzi tego nie wie – smutno stwierdza Weronika.

Wychodzimy, schodzimy schodami w dół. Skręcamy w prawo w kierunku Plantów, w kierunku rynku. Coś nas tam ciągnie, coś nas tam przyciąga. Życie, przygoda, bardziej życie niż przygoda.

Idziemy z Weroniką razem, trzymamy się za ręce. To ważne, czuć kogoś bliskiego w nocy, czuć przez dotyk, czuć przez ręce splecione razem, może na zawsze.

Tak naprawdę jest dopiero wieczór, gwiazdy leniwie palą się na niebie niczym świece na jakimś zapomnianym cmentarzu. Ale czuję się jakby była noc, noc bliska, ciepła, tajemnicza. Noc zawsze niesie ze sobą jakąś tajemnicę, nie zawsze dobrą, ale tajemnicę.

Idziemy Plantami w kierunku Wawelu. Minęliśmy Filharmonię, jakieś ciche dźwięki rozbrzmiewały z jej murów. Dźwięki znajome, ciepłe, takie Polskie. Latarnie na Plantach wyglądają jak pochodnie, pochodnie dopiero co rozpalone, żeby pokazać zabłąkanym duszom drogę – czy do celu, tego nikt nie wie.

Prawie przy samym Wawelu, ale jeszcze na Plantach, przy latarni jaśniejszej niż inne stoi kobieta w czerwonej sukience i gra na skrzypcach. Zatrzymujemy się z Weroniką. Słuchamy. Widzę, że Weronika zamyka oczy, potem je otwiera, na jej twarzy pojawia się uśmiech, może jakaś ulga, bardziej uśmiech niż ulga.

Czerwona sukienka skrzypaczki lekko drży od wiatru. Jej cień na pobliskim drzewie, cień od latarni tworzy jakieś obrazy. Obrazy dalekie, bliskie, obrazy znajome, obce.

Zauważam starca na ławce, patrzy się z takim napięciem na grę skrzypaczki. Zauważam łzy na jego twarzy, Weronika też je zauważa, podchodzimy do starca, siadamy obok niego, Weronika podaje mu chusteczkę.

Starzec wyciera łzy, uśmiecha się zakłopotany.

- Wspomnienia? – pyta ciepło Weronika, jej słowa mają w sobie jakąś dobroć i troskę. – Dalekie? Bliskie? A może ostatnie?

- Tak, wspomnienia. Dobre wspomnienia. Czas, którego nigdy nie można zatrzymać, choćby człowiek bardzo się starał. Nawet gdyby człowiek sprzedał duszę, nic czasu nie zatrzyma.

- Czas to jedyna rzecz, która łączy człowieka z życiem – mówię cicho, lekko, jakoś sennie.

- Ta kobieta, jej gra na skrzypcach, ta sukienka, ten niepokój w jej oczach, gdy je lekko mruży podczas gry, przypominają mi kogoś. Kogoś, bez którego nie mogę już dłużej żyć.

- Kobieta? – pyta z lękiem Weronika.

- Tak, kobieta, moja żona – starzec się chwilę waha, jego oczy na moment gdzieś znikają, w noc, w gwiazdy, w ciszę pomiędzy kamienicami, a potem starzec zaczyna mówić, najpierw nerwowo, z lękiem, a potem w jego głosie pojawia się jakaś ulga, jakieś wytchnienie. – Poznałem ją podczas wojny. Zły czas na miłość. Ale czasami gdy trwa zło może narodzić się coś dobrego. Była skrzypaczką, ja grałem na fortepianie. Miłość do muzyki nas połączyła. Miłość zanurzona w złych czasach. Często graliśmy razem, czuliśmy że przez muzykę nasza miłość jest pełniejsza, bardziej wyrazista i głęboka. Gdy były naloty, gdy okna były zakryte zasłonami graliśmy razem ze strachu, że coś może zniszczyć naszą miłość. Żli ludzie, wojna, nienawiść człowieka do człowieka. I tak samoloty latały nad miastem, a my graliśmy Chopina, Mozarta, Moniuszkę. A potem się kochaliśmy, tak bardzo się kochaliśmy po tych nalotach. Czuliśmy, że jutro coś może się zdarzyć, coś złego, że nawet jutra może nie być i to nasze kochanie, ta nasza miłość to jest ostatnia dobra rzecz w naszym życiu. Tym życiu. A potem wojna się skończyła, przeżyliśmy i zaczęliśmy razem pracować w filharmonii. Jeździliśmy po całym świecie, razem. Zawsze razem. Po strachu, bólu, niepewności nastąpiła ulga i znów byliśmy szczęśliwi, pomimo wspomnień, które powoli znikwały w nocy, znikwały podczas złych snów, złych lęków. Czasami graliśmy w Zakopanem, gościnnie. Pamiętam jak znajomy zaprosił mnie i żonę do Hotelu Bristol. Dawny, dobry hotel. Elita tam bywała – aktorzy, politycy, muzycy, pisarze, malarze. Poproszono nas o występ. Grałem tylko ja i żona. To był dobry koncert, jeden z lepszych w moim życiu. I te oklaski dla niej, dla mnie, bardziej dla niej niż dla mnie. Wtedy miała czerwoną sukienkę, taką jak ta skrzypaczka na Plantach. Teraz ten hotel jest

zamknięty. Ktoś go kupił, chce wyremontować, ale wciąż stoi zabity deskami, zapomniany jak stary człowiek który wciąż stoi gdzieś z boku czekając na zauważalność. Stare rzeczy potrzebują zauważalności, podobnie jak starzy ludzie. Żona umarła dwa lata temu, ja umarłem dwa lata temu – starzec się zamyśla, jest gdzieś daleko, jest gdzieś blisko. – Żyję, ale już mnie nie ma. Czasami człowiek nie może się podnieść gdy nagle zabraknie mu drugiego człowieka. I nie jest tego w stanie zmienić, ani życie, ani inny człowiek. Gdy człowiek ma za dużo dobrych wspomnień, nie jest w stanie przywrócić go ponownie do życia. Może tylko próbować iść do przodu. Ale jak długo?

Weronika lekko dotyka ramienia starca, potem się do niego przytula.

- Ona gdzieś tam jest – mówi Weronika. – Patrzy na pana. Jest gdzieś pomiędzy gwiazdami, jest gdzieś pomiędzy słońcem a niebem. Jest w deszczu, w jego kroplach, w porannym wietrze. Jest obok pana i chce, wiem to na pewno, żeby pan żył jak najlepiej, zanim znów się spotkacie. Pana szczęście tutaj, będzie jej szczęściem tam.

- Dziękuję – starzec wstaje, skrzypaczka przestała grać, oddaliła się jak jakiś sen w ciemność nocy. – Pani jest dobrym człowiekiem, bardzo dobrym, ma pan szczęście, że ona tak bardzo pana kocha – mówi do mnie, mówi to z jakąś ulgą. – Nie każdy spotyka na swojej drodze anioła.

Starzec odchodzi, garbi się jakoś dziwnie, po chwili się do nas odwraca, uśmiecha i cała jego postać się nagle prostuje, jakby jakiś ciężar, zły ciężar oddalił się od niego na zbyt dużą odległość.

Wchodzę do jej mieszkania, w mieszkaniu na Azorach panuje półmrok, w przedpokoju pojawia się Weronika, ściąga ze mnie dżinsową kurtkę, wiesza ją na wieszaku w kolorze złota, całuje mnie w usta, widzę, że coś piła. Nie przeszkadza mi to, gdy Weronika jest lekko pijana – wtedy nasze życie staje się inne, bardziej wyraziste i zmysłowe. Lubię tę wyrazistość w oczach Weroniki, wyrazistość przesączoną alkoholem.

- Coś ci pokażę – mówi szeptem Weronika i bierze mnie za rękę.

Czuję zapach jej perfum, dobrych perfum. Zapach mnie zniewala, onieśmiela. I to onieśmienie jest widoczne w moich oczach, w całym moim ciele.

Siadamy w dużym pokoju, naprzeciwko brązowych mebli. Na stole, brązowym drewnianym stole palą się dwie świece. W pokoju jest półmrok, cienie tańczą na ścianach, tworzą jakiś film, dziwny, niezrozumiały film.

Weronika kładzie przede mną jakiś stary zeszyt. Obok zeszytu kładzie butelkę czerwonego wina i dwie lampki. Zeszyt jest zniszczony. Skórzana okładka ma popękany kształt, zarys.

- Znalazłam to w Kościele Św. Wojciecha. Wiesz, że teraz pracuję na rynku, właśnie w tym kościele.

- Gdzie dokładnie to znalazłaś?

- Za ołtarzem, który właśnie przywracamy do dawnej świetności. Pamiętnik, bo to jest właśnie pamiętnik, był wciśnięty w zniszczoną szczelinę ołtarza. Schowałam go do torebki i przyniosłam do domu. Jesteśmy pierwsi, którzy go przeczytają po tych prawie już zapomnianych latach.

- Co później z nim zrobisz?

- Oddam go komuś, kto będzie wiedział co z nim zrobić.

- Czytamy? – spytałem z zaciekawieniem.

- Czytamy – rzekła z drżeniem w głosie Weronika i naalała nam wina do lampek.

Pukali do drzwi mocno, bardzo mocno. Potem dużo krzyczeli, głośno, niecierpliwie. I było tyle rozdrażnienia, tyle zła w tych krzykach. Zbyt dużo.

Potem mnie wzięli do więzienia, tłumaczyli, jeśli im powiem to co chcą usłyszeć, to mnie puszcza. Nie powiedziałem im tego, nie powiedziałem na początku. Nie powiedziałem, bo nic z tego co chcieli ode mnie usłyszeć nie było prawdą.

I wtedy się zaczęło, wieszanie za ręce w pokoju przesłuchań, bicie, przypalanie ogniem, znów bicie, lanie wody do ust przez szmatę, brak snu, notoryczny brak snu i dopiero gdy zaczęli mi przybijać palce gwoździami do stołu poddałem się. Mówiłem to co chcieli usłyszeć, żeby tylko ból przestał docierać do mojego ciała. Podałem

im te nazwiska co chcieli usłyszeć, żeby tylko ból przestał docierać do mojego ciała.

Podpisałem to wszystko co powiedziałem na białej kartce. Przesłuchujący oficer tylko pobłażliwie się uśmiechał, gdy kropla krwi pobrudziła kartkę podczas podpisywania zeznań.

- I po co to wszystko było? – spytał oficer o niewinnym spojrzeniu i jeszcze bardziej niewinnych oczach. – Ten opór. To utrudnianie nam pracy. Każdy kiedyś się przyzna, to tylko kwestia czasu i oporu zeznań. Każdy ma swój czas, żeby w końcu podpisać to, co chcemy żeby podpisał. A my musimy tylko cierpliwie czekać, aż ten czas nadejdzie. Czekać ze spokojem w oczach.

Potem jechałem bardzo długo pociągiem w głąb Syberii. Przez okno widziałem tundrę i śnieg, często tylko pustkę, pustkę wszechogarniającą.

Obóz był drewniany, otoczony zasiekami. Pracowaliśmy przy wyrębie drewna. Żywe trupy bez nadziei. Czas, tylko czas był koło nas. Czas bezwzględny. Czas mroczny. Czas obezwładniający.

Zima, potem lato. I pory gdzieś pomiędzy, pory nieistotne. I tak trwało to kilka lat. Ludzie umierali, ludzie żyli. Ludzie trwali.

Którejś zimy, końcówki zimy, wzięli mnie i jeszcze jednego więźnia za obóz, żeby naprawić linię telefoniczną. Dzień drogi od obozu. Dwóch strażników na koniach i my idący piechotą do przodu. Wciąż do przodu.

Pod wieczór byliśmy przy połamanym drzewie, które zniszczyło linię telefoniczną. Gdy jeden strażnik poszedł za potrzebą, a drugi siedział na koniu zamyślony, jakiś nieobecny, popatrzyłem na drugiego więźnia i skoczyliśmy razem na tego strażnika na koniu. Strzelił ze strzelby, trafił drugiego więźnia, drugi raz nie zdążył strzelić, moja łopata roztrzaskała jego głowę. Drugi strażnik wybiegł z krzaków, ale już miałem strzelbę w rękach. Strzał od razu zniszczył zdziwienie w jego oczach.

I wtedy zrozumiałem, umrę w drodze lub będę wolny.

Na jednym koniu jechałem, drugi szedł posłusznie doczepiony do pierwszego konia. Miałem dwie strzelby, dwa pistolety, trochę naboju, nie za dużo jedzenia i wolę ucieczki za wszelką cenę.

Jechałem przez jakiś czas rzeką, żeby zgubić trop. Kluczyłem, wciąż oddalałem się od obozu. Jechałem w dzień, w nocy. Wciąż

jechałem, spałem na koniu podczas jazdy. Wiedziałem, że mnie gonią, wciąż gonią.

Gdy padł mi koń, nożem wyciąłem to, co się da zjeść i jechałem dalej. Patrzyłem się na gwiazdy, one wskazywały mi kierunek drogi.

Gdy już myślałem, że umrę z głodu upolowałem niedźwiedzia, znów miałem mięso. Mięso i wolę przetrwania. Mięso i chęć przżycia za wszelką cenę.

Po jakimś czasie spotkałem myśliwego. Mieszkał samotnie w tundrze. Pomógł mi. U niego nabrałem sił. Tam uwierzyłem, że może mi się udać powrót do domu. U niego pierwszy raz w to uwierzyłem. Myśliwy chodził w ubraniu ze skóry wilka. Podczas polowań twarz miał pomalowaną na czarno. Malował się pastą z wilczego sadła wymieszaną z węglem. Drzewnym węglem.

Gdy od niego odchodziłem widziałem smutek w jego oczach. Polubiliśmy się. Myśliwy znów musiał zostać sam ze swoją samotnością. I ta samotność była widoczna w jego oczach.

Samotność ma wiele znaczeń, wiele symboli, pomyślałem gdy na niego patrzyłem.

Dotarłem do morza. Znalazłem starą łódź rybacką i w nocy zacząłem płynąć do Polski. Udało się, nawet nie wiem jak, ale się udało.

Do Krakowa, gdzie mieszkalem przed aresztowaniem, nie wróciłem. Pojechałem w Bieszczady do rodzinnego domu, gdzie nikt już nie mieszkał. Rodzice umarli dawno temu, zbyt dawno. Zatrudniłem się przy wyrębie drewna, gdy dawny przyjaciel załatwił mi lewe dokumenty. I tak pracowałem przez kilka lat, w nadziei, że przeszłość już nigdy do mnie nie wróci.

Tylko sny miałem złe, bardzo złe. W tych snach wciąż przed kimś uciekałem, wciąż mnie ktoś gonił. Czy udawało mi się w końcu uciec, tego nie wiedziałem. Budziłem się zawsze spocony, zmęczony, opuszczony przez siebie, przez ludzi w tym śnie.

I gdy spokój zagościł w mojej duszy, gdy uwierzyłem, że tak już teraz będzie, ktoś mnie rozpoznał. Tak mi się zaczęło wydawać. Może to było złudzenie, może to były tylko lęki wynikające ze złych snów, a może faktycznie zbyt często czułem czyjś wzrok za sobą.

Wyjechałem, bo byłem przerażony wizją kolejnych tortur i wizją powrotu na Syberię. Gdy wyjeżdżałem to czułem się już złe, to cięż-

ka praca na zesłaniu zaczęła dawać znaki o sobie. Serce pracowało coraz gorzej, w nocy, w ciągu dnia. Czułem, że zbliża się koniec. W Krakowie zamieszkałem w pustostanie, w opuszczonej kamienicy przy rynku. Tam zacząłem pisać ten pamiętnik. Gdy go skończyłem mój stan zdrowia był coraz gorszy.

Wiem, że umieram, czuję to. Wiem, że zmarnowałem życie, czuję to. Wiem, że podczas przesłuchań zawiodłem siebie, zawiodłem innych, czuję to. I wiem, że już nic nie mogę zmienić, na wszystko jest już za późno, czuję to.

Jutro pojadę do Kościoła Św. Wojciecha. Schowam ten zeszyt za ołtarzem. Może kiedyś ktoś go przeczyta, zrozumie, wybaczy mi ten połamany los człowieka udręczonego, człowieka zmęczonego życiem, sobą.

Naprawdę chciałem żyć inaczej, kochać inaczej, być sobą inaczej. Nie udało się. Zły czas, źli ludzie. Złe okoliczności przetrwania. Na wszystko jest już za późno. Czasami myślę, że dla niektórych ludzi zawsze jest wciąż za późno. Za późno na wszystko. Nawet na początku, gdy człowiek dopiero co budzi się do życia.

Siedzę w ogródku przy Sukiennicach. Piję kawę, ciepłą, dobrą, aromatyczną kawę. Pomnik Mickiewicza spogląda na tłum ludzi z zaciekawieniem. Hejnał Mariacki na moment powoduje bezruch na rynku. Gdy jest grany rynek milknie na chwilę, na kilka sekund, na kilka nieuchwytnych chwil życia.

Komisarz Rawicz spogląda na zeszyt z niedowierzaniem. Jego palce delikatnie przekładają kolejne kartki w lewą stronę.

- Ciekawa historia, bardzo ciekawa – mówi Komisarz Rawicz. – Co najważniejsze, prawdziwa.

- W tamtych czasach były tylko prawdziwe historie. Historie, które często ocierały się o prawdziwy ból, o prawdziwe zwątpienie.

- Losy ludzi zawsze są zaplątane, gdy żyją w zaplątanym kraju, w zaplątanych czasach.

- Komu go dasz? – pytam, a mój głos chwieje się jak żagiel starego statku na morzu, podczas wiatru, zbyt mocnego wiatru.

- Mam kolegę, bardziej przyjaciela niż kolegę, pracuje w archiwum miasta. On będzie wiedział co z tym zrobić.

- Może ten zeszyt, ta historia będzie jeszcze miała jakieś znaczenie.

- Może – Komisarz Rawicz milknie, patrzy gdzieś obok, a potem mówi. – Twoja matka byłaby dumna z ciebie. Z tego jak żyjesz, jak sobie sama radzisz.

- Lubiła cię, byłeś naszym dobrym sąsiadem. Jedynym dobrym sąsiadem. Nie oceniałeś jej, nigdy. Że sama z dzieckiem, że taka nieufna.

- Pomagałem jej gdy miała zły czas. Zły czas nie dotyczy tylko złych ludzi. Ze złym czasem czasami muszą się też zmagać dobrzy ludzie. A twoja matka z całą pewnością zaliczała się do tych dobrych ludzi. Poza tym ktoś musiał wam pomagać.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- W kamienicy, tuż koło Błoni.

- Dobrze ci się tam mieszka?

- Inaczej. Chciałem coś zmienić w swoim życiu. Zacząłem od rzeczy, przedmiotów, kształtów. Później się wezmę za przyzwyczajenia, tęsknoty, nawyki. Na końcu się wezmę za siebie, za wspomnienia.

- A jak w pracy?

- Ciekawie – uśmiecha się z lekką ironią Komisarz Rawicz. – ostatnio prowadziłem dwie ciekawe sprawy.

- Jakie? – oczy Weroniki, mądre oczy zaczynają płonąć innym kolorem niż zielony.

- Wyobraź sobie, że w Zielonkach była duża firma, która poprawiała ludziom ciała, czasami dusze. Wiesz, piersi, odsysania, nosy, przeszczepy włosów i inne rzeczy. Jednak coś nas niepokoiło w tej firmie. Badania na ludziach, bezpłatne badania, na tych, którzy mogli mieć problemy finansowe. Zaczęliśmy ich obserwować. Potem, gdy mieliśmy już pewność, że coś tam jest nie tak, wprowadziliśmy do tej firmy naszego człowieka.

- Co było z tą firmą nie tak?

- Nie uwierzysz. Ja też nie mogłem uwierzyć. Z tyłu firmy mieli laboratorium w którym prowadzili nielegalne badania na ludziach. Znaleźli coś o czym każdy marzy, młodość. Powrót do młodości.

- Nie rozumiem.

- Ktoś miał pieniądze. Ktoś inny potrzebował pieniędzy. Musieli mieć zgodność, żeby jeden z nich miał szansę na tę młodość. I – tutaj Komisarz Rawicz zawiesza głos na kilka sekund – ten kto miał pieniądze i oczywiście zgodność mógł odmłodzić się o pięć lat, kosztem tego kogoś, kto potrzebował pieniędzy. Jeden cofał się biologicznie o pięć lat, maksymalnie pięć lat, drugi był starszy o te pięć lat. Działo się to w przeciągu tygodnia. Nie mogli zrobić tego kilka razy na jednym człowieku. Tylko raz. I nad tym pracowali, żeby wydłużyć czas o większą ilość lat. Podobno byli blisko.

- To jakaś bajka. Coś, o czym można czytać tylko w książkach.

- To prawda. Potrafili odmłodzić człowieka biologicznie o pięć lat. Tylko pięć lat i to ich martwiło. Mieli wielu chętnych. Bogatych chętnych. Nikt nie wiedział czy są jakieś skutki uboczne, nikt się tym nie przejmował. Liczyła się młodość, wieczne życie i wiara, że kiedyś będzie można tak robić w nieskończoność.

- Zamknęliście tę firmę?

- Tak, wszyscy siedzą. To zabawa w Boga. Niebezpieczna zabawa.

- Gdy chodzi o życie, o śmierć ludzie zawsze będą się bawili w Boga.

- Opowiem ci jeszcze coś ciekawego – mówi Komisarz Rawicz i popija z lekkim uśmiechem teraz już prawie zimną kawę.

- Zaskocz mnie – oczy Weroniki, ich zielona głębia coraz mocniej zaczynają błyszczeć w świetle dnia.

- Od pewnego czasu ktoś okradał ludzi, ich mieszkania. Ci ludzie, gdy zorientowali się, co się stało, że ktoś obcy zabrał im coś cennego, często zabrał wspomnienia zawarte w rzeczach, przedmiotach przychodzili do nas, zgłaszali kradzież, a tak naprawdę nie wiedzieli jak to się stało, kto to mógł zrobić.

- Nic nie pamiętali, nic nie widzieli, nie mieli żadnych podejrzeń?

- Po czasie, po głębszej analizie tych kradzieży, zrozumieliśmy, że ktoś do nich podchodził, patrzył im się głęboko w oczy, o coś na początku pytał, a potem wprowadzał ich w hipnozę i robili wszystko co chciał. Szli z nim do domu, otwierali drzwi, pokazywali gdzie są ukryte pieniądze, złoto, cenne rzeczy, siadali i cierpliwie czekali aż złodziej, czyli ten hipnotyzer wyjdzie. Po czasie budzili się z tego odrętwienia, letargu i wtedy dopiero szli na policję.

- Nic nie pamiętali? Żadnych szczegółów, twarzy, gestów, znaków szczególnych?

- Nic, dosłownie nic. Mielśmy związane ręce. Twarz złodzieja była dla nich wielką niewiadomą.

- Jak go złapaliście? – zastanawia się Weronika. – O każdej związanej zagadce często decyduje przypadek.

- Masz rację – oczy Komisarza Rawicza wyrażają podziw, zdumienie. – Jesteś mądrą kobietą. To był przypadek. Zgłosił się do nas mężczyzna który powiedział, że ktoś go chciał okraść.

- Jednak nie okradł?

- Tak, nie okradł. Ktoś do niego podszedł. O coś spytał. Ten mężczyzna poczuł się jakoś dziwnie. Słyszał głos obcego jak przez mgłę, mówił, że pójść do jego domu i on ma mu otworzyć drzwi.

- I otworzył?

- Gdy szli do jego domu, nagle coś w tym mężczyźnie pękło, coś się w nim zatrzymało, jakaś zasłona, mgła z niego zeszła i jego umysł znów pracował normalnie. Gdy byli pod jego domem złodziej zrozumiał, że coś jest nie tak i wszedł do czerwonego Audi zaparkowanego na chodniku i odjechał. Zahipnotyzowany mężczyzna zapamiętał jego twarz i samochód którym odjechał. A potem zgłosił się do nas.

- Jak go złapaliście?

- Sprawdziliśmy wszystkie Audi. A potem te, które były podejrzane, a w zasadzie ich właściciele byli obserwowani przez naszych ludzi.

- Cierpliwość się opłaciła.

- Tak. W końcu złapaliśmy go na gorącym uczynku. Poczekaliśmy jak wejdzie do mieszkania i tam go złapaliśmy. Był zdziwiony. Przyznał się. Miał dar, wyjątkowy dar, ale był głupcem. Albo był chciwy. A ludzie chciwi często ocierają się o jakiś rodzaj głupoty, o jakiś rodzaj otępienia. Wiedział, że coś poszło nie tak, mógł poczekać, odpocząć, gdzieś wyjechać, zmienić swoje nawyki, przyzwyczajenia. Tak robią ludzie mądrzy, a on wierzył, że jest wyjątkowy, że ma szczęście. Szczęście mają ludzie mądrzy, nie wyjątkowi. On tego nie wiedział, dlatego wpadł w nasze ręce.

- Dlaczego tamten mężczyzna go zapamiętał?

- Nasz psycholog powiedział, że są ludzie odporni na hipnozę. I tamten człowiek właśnie taki był, choć o tym nie wiedział. Każdy ma jakiś talent, dar w sobie, lecz nie każdy ma szczęście i odwagę go odnaleźć, zauważyć w porę, zanim będzie za późno na wszystko.

- Masz ciekawą pracę.

- Dzięki tej pracy, ciekawej pracy, poznaję ciekawych ludzi. Dzięki tej pracy, ciekawej pracy poznaję ciekawe sytuacje. Dzięki tej pracy, ciekawej pracy każdy dzień jest inny, każdy dzień jest ciekawszy od dnia wcześniejszego.

- A ja dzięki tej pracy znam ciekawego człowieka, bardziej przyjaciela niż ciekawego człowieka.

- Tak jak powiedziałem, jesteś mądrą kobietą – Komisarz Rawicz bierze stary pamiętnik pod pachę i odchodzi. – Do zobaczenia, Weroniko.

Najpierw zrobiliśmy zakupy w sklepie spożywczym. Jakaś woda, wędliny w stylu hiszpańskim, sery pleśniowe, smaczne, włoskie, pomidorki małe, czerwone, bagietka jeszcze ciepła, prawie gorąca i coś słodkiego na deser. Potem pojechaliśmy za miasto na piknik do Kobylan. Piknik ocierający się o radość. Piknik ocierający się o miłość.

Idziemy wzdłuż rzeki, dawniej w tej rzece była droga. Jeździły po niej samochody. Teraz rzeka jest bardziej uporządkowana, bardziej podporządkowana sobie, ludziom.

Stare domy, zniszczone, mają zapach przeszłości. Stare domy, zniszczone, mają zapach wspomnień. Dobrych, ciepłych wspomnień.

Wchodzimy w dolinę, już widać góry, już widać ludzi wspinających się po skałach.

- Pamiętasz, byliśmy tu kiedyś – mówię z jakąś zadumą w głosie. – Kiedy to było?

- Pięć lat temu, może więcej.

- Pamiętasz sad w którym jedliśmy posiłek. Pod drzewami pełnymi jabłek. Pod drzewami pełnymi białych kwiatów.

Skręcamy w prawo w kierunku sadu. Idziemy pod górkę wiejską drogą. Już widzimy sad, już widzimy jabłonie oczami wyobraźni. I nagle stajemy, nic nie mówimy, staramy się przypomnieć sobie

przeszłość, bo rzeczywistość już jest inna, już jest obca dla nas. Pokruszona.

Sad, resztki sadu jeszcze są. Widzimy go oczami wyobraźni. Drzewo pod którym jedliśmy jest, lecz trawa przy nim strasznie zarosnięta. Jest jakaś drapieżna, jakaś niebezpieczna. A tam gdzie była ścieżka do tego sadu, gdzie było pole stoi dom. Nowy dom.

- Nie tak powinny wyglądać wspomnienia, dobre wspomnienia – mówi cicho Weronika. – Pamiętasz, jacy byliśmy wtedy szczęśliwi. W tym miejscu, w tym czasie.

- Wszystko się zmienia, wspomnienia najbardziej.

- Wracajmy do doliny – mówi szeptem Weronika. – Może ona mniej się zmieniła.

Schodzimy na dół. Znowu widzimy ludzi na ścianach gór. Wspinają się w milczeniu do góry. Mała kapliczka z Matką Boską wciąż jest w ścianie jednej z gór. Schody prowadzące do niej, drewniane schody wciąż są. To dobrze, myślę z jakąś zadumą w oczach.

Mały strumyk wciąż płynie wzdłuż doliny. Szukam skąd wychodzi woda z gór, kiedyś to miejsce tak dobrze znałem. Pamięć mnie zawodzi, nie znajduję początku strumienia.

Idziemy dalej. Milczymy przez chwilę.

- Wciąż jest tutaj pięknie – mówi Weronika. – Inaczej, ale pięknie.

- Byliśmy tutaj szczęśliwi.

- To prawda – Weronika całuje mnie w usta.

Wciąż idziemy do przodu. Trzymamy się za ręce. Czasami czuję drżenie rąk Weroniki. Łudzę się, że to z miłości. Na pewno z miłości.

Dochodzimy do końca doliny. Wracamy tą samą drogą. Znajdujemy ciche, ustronne miejsce. Rozkładamy koc, układamy jedzenie na kocu. Piknikujemy.

- Inaczej, ale pięknie – znowu powtarza to zdanie Weronika.

Ma rację. Inaczej, ale pięknie. Myślę tak jak ona, czuję tak jak ona. Czasami myślę, że trochę jestem taki jak ona. Skazany na pokruszone wspomnienia z przeszłości.

- Musimy częściej tutaj przyjeżdżać – mówi Weronika głosem pewnym, dumnym.

- Jesteś pewna, że musimy?

- Tak, musimy. Odnajdziemy przeszłość, dobrą przeszłość. Gdy wystarczająco dużo razy będziemy tutaj przyjeżdżać, to na pewno odnajdziemy przeszłość, albo to przeszłość odnajdzie nas. Powoli, ale odnajdzie.

Uśmiecham się do niej. Za rzadko się do niej uśmiecham. To błąd, duży błąd. Weronika ma piękną, mądrą twarz, przenikliwe zielone oczy, skupienie w sobie, takie skupienie które mówi, że ona wie, dobrze to wie, gdzie nas to skupienie zaprowadzi. Na pewno w dobrym kierunku. Ma miłość w tych swoich zielonych oczach, taką miłość, która wciąż niesie nas do przodu, nawet wtedy gdy wydaje się, że stoimy, ale to tylko złudzenie. Jej miłość wciąż nas pcha do przodu, pomimo pozornego bezruchu. Tymczasowego bezruchu.

- Wracamy – Weronika wstaje, bierze mnie za rękę. – Dość tych wspomnień. Jeszcze tu wrócimy – mówi i śmiałym, pewnym krokiem zmierza w kierunku rzeki. Bardziej strumienia niż rzeki.

Sobota, pochmurna, mglista sobota. Jadę na rynek. Coś mnie tam pcha, coś niewidzialnego, silnego i niewidzialnego. Gdy wysiadam przy Dworcu Kolejowym coś do mnie wraca, coś dotyka moich myśli, dotyka całego mojego ciała.

Przeszłość, uśmiecham się do siebie, ciepła, czasami bolesna przeszłość. Zamykam oczy.

Często w sobotę, gdy nie miałem co robić z wolnym czasem, co robić ze sobą, jechałem na rynek. Autobus 154, przystanek końcowy koło Baru Smok, dużego baru tuż przy Dworcu Autobusowym, obok Baru Smok zawsze stał saturator, woda z sokiem, bez soku, szklanki myte wodą pod ciśnieniem, potem szedłem dalej, tunelem pod torami tramwajowymi. Za tunelem stała pierwsza budka z kasetami, oczywiście wszystkie pirackie, artyści zagraniczni byli tutaj beziemienni można powiedzieć bezkasowi. Kombinacje kaset były niezliczone, nieograniczone. Czasami zatrzymywałem się, patrzyłem się na kasety i coś kupowałem. I ta niepewność, co usłyszę w domu na magnetofonie, niepewność ocierająca się o złudzenie, że w domu, w zaciszu ścian mojego pokoju usłyszę coś, co może zmienić moje życie na lepsze, choćby tylko częściowo, choćby tylko na jakiś czas – i często tak się działo, i często zamykałem oczy ze zdumienia, że świat może być piękny, inny, gdy tylko trafi się na właściwą muzy-

kę, na właściwy czas zatrzymania tej muzyki w sobie. Choćby na chwilę.

Dalej szedłem wzdłuż murów aż do Bramy Floriańskiej, tam, gdy się szło w kierunku rynku, po prawej stronie był sklep filatelistyczny, miałem tam abonament na znaczki, odbierałem go co pół roku, wszystkie nowości łądowały w moim klaserze.

Za sklepem filatelistycznym był sklep muzyczny, też po prawej stronie, a tam znów kasety, płyty winylowe i katalogi z płytami. Zawsze można było coś wybrać z tego katalogu, kupić czystą kasetę BASF 90 minut i zamówić nagranie dwóch płyt. Odbiór na następny dzień.

Szedłem dalej, po lewej knajpka Sarp, w niej muzyka jazzowa, obok niej kawiarnia Jana Michalika. Na końcu ulicy Floriańskiej, po prawej stronie kolejny sklep muzyczny, kolejne piractwo na oczach tłumu, a po drugiej stronie sklep zoologiczny, lecz najpierw trzeba było wejść do bramy i przez podwórze dotrzeć do drzwi. A tam zwierzęta, duże, małe i ten hałas, ten zgiełk, to zagubienie najbardziej widoczne w akwariach.

W końcu wchodziłem na rynek, oddychałem głęboko, coraz głębiej i pewniej.

Na początku ulicy Grodzkiej po prawej stronie była brama, w bramie pasaż, a w nim stoisko z kasetami i płytami. Często coś tam kupowałem. Nigdy nie żałowałem tych zakupów, dobre płyty, dobra muzyka.

Naprzeciwko sklepu z kasetami, po drugiej stronie ulicy knajpka Huba. Wchodziło się do niej długim tunelem, przez bramę, potem w prawo na dół, tam kilka sal, bar nieduży, głośny, muzyka dobra, ludzie niepewni, pijani, jacyś zagubieni. Dobre czasy, niebezpieczne czasy. Bardziej niebezpieczne dla duszy niż ciała.

Takich knajp jak Huba było na rynku więcej. U Górali na ulicy Jagiellońskiej, Maska też na tej ulicy, ulicy straceńców, Jazz Rock Cafe, Free na ulicy Sławkowskiej. Tam się żyło, tam się umierało, tam się wracało do życia nad ranem. Wracało po zbyt niebezpiecznych wiatrach w nocy. Po huraganach noszących zbłąkane dusze w niebezpieczne odmęty życia.

Dochodziłem do Piwnicy Pod Baranami, obok niej, na Wiślniej był dom handlowy w kamienicy, dwa piętra, stoiska, ciekawe rzeczy

w centrum miasta. Schodami w górę, schodami w dół i znów byłem na rynku, a na rynku, bliżej ulicy Brackiej, prawie przy Wiślniej, może bardziej gdzieś pośrodku tych ulic, pamięć mnie zawodzi, brama, tunel, podwórze, po schodkach do góry i kolejny sklep muzyczny. W środku sklepu po lewej lada, długa, katalogi z płytami, po prawej plakaty muzyczne i płyty, dużo płyt i kaset. Tak dobrze czułem się wtedy pośród muzyki, może nawet lepiej niż wśród ludzi.

Ludzie ludzi kaleczą. Muzyka ludzi leczy. Najbardziej leczy pokaleczonych ludzi.

I tak chodziłem po rynku, sam, całkiem sam, oglądałem znaczki, kasety, świat, ludzi i czułem się w jakiś sposób wolny, szczęśliwy.

Wieczorami chodziłem do kina. Tyle kin było wtedy – Związkowiec, Wanda, Warszawa, Pasaż Bielaka, Młoda Gwardia, Uciecha. Teraz zostało tylko Pod Baranami, które wciąż walczy o godność i na szczęście jeszcze wygrywa.

To był dawny świat, inny świat, świat przepełniony złudzeniami, że coś jeszcze mogę, choć czułem, że rodząc się w określonym miejscu, w określonym czasie już nic nie mogę. Bo ten czas, to miejsce, te okoliczności już dawno określiły moją niemożność na kilka lat do przodu, określiły cicho w powoli zbliżającej się przyszłości. Przyszłości niszczącej konsekwentnie wszystkie zapachy i kolory przeszłości.

Otwieram oczy. Jestem na rynku. W oczach czuję lekkie ukłucie wstydu. Znów wróciłem do dawnych czasów, dobrych czasów, czasami sennych czasów.

Idę w kierunku małego rynku, widzę jarmark regionalny, mała scena, zespoły ludowe, tańczą, śpiewają, żyją.

Omijam tłum ludzi, wchodzę na ulicę Szpitalną, widzę remont, robotnicy wynoszą gruz z kamienicy.

Zamykam oczy, znów coś sobie przypominam.

To było dawno, tak bardzo dawno temu, byłem wtedy mały, tak bardzo mały. To była jeszcze komuna, miasto było brudne, poniszczone, zaniedbane. Często bardzo opuszczone i samotne w tym brudzie dookoła.

Szedłem z ojcem za rękę. Sobota rano, mgła pośród kamienic, murów, okien. Mgła przenikająca cały brud tego upokorzonego miasta.

Na rogu jednej ulicy, przy rynku zobaczyłem robotników. Byli jak duchy we mgle, jak jakieś zagubione zjawy nie z tego świata. Robotnicy burzyli kamienicę. Wynosili z niej gruz, na taczkach leżały cegły i metalowe części ze środka. Robotnicy byli pijani, lekko się chwiali, jednak uparcie walczyli z kamienicą, z mgłą pośród miasta. Nad kamienicą, nad ulicą, nad tym wszystkim wokół robotników, pijanych robotników unosił się szary, mroczny pył. Pył osadzał się wszędzie, pył osadzał się nigdzie. Mury, okna, dachy, ulice, samochody całe zanurzone były w tym pyłe. Spocone ciała robotników przykryte były tym pyłem, przykryte aż do duszy.

Kolejne butelki wódki, kolejne przekleństwa pośród wszechogarniającego pyłu, brudu to był inny świat, zapomniany świat. Świat donikąd, świat do nieokreślonego bliżej celu. Ale jakiego? Tego nikt nie wiedział. A już na pewno nie wiedzieli tego coraz bardziej zmęczeni robotnicy.

To wszystko wyglądało jak jakiś dekadenski obraz. Obraz o umieraniu czegoś ważnego, czegoś co wydawało się, że nigdy nie umrze, nie może umrzeć. Obraz o rozpadzie rzeczy trwałych, obraz o rozpadzie rzeczy stałych. Obraz o zatraceniu, obraz o zwątpieniu. O rezygnacji, zarówno przeszłości jak i przyszłości. Przeszłości, bo wszystko wciąż mija, przyszłości, bo do pewnych rzeczy wciąż jest daleko, za daleko.

Otwieram oczy. Ten obraz wciąż jest we mnie. Dlaczego? Tego nie wiem. Ale wciąż jest. Pewne rzeczy wciąż są w człowieku. Są i nie znikają. Są bez powodu, są bez żadnych określonych celów. Są, bo muszą być. Bo pewne rzeczy są stałe i bezbronne w człowieku. Bo czasami człowiek składa się z bezbronności, składa się z niepotrzebnych rzeczy, które nic mu nie dają oprócz wspomnień. A wspomnień należy unikać, szczególnie złych wspomnień. Wspomnienia niszczą ciało, niszczą duszę. Wspomnienia bardziej niszczą duszę niż całe nasze ciało.

Jest noc, ciemna, mroczna noc. Księżyc prawie nie świeci, jest schowany gdzieś za chmurami. To koniec, myślę. Koniec dnia, koniec nocy.

Wchodzę z Weroniką do Ogrodu Botanicznego. To noc muzeów. Można być wszędzie w muzeach, w nocy. Zwiedzanie w nocy to coś

innego niż zwiedzanie w ciągu dnia. Ja to czuję, czuje to Weronika. Wiem to, bo całe ciało Weroniki drży, kurczy się, gdy wchodzimy do Ogródu Botanicznego w nocy.

Alejki są oświetlone zniczami z obu stron. To takie dziwne, tajemnicze. Płomienie zniczy niczym pochodnie są pomiędzy nami. Oświetlają ludzi jak coś cennego, jak coś wyjątkowego. Cienie ludzi poprzez blask zniczy kurczą się, znikają, tańczą w ciemności nocy. Cały Ogród Botaniczny tańczy w ciemności nocy. Tańczy poprzez światło ze zniczy.

Wchodzimy do palmiarni, a tam egzotyczne rośliny, a tam ciepło, prawie gorące powietrze, rośliny pływające w wodzie, ryby w środku wody, małe, kolorowe. Ich łuski lśnią w blasku teraz już jaśniejszego księżyca.

Wychodzimy z palmiarni, siadamy na ławce pośród palących się zniczy. Bardziej lampek niż zniczy. Trzymamy się za ręce.

- Pamiętasz Włochy? – pyta nagle Weronika. – Pamiętasz Fiuggi? Stare miasto zanurzone w nocy.

- Pamiętam – uśmiecham się do światel wokół nas.

- Hotel, bardzo stary, zaraz przy starówce – oczy Weroniki płoną mocniej niż światła koło naszej ławki. – I ta noc, gdy poszliśmy wieczorem na starówkę. Mieliśmy ze sobą wino, z winiarni obok hotelu. Byłeś ty, ja i dwie pary z wycieczki. Nie pamiętam już nawet ich imion, twarzy. Wszystko mija, zmienia się, znika, twarze ludzi też.

- Wspomnienia znikają najbardziej. Nawet bardziej niż twarze, bardziej niż ludzie.

- Te mury, uliczki, zapomniane zakręty, schody pośród murowanych uliczek. I noc, głęboka, ciemna noc. I te latarnie na tych uliczkach, światło z tych latarni przenikało te mury niczym jakiś rentgen. Szliśmy razem, śmialiśmy się, piliśmy wino. Czuliśmy, że to miejsce wydobywa z nas coś pięknego, coś dobrego. Czuliśmy, że życie może mieć jakiś sens, gdy uwierzymy w ten sens we właściwym czasie, we właściwej chwili. Jeden zakręt, zapomniana uliczka, drugi zakręt, kamienne ławki przy murach kamienic, trzeci zakręt, piękne rośliny pośród przeszłości. Aż w końcu się pogubiliśmy. Pamiętasz, zostałeś ty i ja.

- I to było piękne. Byliśmy razem w pięknym miejscu. Tylko my. Przeszłość i my. Zapomniane miasto i my. Nasza miłość i my.

- Siedzieliśmy razem na ławce pośród tych starych murów – Weronika zamyka oczy, jest daleko, bardzo daleko, jest tam gdzie jej dusza, gdzie jej zapomnienie. – I parzyliśmy się na niebo, na gwiazdy. Zerkaliśmy na zapalone okna w kamienicach. Tam było życie, prawdziwe życie pośród przeszłości. Zanurzone w przeszłości tak jak człowiek zanurzony jest w sobie gdy kocha, prawdziwie kocha. I nagle ty wstałeś, podszedłeś do okna. Patrzyłeś się przez otwarte okno na mecz w telewizorze. I wtedy ta starsza kobieta w czerwonej sukience zaprosiła nas do środka. W mieszkaniu miała tyle obrazów, starych wazonów, mebli ocierających się o dziesiątki lat wstecz. Poczęstowała nas winem, dobrym winem.

- Było słodkie, takie delikatne, dobre – mówię to z jakąś nostalgią w oczach.

- A potem pokazała nam piwnicę, a tam były jakieś stare malowidła na ścianach. Bardzo stare.

- Polubiła nas. Żyła samotnie od dziesięciu lat. Nie czuła się z tym dobrze.

- Kto czuje się dobrze z samotnością – mówi Weronika. – Nikt. Ci, którzy mówią, że samotność ich nie dotyczy to kłamcy. Samotność dotyczy każdego, w mniejszym lub większym stopniu. Można znaleźć sobie tysiące zajęć żeby zabić samotność w sobie, ale to są tylko zajęcia. Osłabiają znaczenie samotności, ale jej tak naprawdę nie zabijają. Samotność może zniszczyć tylko inna samotność. Gdy dwie samotności się nagle połączą to wtedy, właśnie wtedy, w sprzyjających okolicznościach może pojawić się coś pomiędzy nimi, coś co zabije tę samotność w nich. Zabije na jakiś czas.

- Może na wieczność.

- Tak, może na wieczność.

Weronika całuje mnie w usta. Czuję zapach jej włosów, zapach jej całego ciała. To dobry zapach. Zapach ocierający się o nieskończoność. Gdy ją obejmuję mocniej, czuję, że jej ciało drży. Jej oczy błyszczą mocno, zbyt mocno. Jej oddech jest niespokojny, niepewny, nierówny.

- Dobrze, że mamy siebie – mówi Weronika, a gdy to mówi to kładzie mocny nacisk na słowo siebie. – Mamy szczęście, że się

spotkaliśmy w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili. Tyle ludzi się mija, szuka, nie znajduje. Nie ma szczęścia. Chcą, bardzo chcą. Próbują, i te próby czasami są udane, udane na jakiś czas. A potem znów szukanie, dążenie do miłości za wszelką cenę. To trudne, bardzo trudne.

- Trudno komuś zaufać. Komuś kto daje nam szansę na inne życie. Lepsze życie.

- My mamy tę szansę – mówi Weronika. – I tylko od nas zależy czy ją wykorzystamy.

Wstajemy, idziemy wśród zniczy do wyjścia, do domu. Do siebie.

Wchodzę na Kazimierz, zbliża się noc, zbliża się czas, dobry czas, czas inny niż wszystko dookoła. Kocham momenty gdy wiem, że czas może mnie zaskoczyć, zniszczyć. Gdy czas może sprawić, że dzień dzisiejszy będzie inny niż dzień wczorajszy. O wiele inny.

Wchodzę na Plac Nowy, a tam okrągłak, w nim zapiekanki, obok ludzie stojący jak pszczoły przy ulu. Ludzie głodni, pijani, zmęczeni. Ludzie pełni życia w sobie, poza sobą.

Singer, na zewnątrz przy małych stolikach siedzą ludzie. Coś mówią, coś krzyczą, czegoś chcą, czegoś pragną. Ich oczy błyszczą, czasami jaśniej niż zazwyczaj.

Wchodzę do środka, drewniany bar, zniszczone stoliki, idę do drugiej sali, już ich widzę, koledzy z pracy. Siedzą, piją, brak umiaru jest widoczny w ich oczach, w gestach, w całości ich poszarpanych ciał. Poszarpanych od dążeń niemożliwych, od dążeń nieprawdziwych.

Witam się z nimi, spotykamy się co jakiś czas poza firmą żeby lepiej się rozumieć, żeby lepiej ze sobą rozmawiać, żeby potem nie zniszczyć się w pracy przez zbyt duży ciężar życia wokół nas.

Muzyka nas otacza coraz szczelniej i po kolejnym piwie jest już w nas, jest poza nami. Ludzie zaczynają tańczyć, na początku nieśmiało, niewinnie, po chwili tłum wyzwala w ludziach wolność, szaleństwo, jakieś opętanie. Kobiety zaczynają tańczyć na stołach, patrzę się na zegarek, druga rano. Dobry czas żeby o czymś zapomnieć, żeby od czegoś uciec, myślę, i czuję że moje myśli są już

niepoukładane, rozchwiane, prawie nieobecne. Uciekają ode mnie powoli ale skutecznie. Sennie.

I wtedy go zauważam w kącie sali, siedzi sam, jest taki nieobecny, zamyślony. Choć wiem, że kogo, jak kogo, ale jego nieobecność nigdy nie będzie dotyczyć. Nigdy za dnia, nigdy w nocy. Może w nocy jego nieobecność jest mniej zauważalna, ale to tylko pozory, złudzenia.

Podchodzę do niego, mam ze sobą piwo, które podczas drogi uciekło mi na podłogę, uciekło niezauważalnie.

- Rysewicz? – pytam, a mój głos zaczyna mieć w sobie pierwsze pęknięcia, jest jak szyba na mrozie, gdy szron zaczyna na niej tworzyć pierwsze obrazy, obrazy nie z tej ziemi.

- Tak – jego zmęczony wzrok wiele mi mówi o świecie, o innych.

- Mogę usiąść, porozmawiać, choć trochę uczestniczyć w twoim życiu?

- Jeśli musisz – mówi Rysewicz, gitarzysta znanego zespołu rockowego, zespołu który wiele przeżył ale przetrwał, pomimo upadków, skandali, pomimo zbyt dużych ilości alkoholu w trasie, poza trasą.

- Jakub – mówię cicho, zbyt cicho jak na zgiełk koło nas.

- Witaj, Jakubie – mówi Rysewicz i wtedy po raz pierwszy stukamy się szklankami z piwem. Po raz pierwszy, nie ostatni.

- W trasie?

- Jestem poza trasą. Poza trasą od pewnego czasu.

- Zmęczenie?

- Tak, zmęczenie. I chęć ucieczki od tego wszystkiego co mnie otacza. Co mnie niszczy.

- Jesteś znów na szczycie. Twoja piosenka, w sumie cała płyta sprawiła, że ludzie znów o tobie sobie przypomnieli.

- To dziwne, bardzo dziwne. Najpierw mnie niszczą, piszą nekrologi za życia, a potem mnie kochają. Za co? Za to, że się nie poddaję, pomimo tego, że wciąż upadam. Chociaż, tak naprawdę, dziennikarze chcą pisać o moich upadkach. To ich jakoś nakręca pozytywnie do życia. Ludzie którzy nie mają nic do powiedzenia w swoim życiu, chcą niszczyć życie innych ludzi. Ludzi, którzy starają się upadać mniej niż oni.

Muzyka staje się coraz głośniejsza. Kobiety tańczą na stolikach. Dźwięki muzyki bałkańskiej roznoszą kamienicę od środka. Potem z niej uciekają i unoszą się wysoko na Placem Nowym, nad dachami kamienic na Kazimierzu.

- Przez chwilę była cisza o tobie, o zespole, ale znów o tobie mówią, dużo mówią – to jakiś bełkot, myślę, mówię wciąż to samo, myślę wciąż to samo.

- Zawsze mówili, od początku powstania zespołu. I zawsze będą mówić, nawet wtedy gdy zgasnę, gdy zniknę z ich oczu na zawsze. Ludzie muszą o czymś mówić, najlepiej o innych. Sława sprawia, że wszystkie proste rzeczy nagle stają się trudne, nagle stają się przeszkodami nie do pokonania. Wszystkie kobiety, które spotykasz na swojej drodze stają się trudniejsze do pokochania.

- Twoja piosenka jest mocna, bardzo mocna – mój głos jest jak spłoszone stado gołębi, przestraszone stado, które rozpaczliwie unosi się do góry w kierunku chmur, w kierunku nieba. – To piosenka o wojnie, o człowieku który musi sobie radzić ze skutkami tej wojny w domu, gdy już w końcu wrócił do tego domu, którego tak naprawdę już nie ma. A może go po prostu nigdy nie było.

- To osobista piosenka człowieka, którego kiedyś spotkałem na swojej drodze. Prosił mnie, żebym ją napisał dla niego, dla innych. I wtedy zrozumiałem, że muszę ją napisać. Czasami człowiek czuje, że musi coś zrobić, bo wszystko w środku mu mówi, że teraz, w tym momencie to jest najważniejsze i nie można przejść obojętnie wobec tego uczucia, bo potem, po czasie będzie nam się coraz gorzej żyło, gdy tego nie zrobimy.

- I tak było z tą piosenką?

- Tak. Siła tego człowieka, siła walki ze sobą tutaj, nie na wojnie, sprawiła, że ją napisałem. I poczułem się wtedy lepiej, o wiele lepiej ze sobą. Z tym, co wciąż noszę w sobie, co wciąż będę nosił w sobie, pragnienie uczynienia swojego życia bardziej szczęśliwym.

- To trudna piosenka, ale mocna.

- Mam szczęście w tym swoim nieszczęśliwym życiu. Gdy jestem na dnie, gdy ludzie myślą że się skończyłem, gdy sam zaczynam tak myśleć, a to jest najgorsze, gdy sami zaczynamy wierzyć, że jesteśmy już martwi dla siebie, dla innych, to wtedy, właśnie wtedy tworzę coś co jest prawdziwe, uczciwe i to coś nagle staje się przebo-

jem, bo ludzie zaczynają w tym czymś zauważać siebie, swoje lęki, swoje słabości, swoją samotność. Ludziom łatwiej się żyje, gdy wiedzą, że inni też czują to co oni, że inni też próbują walczyć ze swoimi lękami, słabościami.

- Dlatego wciąż grasz, tworzysz.

- W życiu ważne jest wycucie chwili. Dotyczy to bólu, radości, cierpienia, dotyczy to też samego życia. Jednak najbardziej to wycucie chwili dotyczy bólu. Gdy ten ból jest nie do zniesienia zaczynam tworzyć. I wtedy wychodzą mi najlepsze rzeczy. Najlepsze, bo prawdziwe. Bo prawda często ociera się o ból, o cierpienie, o zatrącenie.

- Ta piosenka jest o wojnie. O wojnie, która wciąż jest w człowieku, aż do końca.

- Ta piosenka jest też o powrocie do domu, o wspomnieniach, złych wspomnieniach. O tym, że można iść do przodu pomimo wspomnień, złych wspomnień, jeśli znajdziemy sposób na siebie, na naszą rozchwianą już teraz przyszłość, jeśli znajdziemy sposób na to zło, które wciąż jest w nas i sami wiemy, że to zło tak szybko nie zniknie, jeśli temu złu nie pomożemy, pomożemy na tyle mocno, że to zło z nas wyfrunie jak ptak z klatki, wyfrunie na długi, bardzo długi czas. Może na wieczność.

- Napisałeś ją dla tego żołnierza, a ludzie uwierzyli, że tak naprawdę napisałeś ją dla nich. Bo każdy cierpi, walczy, bo każdy chce coś zmienić w swoim życiu. Zmienić bez pomocy innych.

- Napisałem ją dla tych którzy muszą walczyć o siebie, nawet wtedy gdy nic nie pomaga im w tej walce. I ta walka staje się odkupieniem. Jasnym światłem w ciemności. W mroku. I ta walka staje się jakimś sensem, nadzieją.

Ryśewicz się nagle zamyśla. W jego oczach widzę strach, może znów zobaczył to, co widział gdy pisał tę piosenkę, może znów zobaczył to, co widział w oczach tego żołnierza gdy z nim rozmawiał, a może zobaczył swoją przyszłość. Przyszłość dalszą, nieokreśloną. Przyszłość bez grania, bez muzyki. Przyszłość zmarnowaną.

- Co zobaczył żołnierz na wojnie, co sprawiło, że do tej pory nie może zasnąć w nocy, nie może zapomnieć o obrazach z przeszłości?

- Widział jak zabili jego przyjaciół, na jego oczach. Nie mógł im pomóc. Mógł tylko patrzeć. A oni do niego krzyczeli, tak bardzo

krzyczeli. I te krzyki wciąż są w nim, w nocy, w ciągu dnia. Nie mogą zniknąć. I nie znikają.

- Na wojnie szybko zdobywamy przyjaciół. Szybciej niż w normalnym życiu. Tam nie ma czasu na zbędne i niepotrzebne emocje. Wojna szybko uczy nas pozbywania się zbędnych i niepotrzebnych emocji – mówię to z jakąś zadumą w oczach. – Wiem to, bo oglądałem kiedyś film dokumentalny o wojnie. Dobry film, mocny film. Prawdziwy.

- Na wojnie człowiek nie ma czasu na rzeczy ważne, bo wciąż ociera się o rzeczy zbędne. I to go spala, niszczy bardziej niż sama wojna. Bo człowiek wie, że czas na wojnie to czas zmarnowany, bo człowiek mógłby ten czas poświęcić na miłość, wolność, dzieci. I ten czas wciąż ucieka. Dla niektórych nieodwracalnie.

Rysewicz znów się zamyśla, lecz teraz jego oczy zaczynają jaśnieć, najpierw powoli, sennie, a potem mocniej, o wiele mocniej, a na końcu w jego oczach pojawia się jakiś płomień, jakaś nadzieja.

- A miłość, wolność, dzieci nie zdarzają się człowiekowi często, zbyt często – dodaje Rysewicz, gdy w jego oczach płomień zadowmawia się na dłużej niż kilka sekund.

- Prawdziwa miłość często podąża innymi drogami, niż ci którzy jej naprawdę szukają – mówię to z jakimś bólem w oczach.

Muzyka wciąż iskrzy nad ciałami kobiet tańczących na stołach. Iskrzy, ale nie wybucha. Iskrzy, ale nie rozsadza ścian na miliony kawałków.

- Kiedyś spotkałem tego żołnierza w Warszawie, był na moim koncercie.

- Rozmawiałeś z nim?

- Czekał na mnie, długo czekał, bo piliśmy jeszcze jakiś czas w garderobie. I gdy szliśmy do autobusu podszedł do mnie. Miał łzy w oczach.

- Łzy? – spytałem, lecz było to bardziej zdziwienie niż pytanie.

- Tak, łzy. Na koncercie graliśmy ten numer o żołnierzu, o powrocie żołnierza do domu. I on wtedy zrozumiał, że nasza rozmowa miała sens, jakieś znaczenie. Że jego historia będzie długo żyć, będzie trwać w innych ludziach poprzez naszą muzykę.

- To mu dało jakąś nadzieję. Nadzieję na przyszłość.

- Tak. Było widać tę nadzieję w jego oczach. Zaprosiłem go do hotelu. Pojechał z nami. Piliśmy do rana. Był jakiś spokojny, spokojniejszy niż przy pierwszym spotkaniu. Mówił, że znalazł spokój w sobie. Zaczął łowić ryby w górskich rzekach. Mówił, że ryby w górskich rzekach są takie jak on, walczą z przeciwnościami płynąc pod prąd. Łowi te ryby, całuje i wypuszcza na wolność. To daje mu spokój, jakąś ciszę w środku.

- Rzeczy, które kochamy dają ciszę, gdy mamy szczęście odnaleźć te rzeczy w chwili zagrożenia.

- I on tę ciszę znalazł w sobie – Rysewicz podniósł piwo do góry, spojrzał na szkło odbijające światło w mroku i rzekł. – Cisza dotyczy tylko ludzi odważnych, cisza dotyczy tylko ludzi mądrych.

- Jak znosisz popularność?

- Na początku, po wydaniu pierwszej płyty wszystko nas zaskoczyło. Tłumy ludzi na koncertach, po koncertach, pod hotelami. Nie mogliśmy nigdzie wyjść. Ucieczką był alkohol. Piliśmy na okrągło. Przed koncertem, w czasie koncertu, po koncercie. Byliśmy młodzi, byliśmy zdrowi, był czas, było fajne, ciekawe życie. W nocy jeździliśmy z hotelu do parku. Żeby pooddychać normalnym życiem, normalnym powietrzem. Graliśmy wtedy dużo koncertów, zbyt dużo. To było szaleństwo, byliśmy szaleńcami własnego snu. Teraz jest inaczej, zdrowie nie to, czas nie ten. Teraz próbuję żyć inaczej, ale nie zawsze mi to wychodzi – Rysewicz się zamyśla, jego oczy są jak popiół, szary popiół rozsypany w brudnej kałuży na ulicy. – Popularność mija, nie jest taka jak kiedyś. Myślę powoli o tym, że alkohol mi szkodzi. Niszczy we mnie rzeczy najlepsze, wartościowe. Niszczy mój talent bezpowrotnie.

- Jesteś legendą.

- Legendy czasami też zmieniają swoje życie.

- Cokolwiek byś nie robił, to i tak to, co już zrobiłeś jest jakąś nadzieją dla innych.

- Jeden z moich przyjaciół, znanych muzyków, świadomie uciekł w narkotyki, żeby zapomnieć o swoim życiu. Żeby zapomnieć o koncertach, sławie, pieniądzach, bankietach. Chciał po prostu o tym nie myśleć. I nie myśli. Ale jak długo to będzie trwało. Boję się, że do końca. Jego, jego muzyki, jego ciężaru, który wciąż nosi w sobie.

Patrzę się na grupę kobiet, która weszła do Singera. Zauważam jedną z nich, ona też mnie zauważa. Przez jej pijane oczy zauważam siebie. Zauważam swoją, jej przyszłość.

Żegniam się z Rysewiczem i podchodzę do nieznajomej. Ona stoi, czeka na coś, co czuje, że musi się wydarzyć we mnie, w niej.

Dotykam jej ręki, czuję dreszcz w sobie, nigdy czegoś takiego nie czułem przy innej kobiecie. Dotykam drugiej ręki, znów czuję dreszcz w sobie, ale dreszcz mocniejszy, bardziej intensywny i wyrazisty.

- Zatańczymy? – pytam, a ona nic nie mówi, tylko się do mnie uśmiecha.

Idziemy na środek sali. Zaczynamy tańczyć. Ona mruży oczy, jest w innym świecie, lepszym świecie.

Jej głowa lekko zasypia na moim ramieniu. Gdy ją czasami podnosi widzę jej czerwone oczy, czerwone jak ogień, taki ogień, który nigdy nie gaśnie, nawet w nocy. Jej czarne włosy lekko kręcone na końcu przenikają moją twarz, przenikają swoim zapachem i miękkością.

W końcu ona, gdy muzyka na moment cichnie, zasypia mówi:

- Iwona.

- Jakub – odpowiadam i na razie to są jedyna słowa, które z nas wypływają.

W sumie ani ona, ani ja nie potrzebujemy żadnych słów, żadnych dźwięków pomiędzy nami. Jest ona, jestem ja, jest muzyka, jest ciemność, jest jej zapach, ciepły, dobry, mający w sobie jakiś spokój, zapach, jest to coś, co zdarza się między ludźmi czasami, bliskość, jest to coś co zdarza się między ludźmi czasami, pożądanie.

Idziemy do baru. Przedzieramy się przez tłum ludzi zmęczonych czasem, zbyt trudnym czasem nad ranem i zamawiamy drinki. Siadamy przy oknie w kącie sali.

- Zauważyłaś mnie – mówię to z jakąś nadzieją.

- Ty też mnie zauważyłeś.

- To dobrze?

- Dla ciebie tak, dla mnie jeszcze nie wiem. Ostatnio tak dużo rzeczy nie wiem o sobie, tak dużo rzeczy nie wiem o innych.

- Gdy ciebie dotknąłem poczułem coś w środku, coś dobrego. Nigdy tak się nie czułem przy innej kobiecie.

- Nie jestem inną kobietą. Nigdy nie byłam. Jestem sobą. Zawsze sobą, z wadami, z zaletami, z pragnieniami, z myślami. Z myślami nawet jestem bardziej sobą niż z innymi. Ale to prawda – Iwona zbliża swoją twarz do mojej, znów czuję jak dreszcz, dobry dreszcz zbliża się do mnie niebezpiecznie, zbliża na zbyt bliską odległość – ja też to poczułam. To jest niezwykle między nami. A przecież o to chodzi żeby w naszym życiu było jak najwięcej niezwyklej rzeczy, dobrych rzeczy.

- Niezwykłość – mówię i oddalam swoją twarz od jej twarzy, czuję wtedy, gdy się od niej oddalam jakiś ból, jakąś tęsknotę, złą tęsknotę. – Tak, między nami pojawiła się niezwykłość.

- Mam pomysł. Wyjedź ze mną do Paryża. Za tydzień. W piątek polecimy samolotem, wrócimy w niedzielę wieczorem. Mam znajomą, pracuje na lotnisku, załatwi nam bilety. To dobra znajoma, bardzo dobra.

- Mam kogoś – mówię to głosem pewnym, stanowczym i wiem, że słowo mam jest dla mnie ważne, może najważniejsze w życiu.

- Zaprzyjaźnij się ze mną. Potem zobaczymy – mówi Iwona.

- To co czuję, gdy ciebie dotykam jest mocne, intensywne. Nigdy tego nie czułem wcześniej. Boję się tej intensywności w sobie. Nie wiem, gdzie mnie ta intensywność zaprowadzi.

- Czasami rzeczy intensywne prowadzą nas donikąd – mówi Iwona. – I to donikąd jest najpiękniejsze w życiu.

- Przyjaźń? – pytam i wiem, że to pytanie może zaprowadzić mnie w niebezpieczne zaułki mojej duszy. Zbyt niebezpieczne.

- Wyjedź ze mną – znów mówi Iwona. – Będziemy spać na statku, który jest zakotwiczony na Sekwanie. Moja przyjaciółka jest jego właścicielką. Pływa z turystami po rzece. Nawet w nocy. Nawet nie wiesz jak piękny jest Paryż w nocy. Jak piękna jest podróż statkiem po Sekwanie w nocy. Nie widziałeś Paryża w nocy, nic nie widziałeś.

- Pojadę z tobą – mówię nagle, ale mówię to tak, jakby to ktoś inny powiedział, jakby to powiedział ktoś kto we mnie mieszka od dłuższego czasu, mieszka bez mojego pozwolenia i dopiero teraz dał znać o sobie, wysłał mi wiadomość, że mogę być jeszcze kimś innym, że mam szansę stać się kimś innym.

Iwona daje mi swój numer telefonu i wychodząc mówi:

- Zadzwoń do mnie jutro. Omówimy szczegóły wyjazdu.

Gdy wychodzi z Singera czuję niepokój, gdy wychodzi z Singera czuję samotność. Taką samotność, która zniknie dopiero nad ranem, zniknie gdy zmęczony alkoholem ucieknę w niepamięć.

Gdy wracam do domu taksówką, gdy patrzę się na miasto uśpio-
ne ciszą, myślę o Iwonie, myślę o niej intensywnie, zbyt intensywnie.

Weronika wyjechała na miesiąc za Kraków. Odnawiają stary kościół, gdzieś daleko. Za daleko, żebym do niej jeździł. Zostają mi tylko telefony i tęsknota, zła tęsknota.

Iwona jest dla mnie jakimś niebezpieczeństwem. Zagrożeniem. Ale możliwa jest przecież przyjaźń między kobietą a mężczyzną. Przyjaźń ocierająca się o jakieś zrozumienie.

Spędzę z nią trochę czasu, myślę, tyle czasu żeby zrozumieć, że tak naprawdę kocham tylko Weronikę.

Weronika jest mądra, piękna, spokojna. I to nas łączy. I oczywiście miłość.

Iwona wydaje się szalona, niepoukładana, wydaje się kobietą, która ciągle gdzieś ucieka, ciągle musi gdzieś uciekać. I tego może mi brakuje. Czasami brakuje. Ucieczek z kobietą w nieznane, ucieczek w odległe zaułki życia, w odległe zaułki czasu. Czasami du-
szy.

Wysiadam na ulicy Pachońskiego. Wchodzę do klatki. Winda ci-
cho unosi mnie do góry, w kierunku snu.

I w końcu zasypiam. Cicho, bezszelestnie uciekam w rozmażane sny. Pijane sny.

Paryż przywitał nas deszczem, mokrym, ciepłym deszczem. Jesz-
cze na lotnisku miałem jakieś wątpliwości, rozterki, coś w środku mi mówiło, że czasami niedobrze jest pędzić przed siebie bez opamię-
tania, bez zastanowienia, lecz gdy rozpakowywałem bagaż na statku zakotwiczonym na Sekwanie, gdy wyrzałem przez okno i zobaczy-
łem Luwr, Muzeum Orsaya, zobaczyłem ludzi spacerujących bulwa-
rami tuż koło Sekwany, to wszystkie moje wątpliwości znikły, tak jak znika śnieg na wiosnę, znika po zbyt długiej zimie, znika po pierwszych mocnych promieniach słońca.

- Jak ci się to wszystko podoba? – spytała mnie Iwona, gdy stałem w oknie na statku.

- Znów czuję, że żyję. A to ważne, czuć życie wtedy, gdy od dłuższego czasu człowiek tak naprawdę nic nie czuje. Nic wartościowego.

- A Weronika? Kochasz ją, tak mówiłeś mi w samolocie.

- Kocham. Jednak pomimo miłości do niej, do świata który nas jakoś wygodnie łączy, pomimo wszystkich dobrych rzeczy z nią, poza nią, wciąż czuję się samotny, zagubiony. Wciąż czegoś mi brakuje. Myślałem, że jak spotkałem Weronikę, to te złe rzeczy znikną, oddalą się ode mnie na zbyt dużą odległość. Ale tak się nie stało. Pomimo miłości do niej, wciąż czuję pustkę w sobie. I nic tego nie jest w stanie zapełnić. Może – zastanawiam się chwilę, gdy widzę statek pełen krzyczących ludzi płynących Sekwaną – niektórzy ludzie nigdy nie będą szczęśliwi, pomimo dobrych rzeczy, które czasami do nich przychodzą, pomimo miłości, która próbuje coś w nich zmienić, a mimo to nic się nie zmienia koło nich, bo tak naprawdę zmiany tylko coś niszczą w ich życiu, nic nie naprawiają.

- Idziemy pospacerować – Iwona bierze mnie za rękę i znów dreszcz, dobry dreszcz tym razem, dreszcz który dociska coś w mej duszy, dociska w całym moim ciele.

Spacerujemy wzdłuż Sekwany, Wieża Eiffla, metalowa, ogromna, pełna jakiejś potęgi, Muzeum Orsaya gdzie teraz jest Van Gogh, Monet, Pissarro, Gauguin, gdzie dawniej był dworzec kolejowy obok Luwru i te kamienice, te małe sklepiki, przytulne kawiarnie i Katedra Notre Dame, za nią stary most z kłódkami i ludzie sprzedający książki przy tym moście, sprzedający plakaty starych zespołów gdy grały w Paryżu, plakaty z datą i godziną ich występów, to wszystko, to nic zaczynało przenikać moje ciało, najpierw powoli, sennie, bezboleśnie, potem wdzierało się mocniej, intensywniej, bardziej drapieżnie a na końcu to coś już było we mnie i wtedy pierwszy raz poczułem, że jestem już zakochany w Paryżu, że jest to miłość od pierwszego wejrzenia. Miłość aż do końca.

Wieczorem pływaliśmy statkiem po Sekwanie. Wino, świece, mały metalowy stolik na statku, muzyka francuska, stara, jakieś harmonie w tej muzyce, trąbki, czasami fortepian i skrzypce, niekiedy saksofon i światła w kamienicach, światła jak małe ognie zapalo-

ne na pustyni w nocy, światła dające nadzieję, niosące w sobie jakieś dobro, obce, nieznane dobro i gwiazdy odbijające się w rzece. Czułem to ja, czuła to ona, bo widziałem to w jej oczach. Czułem, że coś w nas rośnie, coś pięknego – miłość do tego miasta. Miłość bezgraniczna.

- Jak wycieczka? – Sophie usiadła koło nas, nalała sobie wina.

- Zazdroszczę ci tego, że możesz w tym wszystkim uczestniczyć każdego dnia. Że możesz tym wszystkim oddychać, że możesz się w tym wszystkim zatracić w nocy, w ciągu dnia – mówię to cicho, tak cicho jak małe dziecko, które prawie szeptem oddycha podczas snu.

- Paryż to moje życie, moja miłość. A Iwona, która często do mnie przyjeżdża to też moje życie, moja miłość – śmieje się poprzez szum rzeki Sophie.

- Kiedyś myślałam, że znam dobrze Paryż, kiedyś myślałam, że znam dobrze Sophie, ale teraz wiem, że Paryż i Sophie wciąż mnie zaskakują, wciąż mnie zadziwiają na nowo – mówi Iwona. – Kocham marzenia, wyzwania. Kocham ludzi, którzy wciąż potrafią mnie zaskakiwać, zadziwiać.

Wciąż pijemy wino, wciąż gra muzyka na statku, który zaczyna zawracać za niedużą wyspą na rzece, wciąż noc jest ciepła, przyjemna, jakaś niezgłębiona i wciąż czujemy się ze sobą dobrze, zbyt dobrze.

- Jutro was z kimś poznam, z kimś kto znał stary Paryż, przez swojego ojca, z kimś, kto dzięki swojemu ojcu poznał jednego z największych pisarzy na świecie.

- Kogo? – pytam.

- Hemingwaya. Ten ktoś był przyjacielem pisarza, gdy ten mieszkał w Paryżu w latach dwudziestych. Ojciec niestety już nie żyje, ale syn, który jest już bardzo stary, umysł ma wciąż młody, pamięć ma wciąż młodą. Dobrze pamięta tamten Paryż przez swojego ojca, przez jego wspomnienia, przez kilka krótkich spotkań z przyjacielem ojca, w których on, jako mały chłopiec uczestniczył. Mówił, że rozmowy ojca i Hemingwaya w kawiarniach wieczorami to było dla niego jakieś święto. Jak napisał kiedyś Hemingway, ruchome święto, bo Paryż to ruchome święto, w którym każdy tak naprawdę uczestniczy. Świadomie, lub nieświadomie.

Statek dopłynął do brzegu. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła północ. Zeszliśmy na dół do naszych pokoi. Ludzie schodzili ze statku. Jeszcze przez chwilę słyszałem stukot butów, obcasów, gdy ludzie schodzili na ląd, a potem na statku załęgła się cisza, ciemność. Sekwana zaczęła cicho kołysać nas do snu.

Na drugim łóżku spała Iwona. Przez chwilę patrzyłem w jej oczy, lekko uśpione alkoholem oczy, przez chwilę patrzyłem w jej włosy, lekko uśpione alkoholem włosy, przez chwilę patrzyłem w jej oddech, lekko uśpiony alkoholem oddech, a potem sam zanurzyłem się w sny. Sny przepełnione Paryżem, nocą, muzyką, przepełnione światłem gwiazd odbijających się w rzece.

Siedzieliśmy w małej kawiarni na lewym brzegu Sekwany. Siedziałem ja, Iwona, Sophie i Gerald, syn przyjaciela Hemingwaya.

Gerald miał osiemdziesiąt pięć lat, jego oczy wciąż miały w sobie chęć życia, chęć robienia rzeczy które ocierają się choćby tylko chwilami o jakąś przyjemność. Białe włosy, takie białe jak śnieg nad ranem były krótkie, nierówno przystrzyżone z przodu, lekko odstające uszy wciąż czegoś szukały w powietrzu, jakiś dźwięków, sygnałów, może dźwięków i sygnałów dawnego Paryża, zapomnianego Paryża. Jego dłonie drżały, wyglądały jakby wciąż grały na niewidzialnej harfie i nie mogły przestać, bo melodia była piękna, z dawnych czasów, dobrych czasów, z czasów jego młodości, szalonej młodości.

- Opowiedz im coś o twoim ojcu, o przyjaźni ojca z Hemingwayem – mówi z jakąś dobrocią w głosie Sophie, gdy to mówi kładzie swoją rękę na lekko roztrzęsioną dłoń Geralda.

- Naprawdę was to ciekawi?

- Tak, bardzo – mówi Iwona.

- Przeszłość – uśmiecha się Gerald, uśmiecha się tak, jakby wciąż był w tej przeszłości, mieszkał w niej cały czas, a tutaj, w teraźniejszości był tylko przez przypadek, przez jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

- Tak, przeszłość interesuje nas najbardziej – mówię to z naciskiem na słowo przeszłość, naciskiem delikatnym, ale stanowczym.

- Mój ojciec poznał Hemingwaya na początku lat dwudziestych. Hemingway szlifował wtedy w Paryżu swój warsztat pisarski pod

okiem Gertrude Stein. Wszystko jej zanosił, ona to oceniała, wytykała mu błędy, radziła co zrobić by był lepszy, o wiele lepszy niż inni. Mówiła mu, liczy się dobre oko, umiejętność przeniesienia swoich spostrzeżeń w prozę, liczy się znaczenie rytmu i powtórzeń w prozie. Mówiła mu, choć on sam o tym dobrze wiedział, że Paryż jest dla niego najlepszym miejscem na świecie do pracy, właśnie w tym okresie gdy on tam przebywał. I wtedy, podczas tych prób pisarskich, Hemingway zakochał się w Paryżu i właśnie Paryż stał się później jego ulubionym miastem.

- Pana ojciec dobrze znał Hemingwaya?

- Tak, był jego przyjacielem, znali się z lat gdy Hemingway nie miał za dużo pieniędzy i mój ojciec nie miał za dużo pieniędzy. Może ten natarczywy brak pieniędzy ich zbliżył do siebie, a może po prostu się lubili. Hemingway często pisał w kawiarniach, a ojciec czasami w tym uczestniczył. Siedział obok, pił herbatę i milczał. Obserwował jego twarz, to napięcie które w nim było gdy pisał. Napięcie ocierające się o ucieczkę we wspomnienia. Bo tak naprawdę wspomnienia uczyniły Hemingwaya wielkim pisarzem.

- Podobno Paryż był wtedy miejscem ekscesów, niekończących się przyjęć i szokującej dekadencji.

- Tak – Gerald się zamyśla. – Paryż w tamtych czasach to było szalone miejsce. Wszyscy chcieli się bawić, a artyści najbardziej. Hemingway hartował się tam jako pisarz, szlifował swój warsztat pisarski, a mimo tego, mimo prób pisarskich też wciąż ocierał się o szaleństwo Paryża, wciąż ocierał się o alkohol, który towarzyszył temu szaleństwu.

- Podobno przyjaźnił się z Fitzgeraldem.

- Tak, dobrze się znali. Hemingway spotkał Fitzgeralda w dobrym okresie pisania, ale w złym okresie życia. Fitzgerald miał poważne problemy z alkoholem, jego żona wciąż chciała się bawić, a on, zazdrosny o nią, wciąż z nią gdzieś chodził. Nieustające przyjęcia niszczyły jego talent pisarski. A do tego, jego żona Zelda była zazdrosna o jego talent pisarski. Sama też chciała pisać, ale chcieć, nie zawsze oznacza móc.

- Hemingway znał dużo artystów, wielu artystów też chciało go znać – mówi Sophie.

- Był taki malarz, Messon, Hemingway bywał w jego pracowni, mój ojciec też tam bywał. Ten malarz był ranny na pierwszej wojnie światowej, potem zmagał się z depresją, ale zaczął malować i to mu później pomogło. Malował pejzaże leśne, Hemingway kupił od niego trzy obrazy. Ojciec pomagał mu je nieść do jego mieszkania.

- Gdzie najczęściej się bawili? – pytam z zaciekawieniem.

- Lewy brzeg Sekwany, tam było jego życie i życie innych artystów. Chodził też do baru w Hotelu Ritz, bywał też w Ogrodzie Luksemburskim. Pamiętam, jak ojciec mówił, że była taka restauracja z dansingiem w szemranej dzielnicy Paryża, gdzie rozrywką w czasie posiłków były walki bokserskie, a zawodnicy pełnili tam funkcję kelnerów.

- Hemingway też lubił boksować – nagle mówi Sophie.

- Tak, lubił ten sport, jako dziennikarz relacjonował walki bokserskie. Lubiał też życie kawiarniane i wyścigi konne. Kochał życie, życie go kochało. Kochał kobiety, w końcu miał aż cztery żony.

- Jak się czułeś, gdy jako dziecko go widziałeś? – pytam.

- Czułem, że uczestniczę w czymś ważnym, w czymś co zostanie ze mną aż do końca. Słuchałem jak mówił mojemu ojcu, że o jakości książki w oczach autora decyduje jakość fragmentów, które autor musiał odrzucić i wykreślić. Wiem, że wiele tematów, dobrych tematów zostawiał sobie na później, by pisać o nich wtedy, gdy będzie już pisał naprawdę dobrze. Choć dobrze wiedział, że jak nie zdąży ich napisać, to przynajmniej ich nie zepsuje, nie sprawi, że będą w jakiś sposób pokaleczone, pokiereszowane przez jego niemoc pisarką. Czasami się cieszył, że odwlekanie tych tematów na później daje mu czas, żeby robić rzeczy, które naprawdę sprawiają mu przyjemność.

- Polowanie, łowienie ryb – dodaje ciepłym głosem Sophie, tak ciepłym, jakby to ona z Hemingwayem była na tych polowaniach, na łowieniu ryb na morzu.

- Ojciec, jeden raz, był z Hemingwayem na polowaniu w Afryce. Mówił, że było to coś nowego dla niego. Tropienie zwierzyny, czekanie na właściwy moment. Walka ze swoim strachem, napięcie pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem i zapach niebezpieczeństwa, taki zapach który sprawia, że za chwilę coś się może zmienić w człowieku, coś nieodwracalnie. A wieczorem pili whisky i rozma-

wiali. Czasami o pisarzach, znanych pisarzach. Hemingway powiedział, że pisarze, znani pisarze to ludzie pełni uwielbienia, ale uwielbienia dla samego siebie. Liczą się oni, tylko oni. Pisarze żyją w swoim świecie i tylko w swoim świecie. A ludzie, inni ludzie są tylko dodatkiem do tego ich świata. A potem zdarzyły się te dwa wypadki samolotem i później Hemingway już nigdy nie był taki jak dawniej. Zdrowie mu siadło, umysł mu siadł. Pisał o tym w listach do mojego ojca. Gdy był w szpitalu psychiatrycznym miał terapię elektrowstrząsami, pisał, że ktoś majstrował w jego pamięci. A potem, gdy wyszedł ze szpitala nie mógł już pisać. Pisał, że jego serce już nie istnieje, a tak naprawdę pisarz dostrzega świat sercem, najważniejsze rzeczy są niewidoczne dla oczu.

- Ten szpital zniszczył mu pamięć – mówi Iwona. – A bez pamięci był skończony jako pisarz.

- Ostatni list jaki napisał do mojego ojca mówił, że nie jest w stanie zrobić poprawek do wspomnień, które napisał gdy mieszkał w Paryżu w latach dwudziestych. Wciąż je poprawiał, zmieniał, pamięć mu szwankowała, wciąż zmieniał tytuł książki. Nie był sobą i to go zniszczyło. Dlatego odszedł jak odszedł. Na własnych warunkach.

- Dobrze mieć takie wspomnienia –mówi Iwona.

- Dobrze jest ocierać się w życiu o ludzi, którzy zmieniają nasz świat na lepsze.

Gerald wstał, pożegnał się z nami i zniknął. Zniknął tak, jak zniknęły czasy o których opowiadał. Tak, jak zniknął Paryż. Stary, zapomniany, teraz już bezimienny Paryż.

A potem, cóż było potem, wróciliśmy z Iwoną samolotem do Krakowa. Na lotnisku pocałowała mnie w policzek i wsiadła do takśówki. Zanim zniknęła opuściła szybę na dół i powiedziała:

- Musimy to powtórzyć, ale w innym mieście.

- Kiedy?

- Już niedługo – powiedziała i odjechała.

Zostałem sam na lotnisku. Dlaczego z nią nie pojechałem, nie wiem? Może się bałem, że ta droga, ten wspólny powrót coś zmieni w nas. Zmieni nieodwracalnie. A ja wciąż bałem się nieodwracalności w moim życiu. Bałem się jej bardziej niż samego siebie.

Nieodwracalność to złudzenie, że możemy coś zmienić, choć tak naprawdę już nic nie możemy zmienić. Bo na wszystkie zmiany jest już za późno. Za późno od dłuższego czasu.

W środę dzwoni telefon, jego dźwięk jest niecierpliwy, cierpki. Patrę się na godzinę. Dwudziesta druga, prawie noc, z obawą podnoszę telefon do ucha. Nocne telefony to złe telefony. Ich dźwięk rozpala w człowieku niepewność, obawę. Czasami złudzenie, złe złudzenie.

- Słucham – mówię głosem popękanym, takim głosem jakby ktoś wziął siekierę do ręki, wziął zamach i uderzył w pień drzewa, a drzazgi po uderzeniu uniosły się wysoko i osiadły na wszystkich kształtach dookoła. Nawet tych niewidocznych, nawet tych rozmazanych.

- To ja, Iwona. W piątek w nocy, w zasadzie w sobotę rano, o trzeciej godzinie lecimy do Włoch, samolotem. Lądujemy koło Wenecji, a potem pociągiem pojedziemy do Wenecji, żeby ją zwiedzać. Musimy ją zwiedzić razem. Teraz, już, nie w innym czasie, nie w innej przestrzeni.

- Koleżanka? – pytam. – Bilety? Okazja?

- Tak, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że to okazja. Wylot w sobotę rano, powrót w niedzielę w nocy. Chcesz spędzić ze mną czas? Chcesz bardziej zrozumieć to, co jest niewidoczne we mnie, to co jest głęboko, zbyt głęboko we mnie, za głęboko nawet dla mnie?

- Dobrze – mówię to bez zastanowienia.

Weronika wciąż pracuje daleko. Nie chcę znów być sam w weekend. Samotne weekendy mnie niszczą. Zabijają we mnie rzeczy dobre, rzeczy złe. Niszczą resztki nadziei w głowie. Ostatnie resztki nadziei w głowie.

- Do zobaczenia na lotnisku – głos w słuchawce zamiera, oddala się w nieskończoność. Nieskończoność w niej, nieskończoność we mnie. Tego jeszcze nie wiem, kogo ta nieskończoność bardziej dotyczy. Ale się dowiem. Na pewno. Wkrótce.

Samolot wylądował. Cicho osiadł na pasie startowym. Na pasie przesiąkniętym słońcem, wolnością.

Potem pociąg, obrazy za szybą, obrazy nieznane, obrazy niespokojne. Wciąż mam jakiś niepokój w sobie. Nie wiem czy to dobrze, czy to źle? Zobaczę co przyniesie los, co przyniesie przeznaczenie.

Stoimy na parkingu. Wchodzimy na statek. Płyniemy. Kamienice po prawej, po lewej. Woda piękna, odbija w sobie światło dnia. Odbija niespokojnie.

Wysiadamy na Placu Świętego Marka. Widzimy Bazylikę Świętego Marka, widzimy gołębie, tłum ludzi, kawiarnie. Wchodzimy do Bazyliki Świętego Marka, nad wejściem widzimy fasadę. Elementem dominującym fasady jest wielka mozaikowa postać Chrystusa z księgą praw w ręku. W środku bazyliki posadzka, marmurowa mozaika, całe wnętrze pogrążone jest w półmroku, który uwydatnia bogactwo i blask mozaik, wydobywa światło ze złotej górnej części bazyliki. Gra promieni słońca wydobywa z mozaik niezwykle efekty świetlne. Półmrok i zaduma. Półmrok i cisza zawieszona w czasie. Zastygłym w historii nieuchwytnym czasie.

Wychodzimy z bazyliki, nic nie mówimy. Na Placu Świętego Marka, na jego obrzeżach kawiarnie, a w nich muzyka.

Idziemy krętymi, wąskimi ulicami miasta. A tam małe kanały, gondole z turystami, turyści z lampkami wina w rękach. Gubimy się, chcemy się zgubić, zagubić, pogubić, zapomnieć, oddalić od siebie, oddalić od innych.

Dochodzimy do mostu Rialto. Wchodzimy na niego. Patrzymy się na kanał Grande, na gondole z turystami, na tramwaje wodne.

- Ktoś na nas czeka – mówi Iwona.

- Znasz tutaj kogoś?

- Ja wszędzie znam kogoś. Znam ludzi rozproszonych po świecie, znam, bo studiowałam za granicą. Przez rok. Taka wymiana studentów. Poznaj Emmanuelle.

- Jakub – mówię do brunetki o węglowych oczach, o włosach aż do bioder.

- A więc to ty sprawiłeś, że znów widzę Iwonę koło siebie. Masz u mnie dług wdzięczności. Iwona to duch, jest wszędzie, jest nigdzie. Jest jak wiatr, dzisiaj tutaj, jutro tam.

- Pokażesz nam ten pałac? – pyta Iwona.

- Oczywiście, wciąż mam do niego klucze.

- Jaki pałac?

- Tutaj, w Wenecji żyją dawne rody, bogate rody, rodziny z tradycjami. Mają tutaj swoje pałace, które są niedostępne dla innych. A ja, mam klucze do jednego z nich.

- Klucze – dziwię się, i to zdziwienie ma smak jakiegoś zamętu, smak niezrozumienia.

- Tak. Odnawiam im kilka starych mebli, więc klucze są mi niezbędne do pracy. To co zobaczycie, sprawi, że uwierzycie, że pieśniadze mają swój blask, swoją moc.

Idziemy wzdłuż kanału Grande, potem skręcamy w lewo. Kręte uliczki, mosty nieduże, bardzo stare, gondole zacumowane przy drewnianych palach wystających z wody i kanały, niezliczona ilość kanałów, ulic wodnych.

Dochodzimy do pięknego, dużego budynku. Emmanuelle wyciąga duże klucze, otwiera masywne drzwi. Wchodzimy. Emmanuelle wyłącza alarm.

Jesteśmy w środku. Przez moment ani ja, ani Iwona nic nie mówimy. Duża sala, schody do góry i przepych. Stary, dobry przepych zawieszony w czasie.

Dekoracje na sufitach, obrazy w złotych ramach, malowidła wszędzie – na ścianach, na sufitach, prawie w powietrzu.

Idziemy schodami do góry, następne pomieszczenie. W jednej sali kolekcja starej broni – sztandary, szpady, miecze, piki, rusznice i muszkiety.

Następna sala, znów dawny przepych, dawne bogactwo. W każdej sali ogromne żyrandole, aż do podłogi. Obrazy, tyle obrazów dawnych mistrzów, dobrych mistrzów. Lustra w metalowych ramach. Lustra w których odbijają się duchy przeszłości.

- Podoba się? – pyta Emmanuelle.

- Zachwyty, to złe słowo – mówię. – Fascynacja, to złe słowo. Euforia, to złe słowo. Żadne słowo nic nie znaczy wobec tego bogactwa.

- Nikt takich rzeczy nie widzi normalnie. To miejsce niedostępne dla zwykłych ludzi.

- Ale my jesteśmy niezwykli – mówi Iwona.

- Ty i twoi znajomi zawsze ocierają się o niezwykłość, o wpływ tej niezwykłości na innych ludzi. Na przykład na mnie.

Emmanuelle nas prowadzi do dużych zdobionych drzwi. Bardziej wrót niż drzwi. Odwraca się do nas, na jej twarzy pojawia się uśmiech, potem zaduma, bardziej uśmiech niż zaduma.

- Oto wrota do raju – mówi Emmanuelle. – Teraz zobaczycie, że bogactwo to inne życie, kolorowe, barwne życie.

Emmanuelle otwiera drzwi. Wychodzimy na zewnątrz pałacu, Iwona otwiera usta, szerzej, szerzej, o wiele szerzej niż zazwyczaj. Nic nie mówi, jednak jej oczy krzyczą, chcą coś zapalić w jej wnętrzu, ale nie mogą, są bezsilne wobec tego co widzą przed sobą.

Ja też jestem zdumiony i to zdumienie jest widoczne w moich oczach, w całym moim ciele.

- Niemożliwe, że tak ludzie żyją – mówi Iwona, a jej głos jest jak listki kwiatów rozszarpanych przez wiatr, listki, które unoszą się po całej łące, po całym niebie, po wszystkich kształtach życia wokół nich.

Ogród, duży kolorowy ogród, a w nim barwy, tyle kolorowych odcieni życia, kwiaty o nasyceniu większym niż kolory tęczy i rośliny, tyle różnych odmian roślin, które człowiek nie zna, nie może znać. A wszystko tak idealnie uformowane, ułożone tak, żeby oko mogło krzyczeć, unosić się w zachwycie do nieba. I te ławki zdobione, z drzew z obcych krajów, dalekich krajów, i fontanny z marmuru, z różnych odcieni marmuru, z miejsc gdzie wszystko jest drogie, musi być drogie.

- Lubię czasami tutaj siadać i czytać książkę – mówi Emmanuel. – W tym miejscu każda treść ma inne znaczenie, inny smak. Litera, zdania, słowa są tutaj bardziej bliskie sercu człowieka, bliższe całemu jego życiu.

Siadamy na pięknej, zdobionej ławce. Wciąż patrzę się na kwiaty, na ich kolor, na tęczę, która na chwilę pojawia się w ich barwach.

- Kiedyś w tym pałacu podobno był Szekspir – mówi Emmanuel. – Tak głosi legenda.

- Był? – dziwi się Iwona.

- Każda legenda ma w sobie ziarno prawdy. Może był, może nie. Każdy chce wierzyć, że był. Jednak w tym pałacu, podczas balu noworocznego ktoś popełnił zbrodnię. Był trup, był morderca wśród gości, była muzyka, gdy ktoś popełnił zbrodnię.

- Znaleźli mordercę? – pytam.

- Na sali, wśród gości był znany detektyw. Poproszono go o rozpoczęcie śledztwa. Kazał nikogo nie wypuszczać z balu. Zaprosił wszystkich do dużej sali i zaczął zadawać pytania, dużo pytań. Siedział na dużym fotelu, bardziej tronie niż fotelu i zadawał pytania. Obserwował ludzi cały czas, gdy zadawał te pytania. Zasiał niepewność w ludziach. I ta niepewność była widoczna na ich twarzach. Potem niektórych prosił do innego, niedużego pokoju i zadawał im pytania na osobności.

- Znalazł mordercę?

- Tak. Tak namieszał w głowach ludziom, że ktoś poczuł się zagrożony i chciał wyjść bocznymi drzwiami. A tam, na zewnątrz już czekała policja, która na jego rozkaz miała zatrzymać każdego, kto będzie chciał wyjść cicho z balu.

- Ciekawa historia – mówię i patrzę się na białą marmurową fontannę. Z twarzy lwów woda wciąż unosi się do góry, co kilka sekund.

- To prawdziwa historia – mówi Emmanuelle. – Tak tworzą się legendy takich miejsc jak ten pałac.

- Właściciele często tutaj przyjeżdżają?

- Co jakiś czas. To miejsce to prestiż. Nie chodzi o to, żeby tutaj bywać, chodzi o to, żeby coś takiego mieć. Bogaci ludzie muszą mieć rzeczy, które odróżniają ich od innych, które sprawiają, że inni ludzie inaczej ich postrzegają przez te rzeczy. Bogactwo to inność, inność postrzegania świata przez przedmioty. Przez znaczenie tych przedmiotów w oczach innych ludzi.

- Bogactwo to stan ducha, nie umysłu – mówi Iwona.

- A ja myślę, że ludzie bogaci to ludzie tacy jak my. Jedyne co ich odróżnia od nas, to ilość pieniędzy na koncie. I możliwości jakie dają te pieniądze, żeby zaspokoić swoje pragnienia.

- Duże pieniądze to duże pragnienia – mówi Iwona.

- Duże pieniądze to duże problemy, to niespokojny sen – mówi Emmanuelle.

Całą niedzielę chodziłem z Iwoną po krętych uliczkach Wenecji. Wchodziliśmy do kamienic, na podwórka. Przyglądaliśmy się życiu ludzi zaklętych w tym cudownym mieście. Zerkaliśmy w otwarte okna na podwórkach, a tam obrazy na ścianach, stare meble, sufity

pomalowane jak za dawnych czasów, drewniane sufity w dużych belach.

Potem płynęliśmy małą motorówką kanałem Grande. Świat wydawał się nam nagle inny, jakiś wspaniały i wyjątkowy. Coś się w nas zmieniało, coś, co później miało zostać w nas aż do końca.

Wspomnienia zmieniają człowieka, zmieniają nieodwracalnie. Zmieniają tak jak obrazy, obrazy zakłęte w oczach człowieka na zawsze. Zakłęte na kłódkę, kłódkę która nigdy nie miała klucza, nigdy, aż do teraz.

Kraków, znów praca, znów oczekiwanie na weekend. Wstaję, coś jem, coś na szybkiego, wychodzę z domu, tramwaj, ludzie, ich twarze, twarze bez wyrazu, bez emocji, stukot szyn, stukot niecierpliwy, jakiś cierpki. Droga do pracy na piechotę, zaraz po wyjściu z tramwaju, potem praca, obowiązki, jakaś rutyna i powrót do domu. Znów tramwaj, twarze ludzi zmęczone, ale jakieś inne, takie twarze które wierzą, że w domu w końcu odpoczną, coś zrobią dla siebie. Większości się to jednak nie udaje, bo dobre rzeczy nie udają się ludziom przeważnie, nie udają zbyt często, więc obiad, chwila odpoczynku i czynności, setki niekończących się czynności żeby przetrwać, utrzymać się na powierzchni przez dłuższy czas. A potem noc, zasypanie, często noc niespokojna, bo sen płytki, zbyt płytki żeby odpocząć, dla niektórych brak snu, bo sen nie nadchodzi, nie nadchodzi zbyt prędko. I sny, pełne obaw, pełne lęku, pełne rzeczy, które mieliśmy zrobić, a już nigdy nie zrobimy, przez strach, przez niepokój, przez wszystkie złe rzeczy naraz, w nas, koło nas, gdzieś obok nas. I znów pobudka, znów śniadanie, praca, powrót i tak w kółko, aż do końca. Jeśli koniec nadejdzie bezboleśnie. A w tych czasach, niespokojnych czasach mało kto ma koniec bezbolesny, szczęśliwy. To przez złe życie, złe nawyki, przez złych ludzi koło nas. I noc w oczach, noc ocierająca się o śmierć, ból, życie. Bardziej o ból niż samo życie.

W środę w nocy, koło dwudziestej drugiej, telefon od Iwony. Znów chce gdzieś wyjechać, znów chce gdzieś uciec. Ale nie chce uciekać sama. Samotne ucieczki bołą, bołą samotnych ludzi. Tym razem góry, Tatry, zgadzam się. Weronika wraca za dwa tygodnie,

więc mam dla Iwony więcej czasu. Co będzie potem, nie wiem? Wiem coraz mniej o swoim życiu, coraz mniej istotnych rzeczy.

Potem zasypiam. Sny mam o górach, o stawach pomiędzy szczytami, o śniegu schowanym w cieniu gór.

Jedziemy w sobotę rano autobusem w góry. Zbliżamy się powoli w kierunku gór. Już je widzę w oddali. Widzę białe plamki śniegu na szczytach. Czuję radość w sobie. Góry mnie wołają, myślę. I ta myśl sprawia mi radość. Zadowolenie.

Wysiadamy na dworcu autobusowym. Od razu wsiadamy do buski. Jedziemy w kierunku Morskiego Oka. Dojeżdżamy przez las do parkingu. Idziemy ulicą betonową, tłum ludzi, nie lubię tłumy ludzi, nie cierpię tej drogi. Dużo ludzi, dużo złych ludzi ubranych w złe stroje. Wodogrzmoty Mickiewicza, skręcamy w prawo, idziemy w kierunku Doliny Pięciu Stawów. Pod górę, wciąż pod górę. Patrzę się na Iwonę. Mało słów do siebie mówimy. Góry to wyzwolenie, nie potrzeba żadnych słów, zbyt dużo słów po drodze to udręka. Wodospad Siklawa, robimy sobie wspólne zdjęcie. Jej uśmiech utrwalony w czasie. Wspinamy się, jesteśmy w Dolinie Pięciu Stawów. Nie idziemy do schroniska, nie mamy na to zbyt dużo czasu.

Robimy sobie przerwę przy Wielkim Stawie Polskim, tuż przy drodze na Szpiglasową Przełęcz. Siedzimy, jemy kanapki, patrzymy się na góry, na Kozi Wierch, na Granaty, na Krzyżne.

- Zobacz, tam jest kozica – mówi Iwona.

- Prawie jej nie widać. Stoi nieruchomo jak posąg.

- Obok niej jest mała kozica.

Przyglądam się uważniej, wyciągam lornetkę. Patrzę.

- Tak, mała kozica z matką.

Znów siedzimy, milczymy. Milczenie nam służy. Słowa nie są potrzebne, gdy człowiek czuje się dobrze w życiu. Słowa niszczą doskonałość życia. Niszczą bezpowrotnie.

- O, świstaki – mówi cicho Iwona.

Przy głazach, przy stawie widać trzy małe głowy. Prawie się nie ruszają. Jak posągi, zastygłe posągi świstaki stoją w bezruchu.

- Świat jest piękny, nosi w sobie doskonałość, gdy człowiek potrafi się zatrzymać, choćby na chwilę, choćby na kilka sekund – mówi Iwona.

- Doskonałość świata to doskonałość ludzi z którymi przebywamy, z którymi chcemy przebywać.

- I rozmowy między tymi ludźmi, rozmowy nigdy się nie kończą.

- Rozmowy o niczym? – pytam.

- Tak. Najpiękniejsze są rozmowy o niczym, rozmowy między ludźmi którzy się wciąż lubią.

Wstajemy, idziemy dalej. Zaczynamy się wspinać w kierunku Zawratu. Po lewej stronie widzimy Zadni Staw Polski. Skąły, same skąły koło nas. Siadamy na chwilę zmęczeni.

- Tam – Iwona mi coś pokazuje, wyciągam lornetkę, patrzę się w kierunku jej palca, w kierunku jej spojrzenia, bardziej spojrzenia niż palca – jest dziki szlak na Słowację.

Widzę drogę, faktycznie to droga na Słowację, dziki szlak, tylko dla Goprowców.

Idziemy dalej. Zawrat coraz bliżej, a obok niego Świnica. Tam, na Świnicy często są mgły, burze, błyskawice. Wtedy trzeba uciekać. Świnica przyciąga zło, przyciąga pioruny. Czasami przyciąga złych ludzi.

Dochodzimy do Zawratu. A tam ludzie. Siedzą, robią zdjęcia, myślą. Co dalej? Gdzie dalej? Patrzą się na mapy, myślą. Pogoda dobra, zbyt dobra na złe decyzje. W górach złe decyzje podejmuje się przy dobrej pogodzie. I często są to decyzje nieodwracalne. Bo w górach wszystko się zmienia. A złe decyzje ciągną się za nami, gdy człowiek już nie ma odwrotu, gdy człowiek już nie ma co zrobić z tą złą decyzją. I musi z nią żyć aż do końca. W górach, może w prawdziwym życiu.

Siedzimy długo na szczycie, ludzie się zmieniają, a my wciąż patrzymy się na góry, na stawy, na życie wokół nas.

Zaczyna się wieczór, zaczynamy schodzić na dół w kierunku Doliny Pięciu Stawów.

Gdy jesteśmy przy stawie na dole, Iwona patrzy się na mnie. Wyczuwam w jej oczach jakieś napięcie, jakiś niepokój, jakiś zamęt. Od pewnego czasu wciąż widzę zamęt w jej oczach. Zamęt określa to, co robi, to, co chce robić dalej ze swoim życiem. Zamęt to przyszłość, zamęt to przeznaczenie.

- Nocowałeś kiedyś w górach? – pyta mnie Iwona, zamęt na chwilę znika z jej oczu.

- W schronisku?

- Nie, w górach, tak na dziko.

- Podobno takie rzeczy są niedozwolone.

- Rzeczy niedozwolone, zabronione to rzeczy niezwykle. A rzeczy niezwykle to wolność, to ciągła ucieczka od rzeczywistości. Złej rzeczywistości.

Patrzę się na niebo. W górach pojawiła się ciemność, pojawił się mrok.

- Usiądźmy na chwilę, gdzieś z boku. Musimy poczekać, aż zabłąkani turyści, spóźnieni turyści zejść na dół. Gdy będzie już ciemność, absolutna ciemność, rozłożymy namiot i pójdziemy spać. A potem, przed świtem wstaniemy, żeby nikt nas nie zauważył, że tutaj nocowaliśmy.

- Masz namiot w plecaku? – dziwię się.

- Taki nieduży, dla dwóch osób. Przetrwamy jakoś noc, przecież jest lato. Poranek będzie trudny, zimny, ale to przygoda. A przecież żyje się dla tych kilku przygód, dla tych kilku chwil, gdy nasze życie staje się nieprzewidywalne.

Rozkładamy namiot, wchodzimy do środka. Ledwo mieścimy się w nim we dwójkę. Iwona się uśmiecha. Jej uśmiech ma smak i zapach niepewności, jakiegoś lęku, obawy, że to co robimy jest złe, złe ale wyjątkowe. Zasypiamy, prawie równocześnie.

Nagle coś mnie budzi w nocy. Słyszę jakieś kroki. Słyszę jak kamienie przesuwane są siłą obcych kroków. Iwona też się budzi, widzę strach w jej oczach.

Rozsuwam namiot. Wychylam się powoli. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Od strony Słowacji idą ludzie, idą dzikim szlakiem w kierunku schroniska w Dolinie Pięciu Stawów. W stawie widzę gwiazdy, odbijają się w nim jak jakieś pochodnie.

- Tylko kobiety z dziećmi – mówi cicho Iwona.

- To emigranci. Idą na dół. Tam pewnie czeka samochód, a potem ruszą w kierunku granicy.

Szare cienie schodzą z góry. Cisza, nic nie mówią. Kobiety trzymają dzieci za ręce. Z przodu i z tyłu mężczyźni, przewodnicy.

Nie widzą nas. Namiot jest szary, jesteśmy tuż przy stawie, obok nas jest dużo szarych głazów.

Po godzinie cienie znikają. Znów cisza. Znów góry na tle nieba.

- Wolność wymaga poświęceń, wymaga strachu – mówi Iwona.

- Wymaga cierpliwości – mówię to cicho, tak cicho jak cicho leci orzeł w powietrzu, gdy ma dobry wiatr pod skrzydłami.

Kilkanaście metrów obok nas widzę duży kształt, jakieś zwierzę podchodzi do stawu. Pije wodę ze stawu. Zwierzę co chwilę podnosi głowę, a potem znów gasi pragnienie. Zwierzę nas nie widzi, nie czuje, wiatr wieje nam w twarz, więc zwierzę nie może nas wyczuć. Po chwili cień zwierzęcia znika.

- To był niedźwiedź – mówi Iwona, a jej głos drży, drży jak stara furtka, nieomknięta furtka w starym, lekko zniszczonym drewnianym płocie.

- Tak, to był niedźwiedź – mówię i wiem, że mogło być źle, niebezpiecznie.

- Popatrz w gwiazdy – mówi Iwona, jej głos już jest spokojniejszy, bardziej ciepły i miękki. – Tam, koło nich jest chmura w kształcie czyjejś twarzy.

Wyteżam wzrok, faktycznie ta twarz mi coś przypomina, jest taka znajoma, bliska.

- Ktoś nad nami czuwa – mówię.

- To twarz Chrystusa – nagle mówi Iwona. – Ta twarz się na nas patrzy.

- Tak, patrzy się – mówię, a moje oczy są coraz bardziej zdziwione.

- Ktoś nad nami czuwa – mówi Iwona. – Możemy iść spać.

Zасыpiamy, nawet szybciej niż myślimy. Świadomość, że ktoś obok nas jest uspokaja nasz oddech aż do rana.

Przed świtem składamy namiot. Idziemy do schroniska. Tam zamawiamy herbatę, jajecznicę, tam czekamy aż do pierwszych promieni światła w górach.

Schodzimy na dół. Jedziemy do Zakopanego. Chodzimy po mieście. Jedziemy windą do Tygodnika Podhalańskiego na kawę i ciastko, siadamy na tarasie. Patrzymy się na góry, na miasto na dole. Jest

nam dobrze, zbyt dobrze ze sobą. I to mnie martwi. Czuję, że moje życie się komplikuje.

Jest Iwona, jest Weronika. Każda inna, każda wyjątkowa. Obie mają to, czego potrzebuję u kobiet. Mądrość i szaleństwo. Dobroć i przyjaźń. Miłość i zrozumienie. Boję się, że nie będę miał w sobie dość siły, żeby z którejś z nich zrezygnować. Na razie Iwona to moja przyjaciółka. Ale na jak długo, tego nie wiem. Wiem, że to cienka granica, niebezpieczna granica. Niebezpieczne kobiety zawsze niosą ze sobą cienką granicę, niebezpieczną granicę. Granicę, za którą, gdy się ją już przekroczy jest tylko złudzenie. Złudzenie, że coś jeszcze możemy, choć tak naprawdę już nic nie możemy.

Zjeżdżamy windą na dół, idziemy w kierunku dworca autobusowego.

- Ciekawa przygoda – mówi Iwona.

- Niebezpieczna przygoda.

- Widzę, że zaczyna mi na tobie zależeć. Widzę też, że ty też zaczynasz coraz bardziej przyzwyczajać się do mojej obecności koło siebie. Zaczynamy stać na krawędzi. Razem trzymamy się za ręce. Pod nami jest morze, stromy brzeg i fale. Niebezpieczne fale. Zastanawiam się, czy razem skoczmy na dół. Czy starczy nam odwagi, żeby skoczyć na dół.

- Zastanawiam się, dokąd nas to szaleństwo zaprowadzi – mówię szeptem. – Ja kogoś mam, ty kogoś nie masz. Mamy już wspólne wspomnienia, mamy czas, który nas coraz bardziej łączy.

- Na razie wracajmy do domu.

Wsiadamy do autobusu. Gdy wyjeżdżamy z Zakopanego odwracam głowę. Widzę jak góry powoli znikają za moimi plecami. Zamykam oczy. Zasypiam w autobusie.

Wróciła Weronika, w końcu wróciła, wrócił dawny porządek i spokój. Zapomniałem o Iwonie, ona zapomniała o mnie. Cisza. Spokój. Jakaś harmonia i wyciszenie. Brak obłądu w głowie. Brak obłądu poza mną. Brak obłądu w całym moim ciele. Bardziej w duszy niż w całym moim ciele.

Znów stoję na balkonie. Czy to stanie ma jakiś sens, ma jakieś znaczenie? Patrzę na upływający czas. Nieustanność koło mnie, nieustanność za mną.

Blok po prawej, widzę go z boku. Nic się nie zmieniło w nim, oprócz czasu. Pokruszonego, zastygłego w oddali czasu.

Tam właśnie była nasza ławka, nazywaliśmy ją łoża. Staliśmy tam codziennie, koło niej. Rozmawialiśmy o wszystkim, o niczym. Przy niej wierzyliśmy, że życie jest wyjątkowe, że coś w przyszłości z tego życia będzie można wyciągnąć. Ale na jak długo, tego nie wiedzieliśmy.

Koło łoży graliśmy w piłkę, piłka się odbijała od ściany, jakby cała złość która w nas wtedy była musiała być zawarta w tych uderzeniach, w tej ścianie. I chyba była.

Kopnięcie, odbicie piłki od ściany, złość mniejsza, złość bezbronna, kopnięcie, odbicie piłki od ściany, złość rozmazana, złość prawie niewidoczna, kopnięcie, odbicie piłki od ściany, złość unosi się wysoko ponad łożę, ponad czas, wtedy niepewny, wtedy nieskończony.

Obok łoży, z boku bloku, a tak naprawdę z przodu bloku, przed balkonami były dwie piaskownice. Tam się grało w piłkę, małą piłeczką gumową, grało się aż do nocy. W zimie grało się drewnianymi hokejkami, w butach, w hokeja, też małą piłką gumową. Każdy chciał wygrać, każdy chciał zwyciężyć. Każda kolejna bramka miała jakiś sens, jakieś znaczenie.

Koło tych piaskownic, które teraz już zniknęły była trafa, z niej można było napić się wody machając rękami metalową rączką. Przy trafie była ławka, tam się piło, czasami coś paliło, często żyło. Nie kiedy naprawdę.

Przypominam sobie wóz policyjny przy trafie, dwóch policjantów, my roześmiani, rozbawieni, oni pytają o nazwiska, o imiona, nasze, rodziców, coś sprawdzają i któryś z nas podaje imię ojca, nietypowe imię, policjanci nie wierzą, myślą że to żart, nagle ich twarze coś mają w sobie złego, głupotę wymieszaną ze złem, po chwili wszystko się wyjaśnia, policjanci gasną, my gaśniemy. Odjeżdżają. Znów uciekamy w zabawę, uciekamy w zapomnienie.

Dawne czasy, myślę, dobre czasy.

Obok piaskownicy jest śmietnik, murowany, otwarty. Tam bawiliśmy się w syfa. Ktoś wyrwał korzeń trawy z ziemią i gonił wokół śmietnika innych. Gdy w końcu trafił kogoś tym korzeniem, wtedy ten ktoś dalej gonił innych. I tak do skutku, do zatracenia.

Wtedy, w tamtych czasach zatracenie było czymś ważnym w życiu. Może nawet było czymś najważniejszym. Zatracenie się w jakiegokolwiek rzeczy, która miała dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

Z drugiej strony bloku stoi trzepak, wciąż stoi. Tam też było życie, inne życie. Zabawy przy trzepaku aż do nocy. Przy trzepaku był chodnik, tam malowało się trasę wyścigu pokoju, malowało się białą kredą. Wyspy, przeszkody, kręta droga i kapsle pstrykane z dużą wprawą aż do końca wyścigu.

Obok trzepaka parkowały samochody. Obok trzepaka mieszkał Regan. Regan społecznik. Dużo w nim było pogardy do młodości, do tego co może nieść młodość w prawdziwym życiu.

Wszystko go bolało, mierziło, nawet śmiech. Wciąż nas gonił, utrudniał nam życie. I spotkała go za to kara. Kara za niemożność zrozumienia obcych pragnień, pragnień rodzących się przed jego blokiem.

Jego samochód, tak zawsze dobrze i równo zaparkowany, tak zawsze dobrze umyty i czysty, nagle zmienił swój kierunek parkowania. Zmienił z naszą pomocą.

Rano Regan chciał gdzieś jechać, nie mógł nawet ruszyć się o metr do przodu. Samochód stał w poprzek innych samochodów. Jego czerwona z nienawiści twarz dała nam nadzieję, że zło zawsze można pokonać. Ale trzeba mieć pomysł i sposób na to zło, na całą niedoskonałość świata. Na całą niedoskonałość ludzi.

Gdy o tym wszystkim teraz myślę, to wiem, że wszystko ma jakiś sens i znaczenie. Rzeczy nieistotne mogą mieć istotne znaczenie w przyszłości, a rzeczy istotne mogą mieć minimalne znaczenie w przyszłości. Minimalne, ale prawdziwe. Coś co nas kształtuje, nie zawsze oznacza, że ten kształt będzie prawdziwy, znaczący. Bo czas zaciera całą prawdę w ludziach, całą prawdę we wspomnieniach. Bo czas wyzwala w nas wszystko, bo czas niszczy w nas wszystko. Bo czas to wolność, bo czas to zatracenie. Bo czas to my, uwięzieni w tym czasie na zawsze. Aż do końca.

Telefon dzwoni i dzwoni. Jego dźwięk jest hałaśliwy, bolesny. Schodzę z łóżka, patrzę się na zegarek, dochodzi dwudziesta wieczorem. Jest niedziela.

- Słucham – mówię głosem sennym, zaspanym, leniwym, tak leniwym jak praca robotnika w piątek, godzinę przed zakończeniem pracy.

- Coś się dzieje, coś strasznego – głos Iwony drży, pęka, jest jak szyba po wypadku, szyba pokruszona na miliony małych kawałków. – Moja przyjaciółka z lotniska zniknęła, rozmażała się jak śnieg na wiosnę, roztopiła. – Iwona mówi chaotycznie, jej głos w słuchawce dyszy, ale dyszy z bólu, z jakiegoś napięcia w niej, napięcia poza nią.

- Nie rozumiem – mówię i wiem, że naprawdę nic nie rozumiem z jej rozklekotanych słów, rozklekotanych jak stary samochód tuż przed złomowaniem.

- Monika nie pojawiła się w pracy, w domu, nie pojawiła się nigdzie – i to nigdzie w głosie Iwony jest najbardziej obce i surowe, niebezpieczne.

- Zniknęła? – dziwię się.

- Tak, zniknęła. Nikt nic nie wie. Ani listu, ani pożegnania, ani żadnych oznak życia w jej domu, poza jej domem.

- Byłaś na policji?

- Tak, szukają cały czas. Mówią, że czasami ludzie znikają bez powodu. Znikają z własnego wyboru. Chcą coś zostawić za sobą. Chcą by pewne rzeczy, sprawy opuściły ich na zawsze. Czasami pewni ludzie opuścili ich na zawsze. A ucieczka jest jedyną drogą do celu. Do jakiegokolwiek celu. Inny czas, inne miejsce, inni ludzie wtedy się liczą. Nie ci, którzy zostali tutaj, na miejscu.

- Często ludzie uciekają? Bez powodu? Bez wyraźnego powodu?

- Policja mówi, że często. Gdy mamy już wszystkiego dość, ucieczka to jedyne rozwiązanie. Rozwiązanie natychmiastowe.

Iwona chwilę milczy, potem mówi dalej:

- Boję się – mówi szeptem Iwona. – Boję się konsekwencji tej ucieczki w Monice. Konsekwencji natychmiastowych.

- Poczekajmy – staram się ją uspokoić. – Czasami czas to jedyna nadzieja. Czasami czas to jedyny spokój jaki mamy w sobie. Jaki musimy mieć w sobie.

Iwona się rozłącza. Znów cisza w telefonie. Cisza niespokojna.

Nie mogę jej pomóc, myślę, nie mogę jej pomóc teraz. Idę do łóżka. Boli mnie głowa, boli mnie dzisiaj całe życie. Staram się za-

snąć. W końcu mi się to udaje. Myśli uciekają w niepamięć. Ja uciekam w niepamięć. W ciemność. W mrok. W zatracenie.

Monika już skończyła pracę. Jest zmęczona, ciężki dzień, ciężcy ludzie w pracy. Są takie dni, gdy słowo ciężko odzwierciedla stan jej ducha, stan jej myśli.

Wysiada z taksówki na ulicy Wrocławskiej. Płaci, daje napiwek i wchodzi do kamienicy gdzie wynajmuje mieszkanie. Słyszy kroki za sobą, pewnie sąsiad, myśli. Kroki się do niej zbliżają. Monika czuje czyjś oddech za sobą. Czuje ukłucie w szyję, trochę niżej niż w szyję, to zastrzyk, myśli.

Jej myśli stają się powolne, ruchy jej ciała stają się powolne, obrazy przed jej oczami stają się powolne. Monika staje się lalką. Wszystko jej się rozmazuje. Ktoś ją prowadzi przed sobą. Monika widzi samochód na parkingu. Ktoś ją wsadza do tyłu samochodu, na tylne siedzenie. Kładzie ją na bok, wiąże ręce, nakłada czarną opaskę na oczy. Nogi też ma związane.

Świadomość jej ucieka, ucieka powoli, ale ucieka. Samochód rusza. Monika słyszy szum silnika. Szum jest jak wiatr, ciepły wiatr wiosenny. Wiatr przesiąknięty deszczem po nocy, po wietrznej nocy.

Świadomość się oddala i oddala. Monika zasypia. Jest ciemność, głęboka, mroczna ciemność. Ciemność bez żadnych ograniczeń i wad. Czasami ciemność nie ma żadnych ograniczeń i wad. Nie ma świadomości.

Monika czuje szarpnięcie samochodu. Samochód się zatrzymuje. Cisza. Spokój. Pustka. Monika znów wraca do siebie. Ktoś otwiera drzwi, wyciąga ją z samochodu. Ktoś rozwiązuje jej nogi. Ktoś pcha ją do przodu. Delikatnie, ale stanowczo.

Leśna droga. Drzewa. Cienie. Kształty. Cichy szum lasu. Cichy szum liści. Monika to wszystko widzi, czuje, bo opaska jej się trochę zsuwa z oczu. Świadomość wraca. Jest teraz ostrzejsza, wyraźniejsza. Świadomość czuje strach, skutki strachu w jej ciele. Strach powoli zadomawia się w jej głowie. Na jak długi czas, tego Monika nie wie. Ale czuje, że jest to czas krótki, płynny. Bardziej krótki niż płynny. I tego krótki Monika się boi. Boi bardziej niż tego strachu, niż tej kobiety obok niej. Bo krócej zawsze oznacza jakiś koniec,

jakieś przeznaczenie. Koniec dla niej, koniec dla tego cienia obok niej. Bo na razie kobieta, ta obca kobieta jest tylko cieniem dla Moniki. Monika wie, że to jest kobieta. Cień ma smak, zapach, niebezpieczeństwo innej kobiety. Niebezpieczne kobiety to złe kobiety, myśli Monika.

Wciąż idą przez las. Teraz nie idą już żadną ścieżką. Idą jakby w nieznane, ale Monika wie, że ta kobieta nie idzie tak bez celu z nią. Tak w nieznane z nią. Ona idzie, bo wie gdzie ma dojść. Ona idzie, bo wie gdzie jest kres tej całej absurdalnej dla Moniki sytuacji.

Opaska jeszcze bardziej zsuwa się z oczu Moniki. To przez kolejny upadek Moniki. To przez korzenie drzew, to przez strach, przez czas, który wciąż jest z nią. Może gdzieś obok niej. Ale na pewno jest. Monika wie, czas będzie z nią aż do końca. Jak przyjaciel. Jak ostatni przyjaciel na ziemi.

Czas staje się coraz krótszy. Czas coraz bardziej przepływa jej przez palce. Czas jest teraz wszystkim, czas jest teraz niczym.

Kształt kobiety coraz bardziej zmienia się w cień. Cień zmienia się w kształt.

Nagle kobieta, cień kobiety, kształt i zarys kobiety zaczyna mówić:

- Wiem, że mnie widzisz, ale to nie ma żadnego znaczenia. Znaczenia istotnego.

Monika znów czuje strach. Strach staje się coraz mocniejszy, intensywniejszy. To przez słowa tej kobiety, w zasadzie przez dwa słowa – żadnego znaczenia.

- Pewnie zastanawiasz się dlaczego? Dlaczego ja? Dlaczego ten las? Dlaczego ciemność? Ciemność w moich oczach, ciemność koło ciebie. Nie jesteś winna i nigdy nie byłaś. Nie zrobiłaś nic, co mogło mi zaszkodzić, kiedyś, teraz. Miałaś pecha. Nie jesteś wyjątkiem. Zwykli ludzie często mają pecha. Jedyne różnica jaka dzieli cię od innych to twój pech, pech który będzie miał konsekwencje. Konsekwencje ostateczne. Tak jak mówię, nie jesteś winna. Po prostu stałaś na drodze do mojego celu. To tyle. To wszystko. To nic. Nic nie zawiniłaś. Cokolwiek byś teraz nie zrobiła, to i tak to nie ma żadnego znaczenia. Jesteś przeszkodą. Jesteś karą dla kogoś, kogo znam. Początkiem kary dla kogoś. Nawet nie wiem, czy cię lubię,

czy nie? Tak jak mówię, teraz już nic nie ma znaczenia, ani dla ciebie, ani dla mnie.

- Kobieta niszczy inną kobietę – mówi nagle Monika, mówi to bez strachu, sama jest zdziwiona, sama jest zaskoczona swoim twarzym głosem. Stanowczym głosem. – Tylko kobieta może tak naprawdę zniszczyć inną kobietę. Mężczyźni tego nie potrafią. Nie potrafią tego zrobić tak dobrze jak kobiety.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego. Chcę ci tylko uzmysłwić, że kobiety też mogą ranić inne kobiety, w czasach gdy kobiety zaczynają się wspierać, łączyć, razem walczyć o wspólne cele. Ty jesteś inna. Masz swój cel. Niezależny cel. Cel do którego dążysz bez względu na konsekwencje.

- Jesteś tylko pierwszym posunięciem na mojej szachownicy. Posunięciem strategicznym.

Dochodzą do jakiejś polany. Kobieta klęka, rękami przesuwając żółte liście na ziemi. Pojawia się metalowa kłapa z zamkiem. Kobieta ją otwiera. Słychać zgrzyt metalu o metal.

- Teraz zejdziesz na dół po drabinie. I nigdy już się nie zobaczysz.

Monika znika w otworze, w ziemi. Zanim jej głowa zanurzy się w ciemność Monika mówi:

- Współczuję ci. Kiedyś moja twarz będzie dla ciebie przekleństwem. Jeszcze nie teraz, kiedyś. Kiedyś zrozumiesz, że nienawiść do niczego nie prowadzi. Może na początku tak, ale później to wszystko staje się błędnym kołem. Karuzelą bez celu. Bez żadnego wyraźnego celu.

Monika znika w ziemi. Zgrzyt zamykanej klapy i ciemność. Taka ciemność która nie zabija, ciemność która niszczy wszystko w człowieku. Niszczy nieodwracalnie.

Zbliża się wieczór, noc. Bardziej wieczór niż noc. Patrzę się za okno. Jeszcze nie ma gwiazd, jeszcze nie ma nic interesującego na niebie. Włączam telewizor. Jego światło, jego blask niewidzialnie ociera się o moją twarz. Czuję jakąś ulgę w sobie. Niewidzialną ulgę przepełnioną jakimś dziwnym zatraceniem.

W telewizorze dwie twarze, dwie głowy, w telewizorze rozmowa o czymś ważnym. Pogłaśniam telewizor, siadam przy stole. Słucham.

Mężczyźni coś mówią o filmie. Starym filmie. Kiedyś ten film poniósł klęskę. Był krytykowany wszędzie. Za grę, za reżyserię, za dialogi, za treść i przekaz. Wszystko w tym filmie zostało zniszczone. Film stał się zapomniany, nieistotny.

Jednak po czasie, może przez przypadek, ktoś go na nowo zauważył. Puścił znów w jakimś kanale filmowym na kablówce. I nagle rozpoczęła się dyskusja. Coś nowego w nim znaleźli. Coś odkrywczego. Świeżego dla tych, nie tamtych czasów.

Film ma klimat futurystyczny, ma w sobie wizję apokaliptyczną. Wizję świata jeszcze do końca nieodkrytego. Znanego, ale nieodkrytego. Teraz wszystko jest w nim nowe, świeże. Krytycy mówią, to arcydzieło. Mówią to po latach pełnych pogardy dla reżysera.

I teraz, gdy został pokazany na jakimś festiwalu poza konkursem, zdobył nagrodę publiczności. Film się zmienił, czasy się zmieniły, może ludzie się zmienili. Czas niszczy wszystko, czas określa wszystko. Czas zabija. Czas kocha. Czas wyzwala.

Jeszcze delikatniej pogłaśniam telewizor. Jeszcze delikatniej rozsiadam się na łóżku. Jeszcze delikatniej wyostrzam swój wzrok, swój słuch. Zaczyna się film.

Ziemia. W zasadzie koniec ziemi. Niebo jest jakieś inne, zawsze ciemne, zawsze pełne mroku. Słońca prawie nie ma, a jeśli jest to głęboko ukryte za mrokiem, za chmurami.

Ludzie zniknęli. Nie ma nikogo. A może gdzieś są, ale daleko, zbyt daleko od mężczyzny i kobiety. Tu gdzie żyją, są sami. Nie ma nikogo. Nie ma nawet wytłumaczenia, dlaczego ludzie zniknęli?

Mężczyzna i kobieta kiedyś się obudzili, i nie było już nikogo. Teraz, prawie po roku, myślą, że tak naprawdę to zawsze byli sami na tym świecie.

Żywność powoli zaczyna się kończyć. Wszystkie towary ze sklepów tracą powoli ważność. Wędliny zaczynają puchnąć, sery zaczynają puchnąć, konserwy zaczynają puchnąć. Cały świat wokół mężczyzn i kobiety puchnie. W ich głowach też.

Na początku mężczyzna i kobieta gdzieś podróżowali, coś zwiedzali. Chodzili po pustych muzeach, po bogatych domach, zwiedzali. Byli królami świata. Jedynymi królami świata. Byli bogaci. Mogli wynosić dzieła sztuki z muzeów, mogli mieć diamenty, szmaragdy z sejfów w bankach. Byli bogaci, ale nie mieli komu tego bogactwa sprzedać.

Nie ma ludzi i nigdy już ich nie będzie. To zrozumieli po roku. Wokół nich cisza. I zwierzęta, które powoli zadomawiają się w mieście, pustym mieście. Zwierzęta żyją koło nich. Śpią w łóżkach ludzi, mieszkają w ich mieszkaniach. Żyją, jednak nie tak samotnie jak mężczyzna i kobieta.

Którejś nocy mężczyzna widzi kobietę w swoim śnie. I ta kobieta jest przeciwieństwem kobiety z którą ten mężczyzna teraz żyje. To tęsknota, tęsknota za doskonałością, myśli mężczyzna. Kobieta jest w snach mężczyzny każdej nocy. Mężczyzna zaczyna powoli się zakochiwać w swoim śnie. Zakochiwać w kobiecie ze snu.

Czasami, gdy mężczyzna idzie pustymi ulicami miasta, idzie sam, szukając resztek żywności w sklepach, w lodówkach pustych teraz domów, w jakiś magazynach, w restauracjach, wtedy, podczas tych poszukiwań, czasami bezowocnych, mężczyzna zaczyna widzieć kobietę ze snu. Widzi ją w jakimś oknie w kamienicy. Mężczyzna tam biegnie, wchodzi skrzypiącymi schodami w górę, otwiera stare zniszczone drzwi a tam kobiety nie ma. Jest tylko jej zapach. Zapach wiosenny. Widzi ją na niebie, ale to złudzenie, mężczyzna to wie, jeszcze nie zwariował do końca. Widzi ją w jeziorze, gdy kobieta płynie łodzią do brzegu. Gdy łódź dopływa niesiona prądem do brzegu, nikogo tam nie ma. Może nigdy nie było. Jest tylko jej zapach. Zapach wiosenny. Widzi ją, gdy kobieta wchodzi do muzeum. Idzie za nią. W oddali ją widzi. Nie chce jej spłoszyć. Widzi jak kobieta ogląda obrazy w pustym muzeum. Widzi jak je dotyka oczami, rękami, koniuszkami palców. Mężczyzna chce do niej podejść, gdy kobieta przechodzi do innej sali muzeum. Ale w tej sali jest pustka, cisza, nie ma tam nikogo. Jest tylko jej zapach. Zapach wiosenny. Ta kobieta, ta miłość to złudzenie, myśli mężczyzna.

Którejś nocy mężczyzna stoi na dachu kamienicy. W oddali widzi ognisko, widzi kobietę ze snu. Widzi ją poza miastem. Mężczyzna idzie pustymi ulicami, potem idzie polami, idzie lasem aż dochodzi

do polany. Widzi kobietę, kobieta siedzi, na patyku ma nabitą kielbasę, którą piecze nad ogniskiem.

- To ty? – pyta mężczyzna.

- Tak, to ja – odpowiada kobieta.

- Długo cię szukałem.

- Znalazłeś mnie. Znalazłeś w tej ciszy dookoła nas.

- Nie ma ludzi. Może nigdy nie było. Zniknęli. Odeszli w niepamięć.

- Żyję tu sama. Samotna, bezbronna. Pełna lęków o przyszłość.

- Jest jakaś przyszłość dla nas? Jakaś nadzieja?

- Wszystko się kończy. Świat, czas, my też. Nadzieja to złudzenie, że możemy coś zmienić, choć tak naprawdę już nic nie możemy zmienić.

- Mogłabyś mnie kiedyś pokochać?

- Kiedyś, tak. Ale już nie ma czasu na nic. Na życie. Na miłość.

- Na miłość zawsze jest czas. Nawet w czasach lęków, nawet w czasach zagiętych.

- Miłość to spełnienie. A my nie mamy czasu żeby się poznać, spełnić. Na wszystko już jest za późno.

- Szansa – mówi mężczyzna. – Potrzebujemy tylko szansy.

- Życie to nie ruletka. Coś się uda, coś się nie uda. Coś się wygra, coś innego się przegra. Coś zdobywamy, coś tracimy. Miłość nagle jest, nagle jej nie ma. W tym świecie, w tych czasach nie mamy żadnej szansy na miłość.

- Proszę cię – mówi cicho mężczyzna.

- Nigdy nie proś o rzeczy, których nie jesteś w stanie zdobyć. Utrzymać przy sobie.

Ktoś dotyka ramienia mężczyzny. To żona tego mężczyzny.

- Szukałam cię, gdy się obudziłam w nocy. Przestraszyłam się.

Mężczyzna jest zdziwiony, zaskoczony.

- Co robisz na dachu kamienicy? Dlaczego patrzysz się w ciemność i mówisz coś do siebie?

Mężczyzna milczy, nic nie mówi. Jego ciało lekko drży od zimna nocy. Złej nocy.

- To co widzisz przed sobą to jasna gwiazda na niebie. Jedy-
na gwiazda. Tam nie ma ludzi. Jesteśmy sami. Wciąż sami. Wiesz –

cicho mówi kobieta. – Ta gwiazda śniła mi się w nocy. Coś do mnie mówiła.

- Co mówiła?
- Nie traćcie czasu na rzeczy, które nie możecie znaleźć.
- Tylko to powiedziała?
- Jesteście sami i nic tego nie zmieni. Samotność też może być darem, gdy trafi na właściwych ludzi, na mądrych ludzi.
- Coś jeszcze powiedziała?
- Uważajcie na złudzenia. Złudzenia niszczą ludzi, nawet silnych ludzi. Złudzenia niszczą chwile, nawet dobre chwile. Złudzenia niszczą miłość, nawet dobrą miłość.

Kładę się do łóżka. Wciąż myślę o filmie, wciąż pojedyncze sceny są odtwarzane w mojej głowie. Wciąż zauważam coś wspólnego ze mną w tym mężczyźnie. Zauważam coś, co mnie niepokoi. Kobieta, która nagle pojawiła się obok mnie. Kobieta, która jest przeciwieństwem innej kobiety, którą kocham, którą chcę kochać i boję się, że ta inna kobieta coś zburzy we mnie, zburzy niezauważalnie. Zburzy bezpowrotnie.

Najgorsze co może spotkać mężczyznę, który ma kobietę i wciąż kocha tę kobietę to inna kobieta, która nagle pojawia się koło tego mężczyzny, pojawia się wtedy, gdy jego kobieta ma taką pracę, że musi dużo wyjeżdżać i zostawiać tego mężczyznę samego. Samego ze sobą. Samego ze swoimi słabościami i lękami. I ta inna kobieta, samotna kobieta, kobieta która wie czego chce od życia, wie czego życie chce od tej kobiety, nagle zaczyna spędzać z tym mężczyzną coraz więcej czasu. I ten czas spędzony z tą inną kobietą staje się coraz bardziej ważny dla tego mężczyzny. Na razie ten mężczyzna jeszcze nie wie, że ta kobieta, kiedyś obca kobieta, staje się dla niego coraz bardziej ważna. Na razie ten mężczyzna nie zamierza jej kochać, choć ta myśl staje się dla niego coraz bardziej interesująca. Na razie ten mężczyzna ludzi się, że nie wszystko w życiu ma swoje konsekwencje, że nie każdy wybór jest ważny i istotny. I to na razie jakoś tego mężczyznę uspokaja. Usypia. Bardziej uspokaja niż usypia. Uspokaja, ale nie na długi czas, bo ta inna kobieta wciąż wie czego chce od życia. A nawet teraz, po spotkaniu tego mężczyzny, jeszcze bardziej wie, czego chce od życia, jeszcze bardziej wie, cze-

go życie chce od tej kobiety. I ta wiedza, to pragnienie tej kobiety jest najgorsze dla tego mężczyzny. Mężczyzna jeszcze nie wie, że wiedza tej kobiety, pragnienie tej kobiety to jest pułapka dla tego mężczyzny, to jest największe zagrożenie dla tego mężczyzny. I ta inna kobieta wie, że ten mężczyzna kogoś ma, kogoś kocha, wciąż kocha, i to tej kobiecie na razie nie przeszkadza i mężczyźnie to też na razie nie przeszkadza. Ale kobieta zaczyna nagle czegoś chcieć, czegoś więcej od tego mężczyzny, ale kobieta zaczyna nagle zbliżać się do tego mężczyzny, zbliżać niebezpiecznie, zbliżać zbyt blisko. I wtedy ten mężczyzna już wie, że stoi na krawędzi, że przepaść jest blisko, zbyt blisko tego mężczyzny. I wtedy, właśnie nad tą krawędzią, nad tą przepaścią mężczyzna musi podjąć jakąś decyzję i ta decyzja zaczyna go coraz bardziej przerażać, bo musi to być decyzja słuszna, bo musi to być decyzja ostateczna.

Zasypiam. Zasypiam ze złymi myślami w głowie. Zasypiam z niespokojnymi myślami w głowie.

Budzę się nad ranem spocony, budzę się nad ranem zmęczony. Bardziej spocony niż zmęczony.

Wciąż mam sen w sobie, resztki snu w sobie. Resztki jeszcze poukładane, resztki które za chwilę uciekną z mojej głowy. Znikną, odpłyną w nieznane.

Zodiak, bar, piwiarnia, miejsce które zniknęło dawno temu z osiedla. W nim okna, dużo okien, widok na ludzi, na twarze, na pośpiech wokół nas. Pośpiech niespokojny. W Zodiaku wszystko się zaczynało, wszystko się kończyło. Tam rosły marzenia, pragnienia, tam rosła chęć ucieczki od siebie, od innych, tam rosła chęć ucieczki z tego osiedla. Ucieczki na zawsze. Ucieczki w nieznane. Zodiak to była wolność. Zodiak to było zatracenie.

W Zodiaku było dużo miejsca, dużo przestrzeni. Duże stoliki, długie, długi bar i ludzie z osiedla, wciąż ci sami, wciąż nieobecni.

Tam się robiło urodziny, tam się tańczyło z barmanką, tam się słuchało swojej muzyki. Tam czas zasypiał na jakiś czas a potem nagle się budził i wszystko wracało do normy. Szarej, zimnej normy, bo ten bar, to osiedle to była szara, zimna norma. Choć czasami ko-

lorowa, zbyt kolorowa. Ze zbyt dużą ilością kolorów, niebezpiecznych kolorów.

Weronika patrzy się na mnie czujnie, czy jestem na pewno dobrze ubrany. Jej mądre oczy mnie oceniają, skanują, przenikają. W końcu w jej oczach widzę uznanie.

- W końcu wyglądasz jak ktoś, kto może się znać na sztuce. Jak ktoś, kto może więcej wiedzieć o sztuce niż inni.

- To ważne? To takie ważne dzisiaj?

- Nawet nie wiesz, jak trudno było mi załatwić dwa zaproszenia na ten wernisaż. To wydarzenie miesiąca. Ten malarz to najbardziej gorące nazwisko w tym roku. Nikt nic o nim nie wie. Nikt nie wie jak się naprawdę nazywa, jak wygląda, jak żyje, co chce powiedzieć przez swoją sztukę. Jego obrazy sprzedają się dobrze, nawet za dobrze. To dziwne, ktoś nowy, nieznany, ktoś nieokreślony a takie ceny za jego obrazy. Ceny niewyobrażalne.

- Wychodzimy – patrzę się na zegarek. – Nie możemy się spóźnić na takie wydarzenie.

Pod klatką Weroniki, na ulicy Jaremy 1 stoi taksówka. Wsiadamy. Znow ułice, kamienice, ludzie bezgranicznie zapłątani w swoim szaleństwie, szaleństwie codzienności, znow ten hałas miasta, hałas nieznany, przykry, często duszący, znow korki, setki samochodów, motocykli i skuterów, ale w końcu docieramy do celu. Taksówkarz wysadza nas na placu Szczepańskim. Idziemy trzymając się za rękę do Krzysztoforów.

Czuję jakąś dziwną radość, wciąż potrafimy iść ze sobą trzymając się za rękę. To takie naturalne. Czyjś dotyk w moim dotyku, czyjeś ciepło ocierające się o moje ciepło, czyjaś skóra tak blisko drżenia mojej skóry.

Skręcamy w prawo, schodzimy na dół, pokazujemy zaproszenia, jesteśmy w piwnicach. Idziemy do baru, przedzieramy się przez tłum ludzi, biorę dwie lampki wina czerwonego, jedną podaję Weronice. Ona uśmiechem dziękuje mi a potem lekko mruży oczy i wypija pierwszy łyk wina. Widzę ulgę na jej twarzy. Lubię patrzeć jak Weronika się rozluźnia, jak jej oczy nagle uciekają daleko, czasami zbyt daleko ode mnie, a potem widzę że są to oczy szczęśliwe,

wolne, właśnie podczas tej dalekiej ucieczki ode mnie, od innych. Ucieczki w nieznane zakamarki jej duszy.

Obrazy wiszą na ścianach piwnicy. Podchodzimy do pierwszego. Weronika milczy, ja milczę.

Obraz jest mroczny. Dziwny. Jakiś tajemniczy, niedostępny. Ciemne kolory, dużo ciemnych kolorów, po bokach głęboka czerwień, w środku pojedyncze odcienie czegoś żółtego, może słońca. To jakiś kosmos, może jakaś bezgraniczność, może nieskończoność. Ale czego? Zastanawiam się. Może nieskończoność nas samych, może nieskończoność świata.

Weronika wciąż milczy, podchodzimy do drugiego obrazu. Podobny, tylko inna tonacja barw, kolorów. To jakiś cykl, myślę. Jakaś spójność. Mroku, ciemności. Może po prostu jest to ciemność, która zaległa się w duszy malarza. Ciemność nieskończona.

Każdy nosi w sobie ciemność, lecz nie każdy potrafi tej ciemności dotknąć. Ciemność boli, ciemność uzależnia. Ciemność kaleczy, myślę patrząc na kolejny już obraz.

Czuję czyjaś obecność za naszymi plecami, odwracam się. Weronika też się odwraca.

Mężczyzna wysoki, barczysty, wysportowany, oczy węglowe, ciemne, mroczne, mała broda. Mężczyzna czujnie patrzy się na Weronikę.

- Podobają się? – pyta mężczyzna.

- Są inne. Inne niż te, które do tej pory widziałam – mówi Weronika.

- Jak inne?

- Bardzo – uśmiecha się Weronika.

- Dobrze?

- Myślę, że tak. To gorące nazwisko w świecie sztuki. Skoro kolekcjonerzy są w stanie tak dużo płacić za te obrazy, to muszą być dobre.

- Pieniądze nie oznaczają geniuszu.

- Pieniądze nie oznaczają też mądrości, podobnie jak geniusz nie oznacza mądrości.

- To prawda.

- Co myślisz o tych obrazach? – zaciekawia się Weronika.

- Szczerze?

- Na tyle szczerze, ile potrafisz.

- Ten ktoś, kto je namalował jest nieznany. Nikt nic o nim nie wie. Może to dobrze dla niego, dla innych. Maluje pod pseudonimem. To też dobrze. Obrazy na tym zyskują. Nic tak nie przyciąga kolekcjonerów jak jakaś tajemnica. Myślę, że malowanie pozwala mu zapomnieć kim jest, kim był naprawdę w przeszłości. Pozwala mu wierzyć, że to kim był kiedyś zniknie. W końcu zniknie. Przeszłość mu ciąży, wciąż ciągnie go w dół. Czasami zbyt szybko. Ten ktoś wciąż wierzy, że ta przeszłość, zła przeszłość zniknie. Może na zawsze. Może już jutro.

- Nieważne co ty widzisz w sztuce, ważne co widzą inni przez twoją sztukę – mówi Weronika.

- Tak, to prawda. Tak kiedyś ktoś powiedział o swoim obrazie. Myślę, że ten ktoś kto namalował te obrazy, rozbudza w innych szaleństwo. Szaleństwo, które w nich jest, choć tego sami nie widzą. Ten ktoś rozbudza w ludziach mrok, mrok o którym nigdy nic nie wiedzieli. I wciąż tak do końca nie wiedzą.

- On nie jest szalony, inni stają się szaleńcami dzięki niemu – mówi Weronika. – Jego sztuka jest surowa, wyzwala w ludziach to, co chcieli ukryć przed sobą, przed światem.

Mężczyzna się uśmiecha, jakoś smutno, jakoś inaczej. Stoi jak stary płot przy starym zniszczonym domu. Płot, który lekko się kiwa, jakby wiatr chciał wyrwać z niego wszystkie spróchniałe deski. Deski, które jeszcze w nim były. Trwały jak on na posterunku, bez żadnych szans przeżycia. A potem, gdy to kiwanie się uspokaja, mężczyzna znika, znika jak ten stary płot, który nie przetrwał kolejnej surowej zimy.

- Wracamy? – pyta Weronika.

- Dobrze.

Gdy wychodzimy, Weronika się nagle zatrzymuje. Coś zauważa.

- To ten znany pisarz, Tomasz Fitz, a obok niego jego przyjaciel, malarz, Zbigniew Czewski.

Patrzę się tam, gdzie Weronika. I w końcu ich zauważam.

- Widziałem ich kiedyś w gazecie. Zdobyli jakieś nagrody.

- Wciąż zdobywają – mówi Weronika.

Wychodzimy na zewnątrz kamienicy, skręcamy w prawo. Rynek, Sukienice, Kościół Mariacki i noc. Granatowa, ciemna noc. Chmur nie ma, może nigdy nie było.

Spacerujemy. Trzymamy się za rękę. Jest nam dobrze, zbyt dobrze ze sobą. Ile to dobrze, zbyt dobrze będzie trwać? myślę cicho i ta myśl mnie niepokoi, dręczy, czasami niszczy, zabija.

Weronika trzyma w rękach gazetę. Jej oczy są skupione, zdziwione, jakieś dziwne odmyty życia zaznaczają w tych oczach jakieś znaki, symbole. Po chwili głowa Weroniki przekręca się na bok, powoli, bardzo powoli i to powoli rozszerza jej oczy coraz mocniej.

- Nie uwierzysz – mówi Weronika. – Pamiętasz wernisaż, tego mężczyznę z którym rozmawiałam?

- Tak.

- W gazecie piszą, że go aresztowali. Dwa dni temu.

- Za co?

- Zabijał ludzi za pieniądze. Za duże pieniądze.

- Rozmawiał z nami o sztuce.

- Tak. Wiesz, co jeszcze napisali?

- Intrygujesz mnie coraz bardziej. Powiedz w końcu to, co chcesz mi powiedzieć.

- Wernisaż na którym byliśmy, te obrazy, to była jego wystawa. On jest tym znanym malarzem. Nikt o tym nie wiedział. I pewnie by się nie dowiedział, ale przypadek, jakiś ślad z przeszłości, może jego błąd sprawiły, że policja go aresztowała.

- Teraz jego obrazy będą jeszcze droższe. Nic tak nie podnosi ceny obrazów jak skandal, jak jakaś sensacyjna historia związana z artystą.

- Piszą, że zabijał pod wpływem emocji, jednak z zimną krwią. Robił to zawsze na czyjeś zlecenie. Piszą, że malowanie to była jego ucieczka od rzeczywistości, zły rzeczywistości. Ból, śmierć, emocje związane z tą śmiercią są widoczne w jego obrazach. Teraz to wiem. Czułam to wszystko wcześniej, ale nie byłam pewna. Teraz, dzięki jego historii, wiem, że instynkt mnie nie mylił. Gdy artysta ociera się o śmierć, o ból, widoczne jest to w jego obrazach.

Weronika odkłada gazetę, podchodzi do okna. Za oknem znów pada, pada od kilku dni.

- Deszcz nie był dzisiaj mokry. Nawet nie był zimny. Był inny.

Wieczór, plac Szczepański. Fontanna wody wciąż unosi się i opada. Światła wydobywające się z ziemi, pomiędzy strumieniami wody znaczą jakieś dziwne kształty w powietrzu. Ciemnym powietrzu nocy.

Koło fontanny siedzi młody mężczyzna i gra na gitarze. Jego twarz jest skupiona. Jego oczy są daleko, bardzo daleko. Ale to oczy kogoś szczęśliwego i to szczęście jest widoczne w tych oczach. Widoczne od razu.

Gdy mężczyzna przestaje grać podchodzimy do niego. Wrzucamy pieniądze do czarnego kapelusza.

- Dziękuję – mówi mężczyzna. – To ostatnie pieniądze zarobione na ulicy.

- Dlaczego ostatnie? – pyta Weronika.

- Nagrałem płytę. Za chwilę ruszy promocja tej płyty. Chciałem ostatni raz poczuć to, co czuję, gdy gram w różnych miejscach, w różnych miastach.

- Tak dużo podróżujesz? – pytam.

- Gdy ma się gitarę, gdy ma się czas, gdy ma się swoje piosenki to można podróżować bez końca po całym świecie. Zawsze zarobi się na chleb i coś do picia.

- I tak żyłeś do tej pory?

- Kilka lat. Nie wiem czy to dużo, czy mało? Poznałem dobrych ludzi po drodze, ciekawych ludzi. Świat mnie zmienił, muzyka mnie zmieniła.

- Jak to się wszystko zaczęło?

- Znalazłem starą gitarę na strychu. Zacząłem się uczyć na niej grać. Dużo ćwiczyłem i w końcu zacząłem grać dobrze. Gdy patrzyłem się na tę gitarę zrozumiałem, że może mi pomóc uciec, może mi pomóc zmienić całe moje życie. Są takie rzeczy, które sprawiają, że człowiek zmienia całe swoje życie. Dla mnie taką rzeczą była ta gitara. Tam gdzie się urodziłem, gdzie mieszkalem była fabryka i kopalnia. Tak wyglądało tam życie. Dwie opcje, dwa wybory. Żadna z tych opcji mi nie odpowiadała. Wyjechałem, zaprzyjaźniłem się z gitarą. Mogłem żyć tak jak chciałem, mogłem poznawać życie tak jak chciałem. Miałem szczęście, że nie zostałem gwiazdą, bo to by

mnie zniszczyło. Na początku dobrze jest być kimś zwyczajnym. Zwyczajność daje wolność, daje marzenia. Teraz to może się zmie-
nić. Producent mówi, że to dobra płyta.

- Kiedy się ukaże?

- Już niedługo. Płyta jest nagrana nowatorsko. Pomysł był taki, każdy kawałek będzie nagrany w innym miejscu. I będziemy go też rejestrować kamerą.

- W innym miejscu? – dziwię się.

- Graliśmy na dworcu kolejowym, w tle słychać cichy szum prze-
jeżdżającego pociągu. Graliśmy w ogrodzie botanicznym w nocy. Świece, alejki, w tle palmy oświetlone jasnym światłem w szklarni. Graliśmy na bloku wieżowca. Miasto z góry, w nocy, to robi wrażenie. Muzyka unosiła się nad miastem, wysoko, aż do chmur. Grali-
śmy na Kopcu Kościuszki. Był wtedy wiatr. Słysząc go w naszej
muzyce. Graliśmy na statku, gdy płynęliśmy Wisłą. Rzeka w tle,
doskonale to brzmi. Graliśmy na tarasie w Muzeum Narodowym w
Sukiennicach. Ludzie na rynku się na nas patrzyli. I nagle pojawił
się hejnał. Ciekawe uczucie. Muzyka, my i hejnał w tle. Graliśmy w
Zakrzówku przy wodzie. Tylko my, jakieś ptaki w oddali i łabędzie
na wodzie. Graliśmy na Wawelu w nocy, na dziedzińcu. Duma uno-
sząca się z murów zamku, potęgą. To słysząc w naszej muzyce.

- Cała płyta jest tak nagrana?

- Będą dwie płyty. Jedna płyta nagrana w studio, druga z tą samą
muzyką nagrana w tych wyjątkowych miejscach. Taki pomysł. My-
śle, że dobry.

- Wszystko sam napisałeś?

- Muzyka jest moja, słowa są moje. Miałem szczęście, że produ-
cent mnie zauważył. To ktoś nowy w tej branży. Ma inne pomysły
niż inni. Może to wszystko się udać. A jak nie, zawsze mogę wrócić
na ulicę i grać, i podróżować, i rozmawiać z ludźmi. Świat jest wy-
jątkowy, gdy mamy pomysł na ten świat, gdy mamy pomysł na sie-
bie.

Żegnamy się z mężczyzną, wracamy do domu.

- Niewielu ludzi potrafi żyć tak jak chce – mówi Weronika.

- Niewielu ludzi chce żyć tak jak chce – mówię ja.

Sobota rano. Stoję na lotnisku w Nowym Targu. Stoję i patrzę się na balon, który na razie syczy, kręci się nerwowo na boki. Na razie balon milczy, lecz wiem, że za chwilę cały jego kształt i zarys zacznie żyć, zacznie uciekać gdzieś daleko w przestworza, w kierunku chmur, w kierunku gór. Tak, w kierunku gór. Za chwilę będę w tym balonie siedział z Iwoną i będę się unosił wysoko, i będę przemieszczał się pomiędzy chmurami w kierunku gór, w kierunku Zakopanego.

Pogoda jest słoneczna, lekki wiatr na horyzoncie. Niegroźny, jak powiedział Piotrek. Kilka chmur na niebie, kilka chmur przypominających stado białych owieczek pasących się na polanie i skubiących delikatnie trawę. Iwona, uśmiechnięta, jakoś dziwnie podniecona. Jej czerwone oczy błyszczą bardziej niż promienie słońca nad naszymi głowami, a jej czarne włosy przy tym lekkim wietrze wykonują jakiś indiański taniec, taniec o szczęśliwie zakończeniu tej wyprawy.

- Wsiadamy – mówi Piotrek głosem stanowczym, pewnym.

Już jesteśmy w koszu, już unosimy się do góry, już dachy bloków są pod nami, już ulice są pod nami. Korki i samochody na dole stają się nic nie znaczące tu na górze, tak samo jak problemy, które tutaj, wysoko, na wysokości chmur, w chmurach, pomiędzy chmurami są nieważne, nieistotne, jakieś ulotne i rozmazane. Ból na dole ma inny wymiar i znaczenie niż ból na górze.

Lecimy wzdłuż drogi, kierunek Zakopane. A na dole korek, jak zawsze, jakby wolność wymagała poświęceń, jakby wolność to był czas, który musimy zmarnować, żeby choć trochę zbliżyć się do tej wolności. Zbliżyć, ale odczekać.

Balon lekko unosi się w kierunku Zęba, już widzimy Gubałówkę. A tam tłum ludzi, którzy wierzą, że Zakopane to Krupówki, Gubałówka, Morskie Oko, no i może Chochołowska, Kościeliska, jeśli starczy im czasu i energii. Bo cała energia to Krupówki, bo cała energia to skocznia, bo cała energia to hałas jaki zostawiamy na Krupówkach i Gubałówce. Zostawiamy go tutaj, bo tam gdzie mieszkamy jest hałas inny, hałas znajomy, mniej dokuczliwy, bo to hałas zaprzyjaźniony, bo to hałas, który dopiero wieczorem usypia nas do snu, bo wierzymy, że bez tego hałasu tak naprawdę nie potrafimy już zasnąć, nie potrafimy już żyć.

Życie to hałas, hałas to życie. Życie to my zanurzeni w tym hałasie bezwarunkowo. Zanurzeni ostatecznie.

Lecimy teraz nad Krupówkami, tam mrówki walczą o przetrwanie, tam mrówki chcą wydać swoje zdobycze szybko, bezboleśnie.

Widzimy Tygodnik Podhalański, na tarasie siedzą ludzie – tam jest spokojniej, ciszej.

Obok Krupówek park, rzeka górską, która tam na dole traci całą swoją moc, niebezpieczną moc, jest spokojna, cicha, bezpieczna.

Balon znosi nas na bok, lecimy w kierunku Doliny Chochołowskiej, wzdłuż domów, wzdłuż ulic, wzdłuż busów pełnych turystów.

Dolina Chochołowska, stado owieczek na hali, widzimy rzekę, schronisko na Polanie Chochołowskiej, widzimy drewniany kościół, pod nami Grześ, Rakoń, Wołowiec, a tam ludzie, szczęśliwi ale zmęczeni.

Lekki wiatr pcha nas w kierunku Doliny Kościeliskiej, widzimy schronisko na hali Ornak, przy nim drewniane ławki, ludzie. Droga do Smreczyńskiego Stawu, a przy stawie ludzie jak mrówki, tacy mali, nieistotni, zbędni. Widzimy Dolinę Tomanową i łąkę po której czasami chodziłem, bajeczną łąkę. Łąkę gdzie często nie ma ludzi, jest cisza, jest spokój, jest jakieś dziwne zagubienie, jest jakaś ucieczka od ludzi, od siebie.

Piotrek się uśmiecha, wyciąga butelkę szampana, otwiera, korek wylatuje za kosz, znika w chmurach na dole. Trzy szklane lampki już są pełne, już w nich drga jakieś życie, coś w nich pulsuje, zmienia kształt i zarys.

- Za spotkanie – mówi Piotrek.

- Za to, że dzięki tobie ten dzień jest wyjątkowy, inny niż wszystkie – mówi Iwona, mówi to tak, jakby coś się w niej rodziło na nowo, coś w niej dojrzewało, jakby jakiś kwiat, magiczny kwiat nagle wyrósł w nocy i wszystkich zaskoczył swoimi barwami i zapachem.

- Za to, że świat na górze jest taki inny, bardziej określony i prawdziwy, że to co na górze wyzwala w człowieku inne rzeczy niż to co na dole – mówię, ale ciszej niż szum wiatru, ciszej niż szelest drzew na dole.

Pijemy szampana. Jest lekko chłodny ale dobry.

- Przywiozłem go, gdy byłem w Paryżu. Trzymałem go na wyjątkową okazję. Smakuje dobrze, nawet zbyt dobrze – uśmiecha się

Piotrek i jest w tym uśmiechu jakaś wolność, jakaś chęć ucieczki wyżej, jeszcze wyżej, ucieczki gdzie świata już nie widać, gdzie nie ma granic, żadnych granic, jest tylko ciemność, ciemność dająca szansę na spokój, na szczęście. Na odrobinę szczęścia w przyszłości.

Balon unosi się trochę wyżej, widzimy Czerwone Wierchy, a tam mgła, chmury, jak prawie zawsze, najczęściej ich na Ciemniaku. Małolączniak lepiej widać. Na nim ludzie, siedzą na skałach, odpoczywają, niektórzy leżą na plecach na trawie, która tutaj jeszcze jest, siedzą i patrzą się na góry Słowackie, też piękne, też wzniosłe, też niebezpieczne.

Giewont pod nami, a tam tłum ludzi, łańcuchy. Zmęczone kształty chcą coś sobie udowodnić, coś udowodnić innym, tym co zostali na dole, w miastach, we wioskach, chcą udowodnić, że naprawdę byliśmy w górach, bo zdjęcie na Giewoncie to jakaś forma odwagi, to jakaś forma zatracenia się w górach, w sobie. Zdjęcie, żeby inni już wiedzieli, że jesteśmy w górach, żeby inni już wiedzieli, że żyjemy inaczej, lepiej. Zdjęcie to udowodni, podkreśli, zaznaczy. Odwaga, cierpienie, przeznaczenie, wszystkie te rzeczy są zawarte w tym zdjęciu, zawarte dla innych. No, bo przecież nie dla nas samych. My tak naprawdę tego zdjęcia nie potrzebujemy, potrzebują go inni. I stąd ten trud, to cierpienie, to zwątpienie. Ile jeszcze do szczytu? Ile jeszcze czasu nam zajmie dojście do łańcuchów? A potem – jak daleko do schroniska? Dlaczego wciąż pada deszcz? Lekki, ale deszcz. Skąd te mgły? Akurat dzisiaj. I ulga. Już jesteśmy na dole. Już Kuźnice. Już bus na nas czeka. Wreszcie Krupówki, piwo, jakiś obiad. I tych gór na razie starczy. Piękne, ale męczące. Za rok, chyba jednak nie. Za dwa, może. Za kilka lat trzeba tu wrócić. Zrobić kilka zdjęć i wrócić. Bo góry, to tak naprawdę zdjęcia, nie wspomnienia, zdjęcia. Wspomnienia się zacierają, zdjęcia nie. O zdjęciach będą pamiętali inni, o naszych wspomnieniach już nie. Na pewno tu jeszcze wrócimy, ale dopiero za kilka lat. Ulga, dopiero za kilka lat.

Balon ucieka dalej w bok, pod nami Schronisko na Kondratowej Hali. Wiatr się wzmaga, chmury pojawiają się na horyzoncie. Złe chmury. Na razie dalekie, odległe, ale złe.

Kasprowy Wierch. Kolejka, wagoniki, ludzie na szczycie. Tam trzeba być, choćby kolejką. Kasprowy Wierch to wyzwanie, Kasprowy Wierch to marzenie.

Balonem trochę trzęsie, wiatr się wzmaga, wiatr ociera się coraz niebezpieczniej o balon.

Widzimy Schronisko Murowaniec, Czarny Staw Gąsienicowy, Kościelec, Karb, a potem już nic nie widzimy. Mgła, chmury, całkowity brak orientacji. W nas. Poza nami.

Twarz Piotrka tężeje, zmienia się tak jak pogoda. Jego oczy stają się zimne, obce. Piotrek patrzy się na dół, patrzy się na boki, patrzy się przed siebie. Jesteśmy w bieli, w chmurach, jesteśmy nigdzie. Tak, jesteśmy nigdzie. Nie ma nas. Możemy być wszędzie, możemy być nigdzie.

Nic nie widać. Biel, białość, śnieg. Cisza, pustka. Nic nie widać. Wiatr, chmury, świst. Cisza, pustka. Nic nie widać. Szarpanie, liny trzeszczą, skrzypią, prawie iskrzą. Cisza, pustka. Nic nie widać. W oddali słyszymy ciche grzmoty, słyszymy pioruny, słyszymy zbliżające się zło, niebezpieczeństwo. Nic nie widać. Cisza, pustka.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy – mówi Piotrek. – Pewnie gdzieś nad Orlą Percią, może nad Doliną Pięciu Stawów. Strach lądować. Nie wiadomo gdzie szczyty, nie wiadomo nic.

Trzymamy się coraz mocniej kosza, lin. Wszystko trzeszczy w balonie, wszystko się w nim załamuje. W oczach Piotrka widzę strach. Pierwszy strach. W oczach Iwony widzę zdziwienie, złe, mroczne zdziwienie.

- Przeżyjemy? – pyta cicho Iwona.

- Nie mamy gdzie lądować. Widoczność zerowa. Możemy otrzeć się o jakiś szczyt, balon pęknie, rozerwie się i wszystko stracone. My, przeszłość, złudzenia.

Balon ociera się o jakiś szczyt, ale wiatr unosi go wyżej, po skosie do góry. Kosz zahacza o jakąś skałę, podskakuje, lecz wciąż lecimy do góry.

Na moment mgła się przerzedza, widać jakiś staw, może to Dolina Pięciu Stawów, może Morskie Oko, może Słowacja. Znow nic nie widać.

Kosz zaczyna nerwowo drgać, to od wiatru, zbyt dużego wiatru. Na szczęście pioruny gdzieś milkną w oddali. Zacierają się we mgle,

w pustce. To dobrze. Zło uciekło od nas na kilka chwil. Może na wieczność. Liny wciąż trzeszczą, prężą się, płatają z chmurami, które już są w nas, w środku balonu i kosza. Jesteśmy częścią chmur, chmury są częścią nas.

Nagle coś zauważam. Jakiś kształt siada na koszu. To biały gołąb, siedzi i patrzy się na nas. Gdzieś pomiędzy chmurami widzę jakąś twarz. Jednak po chwili ta twarz znika. Złudzenie, myślę. Gołąb patrzy się na nas. Nie widać w nim strachu. Piotrek podchodzi do niego, dotyka ręką jego piór. Gołąb nie odlatuje, wciąż nie widać w nim żadnego strachu. Oczy Piotrka, przed chwilą zimne, obce, niebezpieczne teraz się uspokajają. Zadomawia się w nich jakaś cisza. Dobra cisza.

Gołąb odlatuje, krąży koło balonu. Lata koło niego jakby czekał na nas.

- Lecimy za nim – mówi Piotrek. – Lądujemy tam gdzie on.

Piotrek próbuje kierować balon na dół, lecimy za gołębiem, który zniża swój lot w kierunku ziemi. Jesteśmy niżej, coraz niżej. Wi doczność zerowa. Mgły, chmury, brak orientacji w nas, poza nami.

Gołąb jest już przy ziemi. Siada na dużym głazie. Lądujemy koło tego głazu. Lądujemy w mleku, we mgle, w ciemności za dnia. Balon delikatnie dotyka ziemi.

Gołąb przez chwilę patrzy się na nas, potem znika w ciemności, znika we mgle.

Wysiadamy z balonu. Milczymy.

- Coś każało mi lecieć za tym gołębiem – mówi Piotrek. – Jakiś głos mi powiedział „Leć, zaufaj, uwierz” i polecałem. Nie czułem strachu, wiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Z nami. Z lądowaniem.

Iwona przytula się do Piotrka.

- Dziękuję – mówi cicho, prawie szeptem. Prawie oddechem.

Wiatr się wzmacnia i rozrzedza chmury. Chmury, mgła uciekają do góry, w kierunku szczytów, uciekają przed siebie. W nicość.

Piotrek rozgląda się uważnie. Wygląda jak myśliwy na polowaniu. Jego wzrok, cała jego twarz zaczyna rozpoznawać kształty, zarysy, cienie koło nas.

- Jesteśmy koło Mnicha – mówi Piotrek. – Zejdziemy na dół do Schroniska Morskie Oko i tam spędzimy noc. Rano tutaj wrócimy i spróbujemy polecieć do góry.

Piotrek sprawia, że balon gaśnie, kurczy się, znika na naszych oczach. Po chwili sam kosz stoi przed naszymi oczami.

Idziemy na dół żółtym szlakiem. Noc powoli dociera do gór. Gdy Morskie Oko mamy po prawej stronie ciemność jest wszędzie, ciemność jest nigdzie. Słyszać tylko nasze kroki, nasze ciężkie oddechy w ciemności. Morskie Oko odbija gwiazdy na wodzie. Jutro będzie dobry dzień, myślę. Dobry na ucieczkę z gór balonem.

W oddali widzimy światło w schronisku. Światło powoli się do nas zbliża, a może to my zbliżamy się do tego światła. Już schodzimy na dół, już jesteśmy przy schronisku, patrzę się na zegarek, dochodzi północ. Noc zapada w górach szybko, czasami szybciej niż w innych miejscach.

Wchodzimy do schroniska. A tam tłum ludzi, śpią na podłodze. Piotrek z kimś rozmawia, potem do nas podchodzi.

- Możemy zostać, śpiemy na podłodze.

- Wiedzą o balonie? – pytam.

- Nic im nie mówiłem. Rano wstaniemy wcześniej i spróbujemy uciec z gór. Jeżeli góry nam na to pozwolą.

Piotrek podaje nam kanapki i ciepłą herbatę. Jemy w milczeniu. Patrzymy się za okno. Widać ciemny zarys szczytów, widać ciemny zarys Rysów.

- Spaliście kiedyś w schronisku? – pyta Piotrek.

- Nigdy – mówię ja, mówi oczami Iwona.

- Ja raz spałem w Murowańcu, kiedy chciałem przejść całą Orlą Percą na jeden raz.

- I udało się? – pytam.

- Tak. Miałem dużo szczęścia i dobrą pogodę. W górach szczęście to rzecz bardzo ważna. Może najważniejsza. Bez szczęścia nie ma marzeń, bez szczęścia nie ma skutków tych marzeń w prawdziwym życiu.

- Ile czasu ci to zajęło?

- Same szczyty to siedem, osiem godzin, a przecież trzeba tam jeszcze dojść. No i pogoda, ważna jest pogoda.

- Orla Percą jest trudna?

- Tak. Łańcuchy, drabinki, klamry, śliskie skały i chmury koło nas. To przygoda. Człowiek idzie, nie zastanawia się nad niczym, chce tylko dojść do celu i zejść bezpiecznie w kierunku domu.

- Góry ciągną do siebie ludzi. Ludzie ciągną do gór. To przygoda, czasami niebezpieczna przygoda.

- Chodźcie ze mną – mówi Piotrek.

Wstajemy, idziemy do drugiej sali. Jakiejś bocznej sali. Piotrek otwiera okno. Wychodzimy na zewnątrz. Siadamy przy Morskim Oku, przy brzegu.

- To takie sekretne wyjście ze schroniska. Pokazał mi je kiedyś przewodnik. Mój dobry kolega. Kiedyś dużo razy chodziłem z nim po górach. Często nieznanymi szlakami. On mógł nimi chodzić. I pokazał mi kiedyś to okno. Powiedział, jak kiedyś będziesz tutaj nocował, wyjdź tym oknem na zewnątrz, ale tak by nikt cię nie widział i poczuj góry w nocy. Usiądź nas stawem, poczuj jak góry przenikają całe twoje ciało, całe twoje zmysły, oddychaj głęboko i ciesz się, że jesteś bezpieczny w górach.

- Skąd wiedział o tym oknie?

- Przewodnicy wiedzą o wielu rzeczach. O wielu rzeczach zakazanych w górach.

Piotrek wyciąga małą wódkę z kieszeni.

- To prezent od kolegi tego mojego kolegi. To właśnie z nim rozmawiałem w schronisku o naszym noclegu dzisiaj. Dał mi ją w prezencie.

Metalowe kubki wypełniają się wódką. Pijemy cicho, patrzymy się na góry, na ich niedostępne teraz szczyty.

- Zimno – mówi Iwona, a jej głos jest jak bryła lodowa, która za chwilę może się rozpaść i wpaść do morza.

- Zaraz wracamy – mówi Piotrek. – Nacieszcie się widokami. Ten cały lot balonem, to napięcie podczas tego lotu, ten gołąb, powrót w ciemności, schronisko nocą i my, teraz, nad tym stawem to przygoda, którą zapamiętamy do końca naszych dni.

- Najlepsze przygody zawsze ocierają się o jakieś niebezpieczeństwo – mówię lekko szczękając zębami.

- Najlepsze przygody zawsze wiążą się z ciekawymi ludźmi – mówi Iwona.

- Najlepsze przygody to te, gdy czas, miejsce, okoliczności, ludzie są ze sobą tak naprawdę, tak do końca – mówi Piotrek.

Wstajemy, oknem wracamy do schroniska. Zmęczeni szybko zasypiamy na podłodze. Nic mi się nie śni. Nic mi się nie śni tak do końca.

Znów idziemy szlakiem. Jest jeszcze noc. Zimna, chłodna noc w górach. Iwona wciąż przeciera oczy, źle spała, niewygodna pogoda, niewygodne życie.

Piotrek idzie pierwszy, potem Iwona, na końcu ja. Wyszliśmy ze schroniska gdy wszyscy jeszcze spali. Po drodze jedliśmy jakieś kanapki. Nie były ani dobre, ani złe, były nijakie.

Już widzimy Mnicha, już widzimy kosz tuż przy nim. Stoi jak jakiś posąg, niewidzialny posąg o którym ktoś kiedyś zapomniał i teraz ten posąg, niewidzialny posąg znów chce żyć, znów chce istnieć, znów coś chce znaczyć dla siebie, dla innych.

Piotrek napęnia balon, który powoli rośnie i rośnie, aż w końcu jest olbrzymi, wzniosły, dumny jak żołnierz po wygranej bitwie.

Na horyzoncie pojawiają się pierwsze przebłyski dnia. Wsiadamy do kosza, balon powoli unosi się do góry.

- Góry nocą to całkiem coś innego niż góry podczas dnia – mówi Piotrek.

Ma rację, myślę. Szczyty są jakieś inne, nie takie jak za dnia. Mają w sobie ukrytą tajemnicę, tajemnicę życia, śmierci.

Jesteśmy już wysoko, dzień zaczyna być już jasny, zaczyna być już szczerzy.

Iwona patrzy się na dół. Jej senne oczy zaczynają się powoli rozjaśniać. Zaczyna się w nich rodzić życie, prawdziwe życie.

Gdy jesteśmy w Nowym Targu lądujemy. Wsiadamy z kosza.

- Jak wycieczka? – pyta Piotrek. – Z przeszkodami, ale też ze wspomnieniami.

- To było coś wyjątkowego – mówię. – Wyjątkowego aż do bólu.

- Aż do zatracenia – mówi Iwona, a jej głos, gdy mówi zatracenia nagle się wyostreza, pręży, jest jak miecz podczas walki, miecz, który niszczy wszystko dookoła.

Żegnamy się z Piotrkim. Wracamy do domu. Podczas drogi milczymy. Potem Iwona zasypia, więc nie widzę jej czerwonych oczu, płomiennych oczu.

W domu kładę się do łóżka, też czuję zmęczenie w sobie. Źle spałem w schronisku, tak jak Iwona.

Gdy moje oczy na dobre zadamawiają się w śnie przypominam sobie wycieczkę samochodem do Katowic, na koncert Dżemu, gdzie też pojawiły się nagle problemy.

Jechaliśmy autostradą, Dżem miał swoje urodziny w Spodku, jakaś okrągła rocznica i nagle samochód zaczął dymić z tyłu. Coś w silniku nie grało. Potem okazało się, że to chłodnica. Staliśmy na autostradzie, piliśmy piwo, czekaliśmy aż dym na moment zniknie, ucieknie z samochodu i czuliśmy strach, że nie zdążymy na koncert, że nie dotrzemy do Spodka w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili.

Gdy dym zniknął, ruszyliśmy. Co jakiś czas stawaliśmy, bo dym się wciąż pojawiał. A potem znikał i tak w kółko.

Pod Spodkiem leżeliśmy na trawie, piliśmy piwo i byliśmy jakoś dziwnie szczęśliwi. W młodości, szalonej młodości często zdarzały się takie momenty, niespodziewane momenty, że byliśmy jakoś dziwnie szczęśliwi. Przeważnie po spożyciu używek. Używek, wtedy oznaczało wiele, używek, wtedy oznaczało nic.

Potem był koncert, dobry koncert. Jeszcze z Ryśkiem, który wydawał się wtedy zdrowy, szczęśliwy. Po czasie, myślę, że Rysiek nigdy nie był zdrowy, nigdy nie był szczęśliwy. Po prostu szedł przez życie najlepiej jak potrafił. To czasami dużo, to czasami nic.

Gdy wracaliśmy w nocy samochodem znów był dym, znów były złudzenia. Jakoś dojechaliśmy, co chwilę zatrzymując się na drodze. Ale to już nie miało dla nas znaczenia. Po prostu jechaliśmy do przodu przed siebie. Czasami jechać do przodu przed siebie to dużo, czasami jechać do przodu przed siebie to nic.

A potem, gdy Rysiek zmarł, pojechaliśmy na jego grób, w pierwszą rocznicę śmierci. Byli ludzie, były rozłożone zdjęcia na grobie, była cicha muzyka grana przez nieznanego fana na gitarze i była whisky w naszych rękach, whisky przywieziona przeze mnie z Hiszpanii.

A potem, gdy wracaliśmy, zatrzymaliśmy się przy takim metalowym pawilonie i tam na pierwszym piętrze była knajpka, a barman powiedział nam, że obok tego pawilonu mieszkał Rysiek, i staliśmy pod jego klatką i widzieliśmy nazwisko Riedel, i czuliśmy, że to nie jest przypadek, czuliśmy, że czasami pewne rzeczy się dzieją bez naszego udziału. I to było nasze przeznaczenie dzisiaj i to był nasz los dzisiaj. To było nam sądzone bez naszego udziału.

I wróciliśmy do domu. Bo kiedyś musieliśmy wrócić.

I to mi się przypomniało przed snem, przed zaśnięciem. A potem zasnąłem. Uciekłem w niepamięć, uciekłem w sen.

Telefon, dwudziesta druga godzina, podnoszę słuchawkę, słyszę głos Iwony, głos lekko pijany, głos pobudzony, głos niosący w sobie radość, dziką radość.

- Gdy oglądałam film w telewizji – mówi Iwona głosem pełnym napięcia, głosem pełnym pasji – raczej dokument niż film, coś sobie przypominałam, coś z przeszłości.

- Jaki to film? Jaki to dokument? – pytam.

- W Stanach jest taki projekt, Rock Camp, który trwa pięć dni. Przez te pięć dni osoby, które tam przyjeżdżają, osoby które na czymś grają, albo śpiewają, grają ze sobą razem, tworzą zespoły, występują razem na scenie.

- Każdy tam może przyjechać?

- Każdy – mówi Iwona. – I ktoś, kto tam był choć raz, ciągle tam chce później przyjeżdżać.

- I tak grają przez te pięć dni, i tak uciekają w pasję przez te pięć dni. Już mi się to podoba – mówię i wiem, że ludzie, którzy mają pasję żyją dłużej, żyją ciekawiej.

- A co jest w tym najlepsze, co roku pojawiają się tam największe gwiazdy rocka i grają z tymi ludźmi razem. Razem z nimi ćwiczą, razem grają na scenie. Rozmawiają o blaskach i cieniach sławy.

- Można spotkać swoich idoli – mówię i wiem, że każdy chce choć trochę zbliżyć się do swoich idoli. Zrozumieć ich lepiej, poczuć ich lepiej.

- Tak. Gdy słyszałam wypowiedzi tych ludzi, zwykłych ludzi, jak kochają swoją pasję do grania, poczułam, że im zazdroszczę.

- Czego im tak naprawdę zazdrościsz?
- Odwagi, że chcą być sobą pomimo niemożności bycia sobą. Każdy z nich ma swoje życie, poukładane życie, a bez wahania co roku rzucają się w wir pasji na kilka dni. Żeby zapomnieć, żeby zrozumieć, żeby przypomnieć sobie, że to co jest w człowieku najlepsze to pasja bycia innym niż wszyscy.
- Powiedziałaś, że sobie coś przypominałaś z przeszłości.
- Tak. Spotkałam kiedyś dziewczynę, która była na takim obozie w Stanach. Opowiadała mi co się tam działo.
- Zaciekawiasz mnie coraz bardziej – mówię to głosem lekkim jak piórko, lekkim jak puch.
- Ludzie rozumieją się przez muzykę, nawet lepiej niż przez słowa. Ona była wokalistką, śpiewała, a na gitarze grał Jim Page, a perkusistą był ktoś, kto grał z Kravitzem przez kilka lat. Nieważne było, czy ktoś jest dobry, czy nie, nieważne było, że ktoś czasami się pomylił, ważna była radość grania, radość bycia sobą przez muzykę – Iwona milknie, cisza w słuchawce, taka cisza, która obezwładnia gdy ktoś nagle czuje się zagrożony, zagrożony czymś co ma dla niego jakieś znaczenie. – A potem ci muzycy opowiadają o swoim życiu, o blaskach i cieniach sławy.
- I to cię tak poruszyło?
- Poruszyło mnie to, że ludzie mają w sobie chęć dotarcia do siebie, chęć udowodnienia sobie, że wciąż są w nich marzenia, że są w nich stale, że jeszcze nie umarli, że jeszcze coś z tymi marzeniami można zrobić, choćby tylko przez te kilka dni w roku.
- Muszę ten program kiedyś oglądnąć – stwierdzam nagle i to stwierdzenie sprawia, że chcę poszukać czegoś nowego w sobie. Czegoś, co może kiedyś miałem, ale straciłem przez czas, przez ludzi, przez złe życie.
- Wciąż myślę o górach – nagle mówi Iwona. – O locie balonem.
- Też o tym myślę czasami.
- To było coś niezwykłego. Otarliśmy się o niepewność i to otarcie zostawiło ślad w mojej duszy, w moich myślach.
- Będziemy o tym pamiętać, długo.
- Musimy ten lot nad górami powtórzyć.
- Wiele rzeczy człowiek musi powtórzyć, wiele rzeczy człowiek musi zrozumieć.

Iwona nagle milknie, jej głos to cisza, jej głos to przeznaczenie.

- Śpij dobrze. Wróć do gór w snach – Iwona się rozłącza.

Czuję ból, że coś się nagle skończyło. Jej głos zaczyna coraz więcej dla mnie znaczyć. Jej głos zaczyna coraz więcej dotykać rzeczy ważnych we mnie, rzeczy ważnych poza mną. Rzeczy nieistotnych, rzeczy istotnych.

Zasypiam. Uciekam. Już mnie nie ma.

Znów telefon, znów wieczorem, znów nie w porę. Odbieram. Przez chwilę słyszę tylko ciszę w telefonie. I ta cisza, bezwzględna cisza powoli wdiera się do mnie, do środka. Gdy ta cisza jest już dostatecznie głęboko we mnie, w środku, gdy ta cisza zaczyna dotykać rzeczy niebezpiecznych we mnie, rzeczy bezwzględnych we mnie, gdy ta cisza zaczyna zaprzysiężać się z moją ciemnością, z moim mrokiem słyszę cichy szepc w słuchawce. Nie mówę, szepc.

- Już nie ma Piotrka, może nigdy go nie było.

- Jak nie było? Lot nad górami to sen, zły sen.

- Zniknął. Nigdzie go nie ma. Został tylko balon pod lasem. Tak mówi policja.

- Jaki balon? Jaki las?

- Pojechałam do niego. Chciałam mu zrobić niespodziankę. Nie było go na lotnisku. Nie było go w domu. Nie było go nigdzie. Policja mówi, że muszę poczekać. Ludzie uciekają od innych ludzi. Czasami bez powodu. Bez wyraźnego powodu.

- Szukają go?

- Czekają. Gdy nie ma zbrodni, nie ma nic. Gdy nie ma człowieka, nie ma nic. Musi być zbrodnia, musi być człowiek, żeby było coś. Coś, co może określić zło w człowieku, poza człowiekiem – Iwona chwilę milczy, potem mówi dalej. – Najpierw ona, teraz on – słyszę łyzy, bardziej czuję łyzy w Iwonie, niż poza Iwoną.

- Nie chciał nigdzie wyjechać?

- Nie musiał. Dobrze mu się tutaj żyło. Mówił, że człowiek nie może ciągle uciekać. Kiedyś musi się zatrzymać. Kiedyś musi się określić. Czas i okoliczności pomagają w określeniu człowieka w danym miejscu. Mówił, że on znalazł takie miejsce, że już nie musi nigdzie uciekać. Już niczego nie musi gonić. Już nic go nie goni. I to

było najpiękniejsze, mówił, wolność, taka wolność, że już nic nie musimy.

- Poczekajmy – mówię to bez wiary, bez jakiegokolwiek nadziei w głosie.

- Poczekamy – mówi Iwona, mówi to bez wiary, bez jakiegokolwiek nadziei w głosie.

Milczę. Czas milczy wraz ze mną.

Piotrek czeka na lotnisku. Jest jeszcze ciemność na niebie. Poza niebem. Kobieta, bo to była kobieta, chciała zobaczyć wschód słońca, chciała lecieć sama, wcześniej rano, dobrze miała zapłacić, więcej niż inni i to zachęciło Piotrka do wczesnej pracy, zbyt wczesnej pory jak dla niego.

Kobieta, ta obca kobieta powiedziała, raczej spytała niż powiedziała, czy mogą polecieć tam gdzie ona chce. Nie interesują ją góry, tak mu powiedziała. Dobre pieniądze chciała zapłacić za lot balonem, więc Piotrek się zgodził.

Piotrek patrzy na zegarek. Spóźnia się. I gdy to spóźnia się Piotrek pomyślał, zobaczył cień przed sobą.

Kobieta podała mu rękę na powitanie. Uśmiechnęła się poprzez ciemność.

- Możemy lecieć? – spytała cicho, prawie szeptem, prawie samym oddechem, lekkim oddechem.

Balon spokojnie podniósł się do góry. W oddali było widać słońce, jeszcze nierozbudzone słońce.

Kobieta pokazała kierunek. Las, drzewa, polanę w lesie.

- Kocham drzewa, kocham słońce, które potrafi rozjaśnić ciemność o poranku.

Balon leci w kierunku lasu. Wschód słońca jest coraz bardziej widoczny na niebie.

- Możemy tutaj wylądować? – kobieta pokazuje polanę.

- Za mało miejsca – mówi Piotrek. – Mogę wylądować na skraju lasu, a potem pójdziemy na polanę.

- Ta polana to miejsce ważne dla mnie. Wspomnienia. Dobre wspomnienia.

Lądują na skraju lasu. Wychodzą z kosza. Słońce na dobre rozgościło się na niebie. Nie ma chmur, nie ma niczego złego w powietrzu.

Idą przez las w kierunku polany. Piotrek idzie pierwszy. Gdy widzą polanę, gdy widzą zieloną trawę na tej polanie, Piotrek czuje ukłucie w okolicach szyi. Coś paraliżuje jego ciało. Coś zmienia jego ciało w roślinę. Piotrek czuje, że coś się w nim zaczyna kończyć, coś w nim zaczyna umierać. Mrok jest w nim, mrok jest poza nim.

Naciskam guzik windy kilka razy. Winda wciąż stoi na dole, milczy. Zbiegam po schodach na dół. Wciąż ten pośpiech, żeby do czegoś zdążyć, żeby od czegoś uciec. Czasami myślę, że człowiek składa się z nieustającego pośpiechu. Pośpiechu, który staje się całym naszym życiem. Pośpiechu, który wciąż ciągnie nas w dół. Tak jak mnie ten pośpiech ciągnie w dół, nieważne że winda, nieważne że czas, nieważne że wciąż jestem gdzieś spóźniony. Spóźniony nieustannie.

Węc biegnę na dół po schodach.

Piąte piętro sąsiedzi, dobrzy sąsiedzi, przyjaciele rodziców.

Czwarte piętro to sąsiedzi, którzy wciąż są w oknach, wiele widzą, wiele czują, wiele się mogą domyślić. Ich świat to okno, ich świat to ludzie, którzy pojawiają się przed tym oknem, to ludzie, którzy opowiadają im coś o życiu na zewnątrz, czasami niestworzone historie. Tajemnicze historie.

Trzecie piętro, nic o nim nie wiem tak naprawdę. Cisza, pustka w głowie. Czasami nic nie wiemy o ludziach, którzy żyją blisko nas, czasami nawet zbyt blisko.

Drugie piętro Jazzman, człowiek historia tej klatki. Człowiek, który zginął tak jak żył, samotnie. Zawsze był dla mnie zagadką, czymś niewidocznym, czymś niestworzonym, czymś nieokreślonym. Nazwaliśmy go Jazzman, bo tak wyglądał. Jego ubiór to życie, życie to jego ubiór. Czarne włosy, lekko kręcone, czarne okulary, jakby za nimi chciał coś ukryć, jakby za nimi chciał się ukryć przed światem, albo to świat chciał się ukryć przed nim, koszule, przeważnie czarne, mroczne, kurtki różne, sztruksowa czarna, czasami jakaś brązowa, nie przypuszczam że ze skóry, prawdziwa skóra to on, to

jego życie, nie to co nosił na sobie, a czasami kurtka, sam nie wiem, kurtka niosąca zapach czegoś innego, czegoś niebezpiecznego, dżinsowe spodnie, lekko pogniecione, pomarszczone jak jego oczy, gdy ściągał okulary, rzadko, ale czasami je ściągał i jego oczy były wtedy zamglone, niepewne, nie było w tych oczach życia, wiary, jakiejś nadziei, że coś ma sens, czasami niewielki, ale sens, i buty, znoszone, poobijane jak on, gdy wracał nad ranem, po nocy. Czasami pewnie zły nocy.

Mijaliśmy się, on, ja. Gdy bywaliśmy u Darka, w naszej lokalnej pijalni snów, pijalni obłądów, pijalni marzeń, pijalni gdzie czas się zatrzymał, wierzyliśmy, że na zawsze, on tam był, bywał, przebywał. Pewnie miał też inne miejsca, miejsca gdzie też mógł uciec od świata, od ludzi. Czasami od siebie.

Siedział przy barze, milczał, czegoś słuchał. Może nas, może świata, może czegoś co się w nim rodziło, ale wciąż nie mogło się urodzić – wiary, że świat jest inny, lepszy, nawet dla takich jak on.

Potem wracał do domu, przez pawilon. Pawilon w którym graliśmy w piłkę, pawilon gdzie był kiedyś Kosmos, gdzie wcześniej była kawiarnia, tam piliśmy kremiki, jedliśmy galaretkę truskawkową, jedliśmy lody na gałki w metalowych pucharkach, tam bywaliśmy, tam żyliśmy. Czasami bezsensownie. Przez jakiś czas w przedśionku Kosmosu był flipper, i tam było wtedy osiedlowe życie, zawsze wieczorem. Pawilon, gdzie był Dom Kultury, i tam, właśnie tam, robiliśmy sobie karty rowerowe, wszyscy, jakby te karty były wtedy ważne dla nas, może najważniejsze, i tam, w tym Domu Kultury było kino, często tam chodziliśmy, bywały też tam gwiazdy kina, opowiadały o innym życiu, lepszym życiu.

To wszystko teraz widzę rozmazane, prawie niewidoczne. Jakieś obce. Bliskie, ale obce.

W tym pawilonie był też kiosk Ruchu na rogu. Kupowało się tam komiksy, całe serie komiksów – Thorgal, Kajko i Kokosz, Tytus, Romek i Atomek. Tym się wtedy żyło i znaczkami. Wszyscy wtedy zbierali znaczki. Ja znaczki wciąż mam w domu. Inni o nich zapomnieli. Bo czas zaciera przeszłość, czasami dobrą przeszłość. I nic wtedy nie zostaje, nic dobrego, nic złego. Nic co kiedyś było kruche. Kruche, ale ważne. Może najważniejsze.

I Zodiak, kolejny bar, kolejne osiedlowe życie w pawilonie. Umieralnia dusz, umieralnia czasu. Zodiak zabierał nam wszystko, Zodiak dawał nam wszystko. Pochłaniał nas do środka, a potem wyrzucał, wypływał. I gdy nas już wyrzucił, wypłuł to wtedy byliśmy już inni. Tacy sami, a jednak inni.

Przy Zodiaku w nocy, którejś szalonej nocy, Michaś, którego już nie ma, a może nigdy go nie było, grał na gitarze, coś Dżemu, w zasadzie Michaś znał tylko jeden kawałek Dżemu, i grał to z takim zapalem, z takim napięciem, a myśmy wtedy śpiewali, pili, wierzyli, że coś jeszcze możemy mieć z tego życia. Coś innego niż inni, że możemy uciec z tego osiedla, uwolnić się od niego na zawsze i zostaną tylko wspomnienia – dobre, złe, ale wspomnienia, które potem się powoli rozmarzą, znikną. Tak, jak my. My też powoli będziemy się rozmazywać, znikać przez czas, przez życie. I tak graliśmy z Michasiem do rana. Aż zmęczył nas los, aż zmęczyło nas przeznaczenie. Aż zmęczyła nas noc. Zmęczyła ostatecznie.

I tak szedł Jazzman przez ten pawilon, który wtedy tak wiele dla nas znaczył, może dla niego też, ale w innym wymiarze i kształcie, szedł i wchodził do pierwszej klatki bloku numer sześć, wracał do swojego mieszkania numer sześć na drugim piętrze. Wracał i zasypiał. Sam, całkiem sam.

Czasami Jazzman nas mijał w klatce, mojej klatce, bo wyszliśmy wcześniej od Darka. Staliśmy, rozmawialiśmy przy kaloryferze, przy drzwiach od klatki, a on szedł, mówił „Cześć” i znikał na górze.

Kiedyś go spotkałem, gdy wracałem od Darka, byłem sam. Kiedy zostali dłużej u Darka. Ja chciałem uciec do domu, uciec szybciej niż inni. Zrównałem się z nim w pawilonie. On mnie zobaczył przez swoje ciemne okulary, ja go zobaczyłem, zaczęliśmy rozmawiać o muzyce, o koncertach, o starych zespołach. Ożywił się, był jakiś inny. Czułem, że mamy coś ze sobą wspólnego. Coś na chwilę, ale coś wspólnego. Zdjął na chwilę okulary, zobaczyłem w jego oczach błysk, jakaś łza pojawiła się w jego oczach. Może na którymś z tych koncertów się zmienił, może na którymś z tych koncertów coś stracił, a może któryś z tych koncertów coś zakończył w jego życiu, a potem żył tak jak mógł, nie tak jak chciał. Potem

Jazzman znów założył swoje okulary, uśmiechnął się delikatnie i powiedział coś szeptem, prawie niezauważalnie:

- Nie zawsze idziemy tam, gdzie chcemy iść, nie zawsze dochodzimy do miejsc, które zmieniają nasze życie na lepsze.

- Niektórym się udaje – powiedziałem to głosem pijanym, niepewnym, chyba sam w to nie wierzyłem, on to wyczuł, tą niepewność, to zagubienie, ale nic nie powiedział, chwilę milczał a potem rzekł:

- Gdyby nie muzyka, życie byłoby nie do zniesienia. Gdyby nie muzyka, świat byłby inny, gorszy, bardziej niezrozumiały dla mnie, dla innych.

- Czasami muzyka zmienia wszystko w człowieku, naprawia wszystko w człowieku.

- Muzyka zmusza mnie, żebym wstał, umył się i ruszył do przodu. Muzyka zmusza mnie, żebym coś czuł, cokolwiek, ale czuł. Muzyka zmusza mnie, żebym zauważał ludzi poprzez swoje ciemne okulary, żebym ich dostrzegał, choć wiem, że oni dawno już mnie nie dostrzegają. Ludzie o mnie zapomnieli, ja zapomniałem o ludziach. To może lepiej. Dla mnie, dla innych.

Jazzman poprawił swoje ciemne okulary i razem ruszyliśmy do domu. Otworzyliśmy naszą wspólną klatkę, drzwi cicho jęknęły, a może to tylko jęknęły nasze dusze, popękane dusze i po schodach szliśmy do góry. Nie wiem, dlaczego po schodach. Może chcieliśmy w milczeniu być jeszcze trochę razem, coś w sobie nawzajem zrozumieć, zauważyć. Zrozumieć, zauważyć przez tę drogę, wspólną drogę na drugie piętro, a może po prostu nie chcieliśmy czekać na windę, bo pewnie była na dziesiątym piętrze, jak zawsze, gdy człowiek jest zmęczony, udręczony i wszystko wtedy idzie nie tak, nawet winda, nawet czas, nawet nasze zmęczone ciała, udręczone ciała.

Pożegnaliśmy się na drugim piętrze. On powiedział „Cześć”, ja powiedziałem „Cześć”. Potem już go nigdy nie spotkałem.

Gdzieś usłyszałem, że nagle zniknął, rozplynął się. Po kilku dniach policja znalazła ciało, gdy wyważyli drzwi jego mieszkania. Leżał na podłodze, tak jakby grał na fortepianie, jego ręce ułożone były jakby grały jakąś sonatę – sonatę udręczonych dusz.

Nie wiem, czy potrafił grać na fortepianie, nie wiem, czy słuchał jazzu, nie wiem, kim był tak naprawdę, jak żył tak naprawdę. Dla mnie był kimś, kto sprawił, że wciąż o nim pamiętam, choć nie pamiętam o wielu osobach, które też mieszkały w naszej klatce. Może nawet dłużej niż on.

Był kimś opuszczonym przez czas, przez ludzi. Był kimś, kto żył na marginesie życia, własnego życia. Żył tak jak chciał, a może tylko tak jak mógł, tego do końca nie wiem.

Ale dla mnie pozostanie Jazzmanem, człowiekiem w czarnych okularach, który wciąż wracał do naszej klatki, do mieszkania numer sześć, choć wiem, że czasami tam nie chciał wracać, ale wciąż uparcie wracał. Skąd to wiem, bo gdy wracałem wtedy od Darka, gdy go zauważyłem przy pawilonie, to stał i nigdzie nie szedł. Był jak posąg. Stał i milczał. Patrzył się zatrwajającym i pustym milczeniem w niebo, ciemne niebo pełne jasnych gwiazd. Nie widział mnie. Wyczułem, że się wahał, czy wracać do domu, czy nie? Zastanawiał się, czy powrót do miejsc które są puste, bezimienne, prawie bezkształtne i rozmażane ma jakiś sens, ma jakieś znaczenie. Stał i zastanawiał się. Takim go zapamiętałem i takim go będę pamiętał aż do końca. Człowiekiem, który miał duszę popękaną w środku, człowiekiem, który tak naprawdę nie miał do czego wracać. Bo tak naprawdę od dłuższego czasu już nikt na niego nie czekał. Nikt nie mógł mu otworzyć drzwi i powiedzieć „Wróciłeś, długo cię nie było. Wróciłeś. Połóż się, odpocznij. Jutro będzie lepiej. Na pewno będzie lepiej”.

Piątek. Noc. Piątek. Ucieczka z miasta. Ucieczka natychmiastowa. Żeby odpocząć. Żeby zrozumieć. Żeby coś jeszcze chcieć od siebie, od innych.

Siedzę z Weroniką w pociągu. Kierunek morze. Tak Weronika postanowiła, dla siebie, dla mnie. Dla nas. Ostatnio więcej pracowała, więcej wyjeżdżała. Chce odpocząć. Co ważne, chce odpocząć ze mną. Stąd to morze. Stąd ta ucieczka. Na dwa dni. Piątek wieczór, wyjazd. W niedzielę wieczór, powrót. Bo praca. Bo oboje wciąż nie mamy za wiele czasu.

Pociąg rusza. Weronika się uśmiecha. W tym uśmiechu jest nadzieja, że morze nas jakoś oczyści, bardziej zbliży do siebie. Ona w to wierzy, ja w to wierzę.

Stukot szyn, stukot niecierpliwy, mechaniczny. Widzę, że Weronika zaczyna zasypiać. Ja czuвам, na razie czuвам. Obrazy za oknem, obrazy nieznane, ale jakieś ciepłe. Okna w domach płoną jasnym światłem niczym świece na cmentarzu. Ruchome świece. Ciemność, noc i te pojedyncze pochodnie w domach, ciepłe pochodnie.

Ktoś do naszego przedziału się wciska, ale wciska z uśmiechem. Najpierw kobieta, młoda, ładna, a na następnej stacji mężczyzna, starszy ale modnie ubrany.

Zasypiam, ale słyszę rozmowę mężczyzny z kobietą. Droga zbliża ludzi do siebie, ciemność zbliża ludzi do siebie, więc rozmowa jest coraz bliższa, coraz cieplejsza. Śpię, nie śpię. Słucham.

- Jadę do kogoś bliskiego, bliskiego z dawnych czasów. Przyjaćiółka. Dawno się nie widziałyśmy – mówi kobieta głosem rozsypałym jak piasek na drodze, zbyt szybkiej drodze pełnej samochodów.

- Wyjazd natychmiastowy, czy wyjazd przemysłany? – pyta mężczyzna głosem spokojnym, ciepłym.

- Natychmiastowy. Dużo złych rzeczy, dużo złych spraw niebezpiecznych, kłopotliwych.

- Ucieczka pomoże?

- Nie zaszkodzi – mówi kobieta. – Droga pozwala pewne sprawy przemysleć, pewne sprawy zrozumieć. Z daleka pewne rzeczy są bardziej przejrzyste, bardziej oczywiste.

- Koleżanka czeka? – pyta mężczyzna tonem ciepłym, cierpliwym.

- Kiedyś powiedziała, przyjeżdż gdy będzie ci źle w życiu. Więc jadę.

- Widzę w twoich oczach, że nastąpią pewne zmiany w tobie, w innych, gdy wrócisz.

- Tak – kobieta patrzy się na mężczyznę spojrzeniem pełnym jakiejś nieoczekiwanej dla niej bliskości, to ją zaskakuje, widać to w błysku jej zielonych oczu. Widzę to gdy otwieram na moment oczy. I ten błysk, tej nieznajomej kobiety, też mnie zaskakuje. Onieśmiela.

- I będą to zmiany nieodwracalne.

- Za długo jestem z kimś, kogo jeszcze Kocham, ale już go mniej lubię, albo nie lubię go już wcale. Ten wyjazd ma mi pomóc to zrozumieć. Chcę wiedzieć jaka jest różnica między miłością, przyjaźnią, bliskością a brakiem miłości, brakiem przyjaźni, brakiem bliskości. Chcę być pewna, czy mogę wrócić do siebie sprzed kilku lat, dla tego mężczyzny. Czy jest to jeszcze możliwe.

- Jesteś zmęczona?

- Jestem zmęczona udawaniem, że moje życie jest takie jakie powinno być. Jestem zmęczona słowami, które wypowiadam wbrew sobie, żeby ten ktoś, kogo jeszcze Kocham, uwierzył, że coś do niego czuję. Czuję tak jak kiedyś. A tak nie jest. Coś zgubiłam, albo to on coś zgubił. I nie możemy tego razem odnaleźć, zrozumieć.

- Jeśli masz czas, jeśli masz chęci, jeśli masz jeszcze siłę to spróbuj go zrozumieć, a wtedy jest szansa, że on też lepiej ciebie zrozumie. Ludzie uciekają od siebie z powodu braku zrozumienia. Nie z powodu braku miłości, z powodu braku zrozumienia.

- Kiedyś mężczyzna, ten mężczyzna z przeszłości, wyzwalał we mnie tęsknoty, dobre tęsknoty. Teraz nie wyzwala we mnie nic. Absolutnie nic.

- A bliskość?

- Bliskość oddaliła się od nas na zbyt dużą odległość. Widzimy się, ale nie rozumiemy.

- Bliskość to dotykanie w drugim człowieku rzeczy niebezpiecznych, rzeczy kłopotliwych.

Kobieta kładzie rękę na ramieniu mężczyzny. Patrzy mu głęboko w oczy i mówi:

- W pociągu jest się kimś anonimowym. I ta anonimowość pozwala rozmawiać z ludźmi, których nie znamy. Pozwala rozmawiać o rzeczach ważnych bez żadnego skrępowania. Bez żadnych złych emocji. Bo wiemy, że za chwilę wysiadziemy i już nas nie będzie. I pozostaną tylko słowa, bliskie słowa, wypowiedziane obcej osobie w podróży. Słowa, które czasami mogą zostać w sercu tej obcej osoby na zawsze. Zostać ostatecznie.

Pociąg się zatrzymuje, kobieta wstaje. Uśmiecha się jakoś dziwnie i tajemniczo, a potem mówi:

- Dziękuję, za ciepło jakie mi dzisiaj dałeś.

Kobieta wychodzi. Pociąg znów rusza w ciemność, znów rusza w noc. Za oknem jest las. Ciemny, mroczny las. Las niebezpieczny, pełen tajemnic i lęków.

Ludzie jadąc pociągiem patrzą się wstecz. Pociąg wyzwala w ludziach różne tęsknoty, wyzwala bliskość. A potem ta bliskość znika. Znika na stacji, gdy wysiadamy. I wszystko wraca na dawno już ustalone tory. Pociąg to anonimowość, pociąg to zrozumienie. Pociąg to walka ze sobą, żeby obcej osobie nie powiedzieć za dużo, żeby ta druga osoba nie przestraszyła się naszych pragnień, naszych lęków. Bo pociąg to tak naprawdę ucieczka od tych pragnień, od tych lęków. Ucieczka natychmiastowa.

Wysiadamy w Międzyzdrojach. Przed dworcem już stoi buska. Wsiadamy. Jedziemy, w naszych oczach jest jeszcze noc, jest jeszcze zmęczenie. Międzywodzie, już blisko, myślę, bardzo blisko.

Dojeżdżamy, już widzimy napis przy drodze, Dziwnów, już widzimy metalowy most zwodzony, po prawej stronie nieczynna jednostka wojskowa. Przejeżdżamy most, buska skręca w prawo. Zatrzymuje się przy polu campingowym, tuż przy stacji benzynowej. Wysiadamy.

- Znasz to miasto? – pyta Weronika.

- Znam. Przyjeżdżałem tutaj na wakacje.

- Dobre wspomnienia? – pyta Weronika.

- Bardzo dobre. Myślę, że byłem tutaj szczęśliwy. Na tyle szczęśliwy ile może być szczęśliwy człowiek gdy dorasta.

- Dobre wspomnienia zawsze zostawiają ślad w człowieku – Weronika mruży oczy, na niebie pojawia się słońce, na niebie pojawia się blask, ciepły blask.

- Wciąż mam w sobie szum morza, który czasami pojawia się w snach. Wciąż mam w sobie zapach placków ziemniaczanych na papierowych tackach sprzedawanych tuż przy plaży, wciąż mam w sobie chłód napojów cytrynowych w przezroczystych woreczkach, wciąż mam w sobie ciepło piasku na plaży, piasku który ocierał się nawet o żar, wciąż mam w sobie smak zupy mlecznej z makaronem, którą nalewało się metalową chochelką z białej dużej wazy, zupy, która zawsze była na śniadanie w ośrodkach wypoczynkowych i wciąż mam w sobie strach, że te dobre wspomnienia kiedyś znikną, uciekną ode mnie i zostanę sam, sam z własną niepamięcią.

Idziemy do dużego domku jednorodzinnego, odbieramy klucze i już jesteśmy w pokoju. Rozpakowujemy się, włączamy na moment radio, w tle leci stara muzyka, Eleni, pamiętam że moja mama ją lubiła. Wspomnienia, dobre wspomnienia, myślę.

Wychodzimy na miasto. Idziemy małą uliczką w kierunku morza. Po prawej stronie bloki czteropiętrowe, przy jednym z nich kotłownia na węgiel, teraz już nieczynna. Po lewej stronie apteka, a potem przechodzimy przez park. Po lewej stronie zakłada fryzjerski, widzę go przez mgłę, w myślach, teraz nieczynny, zostały tylko wspomnienia, ciepłe wspomnienia.

Już widzimy wydmy, już widzimy morze. Weronika się uśmiecha gdy ściąga buty, uśmiecha się gdy jej stopy czują piasek, ciepły, dobry piasek. Po chwili jej stopy są już w morzu. Dzisiaj fale są małe, dzisiaj fale są bezpieczne, ciepłe.

Idziemy w prawo, plażą. Miasto się kończy, coraz mniej ludzi koło nas. Las po prawej stronie, las za wydrami. Drzewa szumią, co szumią, tego nie wiem, ale wiem, że ten szum to melodia przeszłości, mojej przeszłości. Za nami zostały śpiące kutry na plaży, wyglądały jak ryby wyrzucone na brzeg. Żółte kutry śpiące w milczeniu na plaży.

Wchodzimy na drewniane słupki, wchodzimy po nich w głąb morza. Weronika rozkłada ręce na boki, zamyka oczy. Wiatr rozrzuca jej czarne kręcone włosy. Weronika otwiera oczy, widzę że znów jest szczęśliwa.

Powoli idziemy dalej, w kierunku Dziwnówka. Coś błyszczy na plaży, tuż przy wodzie. Weronika podnosi to coś, ściska w ręce. Uśmiecha się.

- Bursztyn – mówi Weronika, a potem patrzy się na ten bursztyn z uwagą, z jakimś dziwnym napięciem.

- Co w nim widzisz?

- Przyszłość. Moją, twoją, naszą.

- Jaka to przyszłość? Dobra? Zła? Niebezpieczna?

- Dziwna, tajemnicza – mówi Weronika. – Widzę ciebie, ale nie widzę w tobie odwagi, widzę strach, taki strach który niszczy wszystko dookoła.

Weronika wrzuca bursztyn do morza. Jej oczy mają zły blask w sobie. Mają w sobie jakieś cierpienie.

- Widziałam coś, czego nie powinnam nigdy zobaczyć. Złudzenie, złe złudzenie. To nie był żaden obraz, to były moje lęki, obawy.

Patrzę się w jej oczy, wiem, że Weronika kłamie. Czegoś się przestraszyła i chciała teraz od tego uciec. Dlatego bursztyn wrócił do morza, wrócił do ciemności związanej z tym morzem.

Idziemy dalej. Piasek zostawia ślady, nasze ślady przeszłości. Wiatr się wzmaga. Włosy Weroniki tańczą coś w powietrzu, balet, może jakiś taniec egzotyczny, a może taniec Indian idących na polowanie, taniec pomyślności, taniec nadziei.

Zauważamy w lesie drewniany dom na palach. Stary dom.

- Idziemy tam – mówi Weronika. – Ten dom to jakaś zagadka, tajemnica. Musimy tę zagadkę dotknąć, rozwiązać.

Przechodzimy przez wydmy, już jesteśmy w lesie. Weronika dotyka ścian domu, ściany są stare, chropowate, nasączone czasem, przeszłością.

Z drzwi wychodzi mężczyzna, duży mężczyzna około czterdziestki. Uśmiecha się do nas. Jego oczy są niebieskie, tak niebieskie jak niebo dzisiaj.

- Zapraszam – mówi mężczyzna. – Paweł, miło mi was poznać.

- Weronika, Jakub – mówię ja, podaję mu rękę.

- Wina? Zapraszam na taras.

Siadamy w wiklinowych fotelach. W oddali widać morze, kutry, jakiś statek pasażerski i mewy na horyzoncie. Dużo białych mew latających w różnych kierunkach.

- Sam mieszkasz?

- Od pięciu lat mieszkam sam. Kiedyś mieszkalem w mieście, dużym mieście. Pracowałem w korporacji. Po pewnym czasie miasto, praca, zła miłość mnie zmieniły i wyjechałem, zostawiłem cały świat za sobą.

- I tak zamieszkałeś prawie na plaży.

- Tak – uśmiecha się Paweł. – Plaża, słońce, wiatr. Wolność. Gu-bienie czasu. Człowiek sam dla siebie jest czasem. Sam dla siebie jest wolnością. Nic się nie liczy oprócz czasu. Oprócz siebie. W dawnym życiu czas był cenny. Miał wydźwięk pieniądza. Korporacja wymusza na ludziach naginanie czasu, naginanie go na tyle mocno, żeby człowiek uwierzył, że można zrobić wszystko z tym czasem, że czas to nieskończoność. Że czas to złudzenie tej nieskoń-

czoności w człowieku. Ci którzy sobie nie radzili wypadali z tego czasu. I po chwili nie było już z nich nic. I wtedy odchodzili z firmy, bo musieli. Bo żądania firmy żeby ten czas wydłużyć nie miały dla nich żadnego sensu, żadnego znaczenia. Ludzie byli już zmęczeni, wypruci z tego czasu na zawsze. Ja sam zrezygnowałem. Zrezygnowałem wtedy, kiedy jeszcze mogłem, kiedy jeszcze miałem jakieś złudzenia. Złudzenia wobec świata, złudzenia wobec innych. A co najważniejsze, złudzenia wobec siebie. I wylądowałem tutaj, przez przypadek. I teraz tutaj jest moje życie. Dobrze, spokojne, czasami nudne życie. Nuda nie jest przekleństwem, gdy potrafimy się w tej nudzie na nowo narodzić, gdy potrafimy się w tej nudzie na nowo zatracić. Ja potrafiłem. I tego nie żałuję.

- Z czego żyjesz? Za coś przecież musisz kupić chleb, wodę, wino – podnoszę wino do góry, moja lampka odbija światło dnia, odbija go tak, że to światło gdzieś znika, rozplywa się, najczęściej pomiędzy drzewami, pomiędzy korzeniami drzew.

- Kupiłem stary kuter, odnowiłem go, mój ojciec był stolarzem, dużo się przy nim w młodości nauczyłem, odmalowałem go na jasne barwy dnia, ciepłe kolory nocy i wynajmuję go turystom, wędkarzom, wypływam z nimi w morze. Czasami sam wypływam w morze, gdy chcę to morze na nowo odnaleźć. Gdy chcę go poczuć tak blisko, tak dosłownie. Mocno i szczerze. Czasami człowiek musi pobyć sam by pewne rzeczy zrozumieć, odnaleźć. Zauważyć w innym świetle, w innym wymiarze.

- Możemy z tobą popłynąć, jutro? – pyta Weronika, a jej głos jest jak tęcza, tęcza pełna kolorów ciepłych i dobrych, tęcza nasycona świeżym oddechem dnia.

- Dobrze – uśmiecha się Paweł. – Jutro rano o siódmej w porcie. Będę czekał.

Żegnamy się. Ja podaję mu rękę, on podaje mi rękę. Weronika podaje mu rękę, od podaje Weronice rękę. Dotyk. Coś bliskiego. Dotyk. Coś dobrego. Dotyk. Czasami coś ostatecznego.

Rano jest zimno. Chłodny wiatr przenika nasze ciała. Niszczy je powoli, ale skutecznie. Weronika drży, drży całe jej ciało – włosy, ręce, nogi, nawet oczy mają jakieś dziwne drżenie w sobie. Zielone drżenie w sobie.

W porcie jest cicho, jakiś bezmiar ciszy jest obecny pomiędzy kutrami.

Już widzimy Pawła, krząta się przy kutrze. Faktycznie, barwy kutra są ciepłe i dobre. Jasne barwy dnia, ciepłe kolory nocy. Tak jak mówił Paweł, wszystko się zgadza.

Silnik budzi swoim drżeniem mewy cicho śpiące na falochronie. Może nie śpiące, ale siedzące w jakimś zastygnięciu. Zastygnięciu dnia i nocy. Zastygnięciu tego co było, a tego co musi być. Dzisiaj. Teraz.

Wypływamy z portu. Reszta kutrów wciąż śpi, lekko oddycha na morzu. Morzu o ciemnozielonej barwie, tuż przy porcie. W oddali morze ma kolor granatowy, ciemny, mroczny, ale może to tylko moje złudzenie. Całe moje życie to jedno wielkie złudzenie. Złudzenie, że gdzieś wypływamy, a tak naprawdę to stoimy w miejscu. Stoimy i patrzymy się na morze. I tylko barwy zmieniają się w oddali, zmieniają się w nas. I to jedyna rzecz która dzieje się w naszym życiu. Nasycenie barw, które się ciągle zmieniają, przenikają, unoszą do góry i giną w morzu. Nasycenie wspomnień, które po czasie wydają się inne, lepsze, choć tak naprawdę takie nie są. I te wspomnienia też się ciągle zmieniają, przenikają, unoszą do góry i też giną w morzu. Nasycenie tego, co jest daleko, co jest niewidoczne i niektórzy nazywają to przyszłością, ale tak naprawdę żadnej przyszłości nie ma, bo to co było, co jest, co będzie to jedna linia – linia o nazwie teraz. A my tylko łudzimy się, że coś było, coś jest, coś będzie – a tylko to teraz ma tak naprawdę znaczenie. I wszystko się potem kończy, tam gdzie wszystko się musi skończyć. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – czyli teraz. Wszystko zamyka się pod łopatami ludzi, którzy mają znudzone twarze i robią to, co muszą robić – zamykają człowieka w ziemi na zawsze, ostatecznie. Zamykają w tym słowie teraz, które skupia w sobie przeszłość, teraźniejszość, przyszłość już na zawsze. Ostatecznie.

- Jak wrażenia? – głos Pawła wyrywa mnie z myśli, złych myśli.

Nie widzę już łądu. Odpłynąłem tak, jak odpłynął nasz kuter z portu. Czasami tak mam, odpływam gdzieś daleko, może nawet w morze i nie wiem gdzie jestem, może jestem nigdzie. Idę donikąd. Idę tam myślami. Tylko moje ciało żyje, gdzieś idzie, gdzieś zmierzają. Gdzie? Tego nie wiem. Czasami lepiej nie wiedzieć gdzie zmie-

rza nasze ciało, gdy żyjemy w nieświadomości. W jakimś obłądnie. Choć dobrze wiem, że obłąd to jakaś odmiana życia, niespokojnego życia, to jakaś odmiana świadomości, niespokojnej świadomości. Czasami odmiana bardziej prawdziwa od rzeczywistego życia. Bardziej realna od prawdziwego życia.

- Bezgraniczność – mówię cicho, jak zwierzę zaczajone w krzakach na polowaniu. – Ogarnia mnie bezgraniczność czasu, bezgraniczność przestrzeni.

Wpływamy w mgłę, szarą, ciepłą, mokrą mgłę. Jesteśmy w środku czegoś co jest niewidoczne, a przez to sami stajemy się niewidocznymi, dla siebie, dla innych.

Czuję, że świat się oddala, świat się zbliża. Świat krąży koło nas, świat znika w nas. Problemy się oddalają, problemy znikają, problemy zbliżają się do nas niebezpiecznie. Coś z nas ucieka, coś w nas zostaje. Wszystko się rozplywa w tej mgłę, wszystko się rozmazuje. Pulsuje.

W tej ciszy, zastygłej ciszy koło nas słyszę tylko pracę silnika w kutrze. Tylko łódź wie, gdzie podąży, tylko łódź wie, gdzie jest jakiś koniec, jakaś odpowiedź w tej niewidzialności, w tym bezkresie.

Nagle z oddali zbliża się do mnie jakiś obraz. Może złudzenie, jednak bardziej obraz niż złudzenie.

Widzę las. Szary, mroczny, bezkresny las. Słyszę jęki, krzyki wydobywające się z ziemi. Krzyki są coraz słabsze, przygaszone, coraz bardziej zmęczone i rozmazane. Czuję koło siebie niebezpieczeństwo, jakieś zagrożenie. Widzę jak ziemia mnie pochłania. Pochłania łapczywie, rozpaczliwie. Widzę w tej ziemi, szarej, wilgotnej ziemi cienie ludzi. Cienie zmęczone, zrezygnowane. Cienie, które już się poddały i potrafią już tylko oddychać, ciężko, miarowo, ostatecznie oddychać. A potem koło tych cieni, nad tymi cieniami pojawia się ogień. Gorący, czerwony ogień. Wszystko zaczyna płonąć. Płonę ja, płonie las, płoną cienie koło mnie. I nagle pojawia się krzyk, pierwszy, drugi i kolejne. Krzyki są coraz mocniejsze, coraz bardziej rozpaczliwe i ostateczne. A potem zostaje tylko jeden krzyk. Krzyk, który ogłusza, krzyk, który zabija. A potem następuje cisza, cisza po której nie ma już nic. Bo może w tej ciszy tak naprawdę nigdy nic nie było. Nigdy nie mogło być. Nie ma świata, nie ma ludzi, nie ma mnie. Nie ma niczego co jest ważne, nie ma nicze-

go co jest nieważne. Co jest ostateczne. Zostaje tylko głucha, przerażająca cisza. I nic, absolutnie nic. I zostaje wiatr, silny, porywisty wiatr, który pojawia się nagle po tej ciszy. Wiatr, który porywa tę ciszę daleko, bardzo daleko i niesie tę ciszę ze sobą. Niesie aż do miasta, aż do ludzi. A potem ta cisza powoli opada, powoli przenika wszystko dookoła. Przenika domy, ulice, ludzi. I nagle cisza przemienia się w strach, przemienia się w przerażenie. I wtedy, gdy to przerażenie jest już widoczne w tej ciszy, widoczne poza ciszą, wtedy naprawdę nie ma już nic. Nie ma nic w ludziach. Nie ma nic w domach, w których ci ludzie żyją.

Mgła powoli ucieka od nas, obraz powoli ucieka ode mnie. Czuję, jak moje serce drży, całe moje ciało drży, nawet myśli.

Znów płyniemy spokojnie przed siebie. Jest tylko morze koło nas, bezgranicznie granatowe morze. I niebo nad nami, i chmury nad tym niebie. Nieliczne, ale ogromne.

Wciąż mam ten obraz przed oczami. Przyszłość, czy złudzenie? Zastanawiam się. Jeśli przyszłość to niebezpieczna. Jeśli złudzenie to prawdziwe, zbyt prawdziwe. Złudzenia w snach zawsze ocierają się o jakieś niebezpieczeństwo, o jakiś kataklizm.

Weronika patrzy się na morze. Jej oczy są zanurzone w tym morzu całkowicie, bezwzględnie.

- Czasami zagubiony delfin pojawia się w morzu, ale rzadko – mówi Paweł.

- Wszyscy błądzimy, zwierzęta też – mówi Weronika. – Częściej błądzą ludzie niż zwierzęta.

- Rybacy na morzu widzą rzeczy niezwykle. Rzeczy nieprawdziwe. Rzeczy ocierające się o jakąś formę błędzenia, o jakąś formę obłądu.

Wracamy w kierunku lądu. Kuter powoli zbliża się do plaży. Wieczorem wracamy do Krakowa. Noc w pociągu, krótki sen, płynny sen, obrazy za oknem wciąż przemieszczające się. I my w tych obrazach uśpieni, jacyś nieobecni. A potem praca. Złudzenia. Praca. Brak złudzeń w życiu. Poza życiem. Brak złudzeń w codzienności.

Budzimy się przed Krakowem. Budzę się ja, budzi się Weronika, patrzymy się na zegarek, nasz wspólny zegarek na ręce Weroniki. Szósta rano.

- Za pół godziny będziemy w Krakowie – mówi Weronika, jej głos jest jak siano w polu, siano jeszcze niepokładane, jeszcze nie związane w snobki, siano które wiatr rozwiewa po polu, rozwiewa w różnych kierunkach, w kierunkach często niewłaściwych.

- Zdasz do pracy?

- Ja tak, a ty?

- Spokojnie. Zdasz jeszcze przez chwilę ze sobą pobyt. Dotknąć się oczami i uciec – mówię jak jakiś robot, mechanicznie i spokojnie, robot, który zaprogramowany jest na uczucia, dobre, pełne wolności uczucia.

- Naprawdę chcesz mnie dotknąć oczami i uciec?

- Tak. Tylko dotyk ma znaczenie, gdy ludzie się kochają. Dotyk oczami, rękami, myślami, dotyk całym ciałem. Dla duszy są myśli, pragnienia, przeznaczenie. Dla duszy jest całość, to wszystko co określa miłość. Dla ludzi którzy nie mają za dużo czasu dotyk jest najważniejszy.

Dojeżdżamy do Krakowa. Pociąg ze zgrzytem zatrzymuje się na stacji. Zgrzyt ma dźwięk noża ostrzonego na krawężniku. Jest ostry, silny, przeraźliwy.

Wychodzimy z pociągu. Idziemy przez park na ulicę Lubicz.

Bezdomni, pijaczki, ludzie zatrzymani w czasie siedzą na pojedynczych ławkach. Siedzą i milczą. Na coś czekają. Na los szczęścia, może na przeznaczenie. A może po prostu trwają. W bezruchu, w beznadziei.

Dochodzimy do przystanku tramwajowego. Widzę tramwaj, podjeżdża powoli, widzę Weronikę, widzę jej kroki zmierzające do tego tramwaju, widzę samochód który się nie zatrzymuje, widzę twarz mężczyzny w samochodzie, na początku twarz zamyśloną, nieobecną, potem twarz przerażoną, słyszę pisk hamulców, widzę moją rękę która ciągnie Weronikę do tyłu, widzę jak samochód zahacza Weronikę, zahacza lekko dzięki mojej ręce, która ciągnie Weronikę do tyłu na chodnik. Widzę jak Weronika leci do tyłu, widzę jej rękę rozpaczliwie chwytającą powietrze, puste powietrze, widzę przystanek, na nim ławkę metalową, widzę głowę Weroniki uderzającą o ten przystanek, o tę ławkę, widzę jak jej oczy uciekają w ciemność, uciekają w niepamięć.

A potem już nic nie widzę. Nic nie pamiętam. A może nic nie chcę pamiętać z tego fragmentu mojego życia. Złego fragmentu mojego życia.

Nie pamiętam krzyków ludzi nad ciałem Weroniki. Nie pamiętam spojrzenia kierowcy, który stał jak mumia, jak jakiś posąg, stał i milczał, i tylko jego usta drżały, nie mogły się zatrzymać, nie pamiętam jak klęczałem i szarpałem, nie, nie szarpałem, chciałem szarpać ciałem Weroniki, żeby się obudziła, ale ludzie mi na to nie pozwolili, więc tylko głaskałem ją po czarnych kręconych włosach i oczami prosiłem żeby się obudziła. Nie pamiętam sygnału karetki, który miał mi dawać jakąś nadzieję, ale nie dawał, nie pamiętam lekarza klęczącego nad ciałem Weroniki, nie pamiętam odjazdu karetki, przyjazdu policji, która nie miała daleko, bo obok jest posterunek, nic z tych rzeczy nie pamiętam. Nawet siebie. Tak naprawdę siebie najmniej pamiętam w tym czasie. Może to lepiej. Bo ta pamięć by mnie zniszczyła, skrzywdziła, bo ja teraz potrzebuję siły, dużo siły żeby pomóc Weronice, która wciąż żyje, żyje ale śpi w szpitalu, nie może się obudzić. Jest w śpiączce, w niepamięci. Jest gdzieś daleko ode mnie, zbyt daleko, lekarze mówią, że może wróci do mnie, ale kiedy, tego nie wiedzą. Mówią, niech pan coś do niej mówi, ona pana słyszy, czuje poprzez głos, więc wciąż coś do niej mówię, już od miesiąca, mówię na razie bez skutku, opowiadam jej o swoim życiu, teraz pustym życiu bez niej, opowiadam o pracy, teraz pustej pracy bez niej, opowiadam jak siedzę sam w domu, teraz pustym domu bez niej, opowiadam, że nie mam na nic siły, bo nie mam, opowiadam, że coś jem, choć jem tylko niewiele i na siłę, żeby przeżyć, żeby być potem przy niej i mieć siły na walkę z jej niemocą, z jej ciemnością, opowiadam, że wierzę, że się w końcu obudzi. Choć sam nie wiem co będzie, co musi być. Opowiadam o snach, które mam, ale to kłamstwo, nie mam żadnych snów w sobie odkąd Weronika leży w szpitalu, a jeśli już mam, to są to sny obce, niebezpieczne, rozmazane, to sny o niczym, o jakimś obłędzie, który się we mnie pojawił gdy Weronika zasnęła. Mam tylko nadzieję, że nie na zawsze.

Czas, ile już czasu minęło od tamtego wypadku? Sekundy, minuty, godziny, dni, może miesiące? Nie wiem. Leżę i nic nie mogę z

tym leżeniem zrobić. Jestem kamieniem, kamieniem własnego snu. Jakub coś do mnie mówi, ale jego głos to jeden wielki ból, jedno wielkie zmęczenie. To głos kogoś, kto stracił nadzieję na życie, stracił nadzieję na resztki tego życia w sobie.

Czasami coś dostaje się do mojego snu. Jakieś okruciny świata dotykają ciemności w której wciąż przebywam. Docierają, a potem znikają. Potem, po tych okrucinach świata chcę podnieść rękę do góry, ale nie mogę. Jest tylko niemoc, niemoc i jakieś dziwne odrętwienie.

Słyszę wciąż Jakuba, słyszę jego ciepły głos. Ciepły, ale bolesny. I to słyszenie mi na moment wystarcza, daje nadzieję, że kiedyś będzie inaczej, ale czy będzie inaczej, tego nie wiem. I może nigdy się nie dowiem.

W mojej głowie pojawiają się wspomnienia. Stare, nowe. Wspomnienia są we mnie, wspomnienia są poza mną. Najmocniejsze wspomnienie to morze, ostatni wyjazd z Jakubem. Stare wspomnienia się płaczą, rozmazują, są jakieś popękane. Są inne, inne niż ja teraz.

Czasami w nocy czuję szept w sobie. Cichy szept. A może to tylko sen. Może cały świat to jeden wielki, nigdy się nie kończący sen. Może cały świat śni ten szept w mojej głowie. Świat to szept. Szept to świat.

Nad moją głową, nad całym moim zastygłym ciałem jest jakiś lód. Cienki lód. Lód, który można rozbić i znów być sobą. Sobą z przeszłości. A potem, gdy czuję ten lód tak boleśnie, tak dosłownie, jestem nagle nad tym lodem, widzę siebie leżącą w łóżku, leżącą tak samotnie, tak niewinnie, tak bezbronnie. Widzę Jakuba pochylonego nad moim łóżkiem. Jakuba z oczami pełnymi łez, widzę jego spojrzenie w którym jest jeszcze nadzieja, że wszystko będzie jak dawniej. Dobrze, szczęśliwie, inaczej. Ale nic się nie zmienia i wiem, że to tylko obraz, kolejny obraz w mojej głowie, i wiem, że to tylko złudzenie, kolejne złudzenie w mojej głowie. I wtedy cały wysiłek wkładam w rozbitcie tego lodu nad sobą, ale to nie pomaga. Nie może pomóc. Bo nic tak naprawdę nie może mnie wyzwolić z tego otępienia, z tego bezkresu we mnie, bezkresu poza mną.

Każdego dnia głos Jakuba mnie kusi, woła do siebie. Moje ramiona chcą dotknąć tego głosu, chcą przytulić ten głos mocno, bar-

dzo mocno, chcą otrzeć się o ten głos choćby na kilka sekund, chcą poczuć ten głos w sobie, jednak wciąż nic się nie zmienia. Nic, absolutnie nic. A potem głos Jakuba kruszeje, rozpada się na moich oczach i znów jest cisza, znów jest ciemność, znów jest zagubienie. Inny świat. Ciemny, bezkresny świat.

Wyciągam ostatkiem sił ramiona w stronę Jakuba, wyciągam je myślami, ale potem nagle słabnę, słabną moje myśli, słabnie cała moja wola, zbyt słaba wola i czuję, że nie dam rady, czuję, że jestem sama w tym bezruchu. Sama ostatecznie.

Któregoś poranka, deszczowego zimnego poranka udaje mi się poruszyć jednym palcem. Czuję dreszcz w sobie. Dreszcz poruszanego palca. Jakub zauważa ten ruch, zauważa ten dreszcz we mnie, w moim spojrzeniu, a potem Jakub leci do lekarza, widzę, że jego oczy błyszczą mocniej niż zazwyczaj, i gdy go przez moment nie ma koło mnie, dreszcz znika, ucieka w nieznane.

Lekarz sprawdza coś na monitorze, chwilę myśli, nic nie mówi, a potem z jego ust wychodzą słowa „Trzeba wierzyć”. A potem lekarz wychodzi, cicho wychodzi z pokoju.

Jakub codziennie mi coś śpiewa. Niektóre słowa piosenek przebijają się do mnie, docierają do mojego serca, a potem do głowy. I wtedy krzyczę coś w środku, krzyczę do świata, krzyczę do ludzi. I czasami po tych krzykach coś zaczyna się dziać we mnie, poza mną. Czuję jak wydobywam się z siebie, przechodzę przez jakiś tunel, ale brakuje mi tchu, duszę się, krzyczę, głowa mnie wtedy boli, bardzo boli. Coś się we mnie w środku zrasta, coś się urywa. I ten dźwięk, ostry, przeraźliwy, dźwięk jak żyłka, która tnie mnie w środku na małe kawałeczki. I ten dźwięk się nagle urywa. A potem znów jest ciemność, znów jest odrętwienie. Zapadam się w siebie, głębiej niż zazwyczaj. Zapadam się w mrok. Głęboko. Wszystko znów jest nieznane, obce. Rozpaczliwe.

To pierwsza próba, nieudana. Będą następne, myślę, i wiem, że będą. Będą, bo muszą być. Będą, bo muszę żyć.

Jakub jest cierpliwy, troskliwy. Jest koło mnie, dotyka mnie rękami, oczami. Czuję go koło siebie, choć wiem, że on nie czuje mnie koło siebie. Jestem lalką, zagubioną lalką pokaleczonego snu.

Dzisiaj jest dzień jasny, ciepły, tak to czuję oczami, oczami uśpionymi, oczami drętowymi. Jakub siedzi ze mną od rana. Jest jakiś

smutny. Jego smutek to mój smutek. Jakub to kiedyś zrozumie. Nie teraz, ale zrozumie. Czuję rezygnację w jego oczach. Rozumiem ją, tę złą rezygnację, która coraz mocniej zadomawia się w jego ciele. Nie ułatwiam mu życia, wiem to, tak wiele rzeczy wiem, tak wiele rzeczy rozumiem pod tym lodem, ciemnym, mrocznym lodem nad moim ciałem.

Jakub się nade mną nachyla. Czuję jego oddech, ciepły, słodki oddech.

- Kocham cię – mówi Jakub. – Kocham cię mocniej niż kiedyś. Nawet teraz, gdy jesteś tak daleko. – Głos Jakuba się na moment załamuje, rozkłada na czynniki pierwsze rezygnacji, na czynniki pierwsze obojętności. – Może nigdy do mnie nie wrócisz, ale to nie ważne, zawsze będą z tobą tutaj, zawsze będę dotykał cię i wierzył, że się kiedyś obudzisz i zrozumiesz, że pewne rzeczy są niezniszczalne, wieczne. Wieczne i niezniszczalne aż do końca.

Jakub całuje mnie w usta. Zapach jego ust jest kwiatowy, polny, nie rozumiem tego, jego usta to kwiaty zasadzone na łące rano, o poranku, to kwiaty które chcą żyć, chcą istnieć, dzisiaj, nie jutro, dzisiaj. I ten zapach jest coraz mocniejszy, coraz bardziej intensywny.

Z oczu Jakuba leci łza, pierwsza, potem druga. Łza spada na moje oczy, a potem ta łza przedziera się do środka, przedziera intensywnie. Łza kruszy lód nad moim ciałem. W końcu, myślę, w końcu coś budzi mnie ze snu. Z obojętności. Czuję usta Jakuba, teraz są wyraźniejsze, pełniejsze.

Otwieram oczy, ciało Jakuba krzyczy, jest całe odrętwiałe, ale krzyczy. Jakub mocniej ściska moją rękę.

- Wróciłaś – mówi jak kaleka, kaleka ze złamanym sercem. – W końcu wróciłaś.

- Jestem – mówię cicho, prawie szeptem.

Po chwili pojawia się lekarz, dotyka mojego ciała, uśmiecha się.

- Cuda się zdarzają – mówi lekarz. – Rzadko, ale zdarzają.

- Jestem cudem? – pytam.

- Jesteś nadzieją – mówi lekarz i wychodzi z pokoju.

Mija kilka dni, kilka długich dni. Czuję się coraz lepiej. Po obudzeniu inaczej czuję zapachy, inaczej czuję świat. Świat jest teraz

pełniejszy przez zapachy, które coraz wyraźniej czuję koło siebie. Świat to jeden wielki zapach. Zapach nieznany, zapach obcy. Muszę na nowo zrozumieć świat, muszę go na nowo poukładać, posklejać. Muszę zrozumieć, że świat to nie tylko czerń i biel, że świat to też tęcza, tęcza pełna jasnych kolorów.

Jedzenie mi teraz inaczej smakuje. Jedzenie to kolory, kolory przepełnione smakiem, obcym smakiem.

Spałam dwa miesiące, tak mówi lekarz, podobno to krótko. Teraz czeka mnie rehabilitacja. Muszę znów myśleć jasno, muszę znów myśleć perspektywicznie.

Podnoszą mi ręce, nogi, podnoszą całe moje ciało. Moje palce wykonują różne ćwiczenia, dziwne ćwiczenia. Nie jest tak źle, myślę, coś ruszam w sobie, czegoś nie ruszam w sobie. Nie jest tak źle, myślę, widzę świat przez zapachy, moje zapachy. Nie jest tak źle, myślę logicznie, prawidłowo. Ćwiczenia pomagają, dają nadzieję na przyszłość.

I w końcu wychodzę ze szpitala. Żegnaj się z personelem medycznym. Znów jestem sobą. Sołą z przeszłości.

Na razie mieszkam u Jakuba. Chce mnie mieć pod kontrolą. To dobrze, czasami człowiek musi się poddać innemu człowiekowi, żeby być szczęśliwym. I chyba znów czuję się szczęśliwa. Na jak długo, tego nie wiem. Ale wiem, Jakub to przyszłość, Jakub to przeznaczenie. I ta wiedza mi wystarczy na razie. Wystarczy chwilowo.

Mieszkam u Jakuba trzeci miesiąc, to dużo, to mało, sama do końca tego nie wiem. Czuję się dobrze, nawet zbyt dobrze jak po takim wypadku. Na razie nie chodzę do pracy, mam zwolnienie. Ale już chcę wrócić, znów chcę dotykać zabytków palcami, oczami, znów chcę czuć zapach przeszłości w sobie, znów chcę czuć zapach przeszłości poza sobą. Teraz będzie inaczej, czuję to, bo zapachy, intensywne zapachy są wciąż we mnie. Coś się we mnie zmieniło po tym wypadku, coś w środku. Zapach to jest coś, co teraz wyznacza moją przyszłą ścieżkę. Zapach to jest coś, co określa kształty, obrazy koło mnie. Zapach to świat. Świat to zapach. Ja to świat. Świat to ja. Ja to zapach.

I w pracy, gdy już do niej wrócę, bo chcę wrócić szybko, przeszłość będzie jednym wielkim zapachem koło mnie. Mury, obrazy,

cała przeszłość będzie inna poprzez zapach, który mam wciąż w sobie. Może to kiedyś zniknie. Pewne rzeczy znikają, często niezauważalnie. Ale póki to we mnie jest, cieszę się. I ta radość przepełnia mnie nadzieją, nadzieją na lepsze jutro.

Nie mam problemów z mową, nie mam problemów z ruchem, nie mam problemów z głową. Szpital mi pomógł na początku, zaraz po wybudzeniu. Jakub załatwił mi kogoś znajomego ze studiów medycznych, kolega kolegi, dobrego kolegi, i ten ktoś przychodzi do mnie i wciąż wykonuje ze mną jakieś ćwiczenia – ręka do góry, do dołu, noga do przodu, do tyłu, jakieś zajęcia do myślenia, logiczne, radzę sobie.

To bez sensu, mówię Jakubowi, ale on jest uparty, więc robię to co on chce, robię to z miłości do niego.

I w końcu wracam do pracy. Na razie pracuję w Krakowie, przy starym kościele, tuż przy rynku. Praca spokojna, staranna. W końcu wracam do życia, do normalności. Ci, którzy otarli się o śmierć, wiedzą, że normalność to szczęście, absolutne szczęście. A więc praca, dom, teraz już mieszkam u siebie, sama. Jakub, jego miłość, spotkania z nim na mieście, to wszystko jest po to, żebym zrozumiała, że nic tak naprawdę się nie zmieniło. Że przeszłość to sen, zły sen.

Idziemy z Jakubem koło Wawelu, wzdłuż Wisły. Statki, ludzie, smok ziejący intensywnie co jakiś czas, jakieś kramy z pamiątkami, rowery co chwilę przejeżdżające zbyt szybko i nasze kroki, spokojne, ciche, niezauważalne dla innych. Często chcę być niezauważalna dla innych. Chcę być sama w tłumie. Sama tylko z Jakubem. Czuję zapach wody, czuję Wisłę, to zapach przyjemny. Wiem, że czuję go mocniej niż inni. Nie przeszkadza mi to. Czuć więcej niż inni to dar, widzieć więcej niż inni to dar. Dar nasączony samotnością.

Przechodzimy przez most, idziemy drugą stroną Wisły. Przed nami opuszczony Hotel Forum, na parterze jakieś kawiarenki, przy Wiśle statki hotele.

Siadamy na ławce przy Hotelu Forum, patrzymy się na Wisłę, na Wawel, na miasto żyjące w ciągłym pośpiechu, w ciągłym zagubieniu.

Zauważam mężczyznę, robi zdjęcia rzeki, jego nurtu ciemnego i mrocznego. Obok stoi kobieta, czerwona sukienka, czarne włosy, długie aż do pasa, czerwone buty na lekkim obcasie i oczy, ach te oczy, czarne, węglowe, wyraziste, oczy które mają w sobie noc, jakieś napięcie.

Kobieta podchodzi do mężczyzny, obejmuje go rękami, uśmiecha się do niego oczami, oczami czarnymi, węglowymi, wyrazistymi, oczami które mają w sobie noc, jakieś napięcie.

- Jak zdjęcia? – pyta kobieta.

- Dobre światło, dobre zdjęcia – mówi mężczyzna.

- Wywołasz te zdjęcia?

- Tylko te najlepsze, te, które mają zamęt w sobie, zawirowanie czasu i przestrzeni.

- Czarno-białe?

- Tylko czarno-białe. Woda musi być czarno-biała. Kolory niszczą wodę, niszczą światło, które jest w tej wodzie.

- Ale nie niszczą naszej miłości.

- Nasza miłość jest kolorowa, jest jak tęcza. W życiu, dzięki tobie, mam wystarczająco dużo kolorów w nocy, w ciągu dnia. Nie potrzebuję więcej kolorów koło siebie, a już na pewno nie potrzebuję ich na zdjęciach.

Mężczyzna się nagle odwraca, całuje kobietę w usta. Mężczyzna zauważa moje spojrzenie. Chwilę na mnie patrzy, potem ostrożnie ucieka od kobiety i spokojnym, prawie statecznym krokiem do nas podchodzi.

- Mateusz – mężczyzna podaje mi rękę. – A tam moja dziewczyna, Julia.

- Weronika – delikatnie dotykam jego ręki. – A to mój chłopak, Jakub.

Julia już stoi koło nas, już jej węglowe, wyraziste oczy patrzą się na nas czujnie, już coś w niej ma wybuchnąć, zapłonąć ale nagle jej węglowe, wyraziste oczy gasną i pojawia się w nich noc, ciepła, bezwietrzna noc.

- Patrzyłaś na nas – mówi Mateusz.

- Tak, patrzyłam – mówię i wyczuwam w tym mężczyźnie jakąś więź, więź która nas łączy, więź niewidzialną.

- Też robisz zdjęcia?

- Czasami. Jednak nie takie jak ty. Ja kocham przeszłość, odnawiam zabytki, sprawiam, że mogą dalej istnieć, długo, bardzo długo.

- To też jakaś forma sztuki. Jakaś forma uzależnienia od tej sztuki.

- Pokażesz nam swoje zdjęcia?

- Mam je w domu, wywołane. Ale to zdjęcia wody, słońca odbijającego się w tej wodzie, to zdjęcia chmur – Mateusz się zamyśla, jest przez chwilę jak połamany kwiat, podeptany przez obcego mężczyznę. – Tak naprawdę to robię zdjęcia chmur, nieba, bardziej chmur niż nieba. Woda to dodatek, ucieczka od chmur gdy jestem nimi zmęczony.

- Dziwna pasja, ciekawa pasja. A ty, Julio, czym się zajmujesz?

- Śpiewam francuskie piosenki w knajpkach, barach, śpiewam je tam, gdzie mogę. Ludzie kochają francuskie piosenki, mrużą wtedy oczy, oddalają się myślami w kierunku Paryża, Sekwany, w kierunku Montmartre i tańczą w rytmie harmonii, w rytmie fortepianu i skrzypiec. Są wtedy szczęśliwi. A chwila szczęścia w tych czasach to rzadkość, to luksus na który nie każdy może sobie pozwolić.

- Chcecie zobaczyć moje zdjęcia? – pyta Mateusz.

- Tak, nawet bardzo – mówię cicho, szept powoli wychodzi z moich ust.

- Chodźmy – mówi Mateusz. – To blisko, bardzo blisko.

Zbliżyliśmy się do Hotelu Forum od strony rzeki. Jesteśmy z boku Hotelu Forum i wtedy Julia się uśmiecha.

- To pierwsza niespodzianka. Zamknijcie na moment oczy.

Ja zamykam oczy, Jakub na moment zamyka oczy. Gdzieś wchodzimy, słyszę zgrzyt otwieranych drzwi, zgrzyt zamykanych drzwi. Idziemy schodami gdzieś do góry, idziemy w ciemność, jesteśmy zanurzeni w ciemności. Ciemność jest we mnie, ciemność jest poza mną.

- Możecie już otworzyć oczy – słyszę głos Julii.

Widzę długi korytarz, na korytarzu czerwony długi dywan, widzę pokoje, dużo pokoi, widzę ściany hotelu, stare ściany, widzę lampy, lampy w starym komunistycznym stylu.

- Mieszkacie w Hotelu Forum?

- Tak. Już kilka miesięcy.

- Jak to się stało?

- Podróżujemy. Mieszkamy w różnych miastach – mówi Julia, a gdy to mówi to jej węglowe, wyraziste oczy matowieją i pojawia się w nich jakaś ulga, jakieś natchnienie. – Zarabiamy na życie sprzedając zdjęcia Mateusza, a ja śpiewam w knajpkach, a czasami na ulicy. I jakoś to życie nam płynie do przodu. Gdy przyjechaliśmy do Krakowa, Mateusz robił zdjęcia, koło Hotelu Forum, chciał wejść na dach hotelu i zrobić jeszcze kilka zdjęć. To zdolny mężczyzna, otworzył boczne drzwi hotelu i zrobił te zdjęcia na dachu. A potem zobaczyliśmy te puste pokoje, a w środku tych pokoi łóżka, szafy, meble, więc zamieszkaliśmy tutaj na jakiś czas. Dobrze nam się tutaj mieszka. Cisza, spokój, brak ludzi koło nas. Brak ludzi w mieście to luksus. Brak ludzi w mieście to wolność.

- Czas. Zatrzymany czas. I ta cisza, która załęgła się w tym czasie na zawsze – mówię.

Idę wzdłuż korytarza, otwieram kolejne pokoje, są bardzo podobne do siebie. Szafa, stolik, łóżka, lampki, łazienki i to wszystko jak dawniej, tak jak było za czasów mojej młodości.

- Musimy iść na ostatnie piętro – mówi Mateusz. – Tam mieszkamy, tam mam swoje zdjęcia.

- I nikt was tutaj nie zauważył?

- Nie. Wchodzimy dyskretnie i nie robimy hałasu.

Gdy jesteśmy na ostatnim piętrze Hotelu Forum wchodzimy do ostatnich drzwi od strony Wisły.

Mateusz wyciąga zdjęcia z szafy. Wszystkie są czarno-białe. Chmury, każda inna, każda wyrazista, jakaś pełna, kompletna, czasami niebezpieczna i tajemnicza.

- W chmurach jest wszystko, w chmurach jest nic. Chmury to nasze myśli, nasze marzenia. Widzisz w nich to, co chcesz zobaczyć. Każdy widzi coś innego. I to jest najpiękniejsze w chmurach. Wolność. Docieranie myślami tam gdzie chcemy dotrzeć. Docieranie myślami tam gdzie nie chcemy dotrzeć.

- To dobre zdjęcia – mówię. – Ludzie dzięki tym zdjęciom mogą zobaczyć siebie. Swoją przeszłość. Rozmazaną przeszłość.

- Teraz zabierzemy was na dach hotelu – mówi Julia. – To wyjątkowe miejsce, wyjątkowe widoki.

Julia wyciąga wino z szafy a potem idziemy schodami do góry. Małą drabiną przybitą do ściany wchodzimy na dach. Kłapa dachu cicho jęczy gdy ją otwieramy. Jęczy a potem zamiera. Może już na zawsze.

Siedzimy na dachu Hotelu Forum. Siedzimy i milczymy. Tylko nasze ręce wykonują ciche, wyszeptane ruchy, wykonują je bo w rękach mamy lampki wina. Wino to jedyny ruch w naszym milczeniu, w naszym zastygnięciu.

- Kraków z góry – mówi Julia.

- Życie z góry. Marzenia z góry. Lęki z góry. Wolność z góry – mówię ja.

- W nocy, w hotelu dzieją się dziwne rzeczy – mówi Julia, a jej twarz tężeje przy słowie dziwne.

- Jak dziwne? Jak tajemnicze? – pytam z zaciekawieniem ryby patrzącej na spławik w wodzie.

- Gdy jesteśmy w pokoju, gdy cisza zaczyna nas onieśmielać, nagle słyszymy czyjeś kroki na korytarzu – mówi Julia głosem pełnym lęku. – I wtedy delikatnie wysuwam głowę na korytarz. I wtedy czuję, że Hotel Forum zaczyna żyć własnym, dawnym życiem. Widzę cienie dawnych gości hotelu, otwierają drzwi, wchodzi do pokoi, wychodzą z pokoi, zamykają drzwi. Dawne życie znów wraca do hotelu. Ktoś przyprowadza kobietę z wyzywającym makijażem a potem głosy dobiegające z pokoju mówią, że jest to miłość za pieniądze, miłość przypadkowa, miłość nieprawdziwa. Kelnerzy z wózkami na kółkach krążą po pokojach, podają kolację, ucztę z kawiozem i szampanem. Ktoś w pokoju krzyczy, ktoś płacze, ktoś inny jest samotny i ta samotność jest wyczuwalna na całej długości hotelowego korytarza. Na dole słyszeć muzykę dobiegającą z restauracji. Pary tańczą, uśmiechają się, wierzą, że miłość w tym hotelu, w tym mieście to miłość wieczna, beztroska i wieczna. Ktoś siedzi przy barze sam, delegacja. Delegacje to wieczna samotność dla tych którzy wciąż uciekają od samotności. Jakiś kelner się potyka, coś upada na dywan, ktoś prosi kierownika, zła temperatura zupy, zła bo pieniądze w tym hotelu mają władzę, dają panowanie nad ludźmi, nad ich duszami. – Julia się zamyśla, jej myśli są z tymi duchami, są z ich niewolą, z ich zatraceniem. – Z kasyna dochodzi szum ruletki, szum rozdawanych kart. Z kasyna dochodzą jęki straconych dusz,

skazanych za swój nałóg, za swoje szaleństwo na potępienie. Kelnerki w kasynie, kelnerki młode, piękne, roznoszą kolorowe drinki wśród graczy. Alkohol otępia nałóg, alkohol daje siłę nałogowi, daje nadzieję, złudną nadzieję na wolność. Wolność skazaną na potępienie, gdy przegrany opuszcza kasyno z opuszczoną głową.

- Opowiedz o morderstwie – mówi Mateusz. – Opowiedz, co wydarzyło się w zimną grudniową noc w hotelu.

- Jakaś kobieta, zamożna kobieta wynajęła pokój dla siebie i swojego kochanka. Spędzili w pokoju namiętny wieczór. Koło dwudziestej drugiej ktoś zapukał do ich drzwi. Kobieta myślała, że to kolejny szampan zamówiony przez telefon w restauracji na dole. Gdy otworzyła drzwi zobaczyła męża. Mąż odepchnął ją i wszedł do pokoju. Słysząc było jeden strzał, jeden krzyk, potem padł drugi strzał, cisza, obezwładniająca cisza. Mężczyzna zszedł na dół do restauracji, poprosił o telefon, zadzwonił na policję, wypił szybko trzy setki wódki i poszedł do kasyna. Zaczął grać, nawet zaczął coś wygrywać. Gdy przyjechała policja, wstał od ruletki, uśmiechnął się jakoś dziwnie, potem powiedział „Jestem gotów” i strzelił sobie z pistoletu w głowę. Upadł. Krew przybrała kolor czerwonego dywanu.

- Słysząc na dole ten strzał, gdy ciemność przenika cały hotel w nocy – mówi Mateusz.

- Wierzysz mi? – pyta Julia.

- Wierzę. Świat czasami jest niewytłumaczalny. Świat czasami jest bezwzględny.

- Czuję obecność dawnego życia w tym hotelu – mówi Julia. – To jest piękne, to jest przerażające.

Zbliża się wieczór. Gwiazdy powoli otwierają okna w swoich sypialniach. Jeszcze są senne i opuszczone, ale za chwilę będą żyć inaczej, lepiej. Będą ocierać się o ciemność swoim światłem i blaskiem.

Co jakiś czas smok pod Wawelem ziejie ogniem. W ciemności pojawia się jasna luna, w ciemności znika jasna luna. Ogień niszczy ciemność, ogień pożera ciemność.

Schodzimy na dół. Julia i Mateusz odprowadzają nas do drzwi Hotelu Forum, bocznych drzwi.

- Ciekawi ludzie tworzą ciekawy świat – mówię do Julii.

- Życzliwi ludzie tworzą życzliwy świat – mówi Julia.

- Szczęśliwy świat – mówię i wychodzimy z Jakubem z hotelu.

Wracamy wzdłuż Wisły. Gwiazdy odbijają się w wodzie. Są jak ryby skaczące nad wodą, jak pstrągi płynące pod prąd w górę rzeki.

- Ciekawe życie mam z tobą – mówię i przytulam się mocniej do Jakuba.

- Gdyby ciebie nie było, mój świat byłby jak popękane drzewo leżące na plaży przy morzu. Drzewo już wyschnięte, opuszczone przez morze, przez ląd. Drzewo niczyje. Drzewo, które tylko czeka na śmierć. A śmierć wciąż nie nadchodzi, nie może nadejść. Bo na złe rzeczy czeka się wiecznie, czeka się niecierpliwie.

- Czeką się ostatecznie.

Budzę się rano spocony, zmęczony. Bardziej zmęczony niż spocony. Patrzę się na zegarek, piąta rano. Wstaję, podchodzę do okna. Zły sen, mroczny sen, niebezpieczny sen. Sen o niczym, sen o wszystkim. Ciągłe mam go w głowie, lecz gdy podchodzę do okna sen zaczyna powoli uciekać ode mnie, zaczyna oddalać się na bezpieczną odległość. Już nie zasnę, myślę. Patrzę się na osiedle wciąż śpiące spokojnym snem, czujnym snem. Słońce w swojej czerwonej poświacie zaczyna budzić się do życia. Gdzieś daleko widzę tęczę. Rzeczy dalekie stają się dla mnie bliskie, rzeczy bliskie stają się dla mnie dalekie.

Patrzę się na puste ulice, puste chodniki, puste trawiaste tereny. I wtedy na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Przeszłość, dobra przeszłość. Zamyślam się. Uciekam gdzieś daleko, uciekam gdzieś blisko.

Przypominam sobie sobotę, gdy nie szedłem do szkoły. Mama dawała mi pieniądze, kazała iść na zakupy. Szedłem wzdłuż ulicy, w kierunku piekarni na rogu, tuż przy szkole podstawowej. Ciepły chleb, prawie gorący, świeży, jego zapach mnie przenikał, onieśmiewał. Pierwszy kęs, piętka, ciepła piętka lekko chrupiąca, drugi kęs, jakie to było dobre, smaczne. Potem szedłem ulicą między domkami, tam kupowałem barszcz biały w butelce po wódce. Dalej był fotograf w domku jednorodzinnym, ale fotograf był później, o wiele później, pamięć mnie myli. Oszukuje. I gdy wracałem do domu z zakupami mama patrzyła się krzywo na chleb lekko nadgryziony, na chleb lekko zniszczony przez los, przeze mnie.

Często w kuchni, w sobotę siedziała starsza pani ze wsi, pani z wiklinowym dużym koszykiem. A w tym koszyku same skarby. Śmietana ze wsi, świeża, pachnąca, ser biały zawinięty w białe bawełniane szmatki przypominające pieluszki dla dzieci, jajka duże, ogromne, białe i jeszcze inne skarby żywieniowe ale ich do końca moja pamięć nie może sobie teraz przypomnieć. Wiem, że były, ale czy były naprawdę tego do końca nie wiem.

Za oknem wciąż słyszę, nawet teraz, głos dobiegający z furmanki „Ziemniaki, kartofle!”. I wtedy, po tym głosie schodziło się na dół, patrzyło się na zmęczonego konia, brało się worek ziemniaków i zanosilo do piwnicy.

Za oknem wciąż słyszę muzykę, to muzykanci pod blokiem. Śpiewali stare przeboje. Ludzie z okien rzucali im monety, monety zawinięte w kartki białego papieru. Oni je podnosili i śpiewali jeszcze głośniej. A za nimi pasły się czasami krowy. Bo wtedy świat był inny, bliski, ale inny. Czy dobry, tego nie wiem. Na pewno inny.

Na chodnikach graliśmy kapslami w wyścig pokoju. Kreda wyznaczała trasę – zakręty, wyspy, przeszkody, a my na kolanach pstrykaliśmy w te kapsle i walczyliśmy o zwycięstwo aż do końca. Bo wtedy wierzyliśmy, że jest gdzieś jakiś koniec dla każdego z nas. Koniec, za którym jest coś. Coś obcego, ale niezwykłego. I chcieliśmy się o tym końcu coś dowiedzieć, dotknąć go choćby w marzeniach.

I śmigus dyngus, jak co roku. Butelki z wodą, butelki po płynie do naczyń, butelki naciskane mocno aż w końcu woda dotykała ofiary, aż w końcu kobiety piszczały, gdy uciekały. Chodniki mokre, klatki mokre, drzwi do domów mokre, nasze dusze mokre. Mokre, ale niezwykle. Mokre, ale niewyciężone.

I rzucanie się kulkami śniegu po szkole w zimie. Walka o wszystko, walka o nic. Każdy chciał wygrać, każdy chciał przegrać. Twarze zmęczone, oczy zmęczone, ręce zmęczone. Czapki lekko zsunięte na bok. Szaliki lekko chroniące twarze. I te krzyki, i te ucieczki, ucieczki przegrane. Walka, walka, jeszcze raz walka. Walka o przetrwanie. Walka o nieśmiertelność.

Otwieram oczy. Słońce już jest wyżej. O wiele wyżej niż wczoraj o tej porze. Świat zmierza donikąd. Ludzie zmierzają donikąd. Osie-

dle zmierza donikąd. Moje życie zmierza donikąd. I ja w tym donikąd muszę nieświadomie uczestniczyć. Uczestniczyć aż do końca.

Krzesła, stare krzesła skrzypią. Ludzie się wiercą, kręcą, czekają. Czekanie ich jakoś dziwnie męczy, zabija, niektórych onieśmiela.

Klub Dziennikarzy Pod Gruszką, spotkanie. Muzyk, kompozytor muzyki filmowej, Enny Cone, człowiek legenda, człowiek ikona, człowiek o którego zabijają się reżyserzy filmowi. Jego muzyka daje oddech filmowi, daje wytchnienie, daje nadzieję.

- Wystrój tego klubu zawsze mnie jakoś dziwnie porusza w środku – mówi cicho Weronika, cisza jest w niej, cisza jest poza nią. – Czuć tutaj przeszłość, zapach ludzi którzy tutaj kiedyś byli, wciąż są, obecni, nieobecni, prawie zapomniani.

- To zapach ludzi, którzy tutaj żyli mocniej niż inni, intensywniej niż inni – mówię ja.

- Intensywność zabija, intensywność wyzwala.

Wchodzi Enny Cone, oklaski, on się uśmiecha, jego stare oczy, oczy które wciąż jeszcze płoną, na moment stają się żarem, wulkanem, jakąś eksplozją, a potem znów są tylko ogniem, płomieniem, który co jakiś czas wybucha do góry, przeważnie wtedy gdy pisze muzykę filmową.

Enny Cone siada na krześle tuż obok fortepianu. Uśmiecha się. Jego pomarszczona twarz, siwe włosy, lekko zgarbiona sylwetka i czarne okulary zamieniają się w jeden wielki słuch. Enny Cone kocha ludzi, kocha plan filmowy, kocha słuchać innych, którzy zawsze mają mu coś do powiedzenia. Życie innych to każda odrębna historia, historia nigdy się niepowtarzająca. Życie innych ludzi to książka, otwarta książka z której mądry człowiek może wynieść wszystko i wykorzystać to wszystko dla siebie, dla innych, tak mówi Enny Cone w wywiadach.

Padają pytania, on odpowiada, podczas tych pytań jego twarz coraz bardziej zanurza się w przeszłość. On widzi to co mówi, to rzadkość, widzieć swój los, swoją przeszłość w słowach, w zdaniach, w uśmiechach ludzi.

- Gdy zaczynałem – mówi Enny Cone – chciałem tylko tworzyć muzykę dla siebie. Potem okazało się, że muzyka staje się coraz ważniejsza też dla innych. I wtedy zrozumiałem, że może będę miał

szczęście i będę mógł żyć z tej muzyki, że pasja może okazać się moją pracą. I tak się stało. Teraz, po czasie, wiem, że rzeczy ważne można tylko tworzyć wtedy, gdy to jest pasja. Gdy pasja staje się zawodem, coś ważnego z nas ucieka. Wolność. A wolność w sztuce to podstawa. A jak tworzy człowiek dla pieniędzy, to wtedy rozumie, że tej wolności w nim jest coraz mniej. I dla niektórych ta wolność przestaje mieć znaczenie. Pasja staje się kolejnym projektem. Pasja staje się kolejną rzeczą, którą trzeba stworzyć tak, by inni ją zrozumieli. I to się nazywa kompromisem. A kompromis to śmierć dla artysty.

- Pan potrafił uwolnić się od tego kompromisu. Pana muzyka jest ważna, bez niej obraz nie ma sensu, nie ma znaczenia.

- Ja potrafiłem zachować równowagę. Na początku, na końcu. Równowaga na początku jest ważna, na końcu najważniejsza. Po czasie reżyserzy zrozumieli, że muszą mieć wolność, bo wtedy film będzie lepszy, muzyka będzie lepsza. I wtedy zgłaszali się do mnie tylko ci, którzy chcieli poddać się tej muzyce, mojej sztuce tak naprawdę, tak dosłownie.

Enny Cone przygląda się klubowi. Jego oczy ocierają się o ściany, obrazy, zdjęcia, o twarze ludzi. Potem bierze do ręki czerwony sok, wypija łyk i mówi dalej:

- Na początku muzyka była tłem do każdego kolejnego filmu. I gdy pojawił się młody reżyser, który chciał stworzyć trylogię, która miałaby jakiś sens, jakieś znaczenie, wszystko się zmieniło. Budżet był mały, kilku muzyków zagrało to co napisałem. Wcześniej dużo rozmawiałem z reżyserem o tym filmie. I po premierze film eksplodował. Sukces przerósł mnie, przerósł reżysera. A muzyka okazała się trampoliną dla tego filmu. Niektórzy mówili, że muzyka jest równym partnerem dla obrazu. Zaczęliśmy kręcić drugi film z tej trylogii. Już wtedy byłem na planie, tworzyłem muzykę pod aktorów, oni mieli ją tylko zrozumieć. Zrozumieć tak jak ja. Tworzyłem muzykę na bieżąco, a oni grali wraz z moją muzyką. Znow był sukces. Znow chwalili muzykę. I wtedy zrozumiałem, że ostatnią część tej trylogii musimy nakręcić inaczej. Ja to rozumiałem, rozumiał to reżyser. I w ostatnim filmie muzyka była już na planie ciągle. Zespół grał ją na żywo. Aktorzy już wtedy grali pod muzykę. Muzyka była na pierwszym planie, muzyka była najważniejsza. Aktorzy

to rozumieli, reżyser to rozumiał, ja to rozumiałem. Wszystko było w tym filmie podporządkowane muzyce. To była nowość, ale się opłacało. Wielki sukces trzeciej części sprawił, że ja byłem znany, reżyser był znany, aktorzy byli znani. Świat nas przyciągnął do siebie, może zbyt mocno, przyciągnął i przytulił, a po czasie niektórych zniszczył, bo byli zbyt mocno uzależnieni od tego świata, od ludzi, którzy ten świat tworzyli – Enny Cone chwilę milczy, jego głos, cała jego twarz zmienia się w kałużę, w jakieś błoto na drodze, szare, zimne błoto. – Ostatnia scena filmu to tylko muzyka. Nie ma dialogów, nie ma zbędnych kadrów, tylko moja muzyka, która coraz bardziej zwiększa napięcie. Muzyka jest grana w całości, cały utwór, nie fragment. Bo tak naprawdę całość to moja muzyka, całość to napięcie które jest zawarte w tej muzyce. Napięcie aż do końca. I tak kończy się film, i tak kończy się dobry kawałek mojego życia.

Padają kolejne pytania, kolejne odpowiedzi. Enny Cone jest zmęczony, widać to na jego twarzy. Kocha ludzi, ale nie kocha zmęczenia, które pojawia się, gdy zbyt długo przebywa wśród tych ludzi. Bo tak naprawdę jego świat to muzyka, nie ludzie, wśród których coraz rzadziej chce przebywać, wśród których coraz rzadziej umie przebywać.

- Na koniec opowiem wam jeszcze jedną historię, którą opowiedział mi mój dziadek. Gdy dziadek spacerował po Rzymie, nagle zobaczył znanego aktora w kawiarni. Podeszedł do niego, przedstawił się, powiedział że go uwielbia i przez jakiś czas ze sobą rozmawiali. Noc, wino, dobry czas sprawia, że czasami mówimy więcej niż chcemy powiedzieć, więcej niż musimy powiedzieć. Dziadek powiedział, to że jesteśmy na szczycie dziś, wcale nie oznacza, że będziemy na tym szczycie jutro. Nic nie trwa wiecznie, a już na pewno nie trwa wiecznie sława. Dziadek powiedział, że ta rozmowa go w jakiś sposób zmieniła – Enny Cone chwilę milczy, potem mówi dalej. – Znany aktor opowiedział mojemu dziadkowi rozmowę z krytykiem filmowym, znanym krytykiem filmowym. Podobno się nawet lubili, ale ten krytyk mocno go upokorzył na stronach swojej gazety. Był to czas, gdy aktorzy kina niemego musieli się odnaleźć w kinie dźwiękowym. Tylko nieliczni sobie z tym poradzili. Znane gwiazdy z dnia na dzień odchodziły w przeszłość. Dźwięk w filmie przekreślał całą ich doskonałą przeszłość. Gdy ten znany aktor roz-

mawiał z tym krytykiem, rozumiał, że krytycy są jak szczury na statku, zawsze mają gdzie uciec, zawsze potrafią odnaleźć się w nowym miejscu. Krytyk powiedział mu, twój czas minął, nie jest to nikogo wina, ani twoja, ani ludzi z którymi pracujesz. Pracowałeś, poprawił się szybko krytyk. Byłeś na szczycie, teraz już nigdy tam nie będziesz. Możesz próbować, walczyć, ale to bez sensu. Czas dźwięku, to nie jest twój czas. Ale kiedyś, po czasie, gdy się w końcu już z tym wszystkim pogodzisz, zrozumiesz, to co powinieneś zrozumieć, zniechędź, to co musisz zniechędzić. Po czasie będziesz wiedział, że żyłeś tak jak chciałeś, kochałeś tak jak chciałeś, byłeś znany tak jak chciałeś. Niewielu ludziom się to udaje. Być na szczycie choć przez chwilę. I wtedy zrozumiesz, że stałeś się nieśmiertelny, a to rzadkość, zyskać nieśmiertelność już za życia. Gdy ktoś kiedyś włączy twój film, przez przypadek, znów będziesz żył na nowo. W innym czasie, w innej przestrzeni. Stałeś się nieśmiertelny, nikt ani nic tego nie zmieni. Oszukałeś czas. Przeżyłeś nas wszystkich. O nas, krytykach ludzie szybko zapomną, niezauważalnie znikniemy. A twoje nazwisko będzie wieczne. Nawet po śmierci będziesz wzbudzał śmiech, rozpacz, gniew, miłość. Czasami samotność – Enny Cone znów milczy, znów milczenie staje się ciemnością, mrokiem, niezrozumieniem, ale po chwili znów zaczyna mówić. – Potem, po kilku latach, ten znany aktor wszedł do dobrej restauracji, zamówił najdroższe dania, najdroższe wino, dał duży napiwek muzykom, którzy grali to co on chciał, zatańczył jeden taniec ze znaną modelką, wszedł do ubikacji i strzelił sobie w głowę. Nie potrafił pogodzić się z prawdziwym życiem, ze zwyczajnym życiem.

Cała sala milczy, ja milczę, Weronika milczy, światło za oknami milczy.

Enny Cone budzi się z jakiegoś odrętwienia i mówi:

- To opowiedział mi mój dziadek. Powiedział mi to, bo może zobaczyć w moich oczach szansę na dobre życie, inne życie niż on. A teraz, na koniec coś wam zagram.

Enny Cone siada przy fortepianie i zaczyna grać znane melodie ze swoich filmów. Jego palce delikatnie dotykają klawiszy fortepianu. Dźwięk który się z nich unosi przenika wszystko dookoła. Muzyka jest w nas, muzyka jest gdzieś obok nas.

Jesteśmy na dzikim zachodzie, czujemy przez dźwięk fortepianu ten dziki zachód; jesteśmy na misji, wśród tubylców, czujemy to gęstniejące ciepłe powietrze w wiosce tuż przy wodospadzie; jesteśmy na szarych, brudnych ulicach starej Ameryki, na ulicach gdzie rządzą ludzie, źli ludzie; jesteśmy wszędzie, jesteśmy nigdzie.

Enny Cone kończy grać. Kłania się, oklaski. Widać, że jest zmęczony, szczęśliwy ale zmęczony. Enny Cone wychodzi, my wychodzimy.

Weronika się do mnie przytula, mocniej niż zazwyczaj. Czuję jej oddech koło mojej szyi.

- Cudowny człowiek, artysta, bardziej człowiek niż artysta.

- Jego świat to muzyka – mówię. – Poza muzyką, w innym świecie, Enny Cone czuje się bezbronny, zagubiony.

- Nieobecny – Weronika całuje mnie w usta.

Jest wieczór, miły, ciepły wieczór. Powietrze jest ciepłe, przyjazne ludziom. Przyjazne ich twarzom i spojrzeniom.

Spacerujemy po rynku. Dorożki, gołębie, światła w kamienicach. Tłum ludzi. Niektórzy spokojni, inni nieobecni. Ktoś gra na gitarze. Muzyka odbija się od murów kamienic i znika w ciemności. Znika w szarych odbiciach ulic.

Idziemy na Planty, a tam latarnie, ich światła, ich zdolność ocierania się o ludzkie twarze, często twarze zakłopotane.

Siadamy na ławce koło jakiejś nieczynnej fontanny. Ludzie niczym duchy przechodzą koło nas. W oddali ktoś gra na harmonii. Francuska piosenka dociera do nas fragmentami, małymi częstkami dźwięków.

- Czas – mówi Weronika. – Lubię, gdy czas mnie nie dotyczy. Nie dotyczy tego co muszę robić, nie dotyczy tego co już nie muszę robić. Czas to jest tylko to, co jest teraz. I nic innego się nie liczy. Reszta to złudzenie, że coś musimy, choć tak naprawdę już nic nie musimy.

- Musimy być ze sobą, jak najdłużej, jak najczęściej.

- Jak najczęściej nie zawsze oznacza dobre rzeczy u ludzi, u nas oznacza wolność, wolność w nas, wolność bycia ze sobą wtedy kiedy chcemy, nie wtedy kiedy musimy.

Dwaj rowerzyści przejeżdżają koło nas szybko, zbyt szybko, a potem znikają w ciemności. Światła z ich rowerów jeszcze przez chwilę dotykają drzew, a potem znikają w oddali.

Koło nas idzie para starych ludzi, ich kroki są ciche, bezbronne, prawie niezauważalne. Gdy światło latarni ociera się o ich oczy, zauważam, że ich oczy są brudne, pełne jakiegoś pyłu, pełne jakiejś sadzy, to oczy ludzi którzy całe życie spędzili w kopalni, to oczy ludzi, którzy nigdy z tej kopalni nie wychodzili. Nie wychodzili bo nie chcieli, nie wychodzili bo nie umieli. Ich cały świat to jakaś kopalnia, w której kiedyś nieświadomie utkwili i potem już nigdy z tej kopalni nie mogli wyjść. Może próbowali, ale bezowocnie.

I te ich oczy, oczy bezbronne, oczy spalone. Widać w nich wszystko, widać w nich nic.

Idą tak jakby nikt za nimi nie tęsknił, jakby oni za nikim nie tęsknili. Jakby świat o nich zapomniał, jakby oni zapomnieli o świecie. Jakby w życiu mało mówili, bo słowa nic tak naprawdę dobrego dla nich nie znaczyły. Jakby wciąż mało chcieli od życia, prawie nic. Prawie wcale.

Ale nagle coś w tych oczach zauważam, coś innego, coś co światło z latarni dostrzegło pośród nocy, pośród mroku. Zauważam w nich cichą chęć życia, cichą chęć bycia kochanym. Choćby na siłę, choćby na chwilę.

Para starych ludzi nas mija. Znikają w ciemności, znikają w oddali.

- Nigdy nie widziałem w oczach ludzi tyle pustki, tyle niezrozumienia – mówię szeptem.

- Nie każdy ma równe szanse, nie dla każdego nadzieja oznacza tyle samo.

Wstajemy, idziemy Plantami w kierunku dworca. Ja milczę, Weronika milczy. Czasami niepotrzeba słów by dobrze się rozumieć. Czasami słowa to skarga, słowa to utrapienie.

Przechodzimy koło kościoła, obok stoi kamienica w której żyją ci, którzy uwierzyli, że życie ma sens, że życie ma znaczenie. Światła w oknach, w pokojach, cienie czarnych postaci w czarnych ubraniach, ich świat, czasami nasz świat, świat w którym wszystko się odbija – radość, grzech, śmierć, czasami upokorzenie.

- Wierzysz, że można być nieśmiertelnym? – pytam, patrząc się w okno pełne czarnych kształtów.

- Uważam, że coś się kończy, coś się zaczyna. Uważam, że jedne drzwi otwierają następne drzwi i tak bez końca. Uważam, że musimy w coś wierzyć bo inaczej zwariujemy, uciekniemy od siebie dalej niż zazwyczaj. A nie każdy ma siłę i odwagę potem wrócić do siebie. Uważam, że zło można bardziej zrozumieć przez dobro. Uważam, że czas tutaj, to tylko mała częśćka czasu tam. Uważam, że skoro mnie o to pytasz, to też chcesz w coś wierzyć, choćby na siłę. Bo łatwiej będzie nam uciec z tego świata, gdy będziemy mieli złudzenia, dobre, złe, ale złudzenia. Uważam, że za dużo myślisz o rzeczach, które i tak się staną, a ty, ja, nie mamy na to żadnego wpływu. Nasze życie to czas, a co my zrobimy z tym czasem to tylko jakieś złudzenie. Twoje, moje, nasze.

Dochodzimy do dworca. Wsiadamy do autobusu. Jedziemy w ciemności do domu. Samochody nas w milczeniu mijają. Odprowadzam Weronikę pod blok, pod same drzwi. Całuję ją w usta. Ona się uśmiecha, jej oczy się uśmiechają. Cała jej twarz to jeden wielki uśmiech.

- Do jutra – mówię.

- Do jutra – Weronika znika za drzwiami.

Zostaję sam na klatce. Wracam na piechotę do domu. O czymś myślę, o niczym nie myślę. Nogi same prowadzą mnie do domu. Otwieram kluczem drzwi. Znikam. Oddalam się poprzez sen w nieznane. Oddalam się poprzez sen w niewidoczne. W nieokreślone.

Dom w górach, tuż przy szarej skale. Dom z którego widać góry, białe szczyty, nawet w lecie. W oddali las, a w nim dźwięki niespokojne, nieznane, w nocy niebezpieczne.

Kupiłem ten dom, nie wiem za co, skąd miałem pieniądze, ale to sen, a w snach wszystko jest możliwe, w snach nie ma żadnych ograniczeń. Sny to naginanie rzeczywistości, naginanie rzeczywistości do bezgranicznych granic, do bezgranicznych kresów. Czasami bezgranicznych pragnień.

Dom jest stary, drewniany, urządzony. Meble, drewniane meble, stare deski w podłodze, które skrzypią przy każdym kroku. Obrazy na ścianach, stare, prawie niezniszczone, obok zegary, które tykają,

które podają różne godziny, różne granice czasu, czasami zmarłego już czasu.

Duży ogród przed domem, w nim stare drzewa, niektóre chylą się do ziemi, jakby ich czas już dawno minął, ale wciąż walczą, nie poddają się. Walczą jak ja ze swoimi snami, walczą aż do zatrucia.

Na końcu ogrodu, na końcu drzew ściana, popękana skała. Pomarszczona jak twarz starego człowieka, twarz która już tylko czeka na śmierć, czeka na zatracenie.

Mieszkam w tym domu od kilku miesięcy, błędę w tym domu od kilku miesięcy.

Którejś nocy budzę się, wstaję, słyszę jakiś dźwięk, zapalam światło w pokojach, szukam. Nie widzę tego dźwięku w drzewie, w meblach, nawet w obrazach i zegarach.

Wychodzę na zewnątrz, ogród jest ciemny, niespokojny. Niebo jest pełne popielatych chmur. Księżyc śpi, śpi ale czuwa.

Znów słyszę dźwięk, dochodzi z tyłu ogrodu. Przedzieram się między drzewami, gałęzie dotykają mojej twarzy. Znaczą delikatne rysy na mojej twarzy, czerwone rysy na mojej twarzy. Dochodzę do skały. Cisza. Oblęd. Brak oblędu. Sen. Brak snu. Złudzenie. Brak złudzenia.

Dźwięk zniknął, a może to tylko ja zniknąłem poprzez ten dźwięk. Już mam odchodzić, już mam wracać do domu, do łóżka, już mam wracać w sny, w zagubienie, gdy znów słyszę ten dźwięk. Zamieram. Ten dźwięk dochodzi ze skały. To dźwięk dzwonka. Starego mosiężnego dzwonka, którego dźwięk czasami słychać w kościele. Dźwięk jest krótki, przerywany. Znika, następuje cisza, a potem dźwięk znów się pojawia. Na chwilę, na moment, na kilka sekund.

Czekam, trwam, nic się już nie dzieje. Wracam do domu, wracam w sny.

Rano budzę się, jestem zdziwiony, jestem wypoczęty. Nie wiem, czy noc to prawda, czy noc to złudzenie? Czy dźwięk to prawda, czy dźwięk to złudzenie?

Jem śniadanie na tarasie. Dom lekko skrzypi, żyje swoim niewidocznym życiem. Drzewa lekko ruszają swoimi liśćmi na wiatr.

kie strony. Góry białe, góry zmęczone, góry poszarpane stoją w milczeniu, stoją w oddali. W dalekiej oddali.

Znów słyszę dźwięk w skale. Przerywam śniadanie. Idę w kierunku skały. Przykładam ucho. Cisza. Już chcę odejść, znów dźwięk w skale. Dźwięk mosiężnego dzwonka zatrzymanego w czasie. Innym czasie.

I tak mijają mi dni. Dni przerywane odgłosem dzwonka w skale. Wciąż o tym myślę. Jakiś niepokój zakradł się do mojej głowy. Nie może zniknąć. I nawet nie wiem, czy chcę żeby zniknął. Myśli, tysiące myśli w mojej głowie. Hipotezy, tysiące hipotez w mojej głowie. Lęki, tysiące lęków w mojej głowie. Złudzenia, tysiące złudzeń w mojej głowie. Pytania, tysiące pytań w mojej głowie.

I w końcu dociera do mnie myśl, pierwsza, druga, następne. Nie wiem, czy to są myśli mądre, złe, rozsądne, ale wiem, że muszę się dowiedzieć, skąd naprawdę ten dźwięk dochodzi? Co jest przyczyną braku spokoju w mojej głowie?

Biorę duży kilof, stary kilof znaleziony w piwnicy, murowanej piwnicy z kamieni z rzeki i zaczynam kuć skałę. Skała jest twarda, ale powoli ją niszczę, tworzę do swoich potrzeb.

Małe fragmenty skały są pod moimi nogami. Jak tylko mam wolny czas spędzam go przy skale. Potem taczkami wywożę fragmenty skały do pobliskiej rzeki. Znikają w rzece jak moje złudzenia, że kiedyś dotrę do tego dźwięku, że kiedyś dowiem się co jest przyczyną mojej nieświadomości o rzeczach wytłumaczalnych, o rzeczach niewytłumaczalnych.

Źle śpię, wciąż źle śpię. To przez niepewność, to przez dźwięk dochodzący ze skały, dźwięk brzmiący jak żyłotka w nocy, dźwięk brzmiący jak siekiera w ciągu dnia. Ale nie poddaję się zwątpieniu. Wciąż walczę ze ścianą.

I któregoś dnia, nawet nie wiem dokładnie którego, docieram do tego dźwięku, docieram do niego wtedy, gdy milczy.

Kilof zahacza o coś metalowego, delikatnie zaczynam wydobywać pojedyncze okruszki ściany, okruszki popękane jak szkło rozbite przez starca o trzęsących się rękach.

Widzę metalowy dzwonek, dzwonek połączony ze skałą jak małe dziecko z matką. Dzwonek jest pośrodku korytarza, korytarza któ-

rzym muszą się przemieszczać jakieś zwierzęta. Pewnie szczury, myśle, i ta myśl mnie jakoś dziwnie uspokaja.

Zaczynam wszystko rozumieć. Jakieś zwierzę, pewnie małe, pewnie w jakiś sposób niebezpieczne, przemieszcza się długim korytarzem w skale i zahacza o ten dzwonek. Dzwonek zaczyna żyć na kilka sekund, a potem milczy, aż do przeprawy kolejnego zwierzęcia w szczelinie.

Ale skąd ten dzwonek w skale? Tego nie jestem w stanie zrozumieć. W zasadzie większość moich snów nie jestem tak naprawdę w stanie zrozumieć.

Gdy dźwięk zamilkł w skale, po kilku dniach się uspokoiłem. Dzwonek leży na stoliku, na zewnątrz domu, leży, milczy, a ja z jakimś dziwnym otępieniem wciąż na niego patrzę.

Któregoś dnia sąsiad, sąsiad z domu obok, z domu zniszczonego, połamanego przez czas, przez ludzi, zauważa dzwonek na stole. Podchodzi do mnie, wita się, dotyka dzwonka rękami, chwilę milczy, a potem mówi:

- Skąd masz ten dzwonek?
- Znalazłem go.
- Gdzie?
- W skale.
- W skale – dziwi się sąsiad.
- Tak, w skale. Wydobyłem go stamtąd.
- Coś ci opowiem – mówi sąsiad. – Coś co może rozjaśni ci jedną z tajemnic tego domu.

Sąsiad siada na krześle, jego wzrok błądzi gdzieś nad szczytami gór, a potem zaczyna mówić:

- Dawno temu, w tym domu, mieszkał bogaty kupiec. Był bardzo samotny, wciąż podróżował, liczył, że praca może zastąpić miłość, która wciąż do niego nie przychodziła. I nagle kupiec zobaczył w polu piękną, ale bardzo biedną kobietę. Zakochał się w niej bez pamięci. Poślubił ją, mimo tego, że był od niej dużo starszy, mimo tego, że była biedna. Na początku w ich związku było dobrze. Nie było dzieci, ale było dobrze. Kupiec często wyjeżdżał w interesach, a gdy wracał służba zawsze witała go dzwonkiem na werandzie. Nie dziwił go dźwięk dzwonka w rękach służby gdy wracał. Przyzwyczaił się. Któregoś dnia wrócił dzień wcześniej, chciał żonie zrobić

niespodziankę. Zakradł się z tyłu domu, chciał zaskoczyć żonę, objąć ją i pocałować tak, jak nigdy nikogo wcześniej nie całował. Zobaczył tylko cień mężczyzny uciekający oknem. Służba była zaskoczona, żona też, a dzwonek milczał. I wtedy wszystko kupiec zrozumiał, że dźwięk dzwonka ostrzegał jego żonę o powrocie męża. Żona płakała, coś tłumaczyła, kupiec wyszedł z domu, poszedł do oberży pić, pić aż do rana. Jego serce pękło, rozbiło się jak dzban na pustej, kamienistej drodze. Nad ranem kupiec wrócił pijany do domu. Zasnął w ubraniu na korytarzu domu. Gdy się obudził, zobaczył, że żony nie ma. Był tylko list. Zakochała się, to zrozumiał z listu, nigdy do niego nie wróci, to zrozumiał z listu, będzie samotny już do końca, to zrozumiał z listu. Spojrzał na dzwonek przy drzwiach, rzucił nim o ścianę. Potem zwolnił służbę i zamknął się prawie na wieczność w domu. Przestał jeździć w interesach, nic go nie obchodziło. Dom podupadł, kupiec podupadł. A dzwonek leżał na werandzie w domu, leżał i milczał. I któregoś dnia kupiec zniknął, dzwonek zniknął. I tylko czasami ludzie słyszeli dźwięk dzwonka w nocy, ale może to było tylko złudzenie, mówili, świat składa się ze złudzeń, złudzeń niewytłumaczalnych.

Sąsiad wstał, popatrzył się na dzwonek i odszedł. Jego twarz była zdziwiona, niewyspana.

I wtedy się obudziłem. Noc, czwarta rano. Sen jeszcze we mnie był, ale powoli znikał. Położyłem się na drugi bok i zasnąłem. Już nic mi się nie śniło aż do rana.

Iwona zadzwoniła. Kiedyś musiała zadzwonić. Czekala. Czula, że musi czekać. Czula, że coś się ze mną dzieje, coś złego i niepokojącego. Wiedziała, że Weronika ma problemy, nie może się obudzić, a gdy się obudziła musiała poświęcić dużo siły i odwagi, żeby znów wrócić do siebie. Wrócić w tym samym kształcie i wyrazie. Bez zbędnych skaz z przeszłości. Złej przeszłości.

Nie mogę się od niej uwolnić, albo nie chcę się od niej uwolnić. Jest jak jakiś magnez, niebezpieczny magnez. Coś w niej mnie pociąga. Może to szaleństwo, może niebezpieczeństwo, a może to, że Iwona jest jednym wielkim znakiem zapytania. Znakiem zapytania bez żadnej odpowiedzi.

Po telefonie o czwartej rano, po piętnastu minutach, jej samochód stał pod moją klatką. Zszedłem na piechotę po schodach na sam dół. Wsiadłem do jej czerwonego garbusa i ziewając zapytałem:

- Garbus, czerwony, kiedy go kupiłaś?

- Dwa dni temu – Iwona miała coś w oczach, coś szalonego. – Zawsze chciałam mieć garbusa i teraz go mam.

- Gdzie jedziemy?

- Na lotnisko. Balice. Ostatnio zaraziłam się nowym hobby. Obawiam się, że to choroba nieuleczalna.

- Hobby zawsze jest chorobą nieuleczalną. I większość ludzi nie chce z takiej choroby nigdy się wyleczyć.

- Hobby to ucieczka od świata na swoich zasadach, ucieczka niekontrolowana.

Jedziemy w milczeniu, noc jest ciemna, ale się kończy, puste ulice, pojedyncze światła w oknach. Światła jeszcze bezbronne, światła jeszcze bezimienne.

- Jakie to hobby? – pytam.

- W końcu mnie spytałeś – mówi Iwona, a jej głos drży jak struna w gitarze. Struna naprężona do granic możliwości. – Kupiłam dobry aparat fotograficzny, dwa obiektywy, robię teraz dużo zdjęć. Dziwnych zdjęć.

- To ucieczka od czegoś, czy dążenie do czegoś?

- Hobby zawsze jest dążeniem do czegoś. Przeważnie dążeniem do doskonałości.

Dojeżdżamy do lotniska. Ale jedziemy dalej, wzdłuż ogrodzenia i zatrzymujemy się nagle. Iwona ostro hamuje tuż przy ogrodzeniu, tuż przy pasie startowym.

Wysiadamy, Iwona bierze aparat z tylnego siedzenia. Idziemy wzdłuż siatki. Nagle Iwona podnosi siatkę do góry, podnosi ją tuż przy ziemi i mówi:

- Przechodź, tutaj jest ukryta dziura.

Jesteśmy na pasie startowym, stoimy wewnątrz lotniska. W oddali widzimy wschód słońca. Połowa czerwonego koła płonie w oddali. I jest to ogień ciepły, gorący, ale ciepły.

- Czekamy – mówi cicho Iwona.

- Jesteśmy tutaj bezpieczni? Ochrona nas tutaj nie znajdzie?

- Byłam już tutaj kilka razy. Nigdy nie miałam żadnych problemów.

Siadamy na trawie. Trawa jest lekko wilgotna po nocy. Patrząc się na słońce, już cały okrąg jest widoczny w oddali.

Po chwili słyszę szum, szum się do nas zbliża i nagle przed moimi oczami widzę samolot, który powoli unosi się do góry. Z samolotu wyskakują jak iskry z ogniska małe światełka, a za rozmażanym kształtem samolotu widać czerwone, prawie zapalone słońce.

Słyszę jak Iwona robi zdjęcia, serię zdjęć. Samolot znika za horyzontem. Iwona się uśmiecha, patrzy się w aparat, ocenia zdjęcia. Pokazuje mi je po chwili.

- Dobrze – mówię. – Takie majestatyczne.

- Samolot, czerwone słońce, ruch powietrza jeszcze nie skażonego jasnością dnia i to drżenie czegoś nieuchwytnego, drżenie silnika, drżenie maszyny, która unosi się z taką lekkością do góry.

- To robi wrażenie – mówię. – Wrażenie intensywne.

Jeszcze kilka samolotów startuje przed naszymi oczami, a potem Iwona mówi:

- Wystarczy na dzisiaj. Dobrze zdjęcia, dobre światło, dobre słońce. Wracamy.

- Do domu?

- Nie. Jedziemy na Kazimierz. Rano Kazimierz jest pełen spokoju, pełen ciszy. Nie ma tam ludzi. Miasto śpi. Miasto bez ludzi, to coś innego niż miasto zanurzone w pędzie, w jakimś nieograniczonym chaosie. Zdjęcia kamienic, ulic, murów o poranku to zdjęcia czegoś samotnego, czegoś ukrytego gdzieś pomiędzy.

- Pomiedzy? – dziwię się.

- Miasto tak naprawdę żyje gdzieś pomiędzy. Pomiedzy ciszą a zgiełkiem. Pomiedzy snem a rzeczywistością. Pomiedzy tłumem a samotnością. Pomiedzy historią a brakiem historii. Miasto to jedno wielkie pomiędzy, którego nikt tak naprawdę nie dostrzega, gdy żyje zbyt długo w danym mieście.

- Moje życie to takie pomiędzy.

- Każdego życie to jakieś pomiędzy.

- To dobrze, czy źle?

- Dla jednych pomiędzy to jakaś nadzieja, dla innych pomiędzy to jakaś kara. Dla mnie pomiędzy to wolność, gdzie idę, gdzie mogę iść, dokąd już nigdy nie dojdę.

Kazimierz powoli budzi się do życia, na razie jeszcze śpi, oddycha niespokojnym snem, snem porannym, snem czujnym, snem coraz bardziej ocierającym się o rzeczywistość. O skrajność.

Iwona chodzi po placu Wolnica, robi zdjęcia, plac jest pusty, czasami jakiś pojedynczy cień znika nam w oddali, ale to może być tylko złudzenie. Świat składa się ze złudzeń, z cieni.

Iwona patrzy jak żółte światło, czasami czerwone odbija się od okien, zamkniętych okien. Światło tańczy, śpiewa, odbija się od jednego okna, a potem ucieka do następnego okna, okna gdzieś naprzeciwko, i znów odbicie, ucieczka i tak w nieskończoność. Świat składa się z nieskończoności, świat składa się z ucieczek zawartych w tej nieskończoności. Ucieczek rozmazanych i nieokreślonych.

Iwona pokazuje mi zdjęcia. Jej oczy błyszczą jak odbicia słońca w oknach kamienic.

- Światło to droga do celu, ale jakiego celu, tego nie wiem – mówi Iwona. – Cel to światło, cel to odbicie tego światła we fragmentach rzeczywistości. Małych, niezauważalnych fragmentach rzeczywistości. Czasami okruszkach rzeczywistości.

- Rzeczywistość to tak naprawdę małe, niezauważalne światełka, które szybko gasną, gdy nie potrafimy tych małych, niezauważalnych światełek schować w sobie. Schować na jak najdłuższy czas.

Iwona zauważa dwa gołębie. Jeden jest śnieżno biały jak śnieg, drugi czarny jak smoła, jak węgiel dopiero co wydobyty z kopalni.

Gołębie fruwały, tańczyły na parapetach, co chwilę zmieniają okna, potem przez chwilę patrzą na swoje odbicia w oknach i znów znikają w powietrzu, i znów są w innej przestrzeni, w innym świecie, ale w innej przestrzeni, w innym świecie odbitym w nowym oknie, w innym oknie.

Iwona za nimi lata jak małe dziecko na placu zabaw. Lata i robi zdjęcia. Ja nie próbuję nawet za nią nadążyć, to trud bezcelowy. Ona jest w innym świecie, ja jestem w innym świecie. Iwona jest szczęśliwa i to jest dla mnie ważne. Ja tylko, gdzieś z boku, próbuję w tym szczęściu z nią uczestniczyć. Czy mi się to udaje, tego nie wiem. Ale próbuję. To ważne, uczestniczyć w szczęściu ludzi, któ-

rych kochamy, uczestniczyć w ciszy i zrozumieniu. Bo ludzie, których kochamy potrzebują tylko akceptacji swojego szczęścia w oczach innych. Akceptacji bezwarunkowej. Akceptacji ostatecznej.

W końcu, gdy Iwona jest już zmęczona, gdy słońce jest już wysoko na horyzoncie nieba, i nawet dachy są już pełne blasku i nadziei, Iwona mówi:

- Idziemy na śniadanie.

- Już jesteś głodna?

- Jestem głodna całe życie, czasami więcej, czasami mniej. Czasami myślę, że moje życie to jeden wielki głód, którego wciąż nie mogę zaspokoić.

- Ten głód dotyczy życia, czy ciebie?

- Czasami ten głód dotyczy życia, czasami ciała. Sama nie wiem, który głód jest ważniejszy. Myślę, że te głody wciąż walczą we mnie, walczą aż do końca. Który wygrywa, tego nie wiem, one też tego nie wiedzą. Czy to ważne? Ważne, że wciąż mam w sobie jakąś walkę, a ci, którzy mają w sobie jakąś walkę lepiej żyją, lepiej czują, lepiej pragną. Czasami nawet lepiej płaczą.

Siedzimy w małej kawiarni tuż przy Wiśle. Widzimy most w którym kłódki poprzyczepiane są do metalowych krutek. To kłódki miłości, szczęścia, to kłódki pełne złudzeń, że miłość trwa wiecznie, aż do końca. Po drugiej stronie Wisły Podgórze, stare kamienice, stare mury, stary czas zaklęty we wspomnieniach ludzi.

Kelner przyniósł nam jajecznicę z boczkiem i z cebulką, do tego chrupiące pieczywo z żółtym serem i herbata, dobra indyjska herbata. Iwona je jajecznicę jakby za chwilę miała być stracona na szubienicy i ta jajecznica, ta herbata, to chrupiące pieczywo z żółtym serem to jej ostatnia wola, ostatnie życzenie w tym życiu, a kat czeka już za drzwiami i coraz bardziej się niecierpliwi.

- Smakuje? – pytam.

- Pasja wyzwala w nas głód, głód wyzwala w nas życie, życie wyzwala w nas pragnienia. I to jedzenie to jedno z moich pragnień dzisiaj. Pragnienie zaspokojone.

Patrzę się na Wisłę. Rzeką płynie pierwszy statek. Mało w nim ludzi, turystów. Za wcześnie na zwiedzanie, myślę. Czasami wciąż jest za wcześnie na pewne rzeczy. Na inne wciąż za późno. Statek znika tak szybko, jak szybko się pojawił.

Iwona kończy śniadanie, ja kończę śniadanie. Obok nas siada para młodych ludzi, gdy im się przyglądam z boku, widzę że w sumie nie tak młodych, tylko tak młodo są ubrani. Młodo i modnie. Zamawiają kawę i jakieś ciasteczka. Ciasteczka, chyba jakieś francuskie. Coś mnie w tej parze intryguje, wyczuwam w nich jakiś niepokój, jakieś zagubienie. Zaczynam słuchać jak rozmawiają, ich słowa coraz bardziej mnie intrygują, ja też zaczynam zauważać w sobie jakiś niepokój, jakieś zagubienie.

- Nie kocham cię – mówi kobieta.
- Od kiedy? – pyta mężczyzna.
- Od dwóch dni – kobieta rozczesuje ręką włosy.
- Wcześniej mnie kochałaś?
- Tak. Nawet bardzo.
- Coś się zmieniło w tobie, we mnie?
- Nie ważne. Nie musisz tego wiedzieć – kobieta znów nerwowo rozczesuje ręką włosy, teraz to robi dłużej, o wiele dłużej niż wcześniej.
- Przecież cię nie zdradziłem. A mogłem, wiesz o tym dobrze.
- Nawet gdybyś mnie zdradził i tak bym cię wciąż kochała. Ale minęły dwa dni – kobieta patrzy się na Wisłę, na łabędzie powoli płynące przy brzegu – i moja miłość do ciebie się skończyła.
- Na zawsze? – oczy mężczyzny są w jakimś lesie, gęstym, ponurym, zbyt niedostępnym lesie.
- Tak, na zawsze.
- Nic tego nie zmieni?
- Nic – kobieta to nic wypowiada twardo, sucho, jakoś sztywno i kulawie.
- Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, dlaczego mnie nie kochasz od dwóch dni?
- Nie, nie mogę – kobieta bierze francuskie ciasto do ust, mruży przy tym oczy jak jakaś dzika kotka, kotka dopiero co wypuszczona na wolność, i ta wolność wyzwala w niej dzikie, niebezpieczne uczucia.
- Co takiego zrobiłem, że zniszczyłem naszą miłość?
- Jakby się tak zastanowić – kobieta naprawdę zaczyna się zastanawiać nad swoją przeszłością, przeszłością sprzed dwóch dni – to

nic. Po prostu nie kocham cię już od dwóch dni i nic, ale to nic już tego nie zmienia.

- Mam odejść od ciebie?

- Nie, nie martw się, to ja pierwsza odejdę od ciebie.

- Kiedy?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale na pewno wkrótce. Muszę się jeszcze zastanowić, gdzie mogę pójść. Gdzie mam szansę przetrwać bez ciebie. A sam dobrze wiesz, jak trudno mi będzie przetrwać bez ciebie. Przynajmniej na początku.

- Możesz zostać tam, gdzie teraz jesteś. To jest też twój dom.

- Od dwóch dni to nie jest już mój dom. To jest tylko miejsce gdzie teraz przebywam, bo sama tak naprawdę jeszcze nie wiem, gdzie będę przebywać jutro.

- Zawsze możesz zostać.

- Nie chcę uciec od ciebie nagle, więc czekam.

- Na co?

- Na impuls, na jakąś wskazówkę od życia.

- Co ja mam teraz zrobić bez twojej miłości?

- Żyj. Zakochaj się. Czekaj. Nie myśl za dużo o mnie. To ci pomoże. Pomoże ci brak myśli o rzeczach które robiliśmy razem przez tyle lat – kobieta się zamyśla, chwilę milczy, a potem mówi dalej. – Ja też nie będę o tobie za dużo myśleć. Zresztą od dwóch dni, gdy cię już nie kocham to tak naprawdę nie myślę już za dużo o tobie, prawie wcale – i to prawie wcale kobieta wypowiada z obojętnością, ale taką obojętnością, która naprawdę już nic nie znaczy, albo znaczy prawie nic, prawie wcale.

- Prawie wcale, po tylu latach?

- Tak, prawie wcale. Minęły przecież dwa dni, tak jak ci mówiłam i wiele to zmieniło.

- Zbyt wiele – ciężkim głosem mówi mężczyzna.

- W życiu najważniejsze są rzeczy niewidoczne. W życiu najważniejsze są rzeczy niezauważalne – mówi kobieta i wstaje od stolika. Idzie w kierunku Wisły, a potem znika tuż przy bulwarach, znika na zawsze z życia mężczyzny, którego przestała kochać dwa dni wcześniej.

Wsiadamy do samochodu, Iwona włącza muzykę. Słyszę słowa Boba Dylana, słyszę jego gitarę, słyszę głos który wie o czym śpiewa.

- Pojedziemy nad rzekę Białuchę, stoi tam stary dom, ktoś w nim mieszka.

- Dlaczego tam?

- Chcę ci coś pokazać, coś co cię zdziwi, zaskoczy.

Jedziemy ulicami, które powoli zaczynają się zapęłniać, przekształcać w jeden wielki ruch, w jedno wielkie zagubienie.

Ludzie zaczynają do czegoś dążyć, do czegoś zmierzać, widzę to przez okna samochodu, widzę to przez ruch samochodu, ruch stonowany.

Samochód parkujemy przy polnej ścieżce. Iwona trzaska drzwiami, ja je zamykam cicho, prawie bezszelestnie. Idziemy polną ścieżką.

- Tam – Iwona mi coś pokazuje. – Tam jest ten dom.

Podchodzimy bliżej, chowamy się za niedużym pagórkiem. Iwona wyciąga lornetkę, przez chwilę przez nią patrzy, a potem mówi:

- W tym domu mieszka młody mężczyzna z psami.

- To takie dziwne?

- Ten mężczyzna ma dużo psów. Żyje z nimi, rozmawia z nimi, są dla niego jak rodzina.

- Skąd to wiesz?

- Byłam tu kilka razy. Obserwowałam go. On rozmawia z tymi psami, jak ze swoimi dziećmi. One go słuchają i robią to co on chce. Rozumieją się telepatycznie. To bardzo silna więź. Więź niewyobrażalna.

- Robią wszystko, co on chce?

- Tak. On coś do nich mówi, a one to robią. Są jak bracia połączeni jedną krwią.

- Z czego żyje ten mężczyzna?

- I to jest najciekawsze. Pojechałam kiedyś za nim, za jego starą furgonetką, białą. Psy jechały z tyłu tej furgonetki. Podjechali pod jakiś dom, potem on coś pokazywał tym psom, a potem wrócił do domu. W nocy te psy weszły do tego domu i przyniosły mu jakąś biżuterię. Te psy kradną dla niego złoto, pierścionki, naszyjniki a on je potem gdzieś sprzedaje.

- Jesteś pewna?

- Tak. To było moje prywatne śledztwo. Psy omijają kamery, zabezpieczenia i wynoszą z domów to co on chce. Ale on kocha te psy, to widać gdy z nimi rozmawia. Dbą o nie.

- Zwierzęta często są rodziną, u ludzi nie zawsze tak bywa.

Wracamy do samochodu. Jedziemy do mnie. Winda na szóste piętro, muzyka i Iwona, która coś chowa za plecami.

- Co tam masz?

- Niespodziankę.

- Pokaż, jeśli możesz.

Iwona wyciąga starą butelkę, coś czerwonego, coś co jest bardziej bordowe niż czerwone.

- Co to jest?

- Ktoś znajomy przywiózł mi to z Meksyku. Kupił to od jakiegoś szamana.

- Będziemy to pili?

- Tak. Teraz – Iwona się uśmiecha. – Chcę wypić ten napój z kimś bliskim.

- To niebezpieczne?

- Nie. To rozwijające. Dzięki temu napojowi dotrzemy dalej, o wiele dalej. Tak mówił mi ten znajomy.

- Dalej nie zawsze oznacza lepiej.

- Dalej zawsze oznacza ciekawiej. I my, dzięki temu napojowi będziemy widzieć coś ciekawego, coś nowego.

Siadamy w dużym pokoju. Kryształły błyszczą w świetle dnia. Przynoszę dwie szklanki. Nalewam do nich czerwony, może bordowy napój. Zaczynamy pić. Na początku nic się nie dzieje, a potem zaczynam zauważać w sobie jakieś zmiany, na początku małe, niewinne, potem większe, o wiele większe.

Czas, zaczynam zauważać czas. Czas przeszły. Czas zapomniany. Czas ważny, ale odległy. Zbyt odległy.

Widzę rodziców. Zima. Święta. Mama się kręci w kuchni. Piecze jakieś ciasta. Zapach ciast unosi się po całym mieszkaniu. Ktoś kroci sałatkę, to chyba ja, ale widzę tylko swoje plecy przy oknie.

Potem widzę jak mama ściera kurz w dużym pokoju. Przesuwa kryształły na bok i czyści meble z kurzu. Zegar tyka na ścianie i to

tykanie wchodzi coraz głębiej do mojej głowy. Radio gra stare melodie. Stare, ale znane. Eleni, Krawczyk, Czerwone Gitary.

Tato czyta gazetę w dużym pokoju, potem włącza dziennik w telewizorze. A tam kłótnie, a tam chaos, a tam twarze przesiąknięte nienawiścią do świata, do ludzi.

Potem się obraz rozmazuje, zniekształca. Widzę garaż taty przy stadionie Wawelu. Tata coś robi przy samochodzie. Widzę kolegów taty. Zawsze są przy garażach. Żyją, coś robią, piją. I tak dzień w dzień. Garaże to ich życie, garaże to ich przeznaczenie.

Widzę Kobylany, rzekę po której jedziemy samochodem. Wjeżdżamy do dolinki, a tam skały. Rodzice rozkładają koc, opalają się. My chodzimy po górach, w lesie zbieramy poziomki i maliny. Często pijemy wodę ze źródła, które wypływa z gór.

Potem znów wracam do pokoju. Widzę Iwonę. Jest daleko, tak daleko jak ja. Muzyka leci z magnetofonu. Dobra muzyka. Moja muzyka.

Czuję, że ta nalewka zaburza działanie moich nerwów, rozprasza moją uwagę. Rzeczywistość się zaciera i rozciąga. Czas jest inny, bezkresny. Wszystko w pokoju się rozciąga, zmienia. Przestrzenie są inne, kształty są inne, wciąż niezbadane.

Mój pokój zaczyna mieć inne przestrzenie, ma tysiące drzwi. Drzwi dają możliwości, tysiące możliwości. Powoli zacynam tracić orientację. Zasypiam.

Budzę się wieczorem. Iwony już nie ma. Kartka w przedpokoju. Czytam.

Odpocznij. Wyśpij się. Ja też byłam daleko. Bardzo daleko. Czasami dobrze jest udać się w daleką podróż, nawet w przeszłość. To wyzwala, daje nadzieję na przyszłość.

Przemierzam się po pokoju bez sensu. Krok prawy, krok lewy, ciemność za oknem. Krok prawy, krok lewy, mrok za oknem. Krok prawy, krok lewy, obojętność za oknem.

Włączam telewizor. Zamieram. Włączam telewizor. Oglądam. Włączam telewizor. Uciekam.

Jasność, krystaliczna jasność. Dźwięk, krystaliczny dźwięk. Obraz, krystaliczny obraz.

Mężczyzna nad rzeką, mężczyzna wysoki, barczysty stoi z wymierzonym pistoletem w kierunku innego mężczyzny. Ten drugi mężczyzna jest stary, zniszczony, ten drugi mężczyzna klęczy, a jego popękana twarz, twarz poprzecinana zmarszczkami jak pajęczyna patrzy się na mężczyznę z bronią. Patrzy się czujnie a potem mówi:

- Jesteś taki jak ja. Ja też żyłem tak jak ty. Zabijałem ludzi bo musiałem, a może dlatego, że nie miałem innego wyboru. A może – mężczyzna się zastanawia – nigdy nie miałem żadnej szansy, żeby inaczej żyć. Kiedyś byłem taki jak ty. Masz to samo zło w sobie, to samo okrucieństwo. I co najgorsze, nie widzisz w tym nic złego. Nie zastanawiasz się, dlaczego złe rzeczy wyzwalają w człowieku kolejne złe rzeczy. I pewnego dnia zrozumiałem, że nie mogę tak dłużej żyć. Zabijać i żyć normalnie, jakby nic się nie stało. Zrozumiałem, że jeszcze mogę coś uratować z resztek mojej popękanej duszy. Mogę coś zrobić dobrego dla siebie, dla innych. Bardziej dla siebie, niż dla innych. I zacząłem żyć inaczej, lepiej. Ale przeszłość zawsze nas kiedyś dogoni. Zawsze znajdzie drogę, żeby wyznaczyć nam cenę za złe życie. A ceną każdego złego życia jest śmierć – mężczyzna się zamyśla, patrzy się na rzekę płynącą wolno tuż za nim. – Tacy jak my zawsze kończą na odludziu przy rzekach, których nikt już nie odwiedza, przy ciszy, która dotyczy już tylko nas, nikogo poza nami ta cisza już nie dotyczy, nie będzie już nigdy dotyczyć. Jestem tutaj, bo wszystko ma swoją cenę. Dziwię się tylko, że miałem tak dużo czasu na zmianę swojego życia.

Mężczyzna z pistoletem wciąż patrzy się na klęczącego mężczyznę przed sobą a potem mówi:

- Starczy. Pozwoliłem ci powiedzieć co chcesz, bo za chwilę umrzesz i uważam, że każdy przed śmiercią ma prawo do ostatniego życzenia. A twoim prawem jest rozmowa. Ostatnia rozmowa ze mną. Już starczy. Co miałeś powiedzieć, już powiedziałeś.

Mężczyzna zbliża pistolet do głowy klęczącego mężczyzny.

- Zmień się – mówi klęczący mężczyzna. – Zmień się, jeszcze masz czas.

Klęczący mężczyzna zamyka oczy i uśmiecha się jakby coś złego odchodziło od niego na zawsze. Jakby resztki popękanej duszy znów łączyły się w jedną całość.

A potem nastąpił strzał z pistoletu. Odgłos z pistoletu rozniósł się po rzece, po lesie, po drzewach rosnących zbyt gęsto za rzeką.

Jednak leżący mężczyzna już nie słyszał tego odgłosu, bo był już daleko. A może był już daleko od dłuższego czasu, ale tego nie wiedział, nie słyszał, nie czuł. Nie czuł tego wystarczająco mocno i długo. Na tyle mocno i długo, żeby zrozumiał, że jego życie się zmieniło. Zmieniło, ale dopiero na końcu.

Mężczyzna z pistoletem zakopuje ciało, martwe i puste teraz ciało, zakopuje je w mokrym i wilgotnym dole, który już wcześniej przygotował. Gdy ostatnie ruchy łopaty zakopują ciało w ziemi, mężczyzna opiera się o łopatę i patrzy się na rzekę.

I wtedy znów sobie przypomina twarz tego mężczyzny, teraz już martwą twarz. Przypomina sobie twarz tego mężczyzny tuż przed strzałem. Był na tej twarzy jakiś uśmiech, jakiś spokój. I był w tej twarzy jakiś głos, może śpiew, tego śpiewu mężczyzna opierający się o łopatę nie jest pewien, ale wydaje mu się, że usta mężczyzny, teraz już martwego mężczyzny coś śpiewały. I wtedy mężczyzna z łopatą przypomina sobie słowa piosenki, którą śpiewał ten klęczący mężczyzna, teraz już martwy mężczyzna. Były to słowa o wolności, o walce, o tym, że każdy walczy o rzeczy ważne dla niego. Walczy, czasami bezsensownie, ale walczy.

I wtedy mężczyzna z łopatą czuje, że coś się w nim zmienia. Coś się w nim kruszy. Że jakaś granica, która w nim była od dłuższego czasu, została przekroczona. I on już nie będzie potrafił wrócić na drugą stronę tej granicy. Bo coś w nim ostatecznie się zmieniło i dawne życie, złe życie to przeszłość.

I wtedy mężczyzna z łopatą wie, że ten obcy mężczyzna, teraz już martwy mężczyzna miał rację. Jeszcze może coś zrobić ze swoim życiem. Ale ta zmiana zaprowadzi go kiedyś nad taką samą martwą rzekę jak ta, nad takie same martwe drzewa jak te przy lesie, nad takie samo martwe pustkowienie jak to.

I mężczyzna wraca do domu. I próbuje się zmienić. I nawet mu to wychodzi, lepiej, gorzej, ale wychodzi. I z czasem zapomina o dawnym życiu, zapomina, bo wyjechał od razu daleko od miejsc które znał, od ludzi, którzy chcieli go na pewno szukać i odnaleźć, i w końcu znaleźli. Ale po czasie, czasie, który sprawił, że mężczyzna miał szansę się zmienić. Zanim umarł mężczyzna, bo w końcu go

znaleźli i ukarali ludzie tacy jak on kiedyś, zrobił jedną dobrą rzecz, pomógł matce z dzieckiem, chorym dzieckiem odnaleźć nadzieję na nowo. Pomógł odnaleźć wiarę w ludzi, że czasami ktoś obcy może bezinteresownie pomóc innej osobie tylko dlatego, że ta osoba potrzebuje pomocy. I ta pomoc, być może jedyna wartościowa rzecz w jego życiu, sprawiła, że mężczyzna, gdy umierał też miał uśmiech na twarzy jak ten mężczyzna nad rzeką. Też miał spokój w sobie. Jego popękana dusza znów była całością, znów była wolna bez żadnych pęknięć i zarysowań.

Wyłączam telewizor. Dobry, mądry film, myślę. Za mało oglądam dobrych, mądrych filmów.

Kładę się do łóżka, nie mogę zasnąć. Wciąż myślę o tym filmie, o mężczyźnie, który potrafił na końcu swojej drogi zmienić całe swoje życie. Czy ja bym tak potrafił, nie wiem. I to nie wiem mnie boli, boli bardziej niż całe moje dotychczasowe życie.

Nie mogę zasnąć, nie mogę uciec w ciemność, w mrok, powtarzam to w myślach w łóżku. W końcu ze zmęczenia zapalam lampkę i otwieram książkę. Zaczynam czytać. Znów jestem daleko, bardzo daleko od siebie. Od innych.

Bogusław L. miał osiemnaście lat gdy zaczęła się wojna. Nie mógł zrozumieć dlaczego człowiek niszczy innego człowieka tak bez powodu. Niszczy, a potem zabija.

Gdy były naloty, łapanek, strzały w nocy na ulicach zauważył u siebie coś co go zaczęło zastanawiać. Gdy inni płakali, drżeli ze strachu, z obawy o swoje życie on czuł spokój w sobie. Jakąś ulgę. Nie rozumiał tego, ale czuł, że jest inny, inny niż wszyscy. Wojna innych niszczyła, a w nim wojna coś rozbudzała, coś wyzwalała.

Któregoś dnia, podczas łapanek został wsadzony do ciężarówki, potem do wagonu kolejowego i wylądował w obozie. I wtedy po raz pierwszy zobaczył strach w oczach innych ludzi. Strach, który zabija wszystko w człowieku, nawet duszę.

Gdy inni walczyli o życie, o każdy dzień, o przetrwanie, on obserwował co się koło niego działo. I wtedy po raz pierwszy zrozumiał, strach innych nigdy nie będzie jego strachem. A gdy zobaczył rozstrzelane ciała, za karę, za ucieczkę z obozu, już wiedział, był pewny, że jego ciało żywi się strachem innych ludzi. Strach innych

był pokarmem dla jego duszy. Inni umierali, on wciąż żył. Inni krzyczeli z rozpacz, on wciąż żył. Inni drżeli ze strachu, on wciąż żył. Gdy zgłosił się na ochotnika, żeby strzyc włosy ludziom, którzy przyjeżdżali do obozu, wtedy w twarzach tych ludzi zobaczył prawdziwe przerażenie. Gdy przykładł nożyczki do ich głów, drżenie ich ciał sprawiało, że czuł przyjemny dreszcz w środku. Było to dla niego podniecające i zdumiewające zarazem.

Swoją pracę wykonywał sumiennie i dokładnie, Niemcy to zauważyli, więc go nie gnębili. Nie gnębili go też dlatego, że zauważyli ten brak strachu w nim. Wyczuwali, że było mu obojętne co będzie, wyczuwali, że śmierć to dla niego raczej znak zapytania niż jakaś odpowiedź. Odpowiedź na pytanie, dlaczego nie boi się śmierci, dlaczego nie boi się ciemności, bólu? I wtedy zrozumiał, że Niemcy go nie niszczą, bo wiedzą, że on jest taki jak oni. On też żywi się strachem innych ludzi i ta władza zarówno dla niego jak i dla nich jest władzą najważniejszą. Najważniejszą nawet w czasach wojny. A w czasach wojny władza najważniejsza to wszystko, władza najważniejsza to nic.

Bogusław L. przeżył wojnę, choć inni nie mieli takiego szczęścia. Bogusław L. długo nie mógł odnaleźć się po obozie, gdzie, o dziwo, było mu dobrze. Tam czuł, że żył, bo była tam śmierć, bo był tam strach, bo było tam przerażenie. Teraz tego nie miał i to go przerażało. Przerażał go brak uczucia strachu innych w sobie.

Zaczął rozpaczliwie szukać tego strachu obok siebie. Zaczął pracować tam, gdzie strach rządził. Huta, duże piece, żar nie do zniesienia, przerażenie ludzi gdy muszą podejść do ognia, to go uszczęśliwiała na moment. On podchodził blisko, zawsze zbyt blisko. I te krzyki „Uważaj!”, „Cofnij się!”, krzyki przepełnione strachem, jakimś bólem nasączonym w tym strachu.

Praca na wysokościach. Szklane budynki, wysokie, mycie szyby na zewnątrz. Wiatr huśta wszystkim na boki. Ręce kurczowo trzymają się lin. A jego twarz spokojna, opanowana. Dreszcz w środku. Dobry dreszcz. Nawet piękny. Piękniejszy niż wszystko dookoła. Czuł, że strach go napędza, robi z nim w środku rzeczy piękne. Wspaniałe.

Kopalnia na Śląsku, niebezpieczna. Wciąż wypadki, wciąż kogoś trzeba było szukać. Ciągłe jakieś trupy, wciąż ranni. Ludzie, gdy

zjeżdżali windą na dół, zegnali się. Bali się, że już nie wrócą. A on tylko patrzył na ich przerażone twarze i czuł spokój w sobie, dobry spokój.

Gdy były rajdy samochodowe zawsze stał blisko przy drodze, zbyt blisko. Uważaj! krzyczeli ludzie. A on jeszcze jeden krok do przodu. Uważaj! twarze przerażone. Uważaj! twarze zalęknione. A on tylko czuł pęd powietrza koło siebie, gdy samochody miały jego twarz o centymetry.

Bywał w szpitalach w nocy, na oddziałach gdzie ludzie umierali. Śmierć w nocy to strach. Strach w nocy to śmierć. Śmierć w nocy to jakieś zagubienie, zatrącenie. I on, w tym zagubieniu, w tym zatrąceniu czuł się jak ryba w wodzie. Strach w szpitalu, w nocy ma inny wymiar i znaczenie, tak myślał gdy patrzył na przerażone, puste oczy umierających ludzi. I wtedy, podczas tych nocy w prawie pustym szpitalu poczuł, że strach tych ludzi podobny jest do tego strachu w obozie. Jest taki sam. Tak samo bolesny, tak samo odległy.

Gdy już nasycił się strachem innych ludzi wrócił do domu, w rodzinne strony. Otworzył mały zakład fryzjerski i zaczął strzyc kobiety. Gdy zbliżał ostrze nożyc do szyj kobiet czuł jak drżą, jak się boją. Kobiety wiedziały, że jest inny, wyczuwały to bezbłędnie. Bały się, ale wciąż do niego przychodziły. Był jedyny w okolicy, więc piękno musiało być narażone na strach, na przerażenie. Czasami słyszał jak kobiety mówiły, że się go boją. Ma śmierć wypisaną w oczach, na całej twarzy. Wyczuwały w nim inność. Inność przerażającą.

Gdy w końcu, w swoim czasie, któregoś dnia chciał się ożenić, kobieta powiedziała nie, powiedziała to z takim lękiem, z taką obawą. Spytał, może kiedyś, ona odpowiedziała nigdy, i to nigdy go zabolalo. Zabolalo tak dosłownie. Gdy się nie poddawał, wciąż robił podchody do kobiety poczuł któregoś dnia nóż w plecach. Gdy się odwrócił zobaczył brata tej kobiety. Ktoś musiał kiedyś to zrobić, usłyszał, zanim odszedł na zawsze.

Ciało Bogusława L. wypłynęło z rzeki dopiero na wiosnę, bo zimą poczuł nóż w plecach, poczuł go tak dosłownie i boleśnie. Ludzie patrzyli się na ciało Bogusława L., ciało napuchnięte od wody, nadgryzione przez ryby, z jakąś ulgą. I ta ulga była widoczna w całej

okolicy. Był inny, mówili, był przerażający, był sobą. Sobą w ciemności.

Odkładałam książkę. Oczy zaczynają pragnąć ciemności, mroku. Zasypiam. Światło gasnie, ja gasnę, wszelkie wspomnienia we mnie gasną. Ulga, odpływam. Ulga, jestem daleko. Ulga, w końcu zasypiam. Oddalam się w nieskończoność.

Weronika jest uśmiechnięta, całe jej ciało ma smak i zapach szczęścia. Dobrze spała, dobrze się obudziła, dobrze weszła w kolejny dzień swojego życia.

Idziemy ulicą Szeroką na Kazimierz, przed nami Synagoga. Skracamy w prawo i zagubionymi uliczkami idziemy do placu Nowego. Mijają nas ludzie, my mijamy ludzi. Obce, nieznane twarze. Czasami obca, nieznana mowa.

Na placu Nowym chodzimy pomiędzy straganami. Ciuchy, stare książki, monety, znaczki, rękodzieło, płyty winylowe, niektóre w bardzo dobrym stanie, biżuteria, jakieś plakaty z przeszłości, biała broń, jakieś kosmetyki, może firmowe i tłum ludzi, jak zawsze.

Jak zawsze określa pewne miejsca w Krakowie. Jak zawsze to smak i zapach starego Krakowa. Zapach nieznany, ale bliski. Zapach odległy, a jednak znajomy.

Przy okrągłaku ludzie kupują zapiekanki. Ja z Weroniką też tak robię. Krótka kolejka, chwila napięcia i już zapiekanka podzielona na dwa kawałki jest w naszych rękach.

- Dobra – mówi Weronika, mówi to mądrymi oczami, zielonymi oczami.

- Krakowska – dodaje. – Krakowska przyjemność.

Idziemy dalej wąskimi ulicami. Zbliżamy się do placu Wolnica. Mijamy stary kościół, który w środku przypomina kościół Mariacki i już jesteśmy na placu Wolnica. Siadamy na ławce. Patrzymy się na gołębie, na czas zaklęty w ich skrzydłach. Czas nieokreślony.

Weronika zauważa młodego mężczyznę w długich włosach, który maluje obraz. Podchodzimy do niego. Przez chwilę patrzymy się jak maluje obraz jednej z kamienic. W oknie tej kamienicy, w oknie na poddaszu widać starszą kobietę. Oczy tej kobiety są smutne, zagubione.

Mężczyzna się odwraca i mówi:

- Samotność, ten obraz będzie się nazywał samotność.

Weronika zauważa, że mężczyzna jest strasznie szczupły, zagłodzony.

- Jesteś głodny? – pyta Weronika.

- Nie jadłem nic od dwóch dni, ale to nie ważne. Ważne, że mam farby, płótno, mam czas na sztukę, mam czas na malowanie.

- Nie możesz tak żyć. Głód zabija największych artystów.

- Nie jestem artystą, jestem malarzem. Nawet nie wiem, czy jestem dobrym malarzem. Może kiedyś stanę się malarzem i poczuję w sobie dumę, że pomimo głodu się nie poddałem, nie zwątpiłem w siebie.

- Obraz jest dobry – mówię.

- Dziękuję – odpowiada mężczyzna. – Gdy człowiek jest głodny, wszystko jest ważniejsze w życiu, w sztuce. Gdy człowiek jest głodny, wszystko jest piękniejsze, pełniejsze. Gdy człowiek jest głodny inny człowiek staje się bardziej zrozumiały, niezwykły. Bardziej wyrazisty. Głód jest dobrą dyscypliną dla artysty. Dzięki niemu artysta może dalej dojść, więcej zrozumieć.

- Długo malujesz obrazy?

- Od kilku lat. Staję się coraz lepszy, czuję to. Często chodzę do muzeów, gdy są darmowe wejścia, bo nie ma za dużo pieniędzy, czasami wcale ich nie mam, chodzę tam i oglądam obrazy. Głód sprawia, że obrazy w muzeach stają się bardziej zrozumiałe, bardziej jasne i niezwykłe. Głód to dotykane sztuki wszystkimi zmysłami. Dotykane niecierpliwe.

Weronika odwraca się, idzie do sklepu. Ja zostaję z malarzem. Po chwili Weronika wraca i daje reklamówkę z jedzeniem mężczyźnie.

- Dziękuję – mówi mężczyzna.

- Jeśli chcesz malować dobre obrazy musisz jeść – mówi Weronika.

Mężczyzna przez chwilę patrzy się na Weronikę i coś na białej kartce szybko maluje. Po kilku minutach daje Weronice białą kartkę. Weronika ją odwraca, a tam jej portret, czarno-biały portret.

- Dziękuję – mówi Weronika.

- Pamiątka z naszego spotkania – mówi mężczyzna i wraca do malowania.

Odchodzimy z Weroniką, idziemy nad Wisłę. Gdy jesteśmy na bulwarach przy Wiśle Weronika mówi:

- Sztuka wymaga poświęceń.
- Sztuka wymaga głodu, prawdziwego głodu – mówię ja.
- Sztuka wymaga czasu.
- Sztuka wymaga cierpliwości, prawdziwej cierpliwości.
- Sztuka wymaga miłości, prawdziwej miłości – Weronika całuje mnie w usta.

Wciąż idziemy wzdłuż Wisły. Po lewej stronie nieczynny Hotel Forum, w nim na dole jakieś kawiarnie. Dużo ludzi, dużo zgiełku. Zgiełku nieprzerwanego. Most Grunwaldzki, most, którego tu kiedyś nie było, tak mówili rodzice i ludzie starzy, którzy spędzili w Krakowie całe życie. Niekiedy dobre życie. I Wawel, statki obok, niektóre statki to kawiarnie, restauracje.

Wchodzimy na jeden ze statków, wchodzimy na samą górę, siadamy przy stoliku. Zamawiamy wino i piwo. Zielone oczy Weroniki odbijają się w jasnym świetle dnia, odbijają się w czerwonym blasku wina.

Siedzimy, milczymy. Milczenie czasami nam służy. Milczenie może być mową, gdy ludzie spędzili ze sobą już dużo czasu, na tyle dużo czasu, że znają się na tyle dobrze, że nic ich nie jest w stanie zaskoczyć.

Obok zauważam znajomą twarz, zastanawiam się. Twarz znana, pamięć szuka tej twarzy z telewizji. Już wiem, reżyser, dobry reżyser. Jego filmy o czymś mówią, to rzadkość. Teraz filmy są o niczym. Wchodzimy do kina, coś oglądamy, niby coś prawdziwego przeżywamy, wychodzimy z kina, zapominamy. Kino ma bawić, wzruszać, a rzeczy ważne nie bawią, nie wzruszają. I dlatego świat się zmienia, ja się zmieniam. Z tym, że ja się zmieniam inaczej niż świat. Ja idę gdzieś obok i tylko czasami nasze drogi się przecinają. To, co jest ważne dla świata, przeważnie nie jest ważne dla mnie. A to, co jest ważne dla mnie, przeważnie nie jest ważne dla świata. Na razie mi to nie przeszkadza. Na jak długo? Tego nie wiem i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem.

Do reżysera, znanego reżysera ktoś podchodzi, wita się z nim serdecznie, zamawia wino, a potem ten ktoś milczy, nic nie mówi, tylko patrzy się na reżysera. Oczy tej osoby mają kolor migdałowy.

- Co cię gnębi? – pyta mężczyzna o migdałowych oczach.
- Kręcę nowy film, już od miesiąca z Borysem Mycem i mam problem, duży problem.
- Ty, problem, to nowość. W branży mówią, że ciebie problemy nie dotyczą, a przynajmniej problemy zawodowe.
- Zatrudniłem Borysa Myca do tego filmu, bo to może być najlepszy film w całej mojej karierze. Czuję to – i gdy to czuję to reżyser mówi, to jego oczy stają się ciemne, mokre, są jak błoto podczas deszczu, zbyt mokrego deszczu ze zbyt dużymi kroplami wody. – On się zgodził, ale powiedział, że od dzisiaj, czyli po przeczytaniu mojego scenariusza przestaje mówić, nie wypowie już ani jednego zdania, ani na planie, ani w życiu, i tak aż do zakończenia filmu.
- Dlaczego? – dziwi się mężczyzna o migdałowych oczach.
- Borys Myc uważa, że dialogi są zbędne w filmie, jego dialogi. On będzie grał twarzą, gestami, całym swoim ciałem, ale nie będzie już nic mówił. I przestał mówić.
- Jest jakiś konkretny powód, oprócz wymyślonej przez niego nowej koncepcji filmu?
- Po czasie, gdy już kręcimy ten film, napisał mi na kartce, bo wciąż nic nie mówi, ani na planie, ani w życiu, a więc napisał mi na tej białej pomarszczonej kartce, że lepiej się czuje ze sobą gdy nic nie mówi. Lepiej rozumie swoje lęki, pragnienia, bardziej może wejść w swoją rolę, bardziej niż gdyby coś mówił w moim filmie. Mówi, przez swoją kartkę, że wszystko jest teraz dla niego wyraźniejsze, pełniejsze. Przez wszystko rozumie pracę i życie.
- To może się udać jeśli go dobrze poprowadzisz na planie. A wiadomo, nie od dziś, że ty aktorów dobrze prowadzisz na planie. Zawsze grają tak jak chcesz.
- Zgodziłem się na to jego niemówienie łudząc się, że zmieni swoją decyzję. Napisałem dwa scenariusze, jeden normalny i drugi pod niego, gdy nic nie mówi. Na początku miał nic nie mówić, a potem miało być inaczej, a on wciąż uparcie nic nie mówi.
- Aż tak bardzo zmienia to koncepcję całego filmu?
- Tak. Najlepszy film w mojej karierze, najlepszy scenariusz może zabić gra najlepszego aktora w Polsce do tego filmu. On jest idealny do tej roli, idealny, gdyby coś mówił.

- Będzie dobrze. Czasami takie rzeczy się sprawdzają. Inność też bywa w cenie, gdy jest to inność prawdziwa, inność szczerą. Inność to wyjątkowość, gdy trafi na właściwego człowieka.

- Jego partnerka w filmie, młoda aktorka, pomiędzy kolejnymi ujęciami z nim rozmawiała, a on ją tylko słuchał i kiwał głową.

- Co mu powiedziała?

- Niesamowity jesteś. Dużo czasu spędzasz w milczeniu. Milczenie to twoja samotność. Milczenie to twoja ucieczka przed światem. Gdy na ciebie patrzę to myślę, że rozmawiam z kimś nieobecnym, z kimś kogo już dawno nie ma. A może cię nigdy, nigdzie tak naprawdę nie było. Tak mu mówiła ta aktorka.

- A on co robił? Milczał, słuchał, był wciąż nieobecny?

- On tylko słuchał. A ona mówiła i mówiła.

- Co mu jeszcze powiedziała?

- Rozmawiam z tobą oczami, poprzez oczy, bo ty przecież nie lubisz ludzi, choć jesteś wciąż aktorem i musisz przebywać wśród ludzi. Widzę, że coś cię męczy. Męczy cię niemożność bycia sobą wśród ludzi. Niemożność naciągnięta do granic możliwości. Niemożność ostateczna. I wtedy on jej coś napisał na kartce.

- Co napisał? – pyta mężczyzna o migdałowych oczach.

- Miłość jest dla żywych ludzi, a ja jestem nieżywy od dłuższego czasu. Zbyt długiego czasu dla mnie, dla innych. A potem ona chwilę milczała, tylko patrzyła się na niego jakoś inaczej. Tylko jej oczy coś krzyczały. Krzyczały w kierunku jego oczu.

- I nic więcej do niego nie powiedziała?

- Powiedziała, lubię grać, czuję wtedy, że gdzieś uciekam. Uciekam w nieznane zakamarki mojej duszy. Popękane zakamarki mojej duszy.

- Dziwnych zatrudniasz aktorów – śmieje się mężczyzna o migdałowych oczach.

- Widocznie kręcę dziwny film, widocznie mam dziwny scenariusz, ale dobry scenariusz.

Reżyser wstaje z krzesła i odchodzi. Mężczyzna o migdałowych oczach chwilę siedzi sam, a potem też wstaje i znika w tłumie ludzi przy Wawelu.

Weronika patrzy się na Wisłę, na statki pływające w niej jak kaczki w wodzie.

- Myślałeś kiedyś, żeby tak nagle wsiąść na jakiś statek i uciec gdzieś daleko. Tak bez zastanowienia. Zostawić wszystko i popłynąć w nieznane.

- Każdy tak myśli, nikt tak nie robi.

- Jesteś tylko ty, morze, czas, wiatr i brak jakiejkolwiek przyszłości. Bo przyszłości tak naprawdę nie ma. Całą swoją przyszłość zostawiłeś na lądzie. Teraz jest tylko przed tobą jakaś tajemnica i ty tylko musisz w tej tajemnicy lepiej lub gorzej uczestniczyć.

- Potrafiłabyś tak zrobić?

- Nie wiem. Łudzę się, że tak. To tylko kwestia odwagi i sprzyjających okoliczności.

- Ludzie uciekają bo muszą, nie dlatego, że chcą.

- Myślę, że ludzie uciekają gdy mają już dość ludzi, dość siebie. Uciekają gdy mają jeszcze nadzieję, że coś mogą zrobić ze swoim życiem. Coś wartościowego.

- Nasza miłość jest wartościowa.

- Czasami miłość nie wystarcza by człowiek czuł się szczęśliwy. Miłość to tylko dodatek do szczęścia, a nie szczęście absolutne.

Schodzimy ze statku. Idziemy w kierunku Jubilata. Na górze w kawiarni, na tarasie Jubilata słysząc krzyki, śmiechy, słysząc młodość wymieszaną z alkoholem.

- Ludzie potrafią być szczęśliwi po alkoholu – mówię patrząc się do góry.

- Alkohol wydobywa z ludzi rzeczy dobre, rzeczy złe. Wydobywa też szczęście, jednak zawsze jest to szczęście krótkotrwałe. Ograniczone jakimś czasem.

Podjeżdża autobus. Wsiadamy do niego. Mijamy Hotel Cracovia, mijamy Akademię Rolniczą, mijamy Kleparz, mijamy spalony Gigant, mijamy kościół i już jesteśmy w domu.

Zbliża się noc. Noc ciepła, noc gorąca. Noc niespokojna.

Czerwony garbus trąbi i trąbi. Jego dźwięk przedziera się przez kolejne piętra bloku. Pierwsze piętro, dźwięk jest jeszcze spokojny, cichy, drugie piętro, dźwięk przybiera nieco na sile, trzecie piętro, dźwięk staje się niespokojny, groźny, czwarte piętro, dźwięk rozchodzi się w różne strony, atakuje ściany, piąte piętro, dźwięk jest

wszędzie, dźwięk jest nigdzie, szóste piętro, dźwięk jest w każdym moim pokoju, w całej strukturze ścian, w całej poświacie mebli.

Zbiegam po schodach. Wychodzę z klatki, wchodzę do czerwonego garbusa. Widzę pobudzone oczy Iwony, czerwone oczy Iwony.

- Jest prawie dziewiąta w nocy. Gdzie chcesz jechać?

- Niespodzianka – mówi Iwona i już jedziemy po pustych ulicach, bardziej pustych niż samotnych.

O nic nie pytam. Czasami lepiej o nic nie pytać. Niech dzień będzie zaskoczeniem, niech noc będzie niespodzianką.

Dojeżdżamy do Wawelu. Iwona parkuje na jednej z uliczek koło Mostu Grunwaldzkiego. Idziemy nad Wisłę. Iwona nic nie mówi, tylko się jakoś dziwnie uśmiecha. Jej uśmiech to los, jej uśmiech to przeznaczenie.

Przy brzegu stoi mały statek, siedzi w nim kobieta. Młoda, piękna, ubrana w strój marynarza. Kobieta się do nas uśmiecha, jej uśmiech ma w sobie jakąś moc, ma w sobie jakąś siłę, tajemniczą siłę.

- Beata – mówi kobieta o kasztanowych długich włosach, włosach aż do bioder.

- Jakub – mówię gdy wchodzimy na statek.

- No, to płyniemy – mówi Beata.

Statek rusza powoli, sennie, noc rusza powoli, sennie, cały świat kręci się niespokojnie, ale powoli, sennie.

- Beata to moja przyjaciółka, jeszcze ze szkoły – mówi Iwona. – Razem się zakochiwałyśmy w szkole, razem cierpiałyśmy w szkole. Nieszczęśliwe miłości łączą ludzi. Nieszczęśliwe miłości niszczą ludzi. Nas nieszczęśliwe miłości wciąż pchały do przodu. Dzięki nim stałyśmy się silne, mocne, może nie od razu szczęśliwe, ale szczęśliwsze niż kiedyś. Szczęśliwsze dużo znaczy, gdy człowiek zbyt dużo cierpi w młodości, gdy człowiek zbyt dużo cierpi w przeszłości.

Noc pojawia się nad nami. Gwiazdy jak dziury w czarnej narzucie błyszczą niespokojnie. Zresztą cała noc zaczyna być jakaś niespokojna, dziwna. Dziwnie niespokojna.

Mijamy Wawel, teraz już oświetlony światłami. Mijamy Jubilat, teraz już senny, cichy, a potem uciekamy z miasta, uciekamy donikąd. Uciekamy gdzieś w ciemność.

- Chcecie coś zjeść? – pyta cicho, prawie szeptem, prawie oddechem Beata.

- Chętnie – i to chętnie wychodzi z ust Iwony jak jakiś brylant znaleziony w piasku na pustyni, znaleziony nagle i niespodziewanie.

Beata coś mówi do mikrofonu w statku, w kajucie, a potem po kilku minutach statek dopływa do brzegu. Na brzegu stoi mężczyzna w białej koszuli, w czarnych spodniach z materiału. Coś trzyma w ręce.

Beata wychodzi na brzeg, bierze tacę z talerzami i znów płyniemy dalej. Mężczyzna znika w ciemności. Beata kładzie tacę na stole.

- Częstoście się – mówi Beata. – To taka zaprzyjaźniona restauracja. Gdy wożę turystów po rzece, gdy są głodni, zawsze u nich coś zamawiam. Przeważnie ludzie są zadowoleni.

- Przeważnie? – dziwi się, a może bardziej pyta niż dziwi Iwona.

- Ludzie to ciekawy gatunek. Nawet gdy są szczęśliwi bywają niezadowoleni. I czasem ci niezadowoleni w swoim szczęściu są najgorsi. Nic im nie pasuje. Nic im nie pasuje od dłuższego czasu. To od dłuższego czasu wciąż widzę w ich oczach, gdy wchodzi już na statek. I nawet gdy się staram, by zmienić to od dłuższego czasu na coś dobrego, nic nie pomaga. Gdy człowiek to od dłuższego czasu ma w sobie zbyt długo, nic nie ma sensu w człowieku, nic nie ma sensu wartościowego. I nawet jedzenie, dobre jedzenie nie pomaga. Nie zmienisz świata na siłę. Nie zmienisz ludzi na siłę.

Owoce morza, świeża ryba, frytki, dobra sałatka i wino, to wszystko jest dobre, naprawdę dobre.

Beata widzi to w naszych oczach, więc nawet nie pyta o smak i zapach jedzenia.

Statek płynie, my płyniemy, całe nasze życie płynie z nami. A może płynie gdzieś obok nas. Czasami człowiek nie wie czy płynie do przodu, czy płynie gdzieś obok czegoś co się nazywa życiem. Tylko niektórzy to wiedzą, ci, którzy mocniej dotykają pedału gazu na drodze zwanej przeznaczeniem.

Iwona opiera się o barierkę, patrzy się na gwiazdy. Uśmiecha się do gwiazd, jej uśmiech odbija się w rzece. Nagle jej oczy coś zauważają, coś co wzbudza niepokój w jej spojrzeniu.

- Co to jest? – pyta Iwona.

Beata podchodzi do Iwony, przez chwilę patrzy się w jeden punkt, a potem mówi:

- To poroże jelenia.

- Jesteś pewna?

- Tak. Rzeka różne rzeczy chowa w swoich głębinach. I czasami te rzeczy chcą z niej uciec. I czasami im się to udaje, a czasami nie. Rzeka to jedna wielka tajemnica. Każdy z tej tajemnicy wynosi to co chce, albo to co może. Niektórzy wynoszą tylko kolejną tajemnicę, nie odpowiedź, tylko kolejną tajemnicę.

Zauważam las, a przy nim jakiś ruch, jakieś poruszenie. Mrużę mocniej oczy. Duchy, myślę, duchy z lasu. Iwona to zauważa, a potem zauważa to Beata.

- To dziki, często wychodzą w nocy na posilek. Wtedy czują się bezpieczniej. Jedzą kukurydzę rolnikom. A potem są problemy. Dziki nie rozumieją rolników, rolnicy nie rozumieją dzików. Konflikt gdzie zacierają się rasy, konflikt gdzie zaciera się rozsądek.

Statek dopływa do brzegu. Beata schodzi na brzeg. Chwilę patrzy się w ciemność, a potem świeci gdzieś latarką przed siebie. Jasne światło kruszy ciemność na małe kawałki.

- Boicie się ciemności? – pyta Beata.

- Nie – odpowiada Iwona.

- Niektórych ciemność zabija, innych wyzwala. A dla innych ciemność to tajemnica. Tajemnica nasączona przygodą, niekiedy szaleństwem.

- Gdzie nas chcesz zaprowadzić?

- Niespodzianka – mówi Beata i rusza z latarką do przodu.

Idziemy za nią. Czuję oddech Iwony koło siebie. Jej oddech jest szybszy niż zazwyczaj. Ma w sobie jakieś napięcie, napięcie naciągnięte do granic możliwości.

W oddali widzę jakieś kształty. Kształty się do nas zbliżają, a może to my zbliżamy się do tych kształtów. Widzę jakąś wieżę, mury, widzę jakieś budynki. Gdy do nich podchodzimy, widzę że to jakieś ruiny.

- Tutaj był kiedyś klasztor. Czas go zniszczył. Czas niszczy wszystko, nawet życie – mówi Beata.

Wchodzimy do środka. Beata świeci latarką na boki. Widzę stare cegły, duże kamienie w murach, czuję zapach stęchlizny koło siebie.

Jakieś cienie uciekają na boki. Małe cienie. To myszy, myślę. Nad naszymi głowami coś przelatuje. Iwona wydaje z siebie cichy jęk, jej ciało przez chwilę drży ze strachu, potem się uspokaja.

- To nietoperz – mówi Beata.

- Byłaś tu wcześniej? – pyta Iwona.

- Tak, wiele razy. Opowiedzieć wam historię tego miejsca?

- Tak.

- Kiedyś był tutaj klasztor. Modlitwa, zwyczajne życie. Było to dawno, bardzo dawno temu. W tym klasztorze nocował kiedyś jakiś święty, przez jedną noc. Był w drodze do Rzymu, do Watykanu. Gdy wyjechał, a w zasadzie poszedł na piechotę do tego Rzymu, na jednej ze starych ksiąg mnisi zauważyli notatkę, a w zasadzie przepowiednię. Nikt jej nie brał na poważnie. Ale gdy ten mnich zginął śmiercią męczeńską, kilka lat później, a potem został świętym, mnisi zaczęli się zastanawiać nad sensem tej przepowiedni. Był tam podany czas, moment, gdy zdarzy się coś złego. I była tam nadzieja, że jeśli zrobią to co muszą, to przetrwają. Ten mnich mówił wiele rzeczy zanim zginął, niektóre się sprawdziły.

- Ciekawa historia – mówi Iwona. – Mów dalej.

- Którejś nocy księga zginęła i zginął jeden z mnichów, który tej księgi pilnował. Było śledztwo. Księga zginęła na zawsze, nie znaleziono zabójcy. Były poszlaki, ślady, ktoś mówił, że to był zły duch. A wiadomo, że złe duchy wiodą mnichów na pokuszenie. Złe duchy czasami żyją wśród ludzi, nawet wśród dobrych ludzi. Potem minęło kilka lat i jeden ze starych mnichów przypominał sobie o przepowiedni. Rozpoznał czas, miejsce. I gdy padało przez kilka miesięcy, padało cały czas, pewnej nocy stary mnich kazał iść wszystkim mnichom na wieżę. Buntowali się, ale poszli. Rano usłyszeli szum, przerażający szum. Wszędzie była woda. Wisła zalała wszystko dookoła. Zginęło dużo ludzi ze wsi. Mnisi ocaleli. Gdy woda opadła mnisi zrozumieli, że wszystko ma sens i ten święty przybył do nich, aby ich ocalić. Przeznaczenie czasami ociera się o krótkie chwile niosące w sobie nadzieję.

- Ciekawa, straszna historia – mówię i nagle jakaś siła karze mi dotknąć murów klasztoru.

Mury są wilgotne, cierpkie, kruszą się pod palcami. I nagle coś czuję koło siebie. Zamykam oczy.

Widzę mnichów, którzy się modlą każdego dnia. Widzę jak uprawiają swój ogródek, a w nim różne warzywa, owoce, ziemniaki. Widzę jak wcześnie wstają i zaczynają swój dzień od modlitwy. Za dużo nie wychodzą z klasztoru, tylko gdy muszą. Bóg to ich przeznaczenie, Bóg to ich wybór. Doczesne życie mało ich interesuje.

Dotykam mocniej murów. Coś mnie parzy w rękę, ból jest nie do zniesienia. Widzę czarną noc, noc pełną piorunów, noc bez gwiazd, bez księżyca. Widzę nóż w ręce jednego z mnichów, nóż wykonuje ruch, zły ruch. Ktoś krzyczy, upada. Głos zamiera w martwym ciele. Głos unosi się wysoko, aż do nieba. Głos znika, ból znika, cierpienie znika. Cień z nożem bierze księgę do ręki, a potem ten cień wychodzi z klasztoru. Nad ranem cień wraca do swojej celi, wraca bez księgi, zasypia. Mnich zasypia, a pieniądze poszły na coś, co się nazywa pokusą, i ta pokusa mogła być zaspokojona przez pieniądze, tylko przez pieniądze. Złe pokusy mogą zaspokoić tylko pieniądze, złe pieniądze.

Uciekam ręką od murów. Wszystko znika. Znow jestem koło Beaty i Iwony. Przeszłość, zła przeszłość uciekła.

- Wracamy – mówi Beata.

Idziemy przez ciemność do statku. Statek płynie powoli w kierunku Wawelu. Kamienice świecą jaśniej niż wcześniej, a przy najmniej tak mi się wydaje.

Wysiadamy pod Wawelem, wracamy czerwonym garbusem do domu. Iwona jest zmęczona, ja jestem zmęczony, cały świat jest zmęczony ciemnością, jest zmęczony mrokiem.

- Sama, chce pani płynąć sama? – pyta Beata.

- Tak. Tylko ja – mówi kobieta o rudych włosach, a jej płonące węglowe oczy przy słowie ja powiększają się odrobinę. – Nie lubię ludzi, ludzie nie lubią mnie, a co gorsze, obawiam się, że szybko to się nie zmieni. Więc – kobieta o rudych włosach zawiesza na moment głos, następuje krótka przerwa, a potem kobieta mówi dalej – chcę płynąć sama.

I płyną. Płynie Beata, płynie kobieta o rudych włosach, płynie cały świat z nimi, cały świat rozmazany tuż przy brzegu.

- Kocha pani pływanie statkiem?

- Tak – mówi Beata. – Pływanie to wolność, pływanie to przeznaczenie.

- Pływała pani kiedyś na morzu?

- Tak. Było to dawno temu – uśmiecha się Beata. – Morze to bezgraniczność. Brak lądu, czasami brak ludzi, to bardzo pomaga gdy człowiek czuje się samotny. Samotność na morzu ma inny wymiar i znaczenie, niż samotność na lądzie.

- Morze to bezmiar – mówi kobieta o rudych włosach. – Bezmiar wszystkiego.

- Człowiek płynie do przodu, przed siebie i nic się tak naprawdę nie liczy. Na morzu wszystko się może zdarzyć. Wszystko i nic.

- Brakuje pani tego teraz? Tej wolności. Skutków tej wolności w prawdziwym życiu.

- Wszystko się kiedyś kończy. Wolność też. Tutaj, na tej rzece, mam namiastkę tego co było kiedyś. Namiastkę schowaną w ukrytych gdzieś głęboko pragnieniach.

Statek płynie powoli, sennie. Czas, czas jest gdzieś koło nich. Jest, a zarazem go nie ma.

- Możemy się tutaj zatrzymać? – pyta kobieta o rudych włosach.

Statek dopływa do brzegu. Cicho dotyka ziemi. Przez chwilę kołysze się na wodzie, a potem gaśnie, zamiera.

- Coś pani pokażę – mówi kobieta o rudych włosach.

Idą w kierunku lasu. Idą powoli. Kroki, kroki ciche. Kroki, kroki sennie. Kroki, kroki samotne.

- Daleko jeszcze? – pyta Beata.

- To takie magiczne miejsce. Chcę żeby pani je zobaczyła.

- O, tam – kobieta o rudych włosach wskazuje kierunek, a Beata powoli idzie w tym kierunku.

Gdy dochodzą do jakiejś polany Beata czuje coś za sobą. Czuje niebezpieczeństwo. Czuje strach. I to niebezpieczeństwo, ten strach każe jej się odwrócić do tyłu. Ale już jest za późno. Czuje ukłucie w okolicach szyi. Czuje pustkę, która powoli od szyi, aż po sam dół obezwładnia jej ciało. Czuje się kukłą, a potem czuje się senną kukłą. Na końcu czuje się ciemnością, a potem strachem. Beata ucieka od tej ciemności, od tego strachu, ucieka daleko, daleko, daleko...

Coś Beatę pcha do przodu. Jakaś ręka każe jej nogom iść przed siebie.

Świadomość wraca. Powoli, ale wraca. Beata widzi las, inny las, nie ten w którym była wcześniej. Ręce ma związane, wciąż czuje za sobą czyjąś obecność. Złą obecność. Odwraca się. Widzi kobietę o rudych włosach.

- Dlaczego? – to pytanie wychodzi z ust Beaty nieświadomie. I ta nieświadomość jest krucha, bardzo krucha, to Beata wie, bardziej czuje niż wie.

- Bo tak ma być. Bo tak musi być.

- Ale dlaczego?

- Bo czasami na pewne rzeczy nie mamy wpływu. Pewne rzeczy się po prostu dzieją. I nic tego nie może zmienić. Po prostu jesteś częścią pewnej układanki, złej układanki.

Dochodzą do pewnego miejsca, mniej jest tutaj drzew, albo tak się tylko wydaje Beacie.

Kobieta o rudych włosach otwiera metalową klapę. Ręka pokazuje ciemność. Beata znika w tej ciemności, znika w ziemi. Ziemia ją pochłania. Gdy kłapa się zamyka Beata czuje koło siebie inne oddechy. Oddechy, które nie mają w sobie żadnej nadziei, żadnej wiary. Oddechy czekające na przeznaczenie. Oddechy czekające na wyrok.

Prawa powieka Komisarza Rawicza drga i drga. Nie może się zatrzymać. Pomiędzy kolejnymi drgnięciami Komisarz Rawicz widzi przed sobą kobietę, brunetkę, jej czerwone oczy mają w sobie niepewność, zagubienie. Bardziej zagubienie niż niepewność.

- To wszystko nabiera jakiegoś sensu, jakiejś logiki – mówi Komisarz Rawicz.

- Nie wierzyliście mi, aż do dzisiaj – mówi Iwona, a jej głos jest jak błoto tuż po burzy.

- Trzecia osoba, która coś dla pani znaczy. To nie może być przypadek.

- Co mam robić? Uciekać, czekać, bać się? A może zniknąć? Tak jak znikają ludzie niepotrzebni.

- Pani się czuje niepotrzebna?

- Czuję się zagrożona. A może nawet nie zagrożona, po prostu czuję się jak ktoś, kto naraża innych na niebezpieczeństwo. Niebez-

pieczeństwo ocierające się o moją obecność. Bo moja obecność zabija innych, niszczy innych.

- Oni mogą żyć – mówi cicho Komisarz Rawicz. – Nie ma ciała, jest życie. Jest szansa na życie.

- Pan w to wierzy? Wierzy pan w dobre zakończenie tej historii?

- Wierzę w konsekwencję, wierzę, że ludzie popełniają błędy. Nawet ci, którzy wydają się niewidzialni.

Komisarz Rawicz wstaje z krzesła, podchodzi do okna. W oddali widzi ciemne chmury, a wśród tych ciemnych chmur widzi pojedyncze błyskawice. Na razie odległe, ale już wydają mu się bliskie, zbyt bliskie.

- Znajdziemy te osoby. I znajdziemy sprawcę tych porwań. Musi mi pani wierzyć na słowo.

Iwona wstaje, uśmiecha się jakoś krzywo, jakoś nienaturalnie i wychodzi z pokoju. Ma dość tej rozmowy, dość spojrzeń Komisarza Rawicza, spojrzeń niespokojnych, ma dość tajemnicy, która wciąż gdzieś koło niej jest. Ma dość czasu, który wciąż jest koło niej i ten czas za chwilę może być groźny, zbyt groźny dla niej, zbyt groźny dla ludzi koło niej.

Mam na imię Iwona. Czuję strach, przerażający strach. Strach przed czymś nieuniknionym. Wciąż coś widzę. Widzę obrazy, złe obrazy, które nie mogą zniknąć. Nie mogą zniknąć tak, jak nie może zniknąć niebo, ziemia, góry, morze. Tak jak nie może zniknąć życie.

Mam na imię Iwona. Czuję się osaczona, zaplątana. Zaplątanie to mój naturalny stan życia. Teraz. Nie kiedyś. Teraz. Coś wciąż wisi nade mną, coś sprawia, że wszystko koło mnie jest jakieś popękane, rozmazane. To coś rozkłada moje życie na małe kawałki, które nie mogą się razem poskładać. Bo te małe kawałki ciągle rozwiewa jakiś wiatr, zły wiatr. I te kawałki są wszędzie. I te kawałki są nigdzie. I te kawałki są poza mną. To poza mną mnie najbardziej przeraża. Przeraża bardziej niż ten zły wiatr, przeraża bardziej niż samo życie.

Iwona budzi się. Wciąż ma ten głos w sobie. Mam na imię Iwona...

Ten głos ze snu ją męczy. Męczy coraz bardziej. Rozprasza rzeczywistość, rozkleja ją na małe kawałki obłądu.

Iwona schodzi z łóżka, idzie do kuchni. Otwiera lodówkę. Światło, jasne światło. W końcu coś jasnego jest w jej życiu. Wyciąga zimne mleko. Pije je z kartonu. Zimno rozchodzi się po jej ciele. Dobrze, chłodne zimno.

Zamyka lodówkę. Idzie do pokoju. Włącza telewizor. Przez chwilę patrzy na uśpione obrazy, uśpione twarze, uśpione historie i po jakimś czasie czuje, że jej oczy znów chcą gdzieś uciec, uciec daleko i niepostrzeżenie.

Wyłącza telewizor. Wchodzi do łóżka, zimna kołdra jest coraz bardziej przyjazna, coraz bardziej życzliwa snom, które po chwili do niej przychodzą. Iwona jeszcze raz patrzy na ciemność za oknem i zasypia.

Już jej się nic nie śni aż do rana. Jej oddech jest spokojny, cichy. Znów ma spokój w sobie, znów ma mądrość w sobie. Ciemność kładzie się koło Iwony. Już razem śpią jak siostry. Już razem marzą jak przyjaciele.

Idę przez pawilon do Darka. Knajpa Darek. Przecież Darka już tam dawno nie ma. Pozostał tylko jakiś kształt tej knajpy, jakiś zarys, pojedyncze cienie z przeszłości, które jeszcze tam tańczą, tańczą, ale już tak naprawdę nie istnieją. Inni ludzie, inne twarze. Życie, jedni przychodzą, inni odchodzą. A jeszcze inni na siłę trwają. Trwają w tym co już odeszło, trwają bezpowrotnie.

Darek, myślę, jak pewne rzeczy, ludzie się nie zmieniają. Czegoś już dawno nie ma, a wciąż jest. Po prostu pewne rzeczy się nie zmieniają pomimo czasu. Nie zmieniają się w nas, tylko w nas, w innych są już dawno inne, zapomniane, obce, prawie nieobecne.

Schodzę schodkami na dół, otwieram drzwi. Łazienka, myślę, tu zawsze była, jest i będzie łazienka. Tak mówiliśmy, tak patrzyliśmy na to miejsce czasami – łazienka. Łazienka tuliła nas do snu, łazienka zamykała nam oczy. Łazienka pomagała zapomnieć, uciec, ale tylko na chwilę, ale tylko na jakiś czas. Łazienka pomagała zabić czas, starała się uczynić go nieśmiertelnym. I ten czas zawsze był tam inny, czasami samotny.

Sobota wieczór. Jakaś muzyka, trochę więcej ludzi. Gwar. Tam zawsze jest gwar i jasne, chociaż przymglone światło. Wspomnienia

wracają. Nie ma ludzi, ale są wspomnienia. Znowu czuję się jak w domu, choć przez chwilę.

Widzę twarze. Twarze zmęczone, twarze upokorzone, twarze samotne, twarze uciekające, twarze przegrane, twarze obojętne. Rzadko bywają tutaj twarze szczęśliwe. Bywają, ale rzadko.

Zamawiam piwo. Siadam z boku, tuż przy ścianie. Muzyka wciąż gra, krąży gdzieś koło mnie. Czuję się dobrze, trochę samotnie ale dobrze.

Widzę dwie twarze z przeszłości. Zbynek i Alfred. Zawsze trzymali się razem. Kiedyś pili jak wszyscy, teraz chyba się to zmieniło, nie ma już na ich twarzach tego napięcia co kiedyś. Zmienili się. Czas wszystko zmienia. Ludzi najbardziej.

Obok mnie ktoś siedzi, ten ktoś jest w moim wieku. Jego twarz jest bardziej zmęczona niż inne, bardziej obojętna niż inne. Jest jakaś zakrzywiona, popękana, rozmazana. Rozpoznaję go gdy jasne światło, puste światło z góry go oświecila, bardziej rozjaśnia gdy rusza głową. Bo jego głowa wciąż się rusza, wciąż wykonuje delikatne drgania, drgania prawie niewidoczne, ale drgania zauważalne.

Nie znam jego imienia. Zналиśmy się kiedyś, ale trochę, jak to na osiedlu. Cześć na ulicy, cześć u Darka, cześć gdy błądziliśmy wieczorami po osiedlu. Bo to osiedle kiedyś było jednym wielkim błędzeniem. Wszyscy błądzili, niektórzy więcej. I niektórym to błędzenie zostało aż do dzisiaj. Błądzenie bezpowrotne.

- Cześć – mówię do niego. – Jakub.

- Wasyl – mówi ciężkim głosem, w ogóle jego ciało jest jakieś ciężkie, zbyt mocno przywiązane do ziemi.

- Jak mija sobota? – pytam, bo o coś go muszę zapytać, by rozmowa miała jakiś sens, jakieś znaczenie.

Widzę, że jest pijany, może zmęczony, bardziej pijany niż zmęczony. Nie rozpoznaje już kształtów, nie rozpoznaje już ludzi. Zmęczeni ludzie nie chcą rozpoznawać kształtów, nie chcą rozpoznawać ludzi, przynajmniej czasami.

- Ciężko, ciężko, trudno, trudno – z ust Wasyla wydobywają się słowa, to chyba dużo dla niego, przynajmniej dzisiaj.

Nic nie mówię. Słucham. Czasami słuchanie to jedyna odpowiedź na pytania które dręczą człowieka. Chorego człowieka. Chorego na życie. Więc wciąż nic nie mówię, słucham.

- Pracuję w karetce. Jeżdżę tylko w nocy. Ciemność, światła z karetki, puste ulice i my, udręczeni, samotni, wciąż ocierający się o śmierć, wciąż ocierający się o życie. To niszczy człowieka, to nie daje żadnej nadziei człowiekowi.

- Ratujesz innym życie.

- Czasami tak, często nie. Wszystkich nie ocalisz. Czasami ludzie po prostu odchodzą. Ratując świat nie masz czasu na życie. Jesteśmy tylko my, umierający i ci którzy już umarli. Czasami tym umierającym dajemy czas, krótki ale czas. Ale przeznaczenia nie unikniesz. Tak jak swojego losu.

- Czas to dużo, dla niektórych nawet za dużo.

- Znajomy ratownik mi kiedyś powiedział, że wszyscy pracujemy w ciemności, ale my nie możemy się w tej ciemności pogрузić, bo umrzemy jak ci ludzie w karetce.

- Dzisiaj jesteś obcy, bardziej obcy niż zazwyczaj – mówię, choć wiem, że nie wiem jak jego oczy wyglądają normalnie, czy mają choć trochę światła za dnia, trochę blasku w nocy.

- Odeszła moja dziewczyna. Kiedyś musiała odejść. Ta praca niszczy. Niszczy bardziej niż samo życie. Gdy zamykała drzwi naszego domu powiedziała, potrzebujesz pomocy, ja ci nie mogę już pomóc – Wasył chwilę milczy a potem mówi dalej. – Miałem kolegę, przyjaciela, też pracował w nocy na karetce.

- Co się z nim stało?

- Stoję, czekam na światło. Stoję, pojawia się pragnienie. Stoję, pojawia się ruch w ciemności, w tunelu. Słyszę stukot, hałas. Podnoszę ręce do góry. Wszystko się zbliża, a może tylko ja zbliżam się do wszystkiego. Nie skaczę. Jeszcze nie mogę. Strach. Strach broni mnie przed ciemnością. Pociąg odjeżdża. A ja wciąż stoję na peronie – Wasył się na mnie patrzy, jego oczy są ciemne, bardzo ciemne, węglowe. – To mi powiedział mój przyjaciel ostatnim razem. Tak się czuł, gdy stał na peronie i czekał.

- Co się z nim stało? – pytam jeszcze raz, choć boję się odpowiedzi.

Czasami człowiek nie chce znać odpowiedzi, ale jakiś głos w głowie mówi „Spytaj, niewiedza jest gorsza niż zaraza” i w końcu człowiek pyta, choć nie chce. Pyta, bo musi.

- Skoczył w nocy z dachu. Nie wytrzymał. Stracił w życiu już wszystko, co mu szkodziło stracić też życie.

Wasył dopija piwo i wychodzi. Przez chwilę siedzę sam, potem wracam do domu.

Niektórzy ludzie są bardziej samotni niż inni. Niektórzy ludzie noszą większy ciężar niż inni. Niektórzy ludzie nigdy nie wygrają, bo nie mają szans. Żadnych szans, żadnych nadziei.

Siedzę w Barze Smok, godzina dziewiąta rano, patrzę się na dworzec PKS, dworzec którego już nie ma, widzę autobusy, ludzi którzy gdzieś jadą, może gdzieś uciekają, oczami wyobraźni widzę dworzec w środku, sklepiki, kasy, maszynę do robienia zdjęć, widzę tłum ludzi – zniecierpliwienie, nieobecność, czasami zagubienie.

Siedzę tuż przy oknie, wysoki stółek, długa lada po całej długości okna, widzę ludzi zmęczonych, ludzi którzy żyją na ulicy, widać to w ich oczach, bo ich oczy to cała historia, dobra, zła, ale historia. Historia, która nie ma już żadnego zakończenia. I tak siedzę, patrzę się na przystanek autobusowy, patrzę się na autobus 154, mój autobus i spokojnie jem jajecznicę na maśle, przegryzam ją bułką z serem topionym i popijam to wszystko mlekiem, ciepłym mlekiem w białym, długim kubku.

Nagle zauważam ruch przy wejściu. Wchodzą cztery osoby, widać, że są zmęczone, wczorajsze, ale ich twarze mają jakąś radość w sobie, jakąś nadzieję. To rzadkość, myślę, posiadać radość w tych czasach, w tym mieście.

Siadają przy stoliku koło mnie. Chwilę się naradzają, potem jedzą jajecznicę, świeże bułki, mleko. Są wygłodniali, są obojętni.

Piotr Skrzynecki, jego krótka broda, siwa, ciągnąca się od ucha do ucha, i ten kapelusz, jego wizytówka, brązowy kapelusz, i te oczy, oczy które wciąż czegoś szukają, wciąż do czegoś dążą.

Kiedyś go widziałem na Kleparzu, chodził wśród straganów, rozmawiał z ludźmi, ze sklepikarzami, widać było że był u siebie, zresztą Kraków to miejsce gdzie on zawsze był u siebie.

Andrzej Sikorowski, długie włosy, jasne, krótkie wąsy, broda, on zawsze czuł, że Kraków to jego życie, jego los.

Jacek Wójcicki, czarne rozczochrane kręcone włosy, krótki czarny wąs, nieogolony, nieobecny. On zawsze wydawał się jakiś nie-

obecny, wiedział, że powinien żyć w innych czasach, lepszych czasach. Jego głos to ucieczka do tych czasów, innych, lepszych czasów.

Zbigniew Preisner, duży, nieogolony, wydaje się jakby był niezadbany, ale to tylko luz artystyczny, luz który pozwala mu tworzyć wszędzie, na zachodzie, w Polsce, wszędzie. Muzyka dla niego to wolność, to wyzwolenie. On zdobędzie świat, widać to w jego oczach, w jego spojrzeniu. Krótkie czarne włosy, wąsy w jakimś nieładzie, w jakimś ruchu, jakby te wąsy były pięciolinia i na tej pięciolinii były zapisane wszystkie nuty, wszystkie jego najlepsze nuty dla Kieślowskiego, dla Holland, dla tych wszystkich którzy chcą, by jego muzyka dopełniała obraz, dopełniała tekst. Wąsy nieogolone, twarz nieogolona, spojrzenie nieogolone.

Siedzą, jedzą, milczą. Ich oczy płoną, płoną wczorajszą nocą. Może dziś spali, może nie, może wciąż obecni są w nocy, w Krakowie, nocnym Krakowie, może jeszcze nie wrócili do domu i ten bar to kolejny przystanek w ich życiu, wczorajszym, dzisiejszym, nieznanym jeszcze życiu.

Skrzynecki patrzy na dworzec, jego oczy są zamyślane, jakieś skrzywione, a potem w tych oczach pojawia się jakiś promyk, jakaś nadzieja.

- Można by stąd uciec. Uwolnić się od tego wszystkiego, od tych piwnic, od tych barów w tych piwnicach, od muzyki która przenika człowieka w nocy, przenika tak, że człowiek się kurczy, znika, powoli ale znika.

- Ja kiedyś stąd ucieknę – mówi Preisner. – Czy na zawsze, tego nie wiem. Ale na pewno ucieknę. Muzyka to wolność. A ja chcę być wolnym człowiekiem. Mogę tworzyć wszędzie. Świat to muzyka, muzyka to świat.

- Mnie wystarczy Polska – mówi Sikorowski. – Mnie wystarczy Kraków. Tutaj wracam, tutaj jest mój dom. Planty, lubię spacerować Plantami wieczorem i te latarnie, te twarze wyglądające inaczej. Noc zmienia twarze, czyni je bardziej tajemniczymi. Każda twarz to historia, kolejna historia, mogę później każdą z tych historii zapisać w nutach. Zapisać i stworzyć nową piosenkę. Nigdy stąd nie wyjadę. Na krótko tak, na długo, na zawsze, nie.

- Ja uciekam głosem, wszędzie – mówi Wójcicki. – Mój głos to ucieczka. Docieram głosem tam, gdzie inni nigdy nie dotrą. Czasami patrzę w oczy ludzi gdy śpiewam, przedzieram się głosem głębiej, do duszy tych ludzi i widzę, że ludzie potrzebują muzyki żeby przeżyć, żeby przetrwać. Dla niektórych przetrwać oznacza więcej niż przeżyć.

- Te bary nas kiedyś zniszczą – mówi Skrzynecki. – Nie można po każdym występie iść na całość. Piwnica Pod Baranami to wolność, ale my, gdy kończy się ta wolność, gdy milkną ostatnie nuty, gdy zamierają oklaski idziemy zawsze gdzieś dalej. A dalej oznacza gorzej, bo do rana, bo do utraty tchu, do utraty świadomości.

- Świadomość – zamyśla się Preisner. – Świadomość w nocy, w Krakowie, po alkoholu ma inne znaczenie niż świadomość za dnia. Niepotrzebnie wczoraj, nad ranem grałem na fortepianie w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką. Fałszowałem, było to prawdziwe, z głębi serca, ale fałszowałem.

- Ludzie mieli łzy w oczach – mówi Sikorowski. – Wierzyli w to, co grasz.

- Muszę zapisywać to co gram nad ranem. To dobre nuty, czasami bardzo dobre. Dobre nuty, zapomniane nuty. Rano znów nic nie pamiętałem z tego co grałem. A mogą to być najlepsze nuty w moim życiu.

- Mogą – mówi Wójcicki. – Pewne rzeczy mogą być dobre, gdy o nich nie zapomnimy nad ranem.

- Zapomnienie to naturalny styl życia artysty – mówi Skrzynecki. – Zapomnienie to stan ducha artysty. Stan ducha ocierający się o niepamięć.

- O zagubienie – dodaje Sikorowski.

Przez chwilę wszyscy milczą. Talerze już są puste. Kubki już są puste. Ich oczy też są jakoś dziwnie puste.

- Nigdy stąd nie uciekniemy – mówi Skrzynecki. – Nawet nigdy nie uda nam się uciec z tego miasta. – W oczach Skrzyneckiego pojawiają się łzy wzruszenia. – Trochę szkoda. Bo świat to dla każdego artysty nowe wyzwanie. – Skrzynecki prawą ręką wyciera łzę w lewym oku a potem mówi. – No, to do mnie. Pora zakończyć ten wczorajszy dzień.

- Wczorajszy, dobry dzień – mówi Wójcicki.

Wychodzą z Baru Smok. Pozostają po nich puste talerze, puste kubki, zagubione małe łyżki leżące w nieładzie na stoliku.

Budzę się, mam uśmiech na twarzy, mam uśmiech w głowie. Miły sen, przyjemny sen. Pójdę na miasto, myślę, pójdę na Rynek i zobaczę znów Skrzyneckiego. Wciąż siedzi przed kawiarnią przy Rynku Głównym. Vis-à-vis to był jego los, to było jego przeznaczenie. Siedzi i milczy. Siedzi i patrzy. Siedzi i gdzieś oczami ucieka w nieznane.

Postanowiłem zostać u niej na noc. Widziałem w jej oczach, w zielonych, mądrych oczach, że tego chce. Jej spojrzenie, każdy ruch jej ciała, każdy szelest jej czarnych włosów, każdy jej oddech mówił mi, zostań. Więc zostałem.

Teraz ona już śpi, światła w bloku naprzeciwko też powoli kładą się do snu. Miasto zasypia, świat zasypia, gwiazdy na niebie świecą, jakby za chwilę miały zasnąć. Wszystko śpi, tylko nie ja.

Patrzę się na śpiącą Weronikę, patrzę się na jej czarne, długie, kręcone włosy, przez chwilę chcę dotknąć jej włosów, ale cofam rękę, boję się ją obudzić. Weronika śpi tak, jakby była w lepszym świecie. Widzę to w jej spokojnym oddechu. Jej oddech podróżuje gdzieś daleko. To oddech kogoś, kto wie jak wygląda szczęście, ale nie wie, gdzie je można znaleźć.

Miłość to zbliżanie się do drugiej osoby na jak najbliższą odległość. Miłość to poczucie zapachu tej drugiej osoby gdzieś koło siebie. W nocy, w ciągu dnia. Miłość do bliskość. Bliskość, która czasami ociera się o cierpienie. A czasami miłość jest tylko nieustającym cierpieniem, które na początku jest niezauważalne, ale na końcu to cierpienie staje się ważne. Może nawet najważniejsze. Cierpienie wzbogaca miłość. Cierpienie niszczy miłość.

Uśmiecham się. Na razie Weronika jest dla mnie dobrem. Samym dobrem. Mam nadzieję, że tak będzie zawsze.

Idę do łazienki. Patrzę się w lustro. Czasami mój wzrok mówi mi, że jestem tylko jednym wielkim zmęczeniem. Zmęczeniem nieustającym. Budzę się zmęczony. Pracuję zmęczony. Wracam do domu zmęczony. Zasypiam przed telewizorem zmęczony. Kładę się spać

zmęczony. I znów budzę się zmęczony. Łudzę się, że kiedyś to minie. Na razie nie mija. I tak żyję. Ocieram się o zmęczenie każdego dnia. Zmęczenie ociera się o mnie każdego dnia.

Patrzę się na jej przedmioty w łazience. Potem wracam do pokoju, znów patrzę się na jej przedmioty rozrzucone w nieładzie po podłodze. Dzięki tym przedmiotom lepiej ją znam. Przedmioty określają Weronikę. Weronika określa przedmioty. Przedmioty to ona. Ona to przedmioty. Dzięki tym przedmiotom bardziej znam ciemne zakamarki jej duszy.

Podchodzę do okna. Cisza. Świat już śpi. Okna śpią. Mrok śpi. Cienie drzew lekko krzywią się do ziemi. Cały świat lekko krzywi się do ziemi.

Słyszę krzyki. Dwóch mężczyzn, pijanych mężczyzn coś do siebie krzyczy. Nienawiść w ich głosach kruszy ciemność na małe kawałki. Ciemność zaczyna się rozpadać, rozpraszać.

Krzyczą coś o jakiejś kobiecie. O miłości do tej kobiety. O tym, że miłość coś w nich zabiła. Kiedyś, teraz. Że ta kobieta zaznaczyła ślad w ich życiu. Zły ślad. Że ta kobieta coś w nich zniszczyła i teraz oboje nie mogą tego coś poskładać. Próbowali, ale się nie udało. Ona zniszczyła ich, kiedyś. Wciąż niszczy. Wspomnienia o niej nie pozwalają im dalej iść do przodu. Tylko alkohol pomaga, krzyczy jeden z mężczyzn, pomaga na chwilę, krzyczy drugi. Dlaczego miłość tak boli? znów krzyczą, teraz razem. Miłość to dodatek do cierpienia, zły dodatek, krzyczą. Na chwilę się uspokajają, ich ciała zamierają w bezruchu na kilka sekund. Świat zamiera wraz z nimi. Mrok zamiera wraz z nimi. Mężczyźni się budzą z letargu. Idą dalej. Znikają za blokiem.

Patrzę się na gwiazdy. Są takie jasne dzisiaj. Takie krystalicznie czyste. Wracam do łóżka. Przytulam się do Weroniki, do jej spokojnego oddechu. Zasypiam. Jestem z nią gdzieś daleko. Znów razem idziemy w nieznane. Razem aż do końca.

Idę ulicą Floriańską. Brama Floriańska, tłum ludzi, ludzi nierozgarniętych, ludzi pobudzonych, ludzi pragnących życia za wszelką cenę. Nawet za cenę bólu. Swojego. Obcego. W bramie siedzi mężczyzna, długie kręcone włosy aż do ramion, oczy pełne napięcia,

palce trzymają gitarę i ta gitara, jej głos, głos wyrażony dźwiękiem coś mi przypomina. Coś dalekiego, coś bliskiego.

Mieszkał na osiedlu. Dawno, bardzo dawno temu. Stare osiedle, stare wspomnienia. Mieszkał i chciał żyć inaczej. Inaczej niż inni. Chciał żeby jego los do czegoś zmierzał, żeby nie był podobny do losu innych. Inni go onieśmielali. Onieśmielali swoją bezradnością.

Nie pamiętam jego imienia. Staram się je sobie przypomnieć, ale nie wiem czy tak naprawdę miał jakieś imię, czy tylko miał jakąś ksywkę, jakieś słowo, które go jakoś określało.

Była w nim jakaś nadwyżka. Nadwyżka życia. Nadwyżka śmierci. Wszyscy to wyczuwali, ja też. Pamiętam, że chciał być muzykiem. Grał na gitarze dobrze, nawet bardzo dobrze. Potrafił zagrać ze słuchu każdą solówkę. Potrafił to zrobić po jednym wysłuchaniu obcego dla niego dźwięku. Chodził po osiedlu i grał na gitarze. Dla ludzi, dla siebie. Założył zespół. Grali w garażu. Wierzyli, że coś osiągną. Jak większość ludzi mieli marzenia. Koncerty, kariera, pieniądze. Na marzeniach się skończyło.

W tym okresie więcej pił, więcej żył. Może przez muzykę, może przez zespół, a może przez nadwyżkę życia. Nadwyżkę śmierci.

Często wyjeżdżał latem. Po prostu znikał. Jeździł po Polsce. Grał w miejscach obcych, ale pięknych na gitarze. Podróżował.

Mieszkał w Bieszczadach, całkiem sam. W lesie, nad jakimś jeziorem. W jakiejś łodzi. Mówił, że wtedy żył naprawdę. Mówił, że wtedy czuł się wolny, choć samotny.

Samotnie przeszedł całe wybrzeże, od zachodu na wschód. Spał na plażach i szedł do przodu. Tak po prostu, przed siebie. Żył ogarnięty szaleństwem. Wolnością. Mówił, życie, sztuka, wolność to sens życia. To sens do którego tak uparcie dążył.

Czasami w nowych miejscach byłem obcy, ale zawsze wolny. Tak mówił, gdy był pijany, wystarczająco pijany na ból, na zwierzenia. Obcość to wolność wymieszana ze strachem, wymieszana z niezrozumieniem.

Czasami wyruszał w ciąg kolejowy. Znikał na całe miesiące. Jeździł koleją po Polsce. Kochał obrazy za oknem. Były jak film, tak mówił, niemy film przesiąknięty niemą rzeczywistością. Niema rzeczywistość to sens życia, prawdziwy sens życia. Tak mówił. A potem wracał na osiedle i mówił, że w snach wciąż jeździ koleją. Stu-

kot szyn powoli znikał w nim w środku. W snach. Znikał, a potem wracał. Aż był coraz słabszy, aż był coraz cichszy. Aż w końcu znikał w nim na zawsze. I wtedy w jego oczach pojawiała się ulga. Jakieś odprężenie.

Kiedyś pojechał stopem do Hiszpanii. Trochę to trwało, ale mu się udało. Mieszkał w jakimś arabskim zamku nad morzem w Alicante. W jakiejś baszcie. Mieszkał, coś palił wieczorem i patrzył się na morze. Na statki błyszczące na wodzie jak jakieś gwiazdy. Czuł się wolny. Jego nadwyżka życia, nadwyżka śmierci była zaspokojona. Na jakiś czas, ale zaspokojona.

Pływał żaglówką na Mazurach. Podczas wiatru, dużego wiatru. Czuł wtedy, że bliżej jest śmierci. Bliżej mroku. Bliżej siebie. Siebie z ciemności.

A potem zniknął. Gdzieś wyjechał i nie wrócił. Nikt nie wiedział gdzie jest, gdzie żyje. Stał się duchem, opowieścią, jakąś legendą, może wspomnieniem. Czasami legenda to tylko jakieś wspomnienie. Czasami legenda to tylko jakaś opowieść. Czasami legenda to tylko jakieś niedokończenie. Myślę, że jego życie to było tylko jedno wielkie niedokończenie.

Włączam telewizor. Przeskakuje pilotem z kanału na kanał. Jak większość ludzi, którzy w samotności chcą odnaleźć jakieś życie w kolorowych obrazkach. Namiastkę życia.

Zatrzymuję się na chwilę. Muzyka jazzowa. Spokojna, trochę cicha, mroczna.

Zamykam oczy. Przypominam sobie czas, gdy zmarła moja mama. Zły czas. Zły czas zaraz po jej śmierci. Chciałem wtedy coś ze sobą zrobić, cokolwiek, żeby ruszyć do przodu. Żeby moje myśli nie błądziły w ciemności, w jakimś otępieniu. Czułem wtedy taką pustkę w sobie, taką rozpacz. Rozpacz wymieszaną z pustką.

Często wtedy siedziałem sam w pokoju. Milczałem. Milczenie było moim przyjacielem. Milczenie było moim wrogiem.

I nagle za ścianą usłyszałem muzykę jazzową. Usłyszałem trąbkę. Przypomniałem sobie, że mieszka tam muzyk. Nigdy wcześniej nie słyszałem żeby grał w domu. Teraz było inaczej. On grał, a ja czułem, że jego gra zaczyna mnie coraz bardziej poruszać. Wstałem z łóżka, choć chciałem w nim zostać na wieczność. Na zawsze. Wsta-

łem pomimo tego, że wciąż chciałem zapomnieć o świecie, chciałem też, żeby świat zapomniał o mnie. W tym czasie, tak mi się wtedy wydawało, to byłoby dla mnie najlepsze. Zapomnienie świata, żeby przeżyć, zapomnienie świata, żeby przetrwać. Chciałem żeby moje myśli wraz ze mną uciekły w nieznane, uciekły w nieskończoność.

Przyłożyłem ucho do ściany. Zamknąłem oczy. I wtedy dźwięki powoli, trochę sennie zaczęły wchodzić do mojej głowy, do moich myśli, do całego mojego ciała. Stałem się jednym dźwiękiem, jedną melodią, jedną nieskończoną energią ukrytą gdzieś głęboko w grze na trąbce.

Muzyka była mroczna, ciemna, ocierała się o jakiś kres, o jakieś zwątpienie. O jaki kres? O jakie zwątpienie? Tego wtedy nie wiedziałem. I teraz, po czasie, też do końca tego nie wiem.

Trąbka powoli zaczęła zabierać mnie w nieznane zakamarki mojej duszy. Wędrowała po moich myślach złych, dobrych, niebezpiecznych, szalonych, po myślach przewidywalnych. Znajdowała we mnie rzeczy, o których nie miałem żadnego pojęcia. Widziałem siebie od środka. I to co widziałem często mnie zaskakiwało. Czułem, jaki mógłbym być, jak mógłbym żyć gdyby udało mi się tam kiedyś dotrzeć, samemu, i potem te rzeczy, nieznane rzeczy wydobyć z siebie. Na pewno byłbym wtedy innym człowiekiem. Czy lepszym, tego nie wiem? Ale na pewno innym.

I wtedy poczułem, że ból nagle trochę zelżał. Zasnął we mnie na chwilę. To była pierwsza ucieczka bólu z mojego ciała, z moich myśli. I wtedy poczułem, że ciemność która jest we mnie chwyta się ciemności która jest w muzyce tego muzyka jazzowego. Ból i mrok, mój ból i mrok, zaczął się karmić bólem i mrokiem płynącym z muzyki za ścianą. I wtedy poczułem się lepiej, i wtedy poczułem się wolny. Mój ból zaczął powoli znikać, uciekać w nieznane. I nagle ból zniknął. Poczułem się w końcu wolny. Znów mogłem iść dalej do przodu.

Odszedłem od ściany, spojrzałem za okno. Przez chmury zaczęło przedzierać się pierwsze światło, pierwsze jasne światło od kilku dni.

Potem, po jakimś czasie, byłem na koncercie w Dworcu Biało-prądnickim. Grał tam zespół muzyka jazzowego. I usłyszałem melodię zza ściany. Melodię, która dała mi wyzwolenie. Dała nadzieję.

Po koncercie podszedłem do niego. Spojrzałem mu w oczy.

- Kiedyś słyszałem twoją muzykę za ścianą – powiedziałem.
– Bardzo mi pomogła. Cierpiałeś, gdy ją grałeś?

- Grałem ją bo goniły mnie terminy, grałem ją, bo na próbach mi nic nie wychodziło, grałem ją, bo chciałem, żeby była doskonała. A doskonałość wymaga prób, nieustannych prób, wymaga poświęceń.

- Dla mnie, twoja muzyka ocierała się o jakieś cierpienie. Obce, nieznane cierpienie.

- Gdy ją grałem byłem daleko, bardzo daleko. Może była w tej muzyce zawarta jakaś tęsknota za tym daleko, może cierpienie, że nie mogę się dostać do tego daleko, a może ulga, że nie mogę się do tego daleko dostać. Ulga, bo to daleko mogłoby mi tylko zaszkodzić. Mogłoby mnie zniszczyć.

- Myślałem, że wtedy cierpiałeś?

- Nie. To był dobry czas w moim życiu. Dużo wtedy tworzyłem. Dużo smutnych rzeczy w dobrym czasie.

Wróciłem do domu. Dla niego muzyka znaczyła coś innego, dla mnie coś innego. To piękne, pomyślałem, że muzyka wyzwala w człowieku rzeczy różne, rzeczy nieprzewidywalne. To piękne, że każdy może znaleźć w muzyce co chce, każdy może stracić w muzyce co chce.

Teatr Słowackiego wieczorem. Planty wieczorem, blask latarni wieczorem. Idę z Weroniką Plantami w kierunku Teatru Słowackiego. Wchodzimy do środka. Czuję, jak jej serce bije mocniej, jak moje serce bije mocniej. Kocham te nieliczne momenty w moim życiu, gdy serce bije mocniej. Czuję wtedy, że nic nie tracę, a czasami nawet czuję coś więcej, czuję, że coś zyskuję. I czuję się wtedy dobrze i czuję się wtedy inaczej. Co ważne, Weronika też to czuje. Czuje to samo, w takim samym kształcie i wymiarze co ja.

„Zbrodnia i Kara” Dostojewskiego. Czy cel uświęca środki? Czy dążenie do szczęścia zawsze wiąże się z jakąś ceną? Z jakąś stratą?

Sztuka dobra. Widzę w niej coś, co mnie pogrąża. Widzę ciemność. Widzę mrok. A ciemności i mroku boję się w sobie najbardziej.

Sala pełna. Ludzie co chwilę wstrzymują oddechy. Ich oczy błyszczą, są jak odbicia świateł w nocy, w ciemnym lesie. Mu-

zyka dobra, czasami dokonała. Dźwięki nas osaczają, przyklejają się do twarzy, do całego ciała. Czasami wchodzą głębiej, ale tylko do nielicznych. Do tych, którzy tego głębiej potrzebują bardziej niż inni.

Koniec. Oklaski. Wszyscy stoją. Aktorzy się kłaniają. Widać w ich oczach, że się udało.

Wychodzimy z teatru. Przez chwilę stoimy bezradni przed jego wejściem, a potem wchodzimy do kawiarni w Teatrze Słowackiego. Schodzimy małymi schodami w dół. A tam tłok, jest jeden wolny stolik przy ścianie. Siadamy. Białe wino, mądre oczy Weroniki odbijające się w tym winie, zielone oczy tańczące w delikatnym półmroku kawiarni.

I wtedy go zauważam, siedzi obok nas. Przed chwilą go widziałem na scenie. Grał i to jak grał. Teraz jest tutaj, obok nas. Nawet nie zauważyłem jak wszedł, a wszedł na pewno po nas.

Marian Dziel, legenda tego teatru. Grał tam zawsze od kiedy pamiętam. Kraków to jego dom, teatr to jego dom. Siedzi z kimś kogo nie znam. Pewnie też aktor, albo ktoś kto pracuje w sztuce. Jak on. Dziel to sztuka, ludzie z którymi przebywa to też jakaś odmiana sztuki, jego własnej rzeczywistej sztuki.

- Boję się patrzeć ludziom w oczy gdy gram – mówi Marian Dziel. – Co gorsze, boję się patrzeć innym aktorom w oczy, gdy gram. Patrę się wyżej w ich twarze, ludzie tego nie widzą. Ale ja wiem, że jestem skończony jako aktor.

- Grasz dobrze, czasami nawet bardzo dobrze – mówi mężczyzna w białym kapeluszu z bawełny.

- Wiem, że już nic dobrego nie zagram. Ostatnie kilka lat szukałem jakiegokolwiek sensu, poprzez ucieczkę od rzeczy nieistotnych. Bo czułem, że rzeczy nieistotne niszczą mnie od środka. Nie myliłem się, niszczą.

- Rzeczy nieistotne niszczą każdego, najbardziej artystę – mężczyzna w białym kapeluszu z bawełny przeciera oczy chusteczką, a potem ją chowa do kieszeni białej marynarki.

- Jestem wypalony. Mylą mi się teksty. Sufler to wie. Pomaga mi, podpowiada. Nie mam już serca do grania. Chciałem grać rzeczy ważne, coraz częściej gram rzeczy nieważne. Chciałbym się wycofać, odejść, ale się boję. Czuję taką pustkę w sobie gdy pomyślę, że

stąd odejdę. Czuję taki ciężar na duszy, taki ból, który mnie przyniata na samą myśl przebywania w innym miejscu niż ten teatr. Za długo tutaj grałem. Długo czas przebywania w tym samym miejscu, wśród tych samych ludzi, czyni człowieka kimś bezradnym, kimś nieistotnym, kimś kto boi się iść własną drogą, bo jest to droga nowa, nieznana. Strach to najgorsze uczucie kogoś, kto zbyt długo był w jednym miejscu.

- Strach paraliżuje, strach niszczy. Strach obozwładnia ludzi wrażliwych, ludzi sztuki.

- Wiesz dobrze, że tworzyłem muzykę do niektórych przedstawień w teatrze. Teraz drżą mi ręce, palce. Nie mogę grać, nie mogę tworzyć. A co jest najgorsze, nie mogę już grać na fortepianie. – Marian Dziel się jakoś dziwnie kurczy, prawie znika w ciemności kawiarni. – Wszystko jest nie tak, od pewnego czasu wszystko jest nie tak w moim życiu.

- Jesteś legendą. Jesteś kimś.

- Jestem zwykłym człowiekiem, który stracił talent. Tak samo jak inni się boją, tak samo jak inni płaczą, tak samo jak inni chcą żyć inaczej. Tak samo jak inni czują, że życie ucieka mi bezpowrotnie i nie wiem co mam dalej zrobić z tym bezpowrotnie.

Marian Dziel wstaje, mężczyzna w białym kapeluszu z bawełny wstaje. Wychodzą.

- Ludzie są do siebie podobni – mówi Weronika. – Ktoś, kogo dobrze znamy z telewizji, też jest takim człowiekiem jak my. Też ociera się o ból, istnienie, też ociera się o złudzenia.

Wychodzimy, wracamy do domu. Noc jest dzisiaj ciężka, bardziej ciężka niż wczoraj, bardziej ciężka niż kiedyś.

Idziemy ulicą Pachońskiego na cmentarz. Przychodnia, bloki, domki jednorodzinne, zakręt, pętla autobusowa koło kościoła, mój mały świat, świat przepełniony wspomnieniami, obrazami, zarysami ludzi, którzy już teraz nie żyją. Niektórzy stąd wyjechali, uciekli, uwierzyli, że można uciec z tego miejsca bez konsekwencji. Ja tutaj zostałem, czy dobrze zrobiłem, nie wiem. Coraz częściej więcej rzeczy nie wiem, coraz częściej więcej rzeczy nie rozumiem.

Przechodzę z Weroniką przez kładkę nad torami. Rzadko tutaj jeżdżą pociągi. Rzadko dotyczy nie tylko pociągów. Rzadko to kład-

twa, która wypaliła piętno na tym osiedlu. Rzadko ludzie się spotykają, rzadko ludzie uciekają, rzadko ludzie tu wracają, rzadko ludzie marzą. Rzadko też ludzie czegoś pragną. Gdy zbyt długo żyje się w jednym miejscu, rzadko staje się ciężarem nie do udźwignięcia. Ciężarem nie do pokonania.

Kupujemy znicze w małym sklepiku przy cmentarzu. Chwilę rozmawiamy ze sprzedawcą, o wszystkim, o niczym i wchodzimy na cmentarz.

Cmentarz jest mały, niewiele w nim drzew, niewiele w nim nadziei. Cmentarze nie dają nadziei. Dają złudzenia. Złudzenia, że kiedyś będzie lepiej, gdy tutaj jest źle, czasami beznadziejnie.

Zmierzch powoli opada na ziemię. Mgliste chmury, ciemne chmury jak jakieś zjawy dotykają grobów. Niektóre groby wciąż są puste. Tylko nazwisko, data urodzenia i nic. Czekamy na wyrok. Czekamy na odkupienie.

Idziemy pomiędzy grobami. Jest półmrok, cichy półmrok zanurzony w zmierzchu. Znicze niczym lampiony na niebie, lampiony z zapalonymi świeczkami, lampiony lecące do góry, w ciemność, w nieznane, dają jasne odblaski w coraz bardziej mglistym powietrzu.

Stoimy nad grobem. Ja milczę, Weronika milczy. Zapalamy znicze. Ogień cicho dotyka ciemności. Ogień drga, tańczy, gaśnie na chwilę, by po chwili znów unieść się na nowo. Wysoko, bardzo wysoko.

Myślę o rodzicach. Tak wiele dla mnie znaczyli. Tak wiele robili żebym był dobrym człowiekiem. A ja to zmarnowałem. Miałem jakąś szansę, ale ją zmarnowałem. Życie mnie zniszczyło, ludzie mnie zniszczyli, czas mnie zniszczył.

Próbowałem być inny, lepszy, ale się nie udało. Myśl, że innym też się nie udało, nie pociesza mnie zbyt wiele. Miałem szansę i to jest najgorsze. Miałem szansę być kimś innym i stałem się kimś innym, ale nie takim, jakim bym się chciał stać.

Przepraszam, mówią moje oczy, przepraszam, mówi całe moje ciało.

Rodzice nie mieli dobrej końcówki życia. Choroba, zła choroba, zawsze niszczy dobre życie, zawsze zaciera radość w człowieku. I na końcu tej radości już nie ma, bo ból, cierpienie niszczy każdą

radość w człowieku. Niewielu ludziom udaje się odejść nagle, niespodziewanie, w śnie. Bezboleśnie. Moim rodzicom się nie udało.

Gdy przychodzę na cmentarz, gdy patrzę się na zdjęcia rodziców na grobie, przypominam sobie dobre momenty mojego dzieciństwa. I wtedy czuję, że człowiek może być szczęśliwy, gdy dostaje od życia jakieś szanse. Potem tych szans jest coraz mniej i dobre chwile gdzieś uciekają. Uciekają gdzieś daleko. Stają się niewidoczne, rozmazane. A rzeczy niewidoczne, rozmazane nigdy nie wracają do człowieka w takim samym kształcie i wyrazie. A czasami nie wracają nigdy. A czasami nie wracają wcale.

- Cisza, jaka tutaj jest cisza – szeptem mówi Weronika.

- Myśli, jakie tutaj są ciche myśli – mówię ja.

- Wspomnienia, jakie tutaj są niewidoczne wspomnienia – mówi Weronika.

- Przeszłość, jaka tutaj jest rozmazana przeszłość – mówię ja i zamykam mocno oczy.

Weronika mocniej ściska moją rękę. Czuję jak jej ręka drży, jak całe jej ciało drży.

Za nami słyszę jakiś ruch. Zauważam poprzez ciemność dwa kształty. Siedzą na grobie, coś robią. W zasadzie coś robili. Teraz mają przerwę, choć wiem, że ich życie to jedna wielka przerwa. To grabarze. Wysłannicy śmierci i życia. Bardziej śmierci niż życia. Oni wiedzą jak wszystko jest ulotne, rozmazane, kruche. Oni wiedzą, że grobowce to tylko skorupa, w której każdy kiedyś skończy. Skorupa z jasnym światłem w ciemności.

Co chwilę coś łąduje w ich ustach. Przyglądam się uważniej. Pierwszy kieliszek, ruch w kierunku ust, skrzywienie na twarzy, potem jakaś ulga, jakieś zdziwienie. Drugi kieliszek, ruch w kierunku ust, znów skrzywienie na twarzy, lecz to skrzywienie jest mniejsze, bardziej zrozumiałe i oczywiste, potem znów ulga, jakieś zdziwienie, a zaraz po tym zdziwieniu pojawia się zdumienie – chwilo-wa zachłanność życia. Trzeci kieliszek, ruch w kierunku ust, kolejne skrzywienie na twarzy, teraz bardziej grymas niż skrzywienie na twarzy, kolejna ulga, cisza w oczach, głęboka cisza, cisza wyrazista i wtedy w oczach, po tej ciszy głębszej, ciszy wyrazistej pojawia się mała nadzieja na nieśmiertelność, nadzieja, która po kilku sekundach znika.

- Na dzisiaj starczy – mówi Grabarz Numer Jeden. – Jutro rano skończymy.

- I tak zrobiliśmy dużo – mówi Grabarz Numer Dwa. – Nie należy poganiać umarłych. Oni chcą jeszcze trochę pobyc na tym świecie. Pobyc o kilka chwil za dużo. Ich ciała chcą oszukać los, oszukać przeznaczenie.

- Nie należy za szybko chować ludzi w ciemności, w mroku – mówi Grabarz Numer Jeden.

- Tak – zamyśla się Grabarz Numer Dwa. – Ciemność niejednego gubi. A już najbardziej gubi tych, co już umarli, choć jeszcze żyją.

- Dużo jest takich co myślą, że żyją, choć już dawno umarli.

Grabarze się zamyślają. Świece koło nich tańczą jak na jakimś święcie życia i śmierci. Ich twarze są zmęczone, jakieś wysuszone przez los, wysuszone przez przeznaczenie. Ich oczy, które widzą więcej niż inne oczy są jakieś ciemne, posypane jakimś popiołem, popiołem który na zawsze utkwiał w ich spojrzeniu. Ich oczy to sadza nasączona zwątpieniem.

- Znajomi kupili dom, tuż przy lesie, stary dom, cały z drewna, duże bale, kominek, wiatr który porusza tym domem w nocy, słysząc w nim ciągle nieustające skrzypienie. Tak się cieszyli, że w końcu uciekli z miasta – mówi Grabarz Numer Jeden. – Po kilku dniach zobaczyli jakiś kształt w nocy, chodził po całym domu. Przestraszyli się. Każdej nocy kształt przemieszczał się po ich pokojach. Siadał w kuchni, otwierał szafki, coś sprawdzał i nad ranem znikał. Znajomi byli przerażeni. Ktoś im doradził żeby sprowadzili sobie jakiegoś zaklinacza duchów.

- I co zrobili? – pyta Grabarz Numer Dwa.

- Sprowadzili, nie mieli innego wyjścia. Trwało to kilka dni, ale wyrzucili tego ducha z domu. Duch bronił się, ale w końcu uciekł.

- Duchy są uparte. Przebiegłe, czasami bezlitosne. Tego nauczyła mnie ta praca.

Znów alkohol zbliża się do ich twarzy. Twarz się uśmiecha, przyjmuje dar z pokorą. Ze zrozumieniem. Cisza. Głęboka cisza na cmentarzu. Zwątpienie. Głębokie zwątpienie na cmentarzu.

- Słyszałem kiedyś, jak jakaś kobieta zakochała się w duchu. Przychodził do niej wieczorem, gdy spała i kochali się aż do rana.

Tak mówiła – Grabarz Numer Jeden się zamyśla. – Była taka szczęśliwa, jej umysł pragnął tego co jest niewidoczne, zakazane.

- Ludzie często pragną tego co jest niewidoczne, zakazane.

- Po kilku miesiącach się pokłócili. Ona rozpacziała, że tak nie może być, że chce z nim być zawsze, aż do końca. On mówił, że ona nie wie tak naprawdę co oznacza koniec, co oznacza śmierć. Że to co ich łączy to jest tylko jakieś złudzenie. Złudzenie jego, złudzenie jej. Po kłótni duch zniknął. Nie pojawił się już nigdy. Jej rozpacz była coraz większa. Zaczęła ocierać się o obłąd, o śmierć. Zwariowała z miłości. Zamieszkała w Kobierzynie. Nie mogła już żyć normalnie. Nie mogła już żyć nienormalnie. Jedyne miejsce, które łączyło te dwa światy to był właśnie Kobierzyn.

Znów milczenie, znów zaduma. Znów cisza zanurzona w tym milczeniu, w tej zadumie.

- Jakiś mężczyzna, gdy stracił żonę popadł w rozpacz. Dużo pił. Dużo cierpiał. Dużo przebywał w nieświadomości. Nieświadomość, w tym okresie jego życia, to był jego naturalny stan przebywania na ziemi. Stan łagodzący skutki jego rozpacz. Potem mówił, że to nie był on, w tym złym okresie. To był całkiem ktoś inny. Ktoś obcy dla niego. Ktoś, kto wszedł w jego ciało i nie chciał wyjść. Któregoś dnia jakiś duch, jakaś postać w nocy, w snach, złych snach, w snach przepełnionych ucieczką od rzeczywistości zaczęła dawać mu jakieś sygnały. Ten duch mu coś pokazywał, kazał gdzieś iść, do czegoś go prowadził. Gdy mężczyzna w końcu poddał się temu złudzeniu, tej postaci, poszedł tam, gdzie kazał mu iść ten duch. Stał przed domem dziecka. Wszedł do ogrodu, a tam dużo dzieci, dużych, małych. Jakaś siła kazała mu podejść do małej dziewczynki na huśtawce. Gdy był blisko dziewczynka się odwróciła. Mężczyzna stanął zdumiony. Twarz dziewczynki była taka sama jak twarz jego żony. Dziewczynka wyglądała jak jego żona w dzieciństwie.

- I co zrobił ten mężczyzna?

- Adoptował ją, pokochał, dał jej nowe życie. Mężczyzna odzyskał radość życia. Znów był sobą. Sobą z przeszłości. Dobrej przeszłości.

Nagle jeden z grabarzy się podnosi, wstaje z grobu.

- Widzisz ten kształt w oddali? – pyta Grabarz Numer Jeden.

- Widzę – Grabarz Numer Dwa mocniej mruży oczy.

- Duchy wychodzą na spacer, wracamy do domu.

Grabarze w pośpiechu wychodzą z cmentarza. Znikają w ciemności jak duchy.

My też się zbieramy. Noc, groby, duchy, nieświadomość, tajemnica, te wszystkie rzeczy są groźne na cmentarzu. Zwłaszcza na cmentarzu w nocy.

Idziemy pomiędzy grobami. Czuję się jakbym był w górach, wysoko i tylko kamienie, ciemne kamienie w nocy znaczą jakąś dalszą drogę, znaczą bo to są góry w nocy, za daleko poszliśmy, źle obliczyliśmy czas i teraz wracamy w ciemności, w mroku. Ciemność nie jest zła, mrok nie jest zły, gdy dotyczy dolin, gdy dotyczy miejsc w których czujemy się komfortowo, bezpiecznie.

Wychodzimy z cmentarza. Idziemy metalową kładką nad torami. Po lewej kościół, po prawej pętla. Nic się nie zmieniło w nas. Nic się nie zmieniło poza nami.

- Słyszałam kiedyś w telewizji jak jeden grabarz opowiadał, że przyjeżdżali do niego ludzie, źli ludzie i przywozili mu jakieś ciała. On je chował w innych grobach za pieniądze, dobre pieniądze. Działo się to zawsze nad ranem, o świcie. Grób przygotowywał wcześniej. Wsadzali ciało do grobu, podawali sobie ręce i mężczyźni odjeżdżali – mówi Weronika. – Grabarz słyszał jak ze sobą rozmawiali, mówili, że mają kilka takich cmentarzy, cmentarzy leżących gdzieś z boku, w małych miasteczkach, w małych wioskach. Mężczyźni żyli nad morzem, cmentarze były na południu. Tak było bezpiecznie. Któregoś dnia przywieźli mu młodą, piękną kobietę, to go poruszyło. Coś w nim pękło. Wycofał się. Ale z takich rzeczy trudno się wycofać, więc zniknął. Czasami zniknięcie to jedyne rozwiązanie żeby zmienić swoje życie, swój los.

- Ucieczka – zamyślam się. – Ucieczka pozwala zapomnieć, ucieczka pozwala zrozumieć.

- Czasami ucieczka pozwala zacząć coś na nowo, gdy tego na nowo nie ma już od dłuższego czasu w naszym życiu.

- Na nowo. Tak wiele to znaczy, a czasami nie znaczy to nic. Albo prawie nic.

Pomiędzy domami idziemy do Dworku Białoprądnickiego. Dzisiaj jest tam wernisaż, wystawa zdjęć o tematyce wojennej. Wojna i człowiek – tak się nazywa ta wystawa.

Wchodzimy do sali koncertowej. Na środku stoi fortepian. Kobieta w granatowej sukience aż do kostek, kobieta o niewinnym, trochę zagubionym uśmiechu, kobieta o błękitnym spojrzeniu i nieśmiałym ruchu swoich rąk opowiada coś o wojnie, o wystawie. Mówi, że niektórzy reporterzy już nie żyją, pozostały po nich tylko zdjęcia. Wspomnienia. Potem kobieta kończy mówić, zaprasza do oglądania zdjęć, w tle leci cicha muzyka. Muzyka prawie niezauważalna. Niezauważalna, ale niecierpliwa. Muzyka szybko wchodzi do głowy i zostaje na kilka sekund. Zostawia ślad. Niewidoczny ślad cierpienia.

Zdjęcia są czarnobiałe. Kolor na wojnie jest zbędny. Żadna wojna nie posiada koloru. Kolor niszczy wojnę. Wojna niszczy kolor. Na wojnie nic nie jest kolorowe, na wojnie nic nie jest prawdziwe. Wojna to nie jest żadna rzeczywistość. Wojna to złudzenia, że rzeczywistości tak naprawdę nie ma. A może nigdy jej tak naprawdę nie było. Bo wojna to rzeczywistość schowana w złudzeniach, a może tylko złudzenie schowane w tej rzeczywistości. Schowane już na zawsze.

Dzieci w drodze, prawie gołe, uciekają, w tle widać wybuchy, ogień, dym. Tak dużo jest dymu za tymi dziećmi. Dym to złudzenie. Złudzenie to dym. Dzieci to złudzenie. Złudzenie to dzieci. Wojna to największe złudzenie. Złudzenie to wojna.

Ruiny miasta. Same kamienie, fragmenty murów. Dwie kobiety siedzą, patrzą przed siebie. I są to spojrzenia obojętne, nieobecne, jakieś dalekie, odległe. Świat jest daleko. Ludzie są daleko. Wszystkie złudzenia są daleko. Kobiety są blisko. Zbyt blisko siebie. Zbyt blisko wojny.

Żołnierze z karabinami, z tarczami. Idą w szeregu. Nienawiść w ich oczach i jakiś dziwny spokój. Oni wiedzą, że za chwilę coś się wydarzy, coś niezwykłego. Oni tutaj rządzą. Oni są panami życia i śmierci. Bardziej śmierci niż życia. Strach. Strach wciąż jest przed oczami tych żołnierzy. Strach ich karmi. Strach ich niszczy. Wojna ich karmi. Wojna ich niszczy.

Kobieta z dzieckiem na ręku. Martwym dzieckiem. Siedzi na drodze. Pustej, popękanej, zniszczonej drodze. Jej oczy wpatrzone w miłość w to martwe dziecko. Oczy, które już nigdy nie przestaną cierpieć. Gdy dziecko odchodzi zbyt wcześnie nic już nie jest takie

same. Świat jest inny, ludzie są inni, my już na zawsze jesteśmy inni. I nic tego nie zmieni. Ani my, ani ludzie, ani samo życie.

Nagle Weronika zaczyna drżeć. Jej ręce drżą. Czuję to. Patrzę w jej oczy. Weronika czegoś dotyka, dotyka zdjęcia przed nami. Zdjęcie spada na podłogę. Szkło się kruszy, coś niewidocznego pęka w tym zdjęciu. Oczy Weroniki są przerażone.

Podnoszę zdjęcie. Przez chwilę milczę, nic nie mówię, nie wiem.

Na zdjęciu jestem ja, ręce mam związane, ktoś mnie pcha w kierunku lasu. Ten ktoś jest niewidoczny, widać tylko ręce, delikatne ręce, ręce kobiety. Idę z jakąś dziwną pokorą, z rezygnacją w kierunku lasu.

Weronika wybiega z sali. Ja wybiegam z sali. Nic nie mówimy, tylko biegniemy przed siebie. Biegniemy w nieznane. Biegniemy w nieskończoność. Biegniemy po śladach nieskończoności zanurzonych w tym nieznane.

Kręcę się w łóżku. W prawo, w lewo, nie mogę zasnąć. Spoglądam za okno. Księżyc świeci tak jasno, zbyt jasno jak dla mnie. Kolejna noc bezsenna, kolejna noc bezbronna. Boję się tej nocnej bezbronności w sobie, bezbronności, która śpi, która czuwa, aż w końcu, po jakimś czasie się obudzi. I nic już wtedy nie będzie takie samo. Wszystko będzie inne. Wszystko będzie bezbronne.

W końcu zasypiam. Niespokojnie, ale zasypiam. Oddech staje się równy, tak równy jak ciemność za oknem, tak równy jak szum wiatru nad morzem. Dalekim morzem, nieznanym morzem.

Wyjechałem z tego miasta. Uciekłem z tego miasta. Uciekłem to jest dobre słowo. Była to ucieczka zaplanowana, ale ucieczka. Nigdy nie chciałem tutaj wrócić. Nie wraca się nigdy do miast swojego dzieciństwa, zwłaszcza jeśli się to miasto opisało niezbyt dobrze, można nawet powiedzieć opisało źle, opisało bezgranicznie przeraźliwie.

I teraz, po latach, muszę tutaj wrócić, na pogrzeb ojca, muszę wrócić po wydaniu książki o tym mieście. Książki, która zmieniła mnie, książki, która zmieniała to miasto.

Książka osiągnęła pewien sukces, w sumie przez przypadek. Ktoś znał kogoś znanego, ten ktoś znany też pochodził z takiego samego miasteczka jak ja, też nie lubił swojej przeszłości jak ja. Książka mu się spodobała, bo w sumie ta książka trochę była o nim, i ten ktoś znany, w znanym programie telewizyjnym powiedział coś o tej książce. I co? Sukces. Ludzie zaczęli ją czytać, a ja wydawałem pieniądze ze sprzedaży tej książki na używki, żeby zagłuszyć wycie sumienia. Sam byłem zdziwiony, mam sumienie. A jak mam sumienie, to mam jakąś tam godność. A jak człowiek ma godność, to w sumie ma wszystko. Wszystko i nic. Czyli ma wciąż tylko złudzenie, że kiedyś będzie inaczej, że kiedyś będzie lepiej.

Stoję przed knajpką w moim mieście. Stoję i myślę. Nie mam odwagi tam wejść, ale chcę tam wejść. Chcę zmierzyć się z przeszłością. Muszę zmierzyć się z przeszłością.

Kończę palić papierosa, wchodzę. Dużo ludzi. Sobota. Ludzie piją, ludzie znikają. Na jakiś czas. I czasami to znikanie jest bezkresne i czasami to znikanie jest niewidoczne.

Przedzieram się do baru. Zamawiam piwo. Siadam przy barze. Nie rozpoznaję twarzy, twarze nie rozpoznają mnie. Cisza w głowie. Ciemność w głowie.

Jakaś kobieta patrzy się na mnie, podchodzi do mnie. Staje tuż koło mnie. Jej oczy coś mi mówią, w sumie jej uśmiech też mi coś mówi.

- Matylda, pamiętasz mnie?

- Matylda – zamyślam się, skóra, glany, punk rock, koncerty, piwo nad jeziorem, rozmowy nocą o muzyce. – Zostałaś tutaj? – coś sobie w końcu przypominam.

- Zostałam. Ty uciekłeś, nie chciałeś na nas już dłużej patrzeć. A potem to niepatrzenie tak dobrze opisałeś w książce. Tak prawdziwie. Wady bołą, szczególnie bołą ludzi słabych. A to miasto jest słabe, zawsze było słabe. No i zagubione. Jak my wszyscy tutaj.

- Czytałaś książkę?

- Wszyscy czytali. Nie wszyscy rozumieli, ale czytali.

Przez chwilę patrzę na nią. Kiedyś była ładna. Inna i ładna. Teraz jest tylko inna. Uroda gdzieś uciekła. Od niej, ode mnie.

- Co teraz robisz?

- Pracuję w sklepie spożywczym. Coś trzeba robić żeby żyć. Nie każdy potrafi pisać książki jak ty.

- To nie jest dobra literatura, ja nie jestem dobrym pisarzem. Jestem osobą piszącą. To wielka różnica, pisarz i osoba pisząca. Cienka linia, ale znacząca.

- Mam dziecko. Męża już nie.

- Kto nim był?

- Piotrek.

Przypominam sobie. Piotrek. Taki był porządny, uczciwy. Wiadocznie się zmienił, albo życie go jakoś zmieniło. Życie zmienia wszystkich, przeważnie na gorsze. Życie zostawia ślad w człowieku, niewidzialny ślad i ten ślad ciągnie człowieka w dół, aż do końca. A na dnie koniec już nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia istotnego.

- Wciąż mieszka w mieście?

- Uciekł. Jest w Irlandii. Nie płaci alimentów. A ty, żonaty?

- Nie. Mam kogoś. Albo miałem kogoś. Albo nie wiem, czy jeszcze kogoś mam. To skomplikowane.

- Jak twoja książka.

- Tak, jak moja książka.

Patrzę się po sali. Knajpka się nie zmieniła. Czas jej nie zmienił. Wciąż brudne, żółte ściany. Stare podrapane stoliki, ten sam zapach, zapach jakiejś obojętności, zapach jakiejś rezygnacji, czasami zapach pogardy.

Tylko barman ten sam. Ale siwiejący, ale prawie bez włosów.

Ktoś mnie dotyka ręką. Odwracam się. Twarz znajoma. Inna, ale znajoma.

- Suchar? – mówię, bardziej pytam niż mówię.

- Pisarz, nasz ukochany pisarz – Suchar siada koło mnie, zamawia trzy wódki. – Najpierw niszczysz, a potem przyjeżdżasz. Tak po prostu. Bez cienia smutku w oczach. Wróciłeś nas przeprosić, czy wróciłeś nas zrozumieć?

- Przyjechałem na pogrzeb ojca.

- Przecież ty go nigdy nie kochałeś.

- Jednak to mój ojciec.

- To wszystko zmienia – uśmiecha się Suchar do Matyldy. – Ojciec, to ojciec. A, że pił, krzyczał w nocy, straszył was swoją nie-

nawiścią do świata, do ludzi, to nic nie znaczy gdy człowiek umiera. Ojciec, to ojciec.

- O co ci chodzi, Suchar?

- Już ci powiem o co mi chodzi. Lubilem cię, myślałem nawet przez moment, że byliśmy kiedyś przyjaciółmi, a ty wyjeżdżasz i sztydysz z tego miasta, czyli sztydysz z nas. Ze mnie też. Wszystkie wspomnienia z tobą nagle stają się bezwartościowe i płytkie. Bo książka, w sumie dobra jest o nienawiści do tego miasta, o nienawiści do ludzi, którzy żyją w tym mieście.

- Nie prościej było pójść do psychiatry i tym wszystkim opowiedzieć? – pyta Matylda.

Ma rację, myślę, to byłoby prostsze. Ale wtedy nie byłoby tak dużo pić, za pieniądze z tej książki, tak dużo kobiet w moim łóżku, za pieniądze z tej książki, tak dużo fałszywych przyjaciół, za pieniądze z tej książki. I nie byłoby tak dużo zaników pamięci po alkoholu, też za pieniądze z tej książki.

- Matylda – mówię. – To moja wyobraźnia, nie rzeczywistość – kłamię i ona to wie, Suchar to wie.

- Wyobraźnia – krzywi się Suchar. – Kochanka i ksiądz, to tylko twoja wyobraźnia. Złodzieje samochodów, to też tylko twoja wyobraźnia. Kradzież obrazu Matki Boskiej z kościoła przez policjantów, to też tylko twoja wyobraźnia. I my, twoje cienie z przeszłości, to też tylko twoja wyobraźnia.

Patrzę się za okno. Kończy się dzień. Zaczyna się noc.

Nadchodzi straszna godzina zachodu słońca, gdy człowiek staje się bezbronny.

- Wiesz co ci radzę. Wyjdź z tej knajpy, idź jutro na pogrzeb i wracaj skąd przybyłeś. To nie jest już twój dom.

- To nigdy nie był mój dom – mówię i wychodzę z knajpy.

Noc jest zła. Bardzo zła. Tajemnicza.

Budzę się spocony. Zakłopotany. Dzieciństwo. Dobre. Złe. Tajemnicze. Moje było dobre. Czasami tajemnicze. Nie pamiętam wszystkiego, ale skrawki wspomnień wciąż są we mnie, przyklejone do duszy jak małe kolorowe karteczki na lodówce. Coś mówią, coś przypominają, czegoś oczekują.

Pamiętam kotłownię w bloku obok, węgiel po którym chodziliśmy, pamiętam dach bloku na którym byłem i machałem ręką w kierunku ojca sprząającego na dole samochód, pamiętam ośrodki wypoczynkowe z domkami, które po sezonie były nieczynne, a my tam chodziliśmy, najpierw przechodząc jakąś dziurą lub przeskakując przez siatkę, pamiętam jazdę na rowerze w parku, jej początki trudne, ale udane, pamiętam zakład fryzjerski w parku, tuż przy wydmach, prawie przy samym morzu, pamiętam plażę, żółtą, piękną, słoneczną, pamiętam drewniane falochrony, na ich słupkach mewy, białe, głośnie, latające tuż nad falami, pamiętam placki ziemniaczane sprzedawane tuż przy plaży, placki ze śmietaną i z cukrem, pamiętam cytronetę, wodę w kolorze żółtym w małych woreczkach, pamiętam most metalowy zwodzony, pod nim pływające statki, pamiętam strzelnicę wojskową, drewnianą, pamiętam żołnierzy na tej strzelnicy, to wszystko pamiętam, albo myślę, że pamiętam, bo pamięć to złudzenia wymieszane z rzeczywistością, bo pamięć to chęć bycia tam, gdzie nigdy nie byliśmy, chęć bycia tam za wszelką cenę.

Wstaję, patrzę za okno. Deszcz, mgła, świat rozmazany w przestworzach. Słyszę samolot. Nawet go nie widzę. Słyszę autobus, nawet go nie widzę. Słyszę świat, nawet go nie widzę. Słyszę siebie, nawet siebie nie widzę. Nie widzę wciąż. Nie widzę nieustannie. Czasami nie widzę wcale.

Iwona chodzi pomiędzy wozami cyrkowymi. Widzi klatki ze zwierzętami. Lew, zebry, słoń, małpy śpią, albo udają że śpią. Ich świat to klatki, czasami otwierane na błysk światła w reflektorach, na odgłos coraz głośniejszych oklasków.

Przechodzą koło namiotu cyrkowego, przechodzi Iwona i Adele. Adele to przyjaźń sprzed lat. Adele zawsze chciała uciec z małego miasteczka w którym się urodziła, zawsze chciała żyć inaczej, kolorowo. Chciała widzieć świat z perspektywy okna i udało jej się to zrealizować, podróżuje, wciąż podróżuje, zmienia miejsca, obrazy, ludzi. Zmienia siebie, tak mówi, tak myśli, wciąż zmienia siebie na nowo. Rodzina, cóż, nie ma rodziny, wolność ma swoją cenę. W wolności zawsze jest coś za coś. Albo wolność, albo miłość. Ona wybrała wolność i jej oczy mówią, że cena nie jest za wysoka za tę

wolność. Na razie nie jest za wysoka. Czas pokaże, czy kiedyś się zmieni.

Siedzą w jej wozie cyrkowym, na Błoniach, bo ich cyrk zawsze zatrzymuje się w Krakowie, na Błoniach.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś – mówi Iwona. – Kiedy byłaś ostatni raz w Krakowie? Dwa lata temu?

- Tak – uśmiecha się Adele. – Wciąż podróżujemy, jak to bywa w cyrku. Hiszpania, Włochy, Francja, Austria, Czechy i w końcu Polska. Tyle miejsc, tyle ludzi, tyle wrażeń.

- Zawsze chciałaś tak żyć. Kolorowo i niebezpiecznie.

- Teraz żyję już tylko kolorowo. Niebezpieczne to młodość, zła młodość. Niebezpiecznie mam już za sobą.

Iwona podchodzi do okna, patrzy się na Błonia. Chwilę myśli, a potem jej czerwone oczy zaczynają błyszczeć, zaczynają marzyć.

- Kiedyś, w dawnych czasach, na Błoniach często były wozy cygańskie. Cyganie tańczyli, śpiewali, grali na skrzypcach, bębnach, zapalali ogniska i wróżyli ludziom przyszłość. Inny świat, dawny świat.

- To było dawno, bardzo dawno temu – mówi Adele. – Uwierzy mi, teraz prawdziwych cyganów już nie ma.

- Jak długo będziecie w Krakowie?

- Kilka dni, może tydzień. Przyjdź jutro na mój występ. Będę wysoko w powietrzu, mam taki nowy numer, niebezpieczny, bez żadnych zabezpieczeń. Ludzie lubią patrzeć i myśleć, że za chwilę ktoś może zginąć na ich oczach. Śmierć ludzi podnieca, daje nadzieję, że coś w życiu jest stałe, stałe i niebezpieczne.

- Niebezpieczne jest samo życie. Niebezpieczni są ludzie, którzy to życie tworzą. Niebezpieczne są marzenia, w szczególności marzenia ludzi niebezpiecznych. Niebezpieczny jest czas, gdy przebywamy w niebezpiecznym miejscu. Przebywamy na własne życzenie. Niebezpieczna jest śmierć, gdy wiemy, że już nadchodzi i nic nie możemy już zrobić z tą śmiercią, bo na pewne rzeczy wciąż jest za późno, a już na pewno jest za późno na śmierć, gdy o niej już wszystko wiemy, gdy czujemy, że za chwilę ta śmierć nas gdzieś poprowadzi. Poprowadzi gdzieś w nieznane.

- Przyjdź jutro na mój występ.

- Przyjdę – Iwona wychodzi z wozu cyrkowego. Znika we mgle, która pojawiła się na Błoniach.

Pada, ciągle pada. Krople deszczu z nienawiścią atakują namiot cyrkowy. Zwierzęta w klatkach chodzą niespokojnie z kąta w kąt. Ich pomruki, niebezpieczne odgłosy z czasów gdy żyły na wolności unoszą się cicho w powietrzu. Wszystko jest nie tak. Czas, pogoda, nawet miejsce – to wszystko ociera się o jakiś obłęd, o jakiś zamęt.

Wchodzę z Iwoną do środka namiotu. Siadamy tuż przy arenie. Słyszę głośnie odgłosy deszczu nad sobą. Namiot drży, to od wiatru, który dzisiaj jest wyjątkowo niespokojny.

Zaczyna się przedstawienie. Patrzę się na obrazy przed sobą. Coś się zmieniło we mnie, coś się zmieniło z czasem, który już nie jest tak dla mnie łaskawy jak kiedyś.

Namiot jest jakiś szary, muzyka zbyt głośna, scena zbyt mała, zwierzęta jakieś zagubione, nieobecne, stroje klaunów kiczowate, w sumie wszystko ociera się o jakiś kicz, o jakieś niezrozumienie.

Kiedyś cyrk to było coś. Tajemnica, radość, coś niezwykłego. Teraz tego nie widzę, nie czuję. Ja się zmieniłem, cyrk się zmienił, świat się zmienił. Nawet światło jest dzisiaj inne, bardziej drapieżne i niebezpieczne niż kiedyś.

Ludzie się śmieją, ja nie. Ludzie płaczą, ja nie. Ludzie klaszczą, ja nie. Ja z przeszłości to na pewno nie ja teraz. Czuję to dzisiaj tak dosłownie, tak boleśnie.

Pojawia się Adele, Iwona klaszcze, jest ożywiona, bardziej niż zazwyczaj. Adele wspina się wysoko, fruwa w powietrzu, robi jakieś figury, czasami w parach, z kimś innym.

Potem następuje cisza. Numer niebezpieczny, bez żadnych zabezpieczeń. Prosimy nie klaskać, ludzie przestają klaskać. Muzyka staje się nerwowa, szarpana, połamana.

Adele fruwa w powietrzu jak ptak, fruwa wysoko. I nagle coś na twarzy Adele się łamie, kruszy. Lina pęka, zrywa się. Adele jak ptak ze złamanym skrzydłem leci na dół. Słysząc krzyk, pierwszy, drugi i kolejne. Adele leży na scenie, oczy ma szeroko otwarte. Ktoś ją przykrywa jakimś kocem. Przedstawienie się kończy.

Iwona stoi nad ciałem Adele. Stoi i nic nie mówi. Potem wyjdziemy z cyrku. Milczenie jest w nas. Milczenie jest poza nami.

Idziemy w kierunku Rynku. Czerwone oczy Iwony płoną, płoną z rozpacz. Z nienawiści do tej rozpacz. Z nienawiści, że rozpacz tak blisko jest obłędu, tak blisko jest niezrozumienia.

- Dlaczego? – pyta, bardziej mówi niż pyta Iwona.

- Wypadek – mówię cicho, mówię bezszelestnie, mówię szeptem.

- Nie, to nie był wypadek. Ona była zbyt dobra, zbyt profesjonalna, tyle ćwiczyła, tyle czasu poświęciła po to, żeby być doskonałą. I była doskonała. Szaleństwo i brawura to nie była ona. W pracy zawsze była profesjonalistką, zawsze była dobra, przygotowana.

- Lina pękła. To się zdarza. Rzadko, ale zdarza.

Samolot leci po bezkresnym niebie. Wysoko. Iwona patrzy się w górę. Patrzy się na coś niewidocznego, na coś odległego.

- Ona tam jest, na górze. Ona wie, że ktoś jej pomógł w tym locie do nieba.

Milczę, nic nie mówię. Idziemy dalej przed siebie. To przed siebie jakoś nas teraz łączy, jakoś nas teraz zbliża do siebie. Czuję drżenie ciała Iwony, drżenie bez żadnej kontroli.

- Ludzie znikają, rozmazują się w życiu. Nie rozumiem tego. Ludzie giną, rozmazują się w życiu, nie rozumiem tego. Wszyscy coś znaczyli dla mnie. Więcej, mniej. Ale zawsze coś znaczyli. Ja też coś dla nich znaczyłam. Więcej, mniej, ale znaczyłam. Nie rozumiem tego. Czuję się taka osaczona przez los, przez przeznaczenie. Ktoś chce, żebym cierpiała i blisko jestem tego cierpienia, zbyt blisko.

- Może masz jakiegoś wroga, o którym nic nie wiesz.

- Sama dla siebie jestem największym wrogiem. Ludzi lubię, ludzie mnie lubią. Rzeczy, które dzieją się koło mnie są niewytłumaczalne.

- Życie jest niewytłumaczalne. Czasami bezużyteczne.

- Jutro pójde na policję. Spotkam się z Komisarzem Rawiczem.

- Pójde z tobą.

- Nie, pójde tam sama. Pewne rzeczy człowiek musi zrobić sam. Bo tak jest lepiej, bo tak jest inaczej.

Patrzę się na niebo. Granatowe chmury tworzą dziwne kształty. Niebezpieczne kształty w powietrzu.

Adele ćwiczy swój ostatni numer. Ćwiczy go prawie w nieskończoność. Nieskończoność w numerach cyrkowych to ważna rzecz, może najważniejsza, tak uważa Adele. Nieskończoność uczy nas precyzji, doskonałości. Nieskończoność daje nadzieję, że rzeczy niebezpieczne stają się mniej niebezpieczne. Nieskończoność to powtarzalność, nieskończoność to złudzenie, że powtarzalność może ocierać się o pewność, taką pewność, która pozwala zapomnieć o strachu, pozwala zapomnieć o rzeczach, które strach robi z człowiekiem.

Adele schodzi po drabinie zrobionej z lin na dół. Już jest na arenie cyrkowej. Już ma wracać do swojego wozu cyrkowego, bardziej domu niż wozu cyrkowego, ale zauważa kogoś stojącego przy wyjściu z namiotu.

To kobieta, rude włosy, płonące oczy węglowe, to niska kobieta ubrana na czarno, czarne spodnie dżinsowe, czarna bluzka, czarne kolczyki w uszach.

Adele sobie coś przypomina. Coś w jej pamięci szuka śladów tej kobiety w przeszłości. Już widzi te obrazy. Widzi jak rozmawia z Iwoną, tuż przy swoim wozie cyrkowym, a ta kobieta jest gdzieś w oddali, niewidoczna, ale w oddali. Widzi jak ćwiczy swój niebezpieczny numer, a ta kobieta jest gdzieś w oddali, niewidoczna, ale w oddali. Widzi jak idzie na zakupy, a potem jak wraca z tych zakupów z Rynku do cyrku, a ta kobieta jest gdzieś w oddali, niewidoczna, ale w oddali.

Adele podchodzi do niej. Kobieta wciąż stoi, nie znika, nie ucieka, a więc nie jest złudzeniem, nie jest jakąś zjawą ocierającą się o zmęczenie.

- Mogę prosić o autograf – prosi nagle kobieta.

- Proszę mi dać jakąś kartkę – mówi Adele.

Kobieta podaje kartkę z zeszytu w kratkę. Adele się podpisuje, gdy pisze swoje imię i nazwisko czuje jakąś niepewność, jakąś grozę koło siebie, oczy kobiety o rudych włosach parzą ją jakoś dziwnie spojrzeniem.

- Dziękuję – mówi kobieta o rudych włosach. – To numer niebezpieczny. Nie boisz się, że coś ci się stanie?

- Cyrk to czasami niebezpieczeństwo. Cyrk to złudzenie, że coś musi wynikać z tego niebezpieczeństwa. Wyniknąć na oczach ludzi.

- Trening minimalizuje ryzyko, daje szansę na normalne życie.

- Normalne życie w cyrku jest niemożliwe. Cyrk to wolność, cyrk to cena jaką trzeba zapłacić za tę wolność.

- Kiedyś, w dzieciństwie, obraz cyrku był inny. W dorosłym życiu cyrk to całkiem coś innego. Człowiek więcej widzi gdy jest dorosły, więcej czuje gdy jest dorosły.

- Dorosłość to powolne umieranie rzeczy ważnych w człowieku. Umieranie bezpowrotne.

Kobieta o rudych włosach wciąż patrzy się w oczy Adele. Jej wzrok czegoś szuka w tych oczach. Jakiejś odpowiedzi, jakiejś wskazówki.

- Można żyć w cyrku w nieskończoność? – pyta kobieta o rudych włosach.

- Nigdzie nie można żyć w nieskończoność. Wszystko się kiedyś kończy. Liczy się moment, właściwy czas żeby odejść z godnością, uciec od rzeczy które są dla nas ważne. Nie każdemu się to udaje.

- Można mieć przyjaciół w cyrku?

- Podróż, przyjaźń to dwie różne rzeczy. W podróży przyjaźnie są krótkotrwałe, ulotne. Pamiętamy tylko miejsca i ludzi, którzy byli dla nas ważni, pamiętamy ich właśnie poprzez te miejsca. I tych miejsc jest wiele, zbyt wiele. Przyjaźń, podróż to dwa bieguny, które rzadko się spotykają.

- Coś za coś – mówi nagle kobieta o rudych włosach, mówi to tonem niebezpiecznym, groźnym. – W życiu zawsze jest coś za coś.

Kobieta o rudych włosach odchodzi. Adele czuje jakiś dziwny strach w sobie. Strach przesiąknięty jakimś niewidzialnym zagrożeniem. Niepokojem.

Muzyka jest niecierpliwa, niespokojna. Adele wykonuje swój niebezpieczny numer. Skupia się, skupienie jest ważne w rzeczach niebezpiecznych. Po chwili Adele znów frunie jak ptak, znów czuje się wolna pomimo niebezpieczeństwa upadku na dół.

Nagle Adele zauważa kobietę o rudych włosach, siedzi w pierwszym rzędzie. Uśmiecha się. Ale nie jest to uśmiech spokojny, przy-

jacielski. To uśmiech kogoś, kto wie, że za wszystko w życiu trzeba zapłacić.

Adele czuje, że lina pęka. Coś się w niej łamie. Ręce rozpaczliwie szukają jakiegoś oparcia. Adele nigdy nie miała w nikim oparcia, teraz też się to nie zmieniło. Leci w dół. Przez ostatnie kilka sekund widzi twarz kobiety o rudych włosach. Widzi jak ta twarz wstaje i wychodzi z namiotu. Widzi to gdy jej ciało dotyka ziemi, gdy jej ciało zanurza się w ciemność.

A potem jest już tylko nic, absolutnie nic. A potem są tylko krzyki, absolutne krzyki. A potem jest tylko rozpacz, absolutna rozpacz. I ciemność schowana w tej rozpacz na wieczność.

Komisarz Rawicz kręci głową, spogląda zmęczonym wzrokiem na stertę papierów na biurku. Chwilę milczy i to milczenie ma smak i zapach jakiegoś smutku, jakiejś obojętności, obojętności zanurzonej w tym smutku na długi czas, może na wieczność.

- Jest jakaś zmiana – mówi Komisarz Rawicz. – Jest osoba, ale martwa. Wcześniej były osoby, nie ma osób, nie ma śladów, są tylko znaki, zapytania, wątpliwości, jakieś domysły. W sumie nie ma nic. I – Komisarz Rawicz podnosi głos o jedną tonację – jest jedna osoba, która łączy to wszystko w jedną całość, pani Iwona.

- Co mam robić? Uciekać? Zniknąć? Zmienić całe swoje życie?

- Z doświadczenia wiem, że jeśli komuś bardzo zależy na czymś, lub na kimś, ucieczka nie ma sensu. Zawsze znajdzie się coś, co doprowadzi tego kogoś do celu. A w tym przypadku celem jesteś ty. Na razie celem pobocznym. Liczą się osoby, które są koło ciebie, koło ciebie zbyt blisko. I my musimy się skupić na tym zbyt blisko. Zbyt blisko jest dla nas szansą. Zbyt blisko jest nadzieją, że ten ktoś w końcu popełni jakiś błąd. I wszystko będzie jasne. Wyrażne.

Chwila milczenia. Za oknem deszcz, zimny, mroźny deszcz. Za oknem chmury, ciemne, mroźne chmury.

- Nie boję się, nie boję się na tyle mocno, żeby uciekać – mówi Iwona. – Ale strach gdzieś we mnie jest. Na razie ten strach mam pod kontrolą, czuję go, widzę go w sobie, ale się unikamy. On mnie unika, ja go unikam. Boję się, co będzie, gdy nasze drogi się w końcu skrzyżują.

- Ze wszystkim można żyć, ze strachem też. Inna sprawa, że nie ze wszystkim można żyć za długo. Za długo oznacza zmęczenie, za długo oznacza zwątpienie. A czasami za długo oznacza obojętność. I to jest najgorsze. Obojętność zanurzona w tym za długo na bardzo długi czas.

- Poradzę sobie. Zawsze ze wszystkim radziłam sobie sama.

Komisarz Rawicz nalewa Iwonie kawę. Zapach kawy unosi się wysoko aż po sufit pokoju.

Komisarz Rawicz chwilę milczy a potem mówi:

- Coś pani opowiem, tak dla rozluźnienia napięcia.

- Słucham – mówi Iwona pijąc cicho swój pierwszy łyk kawy.

- Złapałem kiedyś złodzieja. Ciekawy przypadek. W sumie dobry człowiek. Okradał bogatych, a potem sprzedawał to co ukradł, a pieniądze dawał na domy dziecka. Ale kradzież to kradzież.

- Dużo dostał?

- Kilka lat. Wyraził skruchę, pieniądze były dla niego nieważne, miał swoją pracę, nawet dobrze płać.

- Dlaczego to robił?

- Przeszłość, w życiu człowieka najważniejsza jest przeszłość. Przeszłość określa człowieka na całe życie. Przeszłość kształtuje człowieka na całe życie. Przeszłość to my, teraz, tutaj, w tym czasie. Wszystkie problemy biorą się z przeszłości, mało kto to wie, mało kto to rozumie. Mało kto to akceptuje.

- Co sprawiło, że okradał ludzi?

- Gdy był mały mieszkał koło więzienia. Jego ojciec był strażnikiem więziennym. Chłopiec bywał w więzieniu, widział więźniów, słyszał wszystkie dźwięki więzienia. Dobrze, złe, okrutne. Pamiętał wielki mur, to było jego najważniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Wielki mur i dźwięki wydobywające się zza tego muru. Potem, gdy był dorosły, wciąż słyszał te dźwięki więzienia w sobie. Każdego dnia, każdej nocy. Robił wszystko, żeby te dźwięki zniknęły, nic nie pomagało. To okrutne, powiedział, wciąż czuć zło koło siebie. Zło przez cały czas. Któregoś dnia, gdy okoliczności były korzystne, ukradł coś ze sklepu, jakiś obraz, z lombardu, coś go zaciekawiło w tym obrazie. Potem, w domu, zobaczył że na obrazie, w tle, jest długi mur. I wtedy poczuł ulgę w sobie. W tym samym dniu dźwięki

więzienia zniknęły. Zniknęły na jakiś czas. Potem znów wróciły, ale po jakimś dłuższym czasie.

- Co wtedy zrobił?

- Czuł wyrzuty sumienia. Sprzedał obraz. Pieniądze wpłacił na konto domu dziecka. Wpłacił je anonimowo. Począł jakiś czas i znów coś ukradł. Tym razem z domu kogoś bogatego. Nie chciał okradać biednych, skupił się na bogatych. Wmówił sobie, że to jest uczciwsze. Bogaci ludzie mają swoje bogactwa kosztem innych ludzi.

- Często jest to prawda.

- Zgadza się – mówi Komisarz Rawicz. – Bogaci ludzie żyją kosztem innych ludzi. Zawsze tak było, zawsze tak będzie. Pieniądze nie czynią człowieka wyjątkowym, pieniądze czynią człowieka bogatszym. To wszystko. To nic. Dla niektórych to wiele. Czasami zbyt wiele.

- I zaczął kraść co jakiś czas?

- Tak. Co jakiś czas kradł i wtedy dźwięki więzienia w nim zniknęły. Czuł się wtedy szczęśliwy. Gdy cierpienie znika, choćby na kilka chwil, człowiek się wtedy czuje szczęśliwy. Szczęśliwszy niż wcześniej. A pieniądze wciąż wpłacał na domy dziecka. Nic dla siebie nie zostawiał.

- Dobry człowiek.

- Dobry człowiek, ale złodziej. Do tego, gdy z nim rozmawiałem, bardzo miły człowiek. Można byłoby się z nim szybko zaprzyjaźnić w innych okolicznościach. Polubiłem go. Zrobiłem wszystko żeby miał dobrze w więzieniu. Już nie długo wyjdzie. Za dobre zachowanie.

- Co wtedy zrobisz?

- Może się z nim zaprzyjaźnię. Dobry człowiek. Mało spotykam dobrych ludzi na swojej drodze. Zbyt mało.

- Kwestia szczęścia.

- Kwestia pracy. Chcesz być szczęśliwy, zmień pracę. Chcesz być szczęśliwy, zmień życie. Tak się mówi.

Iwona wstaje, patrzy się w zmęczony wzrok Komisarza Rawicza i mówi:

- Pomóżcie mi, za nim będzie za późno.

- Za późno, na co?

- Na życie, na wolność, na wszystko.

Iwona wychodzi. Komisarz Rawicz patrzy się za okno. Przestało padać. Słońce powoli wychodziło zza chmur. Wychodziło sennie, wychodziło nieśmiało, wychodziło tak jakby bało się życia, jakby bało się samego siebie.

Chodzę z Weroniką po mieście. Chodzę ulicami, chodnikami, parkami, zakrętami, mostami, zagubionymi zaułkami. Niby znam miasto, niby w nim żyję, niby w nim oddycham, ale przez pośpiech miasto wciąż pozostaje dla mnie nowe, świeże, do końca niedotknięte moimi wspomnieniami.

Wawel, dziedziniec, kolorowe kwiatki tuż przy kościele, tłum ludzi, uciekamy z Weroniką na dół w kierunku ulicy Grodzkiej. Zmieniamy zdanie, idziemy Plantami, tam się inaczej oddycha, bardziej wyraźniej i swobodniej.

Gdy chodzę z Weroniką tak bez celu po mieście, chodzę swoimi ścieżkami, zauważam, że zaczynam coraz częściej oddychać inaczej, bardziej wyraźniej i swobodniej.

Drzewa, stare, zakrzywione, ludzie na ławkach, niektórzy inni, żyjący bardziej na pograniczu snu i jawy, lampy, teraz nieżyjące wcale, po zmroku ich życie nabiera sensu, nabiera innego wymiaru i znaczenia, ptaki, duchy tego miasta, ptaki widzące więcej niż inni, z góry wszystko wygląda inaczej, bardziej przejrzyste i wyraźniej, i szum miasta, spokojny, cichy, równy, szum który dociera wszędzie, w najskrytsze tajemnice kamienic, w najczulsze szczeliny czerwonych murów.

Dochodzimy do Barbakanu. Przed wejściem, tuż koło murów obronnych jakiś artysta sprzedaje obrazy. Podchodzimy do niego. Artysta maluje kolejny obraz, nie marnuje czasu. Czas dla artysty szybko się kończy, szybko umiera. W sztuce tak naprawdę chodzi o czas. Jak go wykorzystać gdy są jeszcze możliwości, jak go wykorzystać gdy są jeszcze chęci i pragnienia.

Czas to sztuka. Sztuka to czas. Czas to chwile zanurzone w sztuce na wieczność, zanurzone w nieskończoność. Może na zawsze.

Weronika patrzy na farby artysty, są jakieś inne. Weronika klęka, dotyka ręką farb, zamyśla się, jej oczy są daleko, bardzo daleko.

Malarz klęka koło Weroniki. Uśmiecha się. Jest to uśmiech kogoś kto otarł się o wolność, kto otarł się o marzenia.

- Masz rację – mówi malarz. – To nie są zwykłe farby.

- Coś mi w nich nie pasuje. Coś sprawia, że czuję coś nowego gdy je dotykam.

- To glina, zwykła glina, glina z różnych miejsc, glina o różnych kolorach.

- Malujesz zwykłą gliną? – dziwi się Weronika.

- Tak. Dzięki glinie obrazy są inne, mają swoją historię. Popatrz na ten obraz – malarz wstaje, Weronika wstaje. – Góry, szczyty, niebo, kozice, krzyż na jednym ze szczytów.

- Tatry?

- Tak. Tatry. Góry mają kolor czerni, to glina ze Śląska, śnieg jest biały, glina z Mazur, krzyż jest popielaty, glina z okolic Wrocławia, niebo jest niebieskie, glina znad morza, kozice są lekko brązowe, glina z okolic Krakowa, chmury są jasne, w odcieniu jasnej popieli, to okolice Warszawy, ciemnozielone trawy są z okolic Bieszczad. Można powiedzieć, że ten obraz to Polska. Polska w jednej całości, w jednym wymiarze.

- Szukasz gliny po całej Polsce?

- Szukałem. Teraz już znam miejsca, wiem gdzie mogę znaleźć odpowiedni kolor gliny.

- To przygoda. Każdy obraz otarł się o jakąś przygodę. Dobrą, złą, ale przygodę.

- Życie to przygoda. Sztuka to przygoda. A artysta musi świadomie lub nieświadomie w tej przygodzie uczestniczyć.

- Zwiedzasz świat zbierając kolory do swoich obrazów.

- Moje obrazy przepełnione są kolorami ziemi. Zdarzają się różne rzeczy, gdy zbieram glinę. A potem te rzeczy tworzą tło do obrazu. Tworzą jakąś głębię.

- Jakie to rzeczy?

- Gdy byłem w Bieszczadach znalazłem glinę zieloną, ciemnozieloną, gdy ją zbierałem coś nadepnąłem przez przypadek. Coś mnie ukąsiło. Straciłem przytomność. Ktoś mnie znalazł, jakiś grzybiarz. Zawiózł mnie do szpitala. Tam odzyskałem zdrowie po kilku dniach.

- Trucizna była słaba albo było jej niewiele.

- Miałem szczęście. Było jej niewiele w moim ciele. Gdy byłem nieprzytomny coś widziałem, albo wydaje mi się, że widziałem. Po obudzeniu miałem wizję, jedną wizję ciągle, nieustannie. Widziałem przyszłość. Widziałem jak na ulicy Grodzkiej koń z dorożką potrąca małą dziewczynkę w czerwonej sukience. Wciąż to widziałem gdy się obudziłem. I gdy później szedłem ulicą Grodzką do księgarni tuż przy kościele, zobaczyłem tę dziewczynkę, rozpoznałem jej twarz. Nagle zobaczyłem dorożkę z koniem, jak zbliża się do tej dziewczynki. Przyspieszyłem. Gdy dziewczynka nagle się odwróciła, dorożka była już przy niej. Dziewczynka stała oniemiała jak posąg, dorożkarz szarpał lejcami konia, a ja pociągnąłem dziewczynkę na chodnik. Udało się. Dziewczynka nie wpadła pod tę dorożkę, pod tego konia.

- Dziwna historia.
- Dziwna, ale prawdziwa.
- Podróżujesz, żeby zdobyć kolory do swoich obrazów.
- Przeżycia rodzą się z niewygód, sztuka rodzi się z niewygód.
- Życie jest jak pracownia artysty. Pracownia pełna niedokończonych obrazów.

- Kupimy ten obraz z górami.
- Dostaniesz go w prezencie.
- Dlaczego?
- Jako jedyna zrozumiałaś, że sztuka to szukanie czegoś, czego nie można znaleźć w jednym miejscu, w jednym czasie.

Bierzemy obraz, wracamy do domu. Obraz jest ciężki, ale prawdziwy.

- Ciekawy człowiek – mówi Weronika.
- Ciekawe ma życie. Podróżuje żeby zdobyć marzenia, żeby stworzyć marzenia. Marzenia na płótnie.

Weronika całuje mnie w usta.

- Wracamy do domu – mówi i mocniej ściska mnie za rękę.

Weronika zamyka kluczem drzwi. Wychodzi z domu. Klatka jest zimna, chłodna, niebezpiecznie zimna, niebezpiecznie chłodna. Już chce zejść na dół, już chce otworzyć drzwi bloku, gdy nagle jej kroki się zatrzymują. Widzi sąsiadkę, pali na półpiętrze papierosa.

Podchodzi do niej. Sąsiadka się odwraca.

- To ty? – mówi sąsiadka.
- Tak, to ja – mówi Weronika.
- Odpoczywam – mówi sąsiadka.
- Od czego?
- Od życia, od wszystkiego.
- Czasami słyszę przez ścianę jak pięknie śpiewasz. To aria operowa, to robi wrażenie. Czuję wtedy, że jestem w innym świecie, lepszym świecie.
- Nie wiem, czy będę śpiewać. Czy jeszcze będę mogła śpiewać.
- Nie rozumiem.
- Muszę mieć operację, na serce. Jeśli chcę śpiewać to muszę mieć tę operację. Śpiewanie niszczy moje serce. Niszczy moją duszę. To duży wysiłek, mówią lekarze, duży wysiłek dla serca. Nie wiem czy się zdecyduję.
- Bez operacji będziesz żyła?
- Bez śpiewania będę żyła.
- Co zrobisz?
- Boję się. Chcę żyć. Nie muszę mieć wszystkiego w życiu. Nie muszę śpiewać żeby żyć. Chcę tylko tyle w życiu – sąsiadka pokazuje palcami małą szczelinę powietrza, bardzo małą. – Nie muszę mieć wszystkiego. Wszystko zabija najlepsze rzeczy w człowieku. Wszystko spala najlepsze rzeczy w człowieku. Wszystko to dużo. Wszystko to nic.
- Masz zły dzień – mówi Weronika.
- Ja nie mam dobrych dni od dłuższego czasu.
- To się zmienia. Świat się zmienia, ludzie się zmieniają, życie się zmienia.
- Czasami wychodzę na blok, na dach bloku i śpiewam. Jest taki pusty blok na końcu osiedla. Blok samotny, blok opuszczony przez czas, przez ludzi. Stoję na tym dachu i śpiewam. Czuję jak mój głos błądzi między chmurami. I to błędzenie jest najpiękniejsze w tym śpiewaniu i to błędzenie jest najwartościowsze w tym śpiewaniu.
- Chmury, twój głos, ucieczka tego głosu w nieznane, to robi wrażenie.
- Mam chłopaka. Kocha mnie. Mówi, że nie ma w sobie wszystkiego co mógłby mi dać. Ma wiele, ale nie ma wszystkiego. Wie, co

oczekuję od mężczyzny, ale on tego nie ma. I wie, że nigdy nie będzie mieć. I to go przeraża. Ten brak, ta usterka w nim żeby mnie uszczęśliwić.

- To wiele zmienia w tobie, to wiele zmienia w was?

- Powiedziałam mu, że dla mnie najważniejsze jest to, co jest między nami, a nie to, czego między nami nie ma.

- To go uspokoiło?

- To dało mu nadzieję, że wciąż będziemy razem. Jak długo, tego nie wiem. Ale wierzę, że bardzo długo. Może na zawsze.

- Kocha cię. Miłość jest odpowiedzią na wszystkie pokręcone pytania. Miłość jest wskazówką gdzie dwoje ludzi może iść. Iść bez strachu i bez zniechęcenia. Miłość jest pytaniem, pytaniem bez odpowiedzi, czy wszystko ma sens. Tak naprawdę, jakby się zastanowić, to tylko miłość ma sens w tym życiu. Nic innego się nie liczy. Pasje umierają, pragnienia umierają, marzenia umierają, tylko miłość może przetrwać czas, może przetrwać przeznaczenie.

- Masz rację. W miłości jest wszystko. W miłości jest nic. Ja się będę bardziej trzymać tego wszystko, niż tego nic.

Weronika schodzi na dół, lecz jeszcze się odwraca w kierunku sąsiadki i mówi:

- Nie każdy ma szansę w tym życiu otrzeć się o prawdziwą miłość.

Sąsiadka uśmiecha się. Potem mówi poprzez dym lecący z papierosa:

- Jeśli miłość nie spali człowieka od środka, jest szansa, że będzie w nim płonąć na zawsze.

Weronika wychodzi z klatki. Deszcz. Mokry deszcz uderza w jej twarz. Uderza mocno, boleśnie. Uderza tak, że coś w środku niej zaczyna gasnąć, zaczyna zasypiać.

Prosi, błaga, szantażuje. W jego oczach są łzy. Mówi coś o strachu, o zwolnieniu z pracy, o przyszłości, złej przyszłości. Musi odpocząć, odetchnąć, zapomnieć. Musi zebrać siły do kolejnej walki o siebie, o innych. Innych oznacza jego rodzinę. Żonę, córkę. Patrzę się w jego oczy, zaszkłone oczy, oczy w których wiszą łzy jak małe korale na szyi straceńca. Patrzę się i w końcu mu ulegam. Obiecuję, że pomogę. I wtedy on zaczyna oddychać spokojniej, jego ciało się

uspokaja, wygasa. Żył na jego prawej skroni znikają, znikają tak jak znika kamień wrzucony do studni, znika bezpowrotnie. Jego ręce powoli się wygaszają. Stają się nocą, ciemnością, nieskończonością. Stają się czymś stałym, czymś nieobecnym.

Odchodzę od niego. Obiecuję, że pomogę. To mu wystarczy, wystarczy na ten czas, na ten moment.

Dzwonię do Górala, czekam, sygnał jest niespokojny, dziwny. W końcu słyszę głos Górala.

- Słucham.

- Idziesz na trening? – pytam, a w tym pytaniu jest ogień, taki ogień jak podczas podpalania starej drewnianej stodoły na brzegu wsi.

- Idę – mówi Góral. – Za piętnaście minut, tam gdzie zawsze.

Czekam. Tam gdzie zawsze to stary śmietnik na skraju osiedla. Idzie Góral, dres, bluza z kapturem i trepy, dobrej marki trepy.

- Dla ciebie? – dziwi się Góral i jest to zdziwienie prawdziwe, u Górala tak naprawdę nic nie jest prawdziwe, tylko to zdziwienie ma zapach i smak prawdy, zapach i smak jakiejś rzeczywistości, jego rzeczywistości.

Patrzę się na Górala. Góral to człowiek, który od lat handluje narkotykami. Robi to ostrożnie, nie jest pazerny, więc jeszcze nigdy nie otarł się o prawo, o policję. Zawsze ma towar, dobry towar. Nie oszukuje, nie kręci, jest słowny. To wzbudza szacunek na osiedlu. Ksywka Góral wzięła się stąd, że kiedyś chodził po górach. Często, namiętnie, wysoko. Kiedyś złamał nogę, po pijanemu. Góry się skończyły, życie się skończyło. Pozostały wspomnienia i buty na nogach. Czasami po pijanemu Góral mówił o górach, ale potem płakał, więc teraz stara się myślami nie wracać do gór.

Dobre wspomnienia niszczą duszę, tak jak dobrzy ludzie, których już nigdy z nami nie będzie.

- Dla kogoś.

- Idziemy – mówi Góral.

I faktycznie idziemy, oddalamy się od mojego bloku, od jego bloku. Dochodzimy do czteropiętrowca stojącego blisko rzeki Sudół. Pierwsza klatka, wchodzimy do piwnicy, Góral otwiera ostatnie drzwi po prawej stronie.

- Tutaj masz piwnicę? – dziwię się i jest to zdziwienie szczere, prawdziwe.

- Wynajmuję od emeryta. Na czarno. Nikt, nigdy nie powiąże tej piwnicy ze mną.

W piwnicy widzę drewniane półki, na nich dużo słoików, jakieś kompoty, soki, ogórki kiszzone, wszystko zakurzone, pełne brudu i przeszłości. Na podłodze linoleum, stare, żółte, poniszczone. Na dolnej półce, po prawej stronie słoiki mają pajęczynę, widać, że dawno nikt tutaj nie zaglądał.

Góral klęka przy tej pajęczynie, przy tych słoikach, przesuwa dolną półkę do środka piwnicy, ona się lekko odchyła i wtedy widać pod półką linoleum, brudne, żółte linoleum. Góral podnosi linoleum, w podłodze jest metalowy sejf. Góral go otwiera, wyjmuje towar, daje mi towar do ręki. Płacę. Góral się uśmiecha a potem mówi:

- Tylko ty znasz to miejsce. Nikt inny tutaj nie był.

- Dlaczego mi je pokazałeś?

- Ty nie bierzesz, nigdy nie będziesz miał problemów z prawem. Razem graliśmy w piłkę w klubie. Pamiętasz. Ja lewa obrona, ty lewy pomocnik. Przyjaźniliśmy się. Czas nas kiedyś połączył, życie nas teraz znów połączyło. Ciebie się nie boję. Ufam ci.

Góral ma rację. Nigdy bym mu nie zrobił żadnej krzywdy. Pomógł mi kiedyś, gdy inni nie chcieli mi pomóc. Pomógł bezinteresownie. Bezinteresownych rzeczy się nie zapomina, zwłaszcza ważnych bezinteresownych rzeczy. Bezinteresowność łączy ludzi na zawsze. Łączy bardziej niż samo życie. Bezinteresowność to prawda, jedyna prawda jaka tkwi w człowieku. Dobrym człowieku.

Wychodzimy z klatki. Dzwoni telefon Górala. On odbiera. Słucha. Będę za pół godziny, mówi Góral.

- Jedziesz ze mną? – pyta Góral.

- Gdzie?

- Do takiej knajpy. Stodoła. W Nowej Hucie. Nowa knajpa.

- Dlaczego mam z tobą jechać?

- Dawno się nie widzieliśmy. Załatwię sprawę i pójdziemy gdzieś na piwo. Do Darka. Powspominamy dawne czasy.

- Dobra – odpowiadam, przekonały mnie dawne czasy.

Wsiadamy do jego samochodu. Jedziemy Opolską w kierunku Nowej Huty. Jest mały ruch na drodze, to dobrze, nie cierpię kor-

ków. Nie cierpię umęczonych twarzy ludzi w tych korkach. Ich cierpienie mnie niszczy, spala od środka. Draży we mnie dziurę, którą potem nie wiem czym zakopać.

- Czasy są trudne, więc chyba dobrze zarabiasz? – pytam cicho, ale nie szeptem.

- Teraz ludzie więcej biorą. Ze strachu. Przede wszystkim ze strachu. Strach ich niszczy, paraliżuje, przeraża. Strach to ich odbicie w lustrze. Odbicie natychmiastowe i skuteczne. Teraz wszyscy pracują zdalnie. Więc mogą sobie na więcej pozwolić w domu. Ludzie boją się o rodziców, o siebie. Boją się, że się pogubią, choć sami dobrze wiedzą, że są już pogubieni od dłuższego czasu. Boją się, że ich zwolnią, że będą kolejni do pocałowania klamki w firmie.

- Strach, nieustający strach sprawia, że chcemy być dalej, o wiele dalej niż zazwyczaj. Dalej od siebie, dalej od innych. Dalej oznacza lepiej, dalej oznacza swobodniej. Dalej oznacza ciszej.

- Dalej dla mnie to większy zysk. Dalej dla mnie to większe zmartwienie.

Mijamy Dom Handlowy Wanda. Skręcamy w lewo. Potem wjeżdżamy między bloki. Między noc, która powoli opada na miasto.

Wysiadamy. Samochód milknie jak burza po złym dniu. Widzę duży napis Stodoła. Napis jest żółty, farba powoli zaciera się w teraźniejszości. Przyszłość jej nie grozi. Stodoła to knajpa niżowa, osiedlowa. Knajpy osiedlowe szybko umierają, jak ludzie którzy do nich namiętnie przychodzą.

Wchodzimy. Długi korytarz, kafelki na podłodze, czarno-białe, idziemy w kierunku muzyki. Wchodzimy do niedużej sali a tam stołki drewniane, krzesła drewniane, boazeria na ścianach. Komuna, myślę, komuna zanurzona w Stodole. Brakuje tylko siana i bydła. Nie, bydło jest, widzę to w oczach ludzi, którzy tu zostali przyklejeni butaprenem na zawsze, na wieki.

Ktoś do nas podchodzi. Długie spocone włosy, lekko siwe, zmęczone spojrzenie, lekko przytrute czasem.

- Cześć, Góral – mówi mężczyzna.

- Cześć, Lopez – mówi Góral, ale ksywkę Lopez wymawia tak, jakby wylewał wiadro pomyj za okno.

- Masz? – oczy Lopeza stają się nagle zimne, obce, są jak zima, zła, zbyt długa zima.

- Jeszcze nie zapłaciłeś za wcześniejsze zamówienie – i to zamówienie Góral mówi tak jakby grał na pianinie marsz żałobny za duszę kogoś kto właśnie zmarł na jego oczach.

- Wyluzuj – mówi Lopez. – Tutaj są pieniądze.

Góral chowa pieniądze do kieszeni, daje paczkę Lopezowi.

- Słyszałeś – mówi Lopez. – Krasnał wypłynął z Wisły.

- Kiedy wypłynął?

- Wczoraj. Widziałem go. Był taki napuchnięty od wody. Szkoda go, choć i tak nie umiał pływać.

- Pływanie by mu nie pomogło. Za dużo wiedział, za dużo mówił.

- Milczenie nie było jego mocną stroną – stwierdza Lopez, a jego oczy skanują wszystko dookoła. Jest czujny, widać to w jego spojrzeniu.

- Boisz się? – pyta Góral.

- Czego?

- Byłeś kolegą Krasnała. Razem braliście towar na łakach przy NCK-u.

- Co z tego, że brałem.

- Milczenie nie było jego mocną stroną. Mógł ci coś powiedzieć.

- Ja nic nie wiem – Lopez się nagle odwraca, jakby jakiś cień z nożem, właśnie wbijał mu ten nóż w plecy.

- To nie masz się czego bać.

- Ostatnio pobili Gucia.

- Za co?

- Po pijanemu pobił jakiegoś mężczyznę. Okazało się, że to brat kogoś, kto jest kibicem Wisły. Takim kibicem, co wiele może.

- Rozmawiałeś z Guciem?

- Tak. Trząśł się jak galareta. Wiesz, on zawsze bał się bólu. Wiedział, że kiedyś go ból zaskoczy i zaskoczył.

- Zaskoczył na własne życzenie.

- Prosił się o to. Zawsze po pijanemu zaczepiał innych. I w końcu się doigrał.

- Może przestanie pić.

- Może przestanie zaczepiać innych.

Na środek sali wchodzi młoda dziewczyna. Ładna, ale cała w dresie. Czerwonym dresie. Tańczy, obraca się w koło jak jakaś magiczna gumowa piłeczka i śpiewa:

- Jestem taka zmęczona. Boli mnie ręce. Boli mnie cała głowa. Tyle się dzisiaj stało. Boli mnie serce. Boli mnie całe ciało. Paranoja... jest moja – dziewczyna kręci się coraz szybciej.

Podchodzi do niej mężczyzna, też jest w dresie, ale czarnym z kapturem, bierze ją za rękę, wychodzą ze Stodoły.

- Widzę, że nic się nie zmieniło.

- A co miało się zmienić. Takie miejsca nigdy się nie zmieniają, podobnie jak ludzie, którzy do tych miejsc przychodzą.

- Dla niektórych czas się zatrzymał na zawsze – Góral patrzy się na twarze mężczyzn, twarze pijane, udręczone, samotne w swoim nieszczęściu, samotne w swoim cierpieniu.

- Do następnego – mówi Lopez.

- Stodoła – zamyśla się Góral. – Nazwa pasuje do tych twarzy. Do następnego.

Wychodzimy. Wsiadamy do samochodu. Senna muzyka mocniej dociska nas do foteli.

- Do Darka – mówi Góral.

- Do Darka – odpowiadam i wiem, co będzie dalej.

Siedzimy u Darka już od godziny. Pijemy piwo, kolejne piwo. Białe kafelki jak śnieg docierają do każdej części mojego ciała, mrozą każdy kawałek mojego ciała, a potem gdy wszystko mam już zamrożone rozumiem, że mróz zostawia w nas tylko mały ogień, ogień który do czegoś nas prowadzi, ale do czego, tego nie wiem.

- Z Darkiem mam dobre wspomnienia – mówi Góral. – Dobre, ale bolesne.

- Najbardziej bolesne u Darka było to, że był. Darek nas wciągał, uzależniał, dawał jakąś formę wolności, jakąś formę ucieczki, ale ta wolność i ucieczka była krótkotrwała, była tymczasowa.

- Wszystko na tym osiedlu było tymczasowe.

Siedzimy, milczymy. Zastanawiam się, czy moje życie na tym osiedlu zawsze było tymczasowe. Czasami tak, czasami nie. Tymczasowość była kotwicą, która ciągnęła niektórych na dół. Ciągnęła i zasłaniała im oczy. Na wieczność. Na stałe.

- Co myślisz o nałogach? – pytam Górala. – Twój zawód ociera się o nałogi.

- Nałóg to forma ucieczki. Atrakcyjna forma. Nałóg daje jakąś ulgę. Napięcie szybko znika. Początkowo nałóg pomaga, później musimy szukać czegoś innego, czegoś więcej. I to jest najgorsze w nałogu, to czegoś więcej. Czegoś więcej prowadzi ludzi donikąd. Czegoś więcej prowadzi ludzi w ciemność.

- Nałóg to choroba uczuć – mówię. – Choroba emocji. Rzadko choroba lęków.

Ktoś tłucze szklankę z piwem, złoty płyn niczym dywan przykrywa białe kafelki na podłodze. Szkło wygląda jak jakieś cierpienie, jak dusza kogoś kto udał się na wieczne potępienie do piekła.

- Łęki – mówi Góral. – Niektórych zabijają łęki. Zabijają szybciej niż samo życie.

- Ktoś coś traci. Ucieczka w nałóg. Ktoś coś zyskuje. Ucieczka w nałóg. Ktoś jest na skraju czegoś niebezpiecznego. Ucieczka w nałóg. Ktoś nie widzi tego skraju niebezpiecznego zbyt dokładnie. Ucieczka w nałóg.

- Kiedyś byłem w kamienicy przy ulicy Krakowskiej. Taki pustoś. Byłem tam przez przypadek. Widziałem te twarze, które od czegoś uciekały. Ucieczka była widoczna w ich oczach. Ucieczka donikąd. Ucieczki takich ludzi zawsze są ucieczkami donikąd. Siedziałem z nimi. Rozmawiałem. Patrzyłem im w oczy. Oni patrzyli mi w oczy. Zrozumiałem, że ich pustka nigdy nie będzie moją pustką. Zrozumiałem, że pustka dla każdego ma inne znaczenie. Inny wymiar.

Chwilę milczę. Staram się zrozumieć ten inny wymiar i znacznie. Pustka, każdy kiedyś ociera się o pustkę. Pustka jest jak oczy sarny stojącej na drodze w lesie, w nocy, oczy patrzące się w nadjeżdżające światło na drodze. Pustka to dotykanie ciemności oczami, nie rękami. Pustka to krok do przodu, gdy stoimy na jakiejś krawędzi ocierającej się o jakąś ucieczkę. Pustka to zamiar bycia kimś innym za wszelką cenę.

- Gdy patrzyłem na tych ludzi – mówi Góral – zrozumiałem, że tam nałóg rządzi pod różnymi postaciami. Tam każdy gdzieś ucieka. Tylko ścieżki i kierunki są różne.

- Tylko straty mają podobne – mówię.

- Nałóg to strata. Strata czegoś czego nie mamy, czego nigdy nie będziemy mieć. Strata ostateczna.

Przyglądam się sobie, myślami. Czy ja jestem tym, kim byłem kiedyś? Czy to co było we mnie wcześniej już umarło? A jeśli tak, to czy umarło na zawsze? Czuję, że chciałem być kimś innym. Kim? Tego nie wiedziałem kiedyś, tego nie wiem teraz. Ale czuję, że chciałem żyć inaczej. Lepiej. Nie udało mi się. To wiem. Tego jestem pewien. To, że innym też się nie udało, nie pociesza mnie. Przegrałem, a teraz płacę powolną cenę za tę porażkę.

Siedzimy tak z Góralem do północy. Potem wracamy pustym osiedlem do domu. Żegnamy się. W oczach mamy łzy. Łzy cierpienia. Łzy rozpacz. Łzy, że tak niefortunnie potoczyło się nam życie.

Znów stoję na balkonie. Czuję się w nim jak w jakiejś łoży. Łoży przeszłości. Stąd, z wysokości wszystko widzę wyraźniej, wszystko widzę dokładniej, ze szczegółami.

Mój wzrok błądzi na drewniak, tam kupowało się alkohol, mój wzrok błądzi na kwaciarnię, tam kupowało się róże dla swoich pierwszych miłości, mój wzrok błądzi na blok czteropiętrowy tuż przy kładce, błądzi na pierwszą klatkę. Uśmiecham się. Przeszłość wraca. Wraca szybciej niż myślałem.

Stoimy w pierwszej klatce tego bloku czteropiętrowego tuż przy kładce. Stoimy i palimy trawę. Towar nieznany, towar tajemniczy. Ma moc, tak mówi ktoś. Moc nieznaną. Zaciągamy się, podajemy sobie trawę z ręki do ręki, bardziej z płuc do płuc. Usta mechanicznie wykonują swoje ruchy, wdech, cisza, wydech. Ulga. Patrzymy się na siebie zdziwieni. Gdzie ta moc? Gdzie ta siła zanurzona w nieświadomości?

Nagle pojawia się strach. Słowa innych są jak cienie, jak jakaś rozpacz wydobyta z ciemności. Rozpacz, która nie zabija ale niszczy, niszczy zarówno dobro jak i zło w człowieku. Niszczy nadzieję, niszczy wiarę. Wiarę, że można coś więcej chcieć, niż tylko istnieć, że można tylko być, być za wszelką cenę. I ten strach we mnie, który nie znika. Strach w słowach kolegów, strach w oczach kolegów. Otwieram drzwi klatki. Uciekam w kierunku domu. Oni biegną za mną, coś do mnie mówią. Ja idę, moje kroki zbliżają się do obłędu, który jest we mnie dzisiaj. Obłędu zanurzonego w strachu, obłędu zanurzonego w mojej głowie. Wchodzę do swojej klatki. Zamykam ją. Oni stoją przy klatce, coś do mnie mówią. Też widzę strach w ich

oczach, ale to inny strach, obcy strach. Wchodzę do windy. Szóste piętro. Szum windy, lustro odbijające półmrok w środku. Wchodzę do domu. Chcę spać. Chcę uciec w sen. Chcę zapomnieć. A potem ucieczka w sen, żeby uspić złe myśli. Przeraźliwe myśli. I w końcu ulga, gdy ciało powoli znika w ciemności. Gdy ciało powoli odchodzi w niepamięć.

Otwieram oczy. Znow stoję na balkonie. Przypominam sobie następny dzień, dzień w którym okazało się, że towar był dziwny, niesprawdzony. Wszyscy tamtego wieczoru uciekali do domu. Sen dla wszystkich był jakimś wybawieniem, ulgą.

Po jakimś czasie wszystko było inne. Znow trawa, znow ulga i śmiech, z tamtej sytuacji najbardziej pamiętam śmiech. Śmiech z niczego. I zawody w pluciu na odległość. Staliśmy w nocy koło Darka, bliżej pawilonu niż koło Darka, staliśmy na chodniku. Ktoś stał na ławce, był sędzią. My skupieni, obok siebie, przygotowani do plucia na odległość. A potem wyniki, kto wygrał, kto przegrał. Walka była wyrównana. Koczek, jedyna kobieta wśród nas, jedyna startująca w zawodach w pluciu na odległość, wygrała. Nasz smutek, jej radość. Wszystko było na poważnie. Mistrzostwo Świata, walka o złoty medal. A potem znow śmiech z niczego. Śmiech wśród nocy, śmiech do gwiazd, do nieba, do ciemności.

Świat był wtedy inny, myślę, niedoskonały ale inny. My byliśmy niedoskonali jak ten świat. Inni i niedoskonali.

Przypominam sobie wyjazd do Polańczyka. Pociąg pełen ludzi, my pijani, szczęśliwi, pełni życia. Pole namiotowe nad jeziorem. Namioty dwa, jeden duży, drugi mały. Na wprost nas bar z kielbaskami. Ich zapach budził nas każdego dnia do życia. Czasami wieczorem przy tych kielbaskach kończyło się dzień. Siedziało się, jadło kielbaski, piło piwo i rozmawiało się o wszystkim, o niczym. Wtedy tak dużo rozmawiało się o niczym. Słowa, zdania były wypowiadane tylko po to, żeby dotknąć innego człowieka, żeby bardziej go zrozumieć i poczuć. I przeważnie się to udawało, teraz jest gorzej, o wiele gorzej. Teraz inny człowiek jest niezauważalny, obcy. Obcość to synonim tych czasów. Nie tamtych.

Czasami chodziliśmy coś zjeść do domków jednorodzinnych, zamawiało się obiad, czekało się. Morrison, tak go nazywaliśmy, zawsze podawał obiad. Nigdy nikt nie dostał od Morrisona to, co

zamawiał, Morrison był elastyczny, był po prostu sobą. Zamawiałeś pomidorową, jadłeś grochówkę. Zamawiałeś kotlet, jadłeś pierogi. I to było normalne. Dla nas, dla Morrisona. Normalne, bo dzięki Morrisonowi zrozumieliśmy, że chceć nie zawsze oznacza mieć.

Pamiętam tawernę tuż przy porcie. Tam się piło wśród żeglarzy. Piło i śpiewało piosenki żeglarskie. Czasami w nocy szliśmy nad wodę, schodami na sam dół. Z tawerny dochodziła muzyka, a my na przystani patrzyliśmy na uśpione żagłówki. Patrzyliśmy i marzyliśmy. Wierzyliśmy, że świat, jeśli ktoś ma odwagę może być inny. Świat to przygoda, tak mówiliśmy. I nawet chcieliśmy kupić żagłówkę, ale działa się to zawsze po pijanemu. Na trzeźwo już nikt nie mówił o kupnie żagłówki.

Niektóre rzeczy mają dopiero sens gdy marzymy, gdy jesteśmy upici tymi marzeniami aż do końca.

Otwieram oczy. Słońce dotyka mojej twarzy. Osiedle znów jest takie jakie jest. Ja jestem taki jaki jestem. Świat jest taki jaki jest. Moje życie jest takie jakie jest.

Uśmiecham się, nic się nie zmieniło. Uśmiecham się, nic się nie stało.

Wiatr zawładnął całkowicie miastem. Dotyka drzew, sprawia że tańczą jak ognie na cmentarzu w Święto Zmarłych. Dotyka dachów, które skrzypią, piszczą, starają się być z nim w jakiejś harmonii, szalonej harmonii. Dotyka rynien, które niczym piszczałki grają jego melodię. Dotyka ludzi, którzy idą niczym manekiny do przodu, idą sztywno, pokracznie, jakoś dziwnie. Wiatr rządzi miastem i miasto w tym zawładnięciu jest całkowicie bezbronne, ślepe.

Weronika wychodzi z kościoła. Jej fartuch jest brudny od farb, od innych odczynników, które sprawiają, że przeszłość się zmienia, zmienia na lepsze. Konserwacja, bardziej niż konserwacja odnowa kościoła przy ulicy Szpitalnej ją męczy, męczy bardziej dzisiaj niż kiedyś.

Weronika zauważa znajomą twarz w kawiarni, po drugiej stronie ulicy. W twarzy znajomej, w twarzy dobrze znanej jest coś dziwnego, coś co zaczyna kruszyć serce Weroniki na małe kawałki szkła.

Znajoma płacze. Łzy znaczą drogę do jej serca, do jej smutku.

Weronika przedziera się niczym ślepiec przez wiatr na drugą stronę ulicy. Wchodzi do środka kawiarni. Zapach kawy, ciasta, gorącej czekolady dotyka od razu jej ciała. Weronika podchodzi do Kingi, siada koło niej. Siada cicho, bezszelestnie.

Kinga przez chwilę jest nieobecna, jest gdzieś daleko, ale w końcu udaje jej się wrócić z tego daleka i zauważa Weronikę. Jej oczy są zdziwione, wciąż nieobecne, ale zdziwione.

- Co tutaj robisz? – pyta Kinga, a jej głos jest jak odpadający gruz z kamienicy, gruz który za chwilę dotknie ziemi i nie zostanie z tego gruzu nic, absolutnie nic.

- Odnawiam kościół. Dlaczego płaczesz?

- Mam problem. Duży problem.

- Opowiedz o nim – Weronika dotyka rękę Kingi, robi to tak, jak się dotyka małego dziecka, gdy już zaśnie, gdy już w końcu ucieknie w sny, dobre sny.

- Mam fundację. Pomagam młodym ludziom. Pomagam słabszym, niewinnym. Pomagam tym, którzy są ulepiani z innej gliny, którzy są zrobieni z delikatniejszego tworzywa niż inni. Ci ludzie, młodzi ludzie to kryształły stworzone z delikatniejszego szkła.

- Dużo masz podopiecznych?

- Kilkanaście osób. Ludzie, którzy do mnie przychodzą są jak sny, złe sny. Zagubione sny. I ja muszę tylko w tych snach z nimi uczestniczyć. Uczestniczyć za wszelką cenę.

- Skąd masz pieniądze na to wszystko?

- Mamy sponsorów. Niewielu, ale mamy. Ciągłe nam brakuje gotówki na utrzymanie lokalu, ale jakoś sobie radzimy. Budynek jest miasta, ale ostatnio miasto, chce nas z tego budynku wyrzucić. Wyrzucić w białych rękawiczkach.

- Nie rozumiem.

- Znalazł się deweloper, chce tam zrobić hotel. Miejsce gdzie mam fundację jest blisko rynku, idealne miejsce na hotel.

- I miasto już się pewnie z nim dogadało?

- Myślę, że tak. Ktoś wziął pieniądze, ktoś inny dał pozwolenie, wszystko jest już ustalone. Tylko mają z nami problem, jak nas z tego lokalu wyrzucić.

- Płaciecie przecież rachunki.

- Zalegamy z rachunkami. Wszystko płacimy z opóźnieniem. Ostatnio przyszedł deweloper do naszej fundacji. Młody człowiek, dobrze ubrany, uśmiech i odwaga nie znikają z jego twarzy. Usiadł na krześle bez pozwolenia, dwóch ludzi stało przy drzwiach gabinetu, ludzi którzy niczego się nie boją.

- Co ci powiedział deweloper?

- Dał mi propozycję, propozycję nie do odrzucenia. Mam opuścić ten lokal, a on w zamian da mi lokal gdzieś za Krakowem. Jeśli tego nie zrobię zniszczy mnie, zniszczy jako człowieka – Kinga się zamyśla, jej oczy błądzą gdzieś po dachach kamienic. – Powiedział, że coś na mnie znajdzie, jeśli się nie zgodzę. Powiedział, że ludzie za pieniądze zrobią wszystko, a już na pewno zniszczą kogoś obcego, jeśli się im odpowiednio zapłaci. Życie nauczyło go jednego, uwielbiamy niszczyć innych, zwłaszcza za pieniądze. Na koniec wstał, uśmiechnął się jakoś wrogo, wrogo ale pewnie i powiedział, znasz kogoś kto się nie zgodzi być kimś złym, jeśli dostanie odpowiednią ilość pieniędzy. Potem wyszedł i zniknął. A potem pojawił się we mnie strach.

- Strach jest jak zły wiatr. Przychodzi nagle, odchodzi nagle.

- Nie wiem co mam zrobić.

- Pomagasz ludziom. To jedyna dobra rzecz w życiu. Pomaganie słabszym.

- Oni mają tyle marzeń. Są słabi ale mają marzenia jak inni. Jedna dziewczyna chce przepłynąć kanał La Manche, codziennie ćwiczy, doskonale pływa, jeden chłopiec chce wejść na Kilimandżaro, a drugi chce pojechać na Antarktydę, choćby na moment. Ich marzenia to moje marzenia.

Kinga wstaje. Jej policzki już są suche, nasza rozmowa je wysuszyła.

- Będę musiała zgodzić się na tę zamianę. Ze względu na te dzieciaki.

Kinga wychodzi z kawiarni. Znika we wciąż szalejącym wietrze na ulicy.

Przez chwilę Weronika siedzi sama, a potem wraca do pracy.

Dlaczego dobro wciąż ociera się o zło? Dlaczego zło ma tak idealną twarz, tak doskonały kształt? Dlaczego ci, którzy więcej widzą, więcej cierpią? Dlaczego nic nie można normalnie zrobić w tym

kraju? Dlaczego dobro musi mieć odpowiednią ilość pieniędzy żeby przetrwać? Nie wiem tego, myśli Weronika i pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Wiatr się uspokaja. Zamiera. Cisza zaczyna powoli dotykać murów miasta. Drzewa przestają tańczyć, dachy przestają skrzypieć, całe miasto powoli zamienia się w bezruch, zamienia się w nieistnienie.

Spotkanie z dawnymi kolegami. Spotkanie wieczorem, prawie w nocy, spotkanie aż do rana. Aż do rana oznacza zmęczenie, ból głowy, który z pewnością nadejdzie rano, oznacza samotną podróż do domu nad ranem taksówką.

Było jak zawsze. Za dużo alkoholu, za dużo wspomnień. Pamiętasz to, pamiętasz tamto. I wszystko zatopione w morzu wspomnień. Coraz bardziej pijanych wspomnień. Na końcu Planty, ławka pod Barbakanem i dopijanie duszy za wszelką cenę.

Swoje coraz cięższe kroki kieruję do pierwszej taksówki przy ulicy Sławkowskiej. Ruszamy. Noc, ciemność, światła w oknach kamienic. Nieliczne światła. Jest prawie rano. Pojedyncze duchy nie mogą zasnąć w mieście.

Widzę twarz taksówkarza. Twarz zmęczoną, ale spokojną.

- Długo w pracy? – pytam ciężkim głosem, tak ciężkim jak ciężkie jest życie górnika w kopalni na dole.

- Od kilku godzin.

- To trudna praca, wymagająca.

- Każda praca jest wymagająca jeśli człowiek chce dobrze zarobić.

- Lubi pan tę pracę?

- Lubię rozmowy z ludźmi, zwłaszcza nad ranem. Nie ma w tych rozmowach fałszu, kłamstwa, uprzedzeń.

- Co pan myśli o tym świecie? Świat zmierza donikąd? Czy raczej to my zmierzamy donikąd?

- To nie to samo?

- Skutek podobny, ale sens inny.

- Świat umiera, ludzie umierają wraz z tym światem. Goniłwa. Nieustająca goniłwa. Goniłwa to słowo klucz dla współczesnego świata.

- Gonitwa – dziwię się i jest to zdziwienie szczere, bo jest to zdziwienie pijane.

- Musimy być lepsi od innych za wszelką cenę. Być oznacza mieć.

- Przecież zawsze tak było.

- Nie na taką skalę. Dzisiaj więcej chcemy, więcej możemy. Więcej oznacza trud jaki jesteśmy w stanie wydobyć z siebie, żeby to więcej zdobyć. Zdobyć szybko, zdobyć zachłannie.

- Bliskość – mówię lekko ziewając. – Ludziom brakuje bliskości.

- Komputery, telefony, portale to wszystko sprawia, że bliskość schodzi na drugi plan. Możemy być wszędzie, możemy być nigdzie.

- Nic nie zastąpi dotyku innego człowieka. Oddechu innego człowieka.

- Nic nie zastąpi rozmowy z innym człowiekiem. Rozmowy twarzą w twarz.

Przez chwilę milczymy. Puste ulice, uśpione ulice, ziewające ulice podobnie jak ja. W nocy ciemność to dobra zasłona dla duszy, gdy jesteśmy już wystarczająco pijani, wystarczająco bezbronni.

- Mam dom koło Krakowa. Tam uciekam od świata, od ludzi. Tam lepiej rozumiem co oznacza słowo cisza.

- Cisza to słowo klucz w tych czasach.

- Nie każdy ma szansę żyć w ciszy. Poczuć ciszę tak dosłownie.

- Kiedyś poczułem ciszę, gdy byłem w górach. Żadnych ludzi, tylko ja, cisza i niebo nad głową.

- To uzdrawia. Zarówno ciało jak i duszę.

Taksówkarz nagle hamuje. Jakiś pijany cień zmierza na ślepo do swojej samotni. Cień znika tak szybko, jak szybko się pojawił.

- Kogoś wyłowili ostatnio z Wisły. Słyszał pan?

- Tak. W telewizji coś o tym mówili.

- Pijany, samotny, udręczony, może zagubiony. Zagubiony bardziej niż inni. Ciekawe, kim był ten człowiek? Co go skłoniło, żeby tak szybko uciec w ciemność, uciec w zapomnienie?

- Myślę, że był niezauważalny. Niezauważalność jest gorsza niż śmierć.

- To nas kiedyś zgubi. Ta obojętność na innego człowieka. Prawie już się nie widzimy. Przebywamy koło siebie, oddychamy tym samym powietrzem, ale się nie widzimy.

- Obojętność to nieustanne przebywanie we własnym świecie. Tylko we własnym świecie.

Dojeżdżamy. Płacę. Wychodzę z taksówki. Kroki ciężkie, dusza ciężka. Nawet dusza cięższa niż same kroki. Drzwi, winda lekko pulsująca zbyt jasnym światłem. Klucze, zgrzyt zamka. Ubranie ląduje na podłodze koło łóżka. Ląduje w jakimś dziwnym nieładzie. Nieład to naturalny stan, gdy wracam nad ranem do domu. Zamykam oczy. Zasypiam. Już jestem daleko. Bardzo daleko od siebie. Od innych.

Kładka metalowa nad rzeką Sudół, kładka która tam jest od zawsze, droga żeby uciec z osiedla na rynek, droga żeby coś zmienić w sobie choćby na chwilę. Wracam tą kładką do domu. Schodzę metalowymi schodami. Mijam ulicę i wtedy go zauważam. Idzie, nie idzie, stoi, nie stoi, milczy, nie milczy.

Podchodzę do niego. Znów czuję od niego alkohol. Dziennikarz osiedlowy. Tak na niego mówiliśmy. Wiem, że pracował dla dwóch gazet, pisał dla nich jakieś felietony. Wysyłał to wszystko przez jakiegoś posłańca. Nigdy nie widziałem, żeby szedł do pracy, nigdy nie widziałem, żeby wracał z pracy.

Podchodzę do niego jeszcze bliżej, on mnie rozpoznaje, w końcu. W jego przypadku w końcu to ważna rzecz. W końcu coś napisał, w końcu coś kupił do picia, w końcu może wrócić do domu od Darka. W końcu to jego naturalny stan życia. Stan bliższego rozpoznawania siebie i swoich potrzeb.

- Co słyszać? – pytam z zaciekawieniem.

- Nie mogę się pozbierać odkąd zmarli rodzice – mówi dziennikarz osiedlowy.

- Ale oni zmarli kilka lat temu.

- I te kilka lat jest dla mnie najważniejsze, najgorsze. Przełomowe. Najpierw zmarła matka, potem zmarł ojciec z tęsknoty za matką. I lawina runęła. Pociągnęła mnie na dół.

- Niektóre lawiny nigdy się nie kończą.

- Piję rano. Piję wieczorem. Piję w święta. Piję gdy jestem samotny. Piję gdy jestem szczęśliwy. Nigdy nie jestem pijany, nigdy nie jestem trzeźwy.

- Picie to wietrzenie duszy, żeby opuściły ją demony. Opuściły na zawsze.

Patrzę się na niego. Jego stan jest cichy, bezwietrzny. Często bezimienny. Już nie może pomóc sobie, już nie może pomóc innym. Ma jeszcze dom, to ważne, ma jeszcze coś, żeby bardziej trzymać się życia niż śmierci.

- Czas tak szybko leci – mówi dziennikarz osiedlowy. – Po pijanemu poznałem kobietę, ona też pije. Poetka. Poeci więcej piją niż inni. Dobrzy poeci. Teraz, po kilku miesiącach, nie wiem czy ta kobieta, czy ta poetka jest naprawdę, czy to może tylko moje złudzenie. Wierzę, że ona wciąż jest, a może tylko była przez chwilę ze mną i odeszła. Nie wiem teraz nic. Tak mało rzeczy wiem o sobie. Wiem, że poznałem ją w zimie, od razu ze mną zamieszkała. Ja piszę, ona pisze. Pasowaliśmy do siebie. A teraz nie wiem, czy ona jest złudzeniem, dobrym złudzeniem, czy snem, złym snem. Czasami czuję jej obecność w domu, pościel pachnie jej perfumami. Czasami słyszę jej głos w łazience, gdy się maluje. Nie wiem, czy ona jest, czy jej nie ma i nigdy nie było.

- Nigdy cię nie widziałem z żadną kobietą na osiedlu.

- Nie wychodziliśmy nigdy z domu. Sami, bez nikogo, byliśmy szczęśliwi. Szczęście to przebywanie z kimś kogo Kochamy bez innych osób, bez innych wspomnień.

Przez chwilę milczę. Patrzę się na niego, na jego zagubioną twarz, na jego przerażone oczy. Oczy kogoś, kto nic nie wie tak naprawdę o swoim życiu.

- Pojechałem na groby moich dziadków, do miasteczka mojego dzieciństwa. Byłem na cmentarzu, pospacerowałem po rynku, wszedłem do starej knajpki, gdzie czas się zatrzymał na zawsze. I gdy tam siedziałem, w tej knajpce, siedziałem samotnie pijąc zimne piwo, nagle coś dziwnego zauważyłem.

- Co? – pytam się z zaciekawieniem.

- Usłyszałem dawną orkiestrę na ulicy. Zobaczyłem przez okno dawne twarze, twarze, których już z nami nie ma. Orkiestra weszła do knajpy, usiadła przy stoliku obok, zamówiła wódkę. Każdy z nich wypił po kilka kieliszków, a potem zaczęli grać w knajpie, jak dawniej. Odpoczywali, grali, pili wódkę. A potem, gdy już odpoczęli

znów wyszli na ulicę, do ludzi i grali to co zawsze, radosne melodie dla ludu pracującego.

- To wszystko widziałeś?

- Bardziej czułem niż widziałem. Wszystko było jak kiedyś, jak dawniej. Gdy wracałem z knajpy na dworzec kolejowy na ulicy wciąż słyszałem dźwięki tej starej orkiestry.

- Wspomnienia, dobre wspomnienia zawsze do nas wracają. Przeważnie wtedy, gdy jesteśmy pogubieni, przerażeni, czasami nieobecni w życiu.

- Może – wzdycha dziennikarz osiedlowy. – Wracam do domu poszukać kobiety, której nigdy może nie było koło mnie.

Dziennikarz osiedlowy wraca do domu. Jego beżowa sztruksowa marynarka cicho porusza się wraz z nim do przodu.

Wracam do domu. Osiedle to ludzie, ciekawi ludzie którzy osiedle tworzą. Osiedle to wspomnienia, ciekawe wspomnienia, które to osiedle tworzą. Osiedle to ja, cichy obserwator tych ludzi, tych wspomnień, które weszły do mojej głowy i nie mogą zniknąć. Nie mogą uciec ode mnie na zawsze.

Nie mogę zasnąć, ciemność dotyka mnie mocniej niż zazwyczaj. Są takie dni, bardziej noce niż dni gdy ciemność dotyka moją duszę mocno, intensywnie. I ta intensywność nie pozwala mi uciec w sen, uciec w zapomnienie.

Przewracam się z boku na bok. Pościel parzy, zamiast tulić, oddalać. W końcu zrezygnowany włączam radio. Słucham. Mam zamknięte oczy i słucham. Cicha muzyka, czasami przerywana głosem człowieka też siedzącego w ciemności jak ja.

- Słyszałem – mówi głos z radia – że w jakiejś okolicy rodzą się dziwne zwierzęta. Bardzo dziwne – tutaj radiowiec na chwilę zawiesza głos, następuje cisza, pustka, jakieś zaplątanie. – Krowa ma dwie głowy, koń dwa ogony, ptaki mają po trzy skrzydła i nadal latają, królik ma sześć nóg, ludzie zaczęli się bać. Mówią, to klątwa, kara od Boga. Ktoś go obraził, sprawił, że wieś stała się jakimś piętnem, upokorzeniem. Myślę, że nie ma w tym żadnej klątwy, to tylko jakaś okolica, dziwna okolica, w której mieszkają dziwni ludzie, z dziwnymi przyzwyczajeniami, z dziwnym podejściem do życia. A może – radiowiec znów na chwilę milknie – to jakiś dar, jakaś wyjątkowość,

niezauważona jeszcze przez nikogo. Dziwną okolicę tworzą dziwni ludzie. Dziwna wyjątkowość to jednak zawsze wyjątkowość.

Potem leci cicho muzyka. Słyszać piosenkę, słyszać słowa „Chciałbym być sobą, chciałbym być sobą wreszcie...”.

Słucham, uśmiecham się przez zamknięte oczy. Czy ja kiedyś byłem sobą, choćby przez chwilę? Pewnie nie. I pewnie nigdy nie będę. Mało czasu, mało dobrych ludzi koło mnie, mało chęci, mało wiary, że coś kiedyś może się zmienić.

Sen, utrapienie ludzi zagubionych, myślę cicho, niewinnie, samotnie.

Gdy kończy się muzyka głos radiowca staje się smutny, ociera się o jakieś zatracenie, o jakiś obłęd.

- Ostatnio doszła do nas smutna wiadomość. Mogliśmy się tego spodziewać. Niektórych życie nie jest takie jakie chcielibyśmy, żeby było. Życie takich ludzi ociera się o niedoskonałość, choć w pewnych dziedzinach są doskonali, wyjątkowi. Znany muzyk wyskoczył z okna hotelowego. Niektórzy mówią przypadek, zagubienie, inni, że kiedyś wulkan musiał wybuchnąć, to była tylko kwestia czasu. – Radiowiec milczy i w tym milczeniu czuje się, nawet bardzo, że lubił tego muzyka, lubił jego muzykę. – Miłość, brak miłości, narkotyki, brak narkotyków, samotność, brak samotności. Te wszystkie rzeczy pchają ludzi na skraj życia. Na skraj rozpacz. Silni, słabi, wszyscy umierają.

Radiowiec puszcza piosenkę tego muzyka. Dobrą piosenkę. Stworzył ją gdy był na szczycie. To był dobry okres w jego życiu, przynajmniej zawodowy.

- Każdy ma swoją świeczkę, która kiedyś się musi wypalić. Nie należy tego przyspieszać, nie należy tego opóźniać. Choć tak naprawdę człowiek się tylko wtedy rozwija gdy przekracza jakieś granice. Jednak każdy wie, że nie o takie przekraczanie granic nam chodzi.

Znów muzyka, znów moje oczy próbują odejść w nieznane.

- Kiedyś czytałem biografię znanego gangstera. Nie był głupi, był tylko złym człowiekiem. Człowiekiem bez żadnych zasad, bez żadnych słabości. Powiedział, złe rzeczy czynią człowieka nieśmiertelnym, złe rzeczy czynią człowieka niezniszczalnym. Zawsze byłem zły, więc swój ból, swoje cierpienie, swoje piekło zacząłem jeszcze za

życia. Gdy czytałem tę książkę, zrozumiałem, że w życiu wygrywają tylko ci, którzy kontrolują swoje życie. On kontrolował swoje życie, tylko był po złej stronie tego życia.

Znów muzyka. Moje oczy w końcu uciekają we mgłę, w roztarznienie. Słyszę już tylko cichy, coraz cichszy głos radiowca.

- Rozmawiajmy ze sobą, zawsze, wszędzie. Rozmawiajmy ze sobą za wszelką cenę. Patrzmy sobie w oczy, głęboko, wtedy dopiero zobaczymy innego człowieka przed sobą. Uśmiechnijmy się czasami do kogoś obcego, tak bez powodu.

Już nic nie słyszę. Już mnie nie ma, znikam na jakiś czas od siebie...

Weronika się stroi, zakłada jedną sukienkę, potem ją ściąga, zakłada inną, kręci nosem, potem dodatki, jakieś kolczyki, bransoletki, pierścionki, coś na szyję i w końcu jej twarz wyraża zadowolenie. Kobieta zadowolona to kobieta piękna, myślę patrząc na to wszystko z dużego pokoju.

Jeszcze makijaż, delikatny, ale seksowny, oczy, brwi, usta, wszystko ma do siebie pasować. Kobieta dopasowana to kobieta szczęśliwa, znów myślę, oglądając jakiś film o zwierzętach. Zwierzęta walczą o przetrwanie w telewizorze, kobieta walczy o przetrwanie w lustrze. Walczy o blask, o nadzieję, o to coś co jest nieuchwytnie – o urodę i skutki tej urody na świat który ją otacza.

- Gotowa? – pytam cicho, pytam z lękiem żeby nie zburzyć tej wyjątkowości i harmonii przed lustrem.

- Jeszcze kilka minut i możemy jechać – mówi Weronika czesząc grzebieniem włosy. – Jaka to sztuka?

- Jakaś nowa. Współczesna. Osadzona w realiach tego świata, nie tamtego.

- Camelot? – znów pyta Weronika gładząc włosy, jednak teraz już samymi rękami, samymi palcami.

- Tak. Tam jest klimat jak w Piwnicy Pod Baranami. Lubię tam chodzić. Piwnica, jej zapach, jej kształt to przeszłość. Przeszłość daleka, a jednak bliska.

- Przeszłość zawsze ociera się o teraźniejszość. Teraźniejszość zawsze zanurzona jest w przeszłości. Ci, którzy tego nie dostrzegają to ślepcy. Ślepcy bez żadnych szans na wyzdrowienie.

Zamawiam taksówkę. Jeremy jeden przez cztery, mówię przez telefon. Potem chwilę czekamy i schodzimy na dół. Pierwsza wsiada do taksówki Weronika, jest piękna, widzę to wyraźniej gdy znika w samochodzie.

Piękno to szczegóły, detale, małe oznaki nadziei, że świat jest inny, inny przez osobę którą kochamy i wciąż chcemy kochać.

Mam szczęście, myślę, że ktoś taki jak ona, chce kochać kogoś takiego jak ja. Nie rozumiem jej, jestem jak gałąź, połamana gałąź, która tylko chce przetrwać, gdy wiatry są zbyt silne, a deszcze zbyt ulewne.

Taksówka rusza. Jedziemy w kierunku rynku. Taksówkarz coś mówi o pogodzie, o korkach, o życiu, że coraz trudniej w tym życiu być człowiekiem. Ma rację. Czasy nie sprzyjają człowieczeństwu, życie nie sprzyja człowieczeństwu. Ludzie nie sprzyjają człowieczeństwu.

Taksówkarz wysadza nas na ulicy Sławkowskiej, w połowie tej ulicy. Idziemy w kierunku Camelotu. W Camelocie ludzie siedzą w ogródku, piją piwo. My wchodzimy do środka. Siadamy przy samym oknie. Jeden stolik, dwa krzesła. Wyglądamy jak wystawa sklepową, ludzie nas mogą obserwować, my możemy obserwować ludzi.

Mamy czas, zostało jeszcze czterdzieści minut do rozpoczęcia przedstawienia. Pijemy czerwone wino. Kolor czerwony podkreśla barwę czerwonych ust Weroniki. Weronika to zauważa, uśmiecha się jakoś inaczej, jakoś drapieżnie ale namiętnie. Jej oczy też mają tę namiętność w sobie, mają jakiś blask. Blask nieokreślony, ale ciepły. Blask nieokreślony, ale prawdziwy. Prawda w oczach jest ważna, zwłaszcza u kobiet które kochamy.

- Podobają ci się moje usta? – pyta Weronika.

- Podobasz mi się cała. W ubraniu, bez ubrania. Podobasz mi się gdy się uśmiechasz, gdy milczysz, gdy jesteś zamyślona. Nawet wtedy gdy jesteś szalona, też mi się podobasz. Nawet wtedy bardziej mi się podobasz, niż wtedy gdy jesteś rozsądna, spokojna.

- Jaka mam być, żebyś był szczęśliwy? Szalona, spokojna? A może nieprzewidywalna?

- Bądź sobą, to mi wystarczy.

- Na długo?

- Mam nadzieję, że na całe życie.
- Całe życie – oczy Weroniki, zielone oczy zanurzają się w sobie głębiej niż zazwyczaj. – Chcesz spędzić ze mną całe życie?
- Tak. Przecież jesteś całym moim życiem. Dla ciebie oddycham, dla ciebie tracę oddech. Tracę zmysły.
- Tracisz dla mnie zmysły? – ręka Weroniki dotyka mojej ręki, czuję dreszcz w sobie, dobry dreszcz.
- Czasami tak, czasami nie.
- Spłoszyłam cię – Weronika cofa swoją rękę. – To dobrze, że mężczyzna traci coś dla kobiety, którą kocha.
- To takie ważne?
- Czasami ważne, czasami nie. Ale to miłe gdy ktoś dla nas robi coś innego niż inni. Coś związanego z miłością, z pożądaniem, z zaufaniem, z uzależnieniem.
- Z uzależnieniem? – dziwię się.
- Miłość to uzależnienie od drugiej osoby. Uzależnienie, które sprawia, że później ciężko nam żyć bez tego uzależnienia, gdy zabraknie nam nagle miłości. I czasami nawet takie dalsze życie jest niemożliwe. I czasami niektórym nie udaje się nigdy uciec od tego uzależnienia. Uciec daleko, tak daleko, żeby później żyć normalnie, kochać normalnie.

Patrzę się na zegarek. Dochodzi osiemnasta godzina. Czas zejść na dół do piwnicy na przedstawienie. Kończymy pić wino. Wstajemy od stolika. Za szybą, na ulicy pojawia się deszcz, pojawia się wiatr.

Schodzimy na dół. Zajmujemy miejsca. Wyobrażam sobie Weronikę podczas deszczu, podczas wiatru. Weronika mokra, włosy w nieładzie, sukienka tańcząca w podmuchach wiatru, oczy rozbiegane ale szczęśliwe. Weronika zawsze była szczęśliwa gdy pogoda nas nagle zaskakiwała. To szaleństwo, mówiła, szaleństwo w nas, szaleństwo poza nami. I my musimy się tylko w tym szaleństwie odnaleźć, w tym szaleństwie zagubić. I przeważnie tak było. Weronika, szaleństwo i ucieczka do domu gdy to szaleństwo było zbyt doskonałe.

Zaczyna się sztuka. Muzyka powoli przenika całą piwnicę, odbija się od szarych murów, od pęknięć, od zarysów tych pęknięć w ka-

mieniach, starych kamieniach, aż w końcu dociera do serc widzów i tam się zadamawia na dłużej.

Niebo, góry, szczyty pełne śniegu, góralska chata, a w niej mężczyzna, który jest konstruktorem starych instrumentów, instrumentów zapomnianych przez czas, przez ludzi. Mężczyzna ciągle coś sprawdza w starych księgach, szuka, jest po trochu detektywem, po trochu mistrzem i gdy w końcu trafia na ślad, choćby maleńki, odtworza stary instrument według starych metod. A potem na nim gra, uczy się grać. To misja, mówi, pasja zanurzona w tej misji na całe życie. Jego życie.

W jego góralskiej chacie są duże, małe, ładne, nieładne, zgrabne, niezgrabne, ciekawe, nieciekawe instrumenty muzyczne zrobione z drewna. Mistrz najpierw bierze odpowiednie drewno, potem przez kilka lat je suszy przed domem, potem suszy je w zimnej piwnicy w domu, też kilka lat, potem suszy je w temperaturze pokojowej i dopiero wtedy bierze się do stworzenia czegoś nowego, czegoś niezwykłego.

Gdy kończy, uśmiecha się, stworzyłem coś co już dawno umarło, myśli wtedy. Rzeczy niezwykle nigdy nie umierają, tak jak nigdy nie umierają niezwykli ludzie. Niezwykłość to czas zaklęty w rzeczy, czas zaklęty w człowieku na zawsze. Zaklęty w stanie nieodwracalnym.

Na scenie pojawia się siostra zakonna. Modli się gorąco do Boga, o coś go prosi. Lekko porusza ustami, oczami też. Może nawet bardziej oczami niż ustami. Nagle siostra znajduje się w niebie, na dużej, kolorowej, pełnej dziwnych kwiatów łące. Obok niej siedzą trzy Anioły, kobiety. Grają na jakimś dziwnym instrumencie, siostra też gra. Siostra jest taka szczęśliwa gdy gra z Aniołami ich anielską muzykę. Potem wizja znika. Siostra jest rozczarowana. Ale wizje się powtarzają. Grają w górach, na szczytach gór, przy jeziorze, tuż przy samym brzegu, na plaży nad morzem. Anioły, siostra, obcy dla niej instrument i wciąż ta sama melodia.

Szczęście jest powtarzalne, myśli siostra. Złudzenia są powtarzalne. Dobre myśli są powtarzalne. Marzenia są powtarzalne.

I nagle wizje znikają. Siostra już nie gra z Aniołami, nie gra od dłuższego czasu. Czegoś jej brakuje. Którejś nocy budzi się, sięga po papier i rysuje na nim instrument z nieba. Idzie do Mistrza. On

patrzy, dziwi się, nigdy nie widział nic podobnego, a wiele widział w życiu.

Trwa to trzy miesiące, ale robi siostrze ten instrument. Robi go tak dobrze, że siostra jest zaskoczona. To on, mówi siostra, to ten instrument z nieba.

Siostra zaczyna na nim grać. Jej palce dotykają strun. Mistrz słucha. Uśmiecha się. Coś nowego, coś dziwnego stworzyłem. Świat to cuda, cuda niestworzone i my musimy tylko w tych cudach uczestniczyć. Uczestniczyć za wszelką cenę.

Mistrz wciąż słucha, muzyka go uzależnia, chce słuchać tej anielskiej muzyki ciągle, stale.

Siostra gra w zakonie zawsze rano, zawsze o poranku. Mistrz tam często przychodzi, słucha. Potem wraca do pracy. Gdy siostra gra, Mistrz przypomina sobie swoje najlepsze lata, swoje miłości, te prawdziwe, te ulotne, przypomina sobie swoje podróże, bliskie, dalekie, przypomina sobie wycieczki w góry, dobre, złe, pełne przygód, Mistrz sobie przypomina swoje życie z wadami, z zaletami, przypomina sobie życie trudne ale prawdziwe, dobre.

I tak muzyka z tego instrumentu unosi się w ogrodzie przy klasztorze aż do śmierci siostry. Mistrz po śmierci siostry bierze instrument do swojego domu. Taka była wola siostry, ostatnia wola. Próbuje na nim grać. Coś mu nie wychodzi ta gra. Siostra grała inaczej, ładniej. Było w tej muzyce jakieś napięcie, jakaś miłość. W jego grze brakuje tego napięcia, tej miłości.

Mistrz odkłada instrument na komodę. Już nie będzie na nim grać.

Sztuka się kończy. Światła gasną.

Wracamy do domu. Weronika jest szczęśliwa, więc i ja jestem szczęśliwy. Zasypiamy razem jak dwa słońca połączone ze sobą na zawsze. Nasze oddechy razem uciekają w nieznane. Nasze serca powoli gasną w ciemności nocy. Gasną razem. Na zawsze.

Zanim wchodzimy do tego domu, zanim Weronika naciska klamkę, zanim wchodzimy po schodach na pierwsze piętro Weronika mówi:

- Pracował w kopalni, długie lata, potem coś wybuchło w kopalni, mówią, że metan, on był wtedy blisko tego wybuchu, przeżył,

lecz leżał kilka dni nieprzytomny zanim do niego dotarli. I wtedy się zmienił. Stał się innym człowiekiem.

- Jak innym? – pytam z zaciekawieniem dziecka, które za chwilę pójdzie do cyrku i zobaczy żywą żyrafę.

- Nie rozpoznaje twarzy, widzi je, ale nie pamięta, mylą mu się. Twarze są dla niego czymś nieokreślonym, czymś nieobecnym. A do tego w jego głowie pojawiają się obrazy, dziwne obrazy, często prawdziwe obrazy. Obrazy przyszłości.

- Jakiej przyszłości?

- Przyszłości osoby, która przed nim stoi. On patrzy tej osobie w oczy, chwilę myśli i potem to wszystko ma w głowie, i to wszystko to jedna wielka przyszłość osoby, która przed nim stoi.

- Wierzysz mu?

- Wywróżył mi ciebie. Opisał jak wyglądasz, gdzie się spotkamy, powiedział, że jesteś zagadką, ale na końcu podejmiesz właściwą decyzję.

- Jaką decyzję?

- Tego mi właśnie nie powiedział. Ale powiedział, że będzie to ważna decyzja zarówno dla ciebie jak i dla mnie, że będzie to decyzja ocierająca się o śmierć, cierpienie, o jakąś formę zwątpienia. Ale jakiego zwątpienia, tego mi nie powiedział.

- Mam iść do niego?

- Chciałeś go poznać. Mówiłeś, że nie wiesz co cię w życiu jeszcze czeka. Chcę ci to tylko ułatwić. Boisz się? – oczy Weroniki, zielone oczy stają się małe, bardzo małe. Małe, ale niebezpieczne.

- Nie, nie boję się. Nie wierzę w takie historie.

- To zaraz uwierzysz – Weronika naciska klamkę i wchodzimy po schodach na pierwsze piętro.

Drzwi, brązowe, masywne, naciskamy dzwonek. Drzwi się otwierają, stoi w nich jeszcze młody mężczyzna ale o już siwiejących włosach.

- Weronika – uśmiecha się mężczyzna i jest to uśmiech szczery, prawdziwy, uśmiech człowieka, który wie więcej o życiu niż inni.

- Cześć, Jakub.

Wchodzimy do środka. Siadamy w kuchni przy masywnym zielonym stole.

- Herbaty? – pyta Jakub.

- Chętnie.

Po chwili dwie herbaty malinowe stoją przed nami. Próbuję, herbata jest słodka, dobra. Przyjemne ciepło dostaje się do środka mojego ciała.

- Rzadko do mnie zaglądasz, kuzynko. Zbyt rzadko.

- Mówisz, że ludzie cię męczą, twarze cię męczą.

- Ludzie, twarze tak. Ty, nie. Jesteś dla mnie oddechem, świeżym oddechem życia.

- Miło to słyszeć.

- Dużo pracujesz?

- Zbyt dużo. Ale lubię swoją pracę. Przywracam blask przeszłości.

- Twój znajomy, to kto?

- Miłość, Jakubie. Ten znajomy to moja miłość.

- Prawdziwa? Taka do końca?

- Ty mi powiedz. Widzisz więcej niż inni.

- Tak mówią. Kopalnia mnie zmieniła. Ciemność mnie zmieniła. Ciemność, czekanie i sny, te dziwne sny. Takie dziwne miałem sny, gdy czekałem na pomoc.

- O czym były te sny?

- O Bogu. O miłości. O wpływie Boga, miłości na nasze życie. Na moje życie.

- Pomogły ci te sny?

- Nie zaszkodziły.

Jakub na mnie patrzy. Głęboko.

- Co chcesz wiedzieć?

- Nic, prawie nic. Przyszłość mnie nie interesuje.

- Przyszłość dotyczy każdego. Zwłaszcza młodych ludzi.

- Młodzi często nie mają przyszłości. Dobrej przyszłości. Przynajmniej na początku.

- Widzę las. Gęsty las. Liście szeleszczą, ale tak groźnie, niebezpiecznie. Widzę ziemię, mokrą ziemię. Pewnie padał deszcz. Długo padał. Widzę ciemność, głęboką ciemność w której się zanurzasz. I te oddechy w tej ciemności. Oddechy niespokojne, przytłumione, prawie nieprawdziwe.

- Tak widzisz moją przyszłość?

- To tylko obraz. Nic innego. Obraz w mojej głowie. Pojawił się i już zniknął.

- Prawdziwy obraz?

- Co w życiu jest prawdą? My, nasza miłość, jakieś przeznaczenie. To wszystko, to nic. Prawdziwy obraz musimy sobie stworzyć sami. Nie każdemu się to udaje, ale musimy próbować.

Weronika wstaje, dopija herbatę i mówi:

- Do zobaczenia, Jakubie.

- Do zobaczenia, Weroniko.

Wychodzimy z bloku. Milczymy.

- To prawda?

- Przekonasz się. Boisz się tej prawdy?

- Nie. Boję się, że cię kiedyś stracę.

- To się staraj – Weronika całuje mnie w usta.

Podjeżdża tramwaj. Wsiadamy. Chcemy już być w domu, bo zaczęło padać, bo zaczął się deszcz niecierpliwy i dziwny. Bezduśzny.

Uśmiecham się przez sen. Tak mało mam snów w których się uśmiecham. Zbyt mało.

Zbyt mało dotyczy wszystkiego w moim życiu. Zbyt mało czasu dla siebie, zbyt mało marzeń, zbyt mało chęci, zbyt mało ucieczek od życia, zbyt mało dobrych dni, szczęśliwych dni, zbyt mało snu, zbyt mało nadziei, zbyt mało pomysłu na siebie, zbyt mało czasu na książki, zbyt mało czasu na wolność.

Dworek Białoprądnicki, siedzimy w środku, jest wieczór, lato, ciepłe i gorące lato. Siedzimy i pijemy piwo, o czymś rozmawiamy, przeważnie o tym samym czyli o niczym, w środku jest tłok, jest duszno. W końcu wychodzimy, samochód stoi przed Dworem Białoprądnickim. Czeką i milczą. Stary, dobry maluch, wsiadamy do środka, jednak ktoś coś wymyśla, jeden z nas siada na masce samochodu, trzyma się rękami szyby, my w środku, jedziemy wolno do przodu. Ktoś na masce samochodu, my w środku, wszyscy się śmieją i jest to śmiech szczery, uczciwy. Z czasem, z upływem lat takich uśmiechów będzie w nas coraz mniej, będą coraz rzadsze i coraz mniej szczere i uczciwe. Ale na razie się śmiejemy. Ulica jest pusta, więc dojeżdżamy tak aż do skrzyżowania. Potem już normalnie jedziemy pod blok. Potem Darek, piwo i dociskanie pedału życia

coraz mocniej. Coraz mocniej to dobra nazwa dla tych czasów naszego życia. Wtedy byliśmy młodzi, spragnieni wszystkiego za wszelką cenę i coraz mocniej było wszystkim co wtedy mieliśmy, było niczym co wtedy mieliśmy. Dużo, mało? Dla nas to wtedy było dużo, nawet zbyt dużo.

U Darka krwawa mery, wódka, sok pomidorowy, tabasco i pieprz. To był okres krwawej mery w naszym życiu. Ktoś to wymyślił, inny podchwycił i uciekaliśmy w niepamięć wraz z krwawą mery.

Juwenalia, znów uśmiecham się przez sen. Uśmiecham się szczerze i uczciwie. Miasto studenckie, koncerty, wtedy koncerty były za darmo. Dużo zespołów, dużo pijanych ludzi. Koncerty aż do rana. Pamiętam Wilki, my pod sceną, tłum ludzi i jakoś to wszystko wtedy szło do przodu. Powoli, czasami szybciej ale zawsze do przodu. Każdy dzień niósł w sobie jakąś nadzieję, że coś nowego się zdarzy. I przeważnie się zdarzało. Szukaliśmy tej nadziei wszędzie, w ciemności też.

A potem się pogubiliśmy na tych Juwenaliach. Każdy wracał osobno do domu. I dopiero rano, u Darka, gdy siedzieliśmy na schodach przed knajpą ze szklankami piwa, zimnego piwa, każdy mówił jak wracał do domu. Mówił co pamiętał. A z pamięcią u nas wtedy różnie bywało, przeważnie gorzej niż ranem. Nasza pamięć często ocierała się o niepamięć. Ale wtedy nam to nie przeszkadzało. Czasami nawet pomagało.

Następnego dnia też były Juwenalia, pod Akademią Rolniczą. I znów noc zarwana, i znów ludzie zbyt głośni, zbyt rozpaczliwie pragnący życia. A tam Dżem, jeszcze z Ryśkiem, i znów czas stał się dla nas inny, wyjątkowy. I znów tańczyliśmy pod sceną. Taniec pozwalał nam wtedy uciekać dalej niż zazwyczaj. Uciekać od siebie, uciekać od innych. A potem powrót na piechotę do domu. Powrót wolny ale szczęśliwy. Pamiętam gwiazdy, tyle gwiazd było wtedy na niebie. Gwiazd jasnych, błyskotliwych. I potem te gwiazdy były przez jakiś czas w mojej głowie, w moich snach. I nie mogły zniknąć. I to było dobre, piękne. I to było szczęśliwe. Dla mnie, dla całego mojego ciała. Dla mojej duszy też.

Pamiętam chodzenie po bloku. Patrzenie na ludzi z wysoka. Osiedle było takie inne z perspektywy ptaka. Chodziliśmy po dachu,

zbliżaliśmy się do krawędzi bloku i patrzyliśmy na świat inaczej. Zastanawialiśmy się, czy człowiek potrafiłby skoczyć z bloku gdyby musiał, gdyby życie zmusiło go do ucieczki od życia. Zastanawialiśmy się czy strach można pokonać, strach ostateczny. Nikt z nas nie znał odpowiedzi. Do tej pory nie zna.

Przeszłość, dobra przeszłość. Młodość, dobra młodość. Marzenia, dobre marzenia. I ja w tych marzeniach całkiem sam, całkiem zagubiony.

Budzę się. Jeszcze resztki uśmiechu mam na twarzy. Staram się je zachować na dłużej. Ale uciekają zbyt szybko przed siebie.

Mam na imię Iwona. Mam na imię Iwona i boję się stracić kogoś, kto jest dla mnie ważny, może najważniejszy w życiu. Miłość, tak czuję do niego miłość. On ma kogoś, ale dla mnie nie jest to ważne. On broni się przed tą miłością, broni, ale powoli opada z sił i ta obrona jest coraz bardziej nieskuteczna. Ja czekam, cierpliwie czekam, bo wiem, że miłość to czekanie, że miłość to cierpliwość. On się waha, czuję to. Ja, czy ona? Ona jest przeciwieństwem mnie, ja jestem przeciwieństwem jej. W życiu nie można mieć wszystkiego, on to wie. Wie też, że życie to wybory, nieustające wybory. On też czeka, co się dalej wydarzy. Ja czekam, on czeka i to czekanie ma w sobie jakieś napięcie, jakieś niebezpieczeństwo. Na razie biorę go na wyjazdy, na szalone wycieczki i tam napięcie nas do siebie zbliża, napięcie nas od siebie oddala. On nie chce zrobić czegoś głupiego, żeby nie zniszczyć tego co wciąż ma. Ma Weronikę, a za chwilę może mieć mnie.

Mam na imię Iwona. Mam na imię Iwona i boję się stracić kogoś, kto jest dla mnie ważny, może najważniejszy w życiu.

Giną osoby. Giną osoby, które są dla mnie ważne. Są gdzieś obok mnie, a potem ich nie ma. Znikają bez śladu. Boję się, że Jakub za chwilę też może zniknąć bez śladu. Zniknie i pozostanie tylko wspomnieniem, tylko złudzeniem. Był, a może go nigdy nie było? Tak będę później myślała, żeby nie zwariować, żeby nie obudzić się któregoś zimnego poranka w budynku z kratami, w budynku bez żadnej nadziei.

Czas, teraz czas ma znaczenie. Czas może wszystko zmienić, czas może wszystko zniszczyć. Czas to ja, czas to on. I jeszcze coś

po między, mała nadzieja, że czas może być łaskawy, może być litościwy dla tych, co w ten czas mocno wierzą i mocno mu ufają, czasami bezgranicznie.

Mam na imię Iwona i od jakiegoś czasu nie jestem sobą...

Widzę ją, siedzi w ogródku na rynku. Coś pije, chyba wino, czerwone słodkie wino. Podchodzę do niej. Siadam. Przez chwilę na nią patrzę, o sekundy za długo, bo Iwona spuszcza wzrok. Widzę, że jest pogubiona, widzę, że źle znosi obrazy świata, które wciąż ma przed sobą. Wiem, że są to obrazy niewyraźne, poplątane, ciemne. Niebezpieczne.

Dotykam jej ręki, czuję jakieś zimno w jej palcach. Jej oczy też są zimne, nawet zimniejsze niż jej palce.

- Co się dzieje? – pytam.

- Czuję strach, od pewnego czasu czuję strach w sobie. I to mnie przeraża. Przeraża mnie obawa, że ten strach nigdy nie zniknie i pozostanie ze mną aż do końca.

- Jakiego końca?

- Końca mnie, końca ciebie.

- Końca mnie?

- Tak. Zniknęły osoby dla mnie ważne. Za chwilę ty też możesz zniknąć. Znikanie to jakiś proces, który się koło mnie dzieje. Proces nieodwracalny.

- To, że kogoś nie ma, nie oznacza, że ten ktoś nie żyje – mówię cicho, sennie, w sumie sam nie wierzę w to co do Iwony mówię, i wiem, że ona też to wie, czuje moją niewiarę, czuje ją nawet mocniej niż ja. – Czasami ludzie znikają bo chcą uciec od rzeczy, które ich niszczą, od ludzi, którzy ich niszczą. Czasami znikanie to wolność, czasami znikanie to początek.

- Nie boisz się, że nagle coś wydarzy się w twoim życiu, coś nieodwracalnego? Nie boisz się, że strach cię kiedyś pokona? Pokona w najmniej odpowiednim momencie.

- Boję się, że ci uwierzę, że twoje słowa zaczną więcej dla mnie znaczyć niż znaczą do tej pory.

- Musimy przestać się widywać – oczy Iwony stają się chłodne, mroźne, lodowate. – Aż do odwołania.

- Odwołania, czego?

- Śledztwa policji. Policja coś może zmienić, coś może ukształtować nowego w rzeczywistości.

Przez chwilę milczę, patrzę się w czerwone oczy Iwony, coś w nich zauważam, coś co mnie zachwyca, coś co mnie przeraża – drapieżność. Oczy Iwony są drapieżne, niebezpiecznie drapieżne. Cała łagodność z niej znikła. Uciekła w nieznane.

- Miałem sen. Dziwny sen – mówię starając się przekrzyczeć hejnał z Wieży Mariackiej.

- Jaki sen? – Iwona jest obojętna, moje słowa są dla niej obce, niedostępne.

- Wyspa, gdzieś na morzu. Duża wyspa, pełna kolorowych drzew i kwiatów. Piękna wyspa, taka wyspa na której każdy by chciał kiedyś zamieszkać.

- Co się ukrywa złego na tej wyspie?

- Na wyspie pojawia się dżuma. To czasy gdzie nie ma jeszcze antybiotyków i lekarstw na tę chorobę. Rada miasta sprowadza kogoś kto potrafi walczyć z takimi plagami. Ten ktoś jeździ, obserwuje miasto, patrzy na coraz bardziej martwe życie. Za chwilę miasto opustoszeje, za chwilę kwarantanna zabije całą radość w mieście. Na razie miasto jest dezynfekowane, spryskiwane. Ludzie robią zapasy, żyją na pograniczu życia i śmierci. Jeszcze jest życie w mieście, ale za chwilę wszystko się zmieni. Czas zacznie być inny. Światło z nieba będzie inne. Ludzie będą inni – Iwona w końcu zaczyna mnie słuchać, obojętność powoli znika z jej twarzy. – Część ludzi ucieka z wyspy. Ostatnie statki zabierają całe rodziny. Ludzie koczują w porcie. Wciąż liczą na nowe statki, które podobno jeszcze mają przypłynąć do wyspy. Ludzie czują, że za chwilę pojawi się zakaz wychodzenia z domów. Rada miasta wie, że szczury przenoszą zarazę. Szczury są zabijane, palone, tak jak ludzie, którzy już zaczynają umierać na dżumę. Idę przez miasto, koło siebie czuję swąd palonych ciał, swąd palonych szczurów. Czasami całe domy są palone, wraz z dobytkiem, gdy umarło tam kilka osób na dżumę. Na małym urokliwym rynku stoi szubienica. Na niej wisi ciało, martwe ciało. To ktoś kto złamał jakiś zakaz. Może zakaz sprzedaży rzeczy po martwych ludziach, którzy umarli na dżumę, a może to szabrownik, jest ich coraz więcej w mieście. Idę dalej, widzę zamkniętą aptekę. W mieście zaczyna brakować lekarstw. Smutek zaczyna zabijać

miasto. Smutek i rozpacz. Potem pojawia się cisza i niepokój. Widzę opuszczony dom na końcu ulicy. Dom z pięknym ogrodem. Okna są zabite deskami. Coś mnie ciągnie w kierunku tego domu. Przeskakuję ogrodzenie, idę alejkami pełnymi kolorowych kwiatów. Dochodzę do okna, wyciągam dwie deski, tłukę szybę, wchodzę do domu. Puste pokoje, meble przykryte tkaninami. Obrazy na ścianach, stare meble, na dużym drewnianym stole widzę szachy, niedokończona partia szachowa, prawie wygrana przez jedną z nieobecnych osób. Pozostał tylko król bez żadnych szans na zwycięstwo. W drugim pokoju fortepian. Otwarte nuty, jakby ktoś nagle przestał grać, jakby muzyka się nagle urwała, przez ciszę, przez smutek, przez życie. Nagle słyszę krzyki, ciche krzyki, dochodzą z piwnicy. Schodzę drewnianymi schodami w dół, w ciemność. Widzę metalową klapę. Krzyki są coraz cichsze. Słabną, gasną, przestają się tlić w powietrzu. Otwieram klapę, powoli, jest ciężka. Gdy kłapa upada na ziemię, kurz zaczyna unosić się do góry. Kurz, który tworzy magiczne obrazy, ciemne obrazy. Nagle czuję obecność kogoś obcego za sobą. Odwracam się, nie widzę twarzy, widzę tylko jakiś kształt i ten kształt popycha mnie w ciemność, w mrok. I wtedy się budzę spocony, przerażony, jakiś nieobecny.

- Ten sen ma coś znaczyć? – pyta Iwona.

- Ty mi to wyjaśnij.

- Sny to obrazy, złe obrazy w naszej głowie. Dotykają nas mocniej gdy jesteśmy nieobecni. A w nocy nieobecność jest najbardziej niebezpieczna. A ty, przez przypadek dotknąłeś tej nieobecności podczas snu. Dotknąłeś dotkliwie i mocno.

- Według ciebie, to tylko sen, zły sen.

- Według mnie, to tylko twoja wyobraźnia, zła wyobraźnia. Nie traktuj tego tak dosłownie. Byłeś w ciemności, uciekłeś z ciemności.

Wstaję od stolika. Patrzę się w oczy Iwony, patrzę się mocniej i intensywniej niż zazwyczaj.

- Musimy odpocząć od siebie.

- W końcu to zrozumiałeś. Tak będzie lepiej dla ciebie, tak będzie lepiej dla mnie.

Odchodzę. Czuję wzrok Iwony na moich plecach. Skręcam w ulicę Floriańską. Wracam do domu. Tłum ludzi, ciężko jest iść do

przodu. Tłum zabija, tłum niszczy, tłum daje siłę. Daje siłę tym co są silni, ci co są słabi tracą siłę przez tłum.

W domu jem kolację, jajecznicę z pomidorami i z cebulką. Czuję się szczęśliwy. Jedzenie uszczęśliwia. Dobrze jedzenie. Skaczę po kanałach telewizyjnych. Kawałek filmu tego, potem kawałek filmu tamtego. Zabijam czas. Telewizja to zabijanie czasu. Mało w niej nadziei, mało w niej radości. Złe filmy, złe programy, głupie programy. I my, którzy musimy w tej głupocie uczestniczyć. Świadomie lub nieświadomie.

Znudzony idę do łóżka. Włączam radio. Kładę się spać. Leżę w łóżku i słucham. Tylko radio mnie uspokaja. Mniej w nim nienawiści, mniej w nim rozpacz.

Zamykam oczy. W radiu leci jakieś słuchowisko. Uruchamiam wyobraźnię. Marzę.

Przyszłość, daleka przyszłość. Ludzie zostali zaatakowani przez wroga, niewidzialnego wroga. Wróg przybył z kosmosu. Nikt go nie widział, nikt nie wie jak wygląda. Najgorszy wróg to niewidzialny wróg. Najgorsze niebezpieczeństwo to niewidzialne niebezpieczeństwo.

Siedzimy w okopach. Czekamy. Na co? Tego nie wie nikt. Nie znamy przeciwnika. Jest niewidzialny, niewidoczny. Tak naprawdę tylko wiemy, że przegrywamy. Wszędzie. Wiemy też, że nie wygramy. Nie ma nic i nie będzie już nic.

Ciągle słyszeć gdzieś w oddali metalowe zgrzyty, jakby ktoś ocierał metal o metal. Dźwięk jest przerażający, ociera się o jakiś obłęd, o jakieś zwątpienie. Nie wiemy nic. Najgorszy jest wróg, którego nie znamy.

Siedzimy w okopie. Milczymy. Jest noc. Mglista, ciemna noc.

- Podobno mgła zabiera ludzi. Znikają – mówię cicho, prawie szeptem.

- Podobno wróg jest niewidzialny – mówi Janek. – Jest, a razem go nie ma.

- Nie można zniszczyć czegoś, czego nie ma. Czego nie można dotknąć – mówi Paweł.

- Czas. Liczy się czas. Czas, żeby wszystko opóźnić – mówi Ku-ba.

Znów milczymy. Patrzymy się w coraz gęściejszą mgłę. Mgła jest mokra, wilgotna, niebezpieczna.

- W innym oddziale jest ktoś, kto był blisko wroga – mówi Paweł.

- Widział go? – pytam.

- Nie. Nie znam nikogo, kto widział wroga. Przybył z kosmosu, tak mówią. Przybył i zdobył całe miasta, całe kraje – mówi Paweł.

- Krakowa nie ma. Warszawy nie ma.

- Nie ma już niczego. Tylko resztki ludzi na całym świecie walczą.

- Walczy, o co? – pytam.

- O godność. Gdy wróg jest niewidzialny, najważniejsza jest godność.

- Godnie umrzeć – zamyślam się. – Czy to ma sens?

- Godna śmierć zawsze ma sens – mówi Kuba, patrząc się przed siebie.

Znów słysząc w oddali zgrzyt, metalowy zgrzyt. Zgrzyt jest wszędzie, zgrzyt jest nigdzie.

- Chciałbym zobaczyć wroga zanim umrę – mówię poprzez ciemność.

- To takie ważne dla ciebie? – pyta Janek.

- Myślę, że tak. Gdy umieramy, chcemy dostrzec śmierć koło siebie. Dostrzec ją i zrozumieć.

- Śmierci nie da się zrozumieć. Śmierć to ciemność. Śmierć to zatrącenie. Odchodzimy w ciemność pełni jakiegoś zatrącenia.

Mgła dotarła do okopów. Już śpimy w tej mgłę, jak w jakiejś miękkiej poduszce.

W oddali słyszę strzały. Dochodzą z innych okopów. Wszyscy milczą. Czuję śmierć koło siebie.

Świat się kończy i my kończymy się wraz z tym światem nieświadomie.

Słyszę metalowy zgrzyt nad głową. Zaczynam strzelać. Wszyscy strzelamy, na oślep, do góry. Mgła jest tak gęsta, że nie widzę już Janka, Pawła, Kuby. Zniknęli.

Czuję, że coś unosi mnie do góry. Wciąż strzelam na oślep. Chciałbym zobaczyć wroga, chciałbym zobaczyć swoją zbliżającą się śmierć choćby na chwilę. Wciąż unoszę się do góry. To koniec,

myślę. I nagle wydaje mi się, że coś widzę. Widzę jakąś twarz nad sobą. Otwieram szerzej oczy. To moja twarz. A więc wróg jest mną, jest każdym z nas. Walczymy ze sobą, ze sobą ze wszystkich sił. Tracę świadomość...

Wyłączam radio. Zasypiam. Też jestem we mgle. Mgła unosi mnie w ciche zakamarki snu. Dobrego snu.

Rano budzi mnie deszcz ocierający się cicho o okna mieszkania. Deszcz dotyka szyby, głaszcze ją, a potem cicho schodzi na dół, jak krople płaczu za czymś czego nie ma i nigdy nie było. Bo deszcz to coś co jest, bo deszcz to coś czego nie ma.

Leżę w łóżku, nie otwieram oczu, jeszcze nie otwieram oczu, bo coś z przeszłości wciąż we mnie jest, to dobre, ciepłe wspomnienie i ja nie chcę stracić tego dobrego, ciepłego wspomnienia. Chcę je zatrzymać jak najdłużej w sobie, choćby o kilka minut, bo dobre wspomnienia to minuty, sekundy, rzadko godziny.

Kryspinów, tam się jeździło w wakacje. Zalew, ciepła woda, lasek i my na ręcznikach, młodzi, szczęśliwi, jeszcze nie zniszczeni przez świat, przez ludzi.

Rowerki wodne, wypływało się nimi daleko, aż pod plażę nudyistów. Tam się na chwilę zatrzymywaliśmy. To było coś, ludzie którzy nie bali się swoich ciał.

Czasami pływało się kajakami. Czasami bawiliśmy się w gonitwę w wodzie. Ktoś kogoś gonił, potem ktoś inny gonił kogoś innego. To były dobre czasy, magiczne czasy.

W lesie był zawieszony ekran między drzewami. Wieczorem wyświetlane były filmy. Lepsze, gorsze, nie miało to dla nas znaczenia. Brało się samochód i jechało się do Kryspinowa, żeby przeżyć swoje życie jeszcze bardziej. Jeszcze bardziej oznaczało mocniej. Czasami nam się to udawało lepiej, czasami gorzej, ale próbowaliśmy. Czasami na siłę.

Gdy się chciało popływać, gdy było ciepło i słonecznie, to szło się na otwarty basen Clepardia. Tam patrzyło się na dziewczyny, tam się pływało, tam się uciekało od codzienności. W tamtych czasach najważniejsze było, żeby wciąż uciekać od codzienności.

Codziennosc zabija. Zabija tych, którzy sa mlodzi, zabija tych, którzy jeszcze czegoś oczekują od życia.

Uśmiecham się. Otwieram oczy. Wstaję. Podchodzę do okna. Całe miasto zanurzone jest w wodzie. Woda jest wszędzie, woda jest nigdzie.

Miasto jest wyłączone, myślę. Duże miasto, dużo żyć. Duże miasto, dużo możliwości. Duże miasto, dużo kłamstw. Duże miasto, dużo krzywd. I ja w tym dużym mieście. W mieście tysiąca możliwości, w mieście urojonych krzywd. Ja, całkiem sam. Zagubiony. Samotny. Rozczarowany. Rozczarowany, bo wiem, że setki żyć mogą dotyczyć tylko wybranych ludzi, a ja na pewno do tych wybranych ludzi się nie zaliczam. I wiem, że nie będę się nigdy zaliczać pomimo szczerych chęci, pomimo szczerych pragnień.

Patrzę dalej za okno, dalej za horyzont. Staram się przebić wzrokiem deszcz, jego potęgę, jego słabość.

W mieście można zostać duchem albo człowiekiem. Można błędzić albo marzyć. Można dotykać mgły albo można dotykać ludzi. Ich ciał, ich emocji, ich pragnień.

Myję się, golę, ubieram. Wszystko robię wolno, zbyt wolno. Sobota, dzień wolny. Nic nie muszę, nic nie chcę, do niczego nie dążę.

Jajecznicą z boczkiem, z cebulą, ze szczypiorkiem. To poprawia humor, nawet w deszczowy dzień. Włączam telewizor. Jem i pstrykam po kanałach. Bzdury, powtórki, nic co może człowieka jakoś rozwinąć. Telewizja więcej rzeczy zabija w człowieku niż daje. Potem patrzę za okno. Deszcz powoli się wycisza, zamiera. A potem następuje cisza. Woda przestaje żyć w powietrzu.

Widzę coraz więcej życia na ulicach. Ludzie się budzą, tak jak ja, powoli do życia.

Jadę na rynek, myślę. Pochodzę, powspominam, może coś kupię w jakimś sklepie. Co, jeszcze nie wiem. Może książkę, może płytę, może jakąś koszulę. Lubię koszule, dają mi jakąś wolność, jakąś równowagę.

Patrzę się w lustro w przedpokoju. Czeszę włosy i wychodzę z domu. Powoli, sennie, ale wychodzę. Jestem duchem tego miasta, cichym, bezimiennym duchem. Jednym z wielu. Duchem, który czasami chce zobaczyć swoje miasto na żywo.

Gdy dojeżdżam do dworca niebo robi się błękitne, ciepłe. Słońce nieśmiało wynurza się zza chmur. Czuję ciepło, dobre ciepło w powietrzu.

Przy Bramie Floriańskiej na murach wiszą obrazy, jak zawsze. Zatrzymuję się. Patrzę się na nie z uwagą. Pejzaże, akty kobiet, coś w stylu francuskim, Kraków, komercja nastawiona na turystów. Dobre obrazy, obrazy bez żadnych ambicji artystycznych.

Idę ulicą Floriańską. Znów tłum ludzi. Obca mowa, obce gesty, obce spojrzenia. Nie czuję się dobrze w swoim mieście.

Na końcu ulicy, tuż przy samym rynku widzę tłum ludzi, tłum który na chwilę zamarł. Zatrzymuję się.

Mężczyzna, około pięćdziesięciu lat, siwe włosy, długie, niebieskie oczy, trochę matowe, trochę przyblakłe, żongluje kilkoma piłeczkami w powietrzu. Jest dobry, bardzo dobry. Potem pokazuje jakieś sztuczki kartami. Karty znikają, pojawiają się, czasami wśród publiczności.

Oklaski. Ktoś coś wrzuca do kapelusza artysty. Ludzie odchodzą. Podchodzę do mężczyzny, który odpoczywa siedząc na ulicy, na małym drewnianym stołeczku.

- Zatrzymać ludzi, obcych ludzi na ulicy to prawdziwa sztuka. Nie każdy to potrafi.

- Każdy, kto przełamie strach w sobie to potrafi. Najgorszy wróg człowieka, strach. Strach zabija, strach niszczy, czasami strach wyzwala.

- Wyzwala? – dziwię się.

- Wyzwala dobre rzeczy w człowieku, wyzwala złe rzeczy w człowieku.

- Uzbierałeś na obiad? – patrzę się na kapelusz.

- Nie za dużo tego, ale zawsze coś.

- Zapraszam na obiad.

- Na pewno?

- Tak. Sam coś chętnie zjem.

Idziemy ulicą Grodzką. Jakaś mała knajpka. Obiad dnia. Wchodzimy. Jemy zupę pomidorową i kotlet mielony z ziemniakami, do tego jakaś surówka.

- Dlaczego mi pomagasz? – pyta mężczyzna.

- Coś robisz, żeby przeżyć. Inni nie robią nic i też chcą przeżyć. Pożycz, dołóż się, akurat dzisiaj, te słowa bołą bardziej niż bezradność tych ludzi.

- Nie jest sztuką być kimś. Sztuką jest być nikim.

- Twój wybór?

- Tak. Chcę być nikim. Wolę być nikim. Dążę do tego, żeby wciąż być nikim.

- To pomaga?

- Bycie nikim to jakaś forma odwagi. Nic nie muszę, nic nie chcę, do niczego nie dążę. Tak jest łatwiej, choć czasami trudniej.

- Gdzie mieszkasz?

- W podziemiach, na obrzeżach rynku.

- Gdzie? – dziwię się.

- Koło Teatru Słowackiego, na ulicy Świętego Krzyża jest kamienica. Tam są piwnice i przez te piwnice można wejść do podziemi.

- Skąd znasz to miejsce?

- Przypadek. Dobre rzeczy to suma przypadków. Dobrych przypadków.

Kończymy jeść. Wychodzimy na ulicę Grodzką. Słońce dotyka naszych twarzy. Dotyka łagodnie i cierpliwie.

- Chcesz zobaczyć mój dom?

- Chcę.

- Zapraszam.

Mały Rynek, ulica Świętego Krzyża, zbliżamy się do Teatru Słowackiego. Ostatnia kamienica. Wchodzimy bramą do środka. Mężczyzna patrzy, czy nas ktoś nie widzi. Wchodzimy schodami do piwnicy. Ciemność, potem szare, popękane światło, połamane światło, jeden zakręt, drugi zakręt, kurz, szary kurz, jest wszędzie, jest nigdzie, szczur pod nogami i ostatnie metalowe drzwi na końcu piwnicy. Zgrzyt zamka i wchodzimy. Znów schody i ciemność, wszechogarniająca ciemność. Potem strach, pierwszy, drugi i ostatni. Gdy pojawia się w końcu światło strach znika.

Idziemy prosto długim korytarzem. Stęchlizna, wilgoć, kurz. Na końcu korytarza kolejne drzwi. Otwieramy je, znów ciemność i światło. Mężczyzna zatrzymuje się, zamiera.

- Oto moje mieszkanie.

Widzę ogromne pomieszczenie. Na ziemi leżą koce, kilka kocy w różnych miejscach. Jakies rury na których wiszą jakieś ubrania. Przeszłość dostosowana do teraźniejszości.

- Mieszka tutaj kilka osób.

- Kilka? – mój głos odbija się cicho od ścian, od ciemności schowanej w tych ścianach.

- Tak. Mieszka tutaj były magik, były malarz, były kierowca cyrku, podróżnik który wszystko już widział i aktor filmów dla dorosłych. Każdy z nich żyje na pograniczu snu i jawy.

Przyglądam się bliżej pomieszczeniu, panuje w nim jakiś nieład, jakieś zwątpienie. Widzę metalowe kubki, jakieś talerze, ciuchy powieszane na rurach, widzę kilka książek, widzę radio, małe turystyczne radio.

- Kilka osób w jednym miejscu? Nie niszczy to waszej wolności?

- Każdy żyje inaczej, każdy czuje inaczej. Unikamy konfliktów. Ktoś, kto jest nikim nie musi walczyć z innymi o rzeczy zbędne, niepotrzebne.

- Nauczyliście się żyć w tym mieście.

- Kraków to miasto, gdzie człowiek bez perspektyw jest sobie w stanie sam poradzić. Są jadłodajnie, są miejsca gdzie można się umyć, wykapać, są miejsca gdzie można sobie wyprać brudne rzeczy. Zaradny człowiek nie zginie w tym mieście.

- Bezradność to choroba naszych czasów.

- Ludzie tacy jak ja zawsze mieszkają w mroku, pod ziemią. Mrok to wolność, mrok to wyzwolenie. To co teraz widzisz to świat ludzi znikąd. Oni już nigdzie nie idą, do niczego nie dążą. Żyją w ciemności. Jedyny ich przyjaciel to mrok. Świat o nich zapomniał, oni zapomnieli o świecie. Każdy z nich otarł się kiedyś o jakiś nałóg. Teraz są wolni. Wolni na swój własny sposób. Dla każdego z nich wolność znaczy coś innego.

Przez chwilę milczymy. Ja milczę, mężczyzna milczy. W końcu ja mówię:

- Wolność to zawsze jakiś wybór, jakiś kształt. Wolność to ucieczka od złych ludzi, od złych przyzwyczajęń. Czasami ucieczka od samego siebie.

- Ucieczki od nas samych są najtrudniejsze. Są najbardziej bolesne, są najbardziej prawdziwe.

Słyszę nad sobą hałas, to chyba tramwaj albo autobus.

- Magik był kiedyś kimś, żył inaczej. Potem coś stracił, coś ważnego i postanowił być nikim. To mu pomogło, to go wyzwoliło. Malarz tworzył swoje obrazy, tylko swoje, malował tylko to co czuł. Obrazy się nie sprzedawały. W końcu je spalił w dużym ognisku. Patrzył jak płoną. A potem uciekł w niebyt, w obojętność. Teraz czuje się lepiej. Gdy zrozumiał, że już nic nie musi, poczuł się znacznie lepiej. Kierowca z cyrku wciąż wędrował po świecie. Różne kraje, różni ludzie. Był zmęczony, obojętny. Obojętność go raniła coraz mocniej. A jak coś nas rani coraz mocniej, to ta rzecz nas za chwilę zniszczy. On tego nie chciał. Zostawił cyrk, zostawił cały swój świat za sobą. Podróżnik widział wiele, zbyt wiele. I to zbyt wiele go prawie zniszczyło, prawie go zabiło. Żyje bo miał szczęście, dużo szczęścia. Podróże zabijają, niektórych na chwilę, innych na zawsze. Teraz żyje w swoim małym świecie i to mu wystarcza. Aktor filmów dla dorosłych poczuł nagle zmęczenie, wypalenie zawodowe. Uciekł z Niemiec, bo tam żył, pracował. Teraz odpoczywa po wszystkich złych rzeczach, które widział w życiu. Każdy człowiek, inna historia. Inna prawda.

Wracamy na ulicę Świętego Krzyża. Znow światło, znow wolność. Patrzę się w oczy mężczyźnie.

- Życzę ci, żebyś był nikim jak najdłużej.

- Dziękuję.

Żegnamy się. Każdy idzie w inną stronę. Wracam do domu. W mieszkaniu włączam sobie muzykę. Stary, dobry rock. Ciało odpoczywa, dusza odpoczywa. Czasami nic nie muszę robić. Mogę tylko być. Czekać. Zamierać. Być sobą.

Bycie sobą daje dużą ulgę. Nie każdy to potrafi. Ja potrafię to tylko czasami. Bardzo rzadko. Pracuję intensywnie nad tym bardzo rzadko. Już są pierwsze efekty. Małe, skromne efekty.

Muzyka mnie usypia. Oczy same się zamykają, odchodzą w nieznane.

Po chwili już śpię. Sen jest ze mną. Sen jest poza mną.

Oddycham równo, krótko, czasami płytko. Ale czuję się dobrze, zbyt dobrze w ciemności.

- Idziemy na spacer? – pyta Weronika lekko czesząc włosy przed lustrem.

Jest sobota, ciepła, słoneczna sobota. Światło na niebie jest ostre, wyraziste. Światło dotyka ludzi, potem ich przenika, a potem od nich ucieka, zabierając coś co jest ważne w człowieku, coś co jest istotne w człowieku.

Wychodzimy z domu. Trzymamy się za ręce. Czuję ciepło Weroniki. Dobre ciepło. Weronika nic nie mówi, o czymś myśli, o czymś odległym, widzę to w jej oczach.

Dochodzimy do Parku Wyspiańskiego. Przechodzimy przez działki, które otaczają ten park i już jesteśmy w środku. Siadamy na ławce.

- Po co mnie tutaj przyprowadziłaś? – pytam.

- Myślisz, że jest jakiś powód? – Weronika lekko mruży oczy, jest jak kot, przyczajony kot na polowaniu.

- Wiem, że jest. Znam cię tak dobrze, po prostu to wiem.

- Masz rację – Weronika całuje mnie w policzek. – Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- Czasami trzeba być cierpliwym, żeby zauważyć coś ważnego. Musimy poczekać.

Więc czekamy. Czekam ja, czeka Weronika. Dzieci jeżdżą po betonowych alejkach, na rowerach, na wrotkach, na deskach. Matki spacerują z dziećmi w wózkach. Dwaj mężczyźni piją piwo na ławce. Polska, cały kraj w pigułce, w jednym miejscu.

Nagle Weronika się ożywia. Na coś patrzy. Potem cicho do mnie mówi:

- Popatrz na parę starszych ludzi. Idą za rękę, tam, po prawej stronie.

Widzę ich. Idą powoli, jakoś sennie. Siadają na ławce.

- Ona jest chora, ma Alzheimera. Dzisiaj wszystko pamięta, jutro już nic.

- Wiele osób na to choruje, zbyt wiele.

- Tak. Ale on codziennie stara się, żeby rozkochać ją na nowo. Kupuje jej kwiaty, ciasteczka, głaszcze ją po włosach, całuje w usta, robi to codziennie, żeby miłość znów do niej wróciła. I wraca. Widać to w jej oczach, w jej gestach rąk, w jej uśmiechu. Ona się w

nim zakochuje na nowo każdego dnia. A potem nic nie pamięta. I mężczyzna znów musi ją rozkochać następnego dnia. Każdy dzień to nowa miłość między nimi. To jest piękne. Cierpliwość tak dobrze ukryta w miłości.

- Nie każdy by tak potrafił.

- Jeśli kochasz kogoś na tyle mocno, że czasami brakuje ci powietrza, gdy nie masz tej osoby przy sobie, to zrobisz wszystko, absolutnie wszystko, żeby tę miłość ocalić. Będziesz walczył, cierpliwie walczył o każdy uśmiech, o każdy gest, o każdy oddech. Miłość to cierpliwość schowana w małych gestach, w małych oddechach, w małych uśmiechach.

Para starszych ludzi wstaje z ławki. Wychodzą z parku. Wychodzą cicho, bezimiennie, szczęśliwie.

- Długo ich obserwowałaś?

- Kilka razy. Na początku nie wiedziałam o co chodzi. Usiadłam obok nich na ławce. Jakiś znajomy przechodził obok nich. Mężczyzna wstał i rozmawiał o chorobie żony. I wtedy już wszystko wiedziałam. Patrząc na nich czułam, że miłość może mieć jakiś sens, jakieś znaczenie. Miłość może mieć sens nawet wtedy gdy pojawia się ciemność, gdy pojawia się mrok. Może właśnie wtedy miłość ma większe znaczenie, większy sens. Bo miłość schowana w ciemności bardziej docenia światło, które się koło niej pojawia.

Wstajemy z ławki. Wychodzimy z parku. Kupujemy sobie lody. Idziemy między domkami jednorodziinnymi w kierunku domu. Mamy czas. Sobota, dzień wolny dla mnie, dzień wolny dla Weroniki.

Wieczorem sobie coś obejrzymy. Jakiś dobry film. Zrobimy sobie dobrą kolację. Popatrzymy sobie w oczy. Docenimy czas spędzony razem. Chwile, dobre chwile łączą ludzi. Drobne, nieistotne chwile czasami znaczą więcej niż chwile pełne przepychu, chwile pełne pogardy wobec ciszy.

Wchodzimy do domu. Staramy się razem dotknąć dobrego czasu który jest między nami. Staramy się ten czas zrozumieć. Przyjaźń jest blisko nas. Zbyt blisko.

Spacer, ucieczka z murów w jasny, ciepły dzień. Weronika niczym ptak w kolorowej sukience, jej włosy lekko unoszą się do góry przez prawie niewidoczny wiatr.

- Spotkałam ostatnio Anię – mówi Weronika, mówi niczym mały promyk słońca, który wydostał się spomiędzy chmur i dotknął ziemi.
– Wróciła z Dolnego Śląska.

- Co tam robiła?

- Mieszkała pół roku. Zawsze marzyła o domku jednorodzinnym, gdzieś na uboczu, na pustkowiu i jak zmarła jej babcia odziedziczyła taki domek. Pustkowie, cisza, całkowity brak ludzi.

- Była szczęśliwa w tym miejscu?

- Na początku tak. Wszystko wydawało się doskonale. Ale potem coś się zmieniło. W niej, w krajobrazie, w pogodzie.

- Co może się zmienić w miejscu, o którym marzymy przez całe życie?

- Powiedziała mi, że krajobraz zabija ludzi.

- Krajobraz – dziwię się.

- Tak. Krajobraz. Coś było nie tak z tym miejscem. Przypomniła sobie, że na stypie rodzina mówiła, że babcia wyszła z domu w gęstą, białą mgłę, poszła w kierunku lasu i skoczyła w przepaść. Ludzie mówili, że to przypadek. Mgła, brak orientacji, słaba widoczność. Ale teraz Ania mówi, że to nie był żaden przypadek. Krajobraz zabija ludzi, tak dokładnie powiedziała.

Przez chwilę milczymy, idziemy przed siebie. Weronika o czymś myśli, ja myślę o tym, co mi teraz Weronika powiedziała.

- Domek był na uboczu. Miejsce ciche, bezimienne. Ludzie cisi, bezimienni. Teraz wróciła do Krakowa i nie chce tam już wracać.

- Strach zabija całą radość w człowieku. Zabija ostatecznie.

- Powiedziała, że wieczorami pojawia się mgła. Gęsta, biała mgła. Ludzie błądzą w tej mgle. Gdzieś wychodzą, do czegoś idą, często do lasu, a potem wracają do swoich domów. Nic nie pamiętają. Czasami nie wszyscy wracają. Mgła ma w sobie jakąś moc, jakieś przyciąganie, takie przyciąganie, które zabiera nas w nieznane zakamarki naszej duszy.

- Dziwne. Coś ich uzależnia, coś ich nakłania do bycia nie sobą. Bycie nie sobą nie jest przyjemną rzeczą. Bycie nie sobą to udręka, zarówno dla ciała jak i dla duszy.

- Koło jej domu widać góry. Góry przypominały jej jakiś wykres życia. Było w nim widać wzloty, upadki. Czasami góry wyglądały jak jakiś wskaźnik temperatury, taki wskaźnik jaki widać w szpitalu,

przy łózkach pacjentów. Ania powiedziała, że krajobraz czerpie siłę z udręczonych ciał. Zabiera ich energię i duszę.

- Nigdy tam już nie wróci?

- Nigdy. Sześć miesięcy to i tak zbyt dużo, tak powiedziała. Kilka razy sama wyszła z domu w tę mgłę. Nic nie pamiętała. Szła z innymi w kierunku lasu. To jakiś obłąd, powiedziała. Uciekła stamtąd, póki jeszcze mogła. Czowała, że ma coraz mniej siły, żeby się bronić przed tą mgłą. To takie miejsce gdzie nic nie ma znaczenia, bo jedynym znaczeniem jest noc, bo jedynym znaczeniem jest mgła, która do czegoś ludzi prowadzi.

- Do czego prowadzi?

- Do czegoś nieznanego, do czegoś ukrytego w ciemności.

Siadamy na ławce. Patrzymy się na ludzi. Na ich kroki, na ich zamęt, na ich zauroczenie życiem. Swoim życiem.

- Niektórzy nigdy nie wyjadą z tego miasta.

- Na pewno nie wyjedzie z tego miasta Ania. Wyleczyła się ze swoich marzeń o domku na uboczu miasta.

Patrzymy się w niebo. Wysoko leci samolot. Prawie go nie słyszeć, prawie go nie widać.

- Niektórzy lubią uciekać z miasta. Ale są to ucieczki chwilowe, krótkoterminowe.

- Wakacyjne – mówi Weronika.

- Wakacje to ucieczka od swoich przyzwyczajeń. Ucieczka, która ma nam udowodnić, że potrafimy jeszcze żyć inaczej, że potrafimy kochać inaczej.

- Kochać, kogo?

- Siebie, innych, świat.

- Jeśli coś jeszcze kochamy, to znaczy że wciąż żyjemy.

Wracamy do domu. Szczęśliwi, wypoczęci, odmienieni. Nasyceni sobą.

Kurtki oddajemy do szatni. Dostajemy numerek. Wchodzimy na wystawę do Mangghi, tam zawsze jest coś innego, zawsze coś nowego, zawsze coś świeżego. Weronika lubi tutaj przychodzić. Zarażała mnie tym swoim lubieniem. Teraz ja też lubię tutaj przychodzić.

W środku zawsze półmrok. Zaczynamy od lewej strony. Wszystko jest podświetlone jasnym światłem. Ciepłym światłem.

Na wystawie stroje japońskie, na każdą okoliczność. Przedmioty codziennego użytku. Chodzimy, robimy zdjęcia.

- To inny świat – mówi cicho Weronika. – Świat wydobyty z jakiejś ciemności. Ich kultura to jakaś ciemność dla nas. Jakieś niezrozumienie.

- Inaczej żyli, inaczej umierali.

Idziemy dalej. Oglądamy jakieś zdjęcia. Znani artyści z Japonii. Zdjęcia są futurystyczne. Miasta jakby z przyszłości. Zdjęcia są ciemne, mroczne. Myślę, że cała Japonia to jakaś ciemność, jakiś mrok. Jakieś niedostrzeżenie.

Na końcu wystawy wiszą jakieś obrazy. Przedstawiają codzienne życie. Dawne życie. Łodzie rybackie na morzu. Małe łodzie. W oddali wyspy. Małe wyspy. Samuraje w swoich strojach. Kobiety parzące herbatę. Mężczyźni pijący sake. Jakieś tańce, obrzędy. Dawny świat, zapomniany świat.

Wychodzimy z wystawy. Bierzymy swoje kurtki. Schodzimy schodami na dół. Po prawej stronie kolejny budynek. Kolejna wystawa. Wchodzimy do środka.

Samuraje, ich stroje. Samuraje, ich życie. Oglądamy wystawę. Weronika robi zdjęcia. Stroje samurajów oszałamiają swoim wyglądem. Ich miecze, ozdobne rękojeści, to robi wrażenie. Śmierć zanurzona w sztuce. Można zabić człowieka pięknym mieczem. Czy to ma znaczenie, myślę. Czy człowiek, gdy umiera, potrzebuje piękna koło siebie? Czy piękno może zabić ból w człowieku, ból odejścia? Nie wiem i pewnie się dowiem dopiero na końcu. Jak każdy.

Wychodzimy z wystawy. Weronika jest zadowolona. Jej oczy mają w sobie dawny blask Japonii.

- Co o tym myślisz? – pytam.

- Człowiek tak mało widział w życiu. Zbyt mało. Inna kultura to zawsze jakaś tajemnica. Jakaś odpowiedź na pytanie, czy jest Bóg, czy jest jeszcze jakaś przyszłość dla nas po śmierci?

- Przyszłość?

- Śmierć to podróż w nieznane. Wsiadasz do jakiegoś pociągu i jedziesz przed siebie. Jedziesz sam. Sam w dużym pociągu, który jest pełen jasnego światła. Ciepłego światła. A potem jest jakaś odpowiedź na to światło. Ciepłe światło.

- Wierzysz w to światło?

- Wierzę, że coś się kończy, a potem coś się zaczyna. I to daje mi nadzieję na przyszłość.

Siadamy na małym murku koło Wisły. Za sobą mamy Mangghę, przed sobą Wawel. Nic nie mówimy. Dobry czas nie wymaga słów, tak jak dobre wspomnienie.

- Czas wracać – mówi Weronika po chwili.

I wracamy. Jakoś odmienieni tą wystawą. Jakoś szczęśliwi.

Szczęście to poznawanie ludzi, poznawanie rzeczy które są dla nas obce, nieznane. Poznawanie z bliską osobą.

Ciemność. Ciemność lekka, swobodna, czuła. Taka ciemność, która sprawia, że gdzieś uciekamy. W moim przypadku jest to ucieczka donikąd. Tak naprawdę nawet nie poczułem tej ciemności w sobie. Nie poczułem jej tak dosłownie i boleśnie.

Lekkie ukłucie. Prawie nic. Brak świadomości. Prawie nic. Ucieczka w nieznane. Prawie nic. Coś na podobieństwo Boga. Boga, który daje nam szansę na nieskończoność.

Gdy się ocknąłem siedłem przez las. Siedłem jak ktoś prowadzony po jakiejś niewidzialnej nitce. Potykałem się. Ktoś mnie pchał do przodu. Pchał, ale delikatnie. I wtedy pojawił się w mojej głowie zamęt. Iwona mówiła, coś mi grozi, coś mnie może pchać w ciemność. I tak się stało. Zamęt uświadomił mi, że życie to jakiś kres. Kres nieskończony. I my do tego kresu musimy dążyć za wszelką cenę. Tak naprawdę zamęt miałem w głowie od dłuższego czasu. Weronika, Iwona, zamęt. Mądrość i szaleństwo, zamęt. Brak możliwości podjęcia dobrej decyzji, zamęt. I całe moje niepokładane życie, mroczne życie, zamęt.

Upadam, potykam się o jakiś korzeń. Ktoś mnie podnosi. Chyba powoli odzyskuję siły. Wzrok mi się wyostrza. Dostrzegam kobietę za sobą. Rude włosy falują w lekkim wietrze pomiędzy drzewami.

- Musisz to robić? – pytam.

- Muszę – płonące, węglowe oczy mają w sobie jakąś złość, jakieś zwątpienie.

- Śmierć nie oczyszcza duszy. Śmierć zostawia ślad, niewidzialny ślad w głowie. Chcesz mieć ślady w głowie? Złe ślady.

- To układanka. Układanka, która powoli się kończy. Iwona za chwilę zrozumie, za chwilę dostrzeże, że przeszłość zawsze zostawia ślad na naszej duszy. Zła przeszłość.

- I ja muszę w tej przeszłości uczestniczyć?

- Jesteś ważną częścią tej przeszłości.

Liście ocierają się o moją twarz. Ręce mam wciąż związane. Pamiętam swoją klatkę i to uklucie, które nawet nie bolało. A teraz ten las. Zły las.

Widzę polanę. Dużo liści na tej polanie. Liście kolorowe we wszystkich odcieniach tęczy. Z oddali słyszę wycie wilka. Tak, to chyba wilk. Jego wycie odbija się od drzew, od wszystkiego, nawet od moich myśli.

- Mógłbym krzyczeć.

- Wiele rzeczy mógłbyś. Ale jest już za późno na to twoje mógłbyś. Straciłeś szansę na inne możliwości tego twojego mógłbyś. Liczy się to co jest teraz. A teraz to mógłbyś już nie ma znaczenia. Znaczenia istotnego.

- Jak masz na imię?

- Matyllda – odpowiada kobieta, a potem klęka i rozgarnia rękami liście w kolorze tęczy.

Pojawia się metalowa kłapa. Matyllda przekręca klucz w tej kłapie, w zasadzie przekręca klucz w kłodce i wstaje z ziemi.

- Musisz tam wejść.

- Muszę?

- Tak, musisz. Zejdiesz po drabince na dół.

I tak się dzieje. Schodzę w ciemność po metalowych prętach drabiny.

Ziemia mnie pochłania, a może to ja pochłaniam ziemię. Ciemność mnie pochłania, a może to ja pochłaniam ciemność.

Kłapa się zamyka. Jestem sam. Sam ze sobą. Sam ze swoim czasem. Sam ze swoją obojętnością wobec tego czasu. Złego czasu koło mnie.

Matyllda przedziera się przez las. Jej rude włosy ocierają się o szorstkie gałęzie. Jej oczy płoną. Płoną coraz mocniej, coraz intensywniej. To ogień, nie można go niczym ugasić. To ogień nienawiści.

Matylda coś słyszy za sobą. Czyjeś kroki skradają się za jej plecami. Odwraca się, widzi małego chłopca. Chłopca o ciemnych, prostych włosach aż do ramion. Oczy tego chłopca to błękit, to wszystkie odcienie błękitu, które pojawiają się czasami na niebie.

- Znasz mnie, wiesz kim jestem – mówi chłopiec.

- Wiem – odpowiada Matylda. – Bywasz u mnie w snach. W snach, których prawie potem nie pamiętam.

- Sny to co innego. Życie to co innego. Ważne, że wiesz kim jestem.

- Wiem, a przynajmniej czuję kim jesteś.

- Czuć, to ważne. Wiedzieć to coś więcej niż słowo czuć. Czuć określa czas, miejsce, przyszłość. Czuć określa nas wtedy, gdy sami nie jesteśmy się w stanie określić.

- Ja wiem, kim jestem.

- Powiedz mi, kim jesteś? – oczy chłopca, błękitne oczy, zaczynają się mienić wszystkimi kolorami tęczy.

- Nie znam strachu. Strach to mój przyjaciel. Potrafię dostrzec strach w oczach innych ludzi. Taki strach, który paraliżuje ludzi na jakiś czas, czasami na wieczność. Nauczyłam się dobrze udawać strach, gdy jest taka potrzeba. Nauczyłam się udawać gniew, płacz po to, by żyć wśród ludzi, by ludzie traktowali mnie dobrze, normalnie. Przystosowałam się. Nie było łatwo. Wychowałam się w domu dziecka. Potem jacyś ludzie brali mnie do siebie na krótki lub dłuższy czas. Potem byłam przerzucana z jednego domu do drugiego, też na krótszy lub dłuższy czas. A potem już tylko uciekałam z tych domów. Gdy mnie w końcu łapali, wracałam znów do domu dziecka. Dom dziecka to była jedyna stała rzecz w moim życiu. Rzecz stała i bezwzględna. Rzeczy stałe i bezwzględne w życiu każdego człowieka to zło, zło ocierające się o jakąś niemoc, o jakieś zwątpienie. I wciąż tak wracałam do tego domu dziecka, który tak nienawidziłam. Czasami jedyne rzeczy stałe, które mamy w życiu to rzeczy które nienawidzimy, to rzeczy niebezpieczne. A dom dziecka był dla mnie zawsze niebezpieczny, był zawsze dla mnie jakimś zagrożeniem.

Chłopiec wciąż idzie za Matyldą. Jego kroki, małe, drobne kroki ledwo nadążają za krokami Matyldy.

- Myślisz, że jeden ból można ugasić tylko drugim bólem? – pyta chłopiec. – To wszystko co robisz to tylko jedno wielkie złudzenie. Złudzenie twoje. Twojego bólu. Okrucieństwo to oznaka słabości.

- Jestem słaba – dziwi się Matylda. – Nigdy nie byłam słaba. Czasami krucha, ale słaba nigdy.

- Wiem, jaka jesteś – mówi chłopiec. – Wiem też, kim nie jesteś. Kim się nigdy nie staniesz pomimo swoich szczerych chęci. – Chłopiec patrzy się w oczy Matyldy. – Tyle razy mnie widziałaś i wciąż widzisz zaskoczenie w twoich oczach.

Matylda się zamyśla, a potem jakieś światło dociera do jej głowy, jasne, szczerze światło. Światło niosące obrazy, dużo obrazów z przeszłości.

- Byłeś ptakiem. Kolorowym ptakiem. Byłeś mgłą, ciemną mgłą koło mnie. Byłeś chmurą, chmurą nad moją głową. Byłeś deszczem, ciepłym wiosennym deszczem. Byłeś wodospadem. Wodospadem pośród lasu.

- Zawsze byłem sobą – uśmiecha się chłopiec. – To ważne, zawsze być sobą pomimo niesprzyjających okoliczności.

Chłopiec dotyka ręki Matyldy. Matylda czuje dobro, tyle dobra koło siebie. Dobro dotyka każdej części jej ciała, dotyka każdego skrawka jej duszy.

- Jeszcze masz szansę ich uwolnić. Jeszcze wszystkie drzwi są dla ciebie otwarte. Jeszcze masz jakiś wybór. Wybór to zawsze jakaś droga. Czasami droga donikąd.

- Nie mogę tego zrobić. Całe moje życie to jakaś kara. I ja chcę teraz pewne rzeczy wyrównać, chcę o pewnych rzeczach w końcu zapomnieć.

- A więc już podjęłaś decyzję – chłopiec jest smutny, zmartwiony. – Już nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Chłopiec znika, pozostał tylko las, ciemne, złe drzewa, ciemne, złe liście, ciemne, złe odbicia księżyca na tych liściach.

Matylda idzie do samochodu. Jej kroki są ciężkie, to kroki kogoś kto zdecydował się na rzecz nieodwracalną. Na rzecz, która zmieni życie tego kogoś w sposób nieokreślony, w sposób niewybaczalny.

Byłam zła, jestem zła, będę zła. I nic tego nie zmieni. Ani ja, ani życie, ani ten chłopiec, który był dla niej jakąś nadzieją. Jakąś szansą.

Ciemność, wszechogarniająca ciemność. Cisza, wszechogarniająca cisza. Oddechy, wszechogarniające oddechy. Pustka, wszechogarniająca pustka. I ja w tej pustce zagubiony, nieobecny, zaplątany.

Jakub, cichy głos w mojej głowie. Jakub. Zawsze wiedziałeś, że kiedyś skończysz w ciemności, w mroku. W takim miejscu jak to. W miejscu niebezpiecznym, w miejscu pustym, w miejscu samotnym. Niektórzy muszą zakończyć życie w takim miejscu, w takim czasie. Taki los. Takie przeznaczenie. Jakub. Łudziłeś się, że jakaś kobieta cię od tego przeznaczenia wyzwoli. Musisz wiedzieć, że kobiety pomagają mężczyznom, często na krótki czas, nigdy na wiečność. Jakub, to co się wydarzyło, co wciąż się teraz wydarza to konieczność. Konieczność spowodowana twoimi wyborami. Złymi wyborami. Złe wybory nigdy nie niszczą człowieka od razu. Niszczą go powoli, cicho, bezszelestnie. Jakub. Nie można mieć wszystkiego. A ty chciałeś mieć w życiu wszystko. Czasami wszystko oznacza nic. Czasami wszystko oznacza przeznaczenie. Złe przeznaczenie. Jakub. Dwie kobiety, dwie miłości. Dwa światy. Tak bliskie, tak odległe. Jakub. Dobrze wiemy, że ta druga miłość dopiero rosła w tobie, dopiero się rozwijała w tobie. Pomyśl, co by było gdyby nagle ta miłość wybuchła w tobie. Jakie straty by wyrządziła w twoim życiu. Straty nieodwracalne. A teraz, cóż, wszystko jest jasne. Kres, ciemność, brak nadziei. Do takiego stanu sam się doprowadziłeś. Popatrz, jakie to dziwne. Ludzie sami doprowadzają się do ciemności, do zguby, a potem są zdziwieni, tak bardzo zaskoczeni. Nigdy nie widzą przyczyny, widzą tylko skutek. Zły skutek zanurzony w ciemności, w mroku. Jakub. Teraz czekaj, trwaj, bądź. Jakub. Teraz słuchaj siebie, mocno, intensywnie, ostatecznie. Pamiętaj, w sytuacjach ostatecznych słuchanie siebie to ważna rzecz. Ważna rzecz, bo ostateczna.

Głos znika, rozmazuje się w ciszy, w mroku.

Koło siebie słyszę ciche oddechy. Złudzenie, myślę. Ale po chwili już wiem, jestem pewien, nie jestem sam w tej ciemności.

- Jest tutaj ktoś? – pytam z lękiem, z jakąś trwogą w głowie.

Chwila milczenia, a potem dźwięk, jakiś dźwięk, który powoli układa się w jakieś słowo, zdanie, może tylko jeden wyraz.

- Tak – mówi głos numer jeden.

- Co tutaj robisz?
- To co ty. Czekam na śmierć.
- Ile czasu tutaj spędziłaś? – mówię spędziłaś, bo to głos kobiety.
- Nie wiem. Wszystko mi się myli. Ciągłe coś pęka w mojej głowie. To od wody, którą czasami dostajemy, gdy kłapa się otwiera.
- Jakiej wody?
- Co jakiś czas kłapa się otwiera, z góry dochodzi jakieś światło. Może to niebo, światło dnia, sama nie wiem. A potem na sznurku dostajemy wodę i jedzenie. W wodzie coś jest. Po jej wypiciu w głowie pojawia się jakieś szaleństwo, jakieś opętanie.
- Wciąż żyjesz. To ważne.
- Ważne jest to, że pracowałam na lotnisku, a nigdy nie latałam samolotami. Chciałam żyć w chmurach, choćby czasami, a nigdy mi się to nie udało. Brak czasu, ciągły brak czasu. A teraz mam tego czasu zbyt dużo. O wiele za dużo.
- Kim jesteś? – z ciemności dochodzi głos numer dwa.
- Nikim. Trafiłem tutaj bo spotykałem się z niewłaściwą kobietą.
- Niewłaściwi ludzie to błąd, gdy idziemy samotnie przez życie. Drogi są pełne niewłaściwych ludzi.
- Niewłaściwi ludzie, niewłaściwe miejsca, niewłaściwe pragnienia. Cały ten świat to jedna wielka niewłaściwość.
- Też chciałem żyć w chmurach. I czasami mi się to udawało. Latałem balonem, widziałem świat z góry. I czułem, że miejsce niektórych ludzi w którym powinni przebywać to chmury, to słońce, to deszcz.
- Przynajmniej próbowałeś być sobą.
- Tak, próbowałem. Często nieskutecznie – głos mężczyzny, bo głos numer dwa to był mężczyzna, teraz to wiedziałem, bardziej czułem niż wiedziałem, i ten głos mężczyzny się nagle zaczął kruszyć w ciemności, zaczął się łamać i zniknąć. Zniknął cicho, bezszelnie, niewidocznie.
- Nie wyjdziemy z tego – słyszę głos numer trzy, to głos kobiety, głos który dochodził prawie z podłogi, jeśli była tutaj w ogóle jakaś podłoga.
- Niewiadomo co będzie – mówię.

- A mogłam pływać po morzach, oceanach. A pływałam tylko jakimś małym stateczkiem po rzece.

- Zawsze to jakaś forma wolności.

- Nie zaznałam wolności tak naprawdę. Mogłam stać na mostku statku, na oceanie i patrzeć się w nieskończoność. Bo morza, oceany to tak naprawdę nieskończoność. Nieskończoność czasu, myśli, marzeń. Straciłam to bezpowrotnie.

- Wyjdziemy z tego.

- Za długo to trwa, żeby to miało jakiś dobry koniec.

A potem następuje cisza. Taka cisza, która zabija człowieka nagle, ostatecznie. I słyszę tylko oddechy koło siebie. Oddechy coraz słabsze, oddechy zanikające co jakiś czas, oddechy zmieniające się w ciszę. Ciszę, która zabiera człowiekowi wszystko. Nawet myśli.

Iwona ma związane ręce, związane nogi. Siedzi z tyłu samochodu, który powoli jedzie do przodu. Pistolet zrobił swoje. Sprawił, że strach pojawił się w jej oczach. Iwona przez szyby samochodu widzi miasto i czuje, że to miasto jej gdzieś ucieka, znika w nieznane. I to nieznane sprawia, że Iwona poprzez łzy, które pojawiają się w kącikach jej oczu, żegna się z tym miastem. To nie było złe miejsce do życia, myśli. To nie było złe miejsce żeby spełniać swoje marzenia. Niektórzy szukają takich miejsc przez całe życie i nigdy ich nie znajdują, albo ich po prostu nie zauważają. Ja miałam szczęście, dostrzegłam coś, co zmieniło moje życie na lepsze. Dostrzegłam coś, dzięki czemu mogłam być czasami szczęśliwa. To ważne, być szczęśliwym w miejscach które kochamy, w miejscach które czasami przez tę ślepą miłość niszczymy.

Mijamy kolejne ulice, kolejne twarze na tych ulicach. Mijamy kolejne światła, kolor czerwony sugeruje, że za chwilę wydarzy się coś strasznego, coś nieodwracalnego.

Miasto się kończy, mury się kończą, hałas gdzieś znika w oddali. Pojawiają się jakieś pola, przeważnie szare, matowe, jakby usypane z jakiś popiołów, jakby jakiś wulkan wybuchnął i przykrył wszystko pierzyną popielatych barw, szarych odcieni ziemi.

W oddali Iwona widzi bociany. Jakiś błysk pojawia się w jej oczach, błysk nadziei. Błysk sprawia, że strach staje się mniejszy, oddech się uspokaja. Ciało zaczyna w końcu czuć jakieś odprężenie.

W oddali widać las. Las zbliża się do nich, a może to oni zbliżają się do tego lasu. Strach wraca gdy wjeżdżają pomiędzy drzewa. Przez chwilę jadą nierówną leśną drogą, a potem samochód się zatrzymuje.

- Wsiadamy – mówi kobieta o rudych włosach i płonących węglowych oczach, a pistolet w jej ręce uświadamia Iwonie, że coś powoli zaczyna się kończyć. Jakaś rysa życia zaznacza kres jej drogi.

I to napięcie. Wciąż jest koło niej. Złe napięcie. Napięcie, które na początku było tylko w jej głowie. A teraz to napięcie jest wszędzie. I to jest najgorsze. Całe ciało zaczyna drżeć przez to napięcie, całe ciało zaczyna się jakoś kruszyć, łamać. Kruszenie nie jest najgorsze, gorsze jest łamanie. Łamanie sprawia, że jej nadzieja powoli zaczyna umierać, zaczyna uciekać w nieznane zakamarki jej duszy.

Niech to się w końcu skończy, myśli Iwona i zamyka oczy. Niech świat w końcu zniknie i ja zniknę wraz z tym światem. Znikanie nie jest najgorsze, gdy człowieka nic nie boli. Znikanie to tylko rozmazywanie wspomnień, dobrych rzeczy które otarły się o te wspomnienia, to tylko dotykane złych rzeczy, które kiedyś były, a teraz już są nieistotne, to tylko zapachy dobrych ludzi, którzy kiedyś byli koło nas i może jeszcze gdzieś są koło nas, jednak teraz, podczas tego znikania bardziej czujemy ich zapachy, mocniej czujemy ich uśmiechy, łzy, czasami grymasy i w końcu znikanie to tracenie powoli siebie, tracenie powolne, ciche, samotne. Tracenie każdej części ciała, tracenie duszy która powoli ucieka w nieznane.

- Idziemy – mówi kobieta o rudych włosach i płonących węglowych oczach.

I Iwona idzie, powoli, bezradnie, obojętnie. I Iwona znika w lesie jak jakiś cień, jak jakaś zjawą, która pojawiła się nagle, na krótki czas i teraz ta zjawą musi wrócić do swojego świata, do ciemności i ten powrót jest cichy, nieunikniony.

Las pochłania Iwonę, a może to Iwona pochłania ten las. Liście szeleszczą w cichym rytmie wiatru. Mrocznym rytmem wiatru.

Matylda czuje żar w sobie. Wszystko w niej płonie. Jakiś ogień wciąż rozpala się w niej coraz mocniej i mocniej. Ktoś nieznany, obcy, jakiś cień z ciemnych zakamarków jej duszy ciągle dokłada

drzewa do tego ognia. Przy każdym dołożeniu drzewa ogień jest coraz większy i większy. Co chwilę ogień wybucha do góry, podnosi się, opada a potem coś w tym ogniu zaczyna skwierczeć, syczeć. Drewniane pniaki rozpadają się na setki małych kawałków. Matylda czuje, że ona też w środku rozpada się na setki małych kawałków a potem te małe kawałki, zwęglone części jej duszy porywa wiatr i unosi wysoko aż do nieba. I te małe kawałki jej duszy zostają w drzewach, w lesie, zostają w polach za lasem, zostają w skrzydłach ptaków które niosą je dalej i dalej, aż za horyzont, aż w końcu te małe kawałki jej duszy zostają w chmurach, które je niosą ze sobą w nieskończoność, biorą w objęcia jak małe bezbronne dzieci, przytulają do siebie mocno, czule i wędrują z nimi aż nad morza i oceany, a tam, przez deszcz, przez jego płacz i uniesienie dostają się do głębin mórz i oceanów, i znikają tam na zawsze, na wieczność. Czasami jakaś ryba z głębin, jakiś kształt nieokreślony i nieznamy bierze te kawałki jej duszy dalej, głębiej, w mrok. A tam, w tym mroku, pośród ryb które wydają z siebie światło, mroczne światło, nie ma już nic. I te małe kawałki jej duszy zasypiają w mule na dnie oceanu. Zasypiają na zawsze. I teraz tylko jest koło nich cisza, mrok, ciemność. I teraz tylko jest koło nich obojętność, strach, zatracenie. I teraz tylko jest koło nich nic. Absolutne nic. Nic, które powoli zmierza donikąd.

Matylda czekała całe życie na ten ogień, czekała całe życie na Iwonę. I w końcu czas zatoczył jakieś błędne koło i poprowadził ją do końca tej całej historii. Historii, która wciąż była w jej głowie i nie mogła zniknąć. Bo pewne historie nigdy nie znikają z głów ludzi. Po prostu tam są i czekają na właściwy moment, na właściwy czas. I w końcu ten czas kiedyś nadchodzi. Nadchodzi szybko i niespodziewanie. I ten czas, ten właściwy moment w końcu nadszedł dla Matyldy. Dziś. Teraz. W końcu.

- Nadal nic nie rozumiesz? – Matylda patrzy się na Iwonę. – Nie widzisz żadnych podobieństw między mną a tobą?

Iwona przygląda się uważniej Matyldzie. I nagle coś się w niej budzi. Coś się w niej otwiera w środku. Jakieś drzwi wpuszczają jasne, jaskrawe światło do jej głowy.

Matylda wygląda jak ona. Te rysy twarzy, ta sama figura, ten sam wzrost, tylko włosy i oczy są inne.

- Już rozumiesz – mówi Matylda. – Jesteśmy takie same, urodziłyśmy się tego samego dnia, o tej samej godzinie, mamy tą samą matkę.

- Tą samą matkę? – dziwi się Iwona.

- Urodziła nas. Dwie małe istoty, które miały zdobywać świat, czynić go pięknym i nieśmiertelnym. I wtedy okazało się, że jedna z nas będzie miała inne życie niż ta druga. Jak to bywa w życiu, los decyduje o przyszłości. Dla mnie to był zły los. Ciebie zostawiła dla siebie, mnie dała do domu dziecka. Nie była w stanie dać mi nadziei na lepsze życie. I ty – Matylda mówi ze złością – miałaś dobre życie, miałaś rodzinę, a ja musiałam dotykać ciemności każdego dnia. Musisz zrozumieć, że dom dziecka to ciemność, zła odmiana ciemności, która zmienia w człowieku wszystko.

- Jesteś moją siostrą?

- Tak. Złą siostrą, która chce wyrównać rachunki za złe życie.

- To nie moja wina, że miałaś takie życie.

- Nie twoja. Ale ja mogłam być na twoim miejscu. A nie byłam. I moje życie mogłoby wyglądać inaczej. Całkiem inaczej.

- Gdybym wiedziała...

- Nie mogłaś wiedzieć. Ale wszystko w życiu ma swoją cenę. Ja chcę tylko wyrównać rachunki z tobą.

- Jakie rachunki?

- Rachunki szczęścia. Rachunki przepełnione jakąś namiastką szczęścia. Wiary.

Dochodzą do polany. Niebo pełne jest czarnych, bezkształtnych chmur. Chmury szybko przemieszczają się po niebie. To przez wiatr, zimny, chłodny, niebezpieczny wiatr.

- Nawet pogoda nie jest dzisiaj po twojej stronie. Bóg o tobie zapomniął dzisiaj – mówi Matylda.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

- Bóg ma ze wszystkim coś wspólnego. On wszystko widzi, obserwuje, daje szanse, czasami niszczy.

- Niszczy?

- Niszczy wiarę w człowieku. Niszczy nadzieję w człowieku.

Matylda klęka. Otwiera metalową klapę. Kłódkę rzuca daleko za siebie.

- Nie będzie już nikomu potrzebna.

Z lasu dochodzi wycie wilka. Jednego, drugiego, a potem kilka złych odgłosów unosi się nad lasem. Drzewa zaczynają szumieć niebezpiecznie. Gałęzie ocierają się o siebie. Tworzą muzykę, złą muzykę w ciemności.

Matylda wlewa benzynę w otwór w ziemi. Benzyna wlewa się w ciemność. Znika w ziemi jak zły deszcz. Słony deszcz.

Pochodnia pojawia się w ręce Matyldy.

Krzyk. Jeden krzyk przeraźliwy. Litość. Jedna litość przeraźliwa. Skarga. Jedna skarga przeraźliwa. Kara. Jedna kara przeraźliwa.

Pochodnia płonie coraz mocniej. Matylda uśmiecha się jakoś inaczej.

- Nic nie rozumiesz? Oni żyją. Wciąż żyją. Przebywają w ciemności.

- Wszyscy żyją? – głos Iwony drży, pęka, rozsypuje się na tysiące małych kawałków. Złych kawałków.

- Gdy poczujesz ich stratę, poczujesz ból, taki ból, jaki ja czułam przez całe życie.

- Daj im szansę. Oni nic ci nie zrobili.

- Są dla ciebie ważni. A rzeczy ważne, gdy je tracimy, bolą nas najmocniej. Chcę zobaczyć stratę w twoich oczach. Czekałam na to całe życie.

Matylda zbliża pochodnię do otworu w ziemi. Z ciemności dochodzą jakieś jęki, jakieś krzyki. Matylda znów się uśmiecha.

- Jeden ból można ugasić tylko drugim bólem – mówi Matylda.

Z lasu wychodzi Komisarz Rawicz, w ręku trzyma pistolet.

- Odlóż pochodnię na bok! Nie musisz tego robić!

Matylda patrzy zdumiona na Komisarza Rawicza. W jej oczach jest niepokój. Dziکی niepokój.

- Odlóż pochodnię na bok! – znów krzyczy Komisarz Rawicz i robi kilka kroków do przodu w kierunku Matyldy. Za nim pojawiają się inni policjanci, też mają pistolety w rękach.

Matylda uśmiecha się jakoś dziko. Jej oczy, płonące węglowe oczy podjęły już jakąś decyzję. Widać to w uśmiechu Matyldy.

- To koniec – mówi Matylda i rękę z pochodnią kieruje w kierunku ziemi.

I wtedy następuje strzał. Jego echo unosi się nad lasem wysoko, bardzo wysoko. Dociera do chmur. Czarnych, bezkształtnych chmur.

Dociera do wiatru. Czarnego, bezkształtnego wiatru. Dociera do burzy. Czarnej, bezkształtnej burzy, która powoli zbliża się do lasu.

Iwona klęka, zakrywa twarz rękami. W jej oczach pojawiają się łzy.

- To koniec – mówi Komisarz Rawicz i podnosi delikatnie Iwonę do góry. – Koniec złych rzeczy, koniec złych wspomnień.

Iwona patrzy się w niebo. Na niebie pojawia się burza. Pojedyncze pioruny dotykają ziemi. Ziemia drży. Drży cały świat koło Iwony. Drzewa drżą wraz z całym światem Iwony. Drżą niebezpiecznie.

- Wracamy – mówi Komisarz Rawicz.

Iwona pije kawę w pokoju Komisarza Rawicza. Minęło już kilka dni od tamtej sytuacji, złej sytuacji w jej życiu. Iwona wciąż jest roztrzęsiona.

- Jak to się mogło wszystko stać? Jak coś, co wydaje się takie odległe, nierealne, prawie wyśnione dotyka tak bardzo człowieka?

- Życie nauczyło mnie jednego – mówi Komisarz Rawicz. – Człowiek dla człowieka jest zawsze jakimś niebezpieczeństwem.

- Dobrze, że tam byliście. Uratowaliście te osoby, uratowaliście mnie.

- Kiedyś powiedziałaś, że w dniu urodzin twojej mamy na grobie były dwa znicze. Jeden twój, a drugi nie wiadomo kogo. To mnie zaintrygowało. Zbliżał się właśnie dzień urodzin twojej mamy. Czekaliśmy przy cmentarzu. I wtedy, pod sam wieczór zobaczyliśmy kobietę, młodą kobietę, była tak podobna do ciebie. Przyszła, zapaliła znicz i wyszła z cmentarza. Poszliśmy za nią. Już wiedzieliśmy gdzie mieszka. Sprawdziłem ją, trochę to trwało i okazało się, że twoja mama urodziła bliźniaki. Ciebie i ją. A że nie miała za dużo środków na utrzymanie, oddała jedną z was do domu dziecka. I już mieliśmy trop. Czekaliśmy. Coś mi mówiło w głowie, że ta kobieta, twoja siostra jest kluczem tej całej historii. Śledziliśmy ją. Gdy porwała ciebie my byliśmy cały czas w pobliżu. Szliśmy lasem za wami. A potem tylko czekaliśmy na właściwy moment żeby wkroczyć i cię uwolnić.

- Co się stanie z Matyldą?

- Jest w więzieniu. Jej głowa nie pracuje prawidłowo. Spędzi w więzieniu całe życie. Jest niebezpieczna. Ona wciąż żyje zemstą. Zemsta to jej życie. Jest zagrożeniem dla ciebie, dla innych.

- A co z jej nogą?

- Nic jej nie będzie. Zawsze dobrze strzelałem. Nie chciałem jej zabić. Chodziło o to, żeby jakoś opanować tę całą sytuację.

- Teraz moje życie się zmieni. Nie będzie w nim tyle napięcia, tyle chaosu.

- Tego ci życzę – uśmiecha się Komisarz Rawicz. – Zaczynj żyć na nowo. Spraw by twoje życie było teraz jak najbardziej wyjątkowe.

- Tak zrobię – Iwona wstaje. – Dziękuję.

Iwona wychodzi z pokoju. Jej ciało znów zaczyna być spokojne, ciche, bezpieczne. Drżenie jej ciała, złe drżenie zaczyna powoli z niej uciekać. Potrzeba czasu, myśli Iwona. Na pewne rzeczy potrzeba czasu. To zniknie. Musi zniknąć. Złe wspomnienia znikają gdy tego bardzo chcemy. Znikają i nigdy nie wracają. Muszę skupić się na dobrych rzeczach w moim życiu. One dadzą mi siłę, żeby o tym wszystkim szybciej zapomnieć.

Iwona idzie Plantami. A tam życie, a tam dobre rzeczy na wyciągnięcie ręki. Tak naprawdę dobre rzeczy zawsze są na wyciągnięcie ręki, lecz często ich nie zauważamy, nie dostrzegamy. Nie zauważamy, nie dostrzegamy bo tak naprawdę nie chcemy ich zauważyć, dostrzec. Chcemy tylko iść do przodu za wszelką cenę. A ceną zawsze jest wolność, a ceną zawsze jest dobry czas, dobrzy ludzie których odrzucamy. Świadomie lub nieświadomie.

Iwona rzuca ziarna ptakom na rynku. Sprawia jej to radość. Ptaki latają koło niej, czasami siadają jej na ramieniu. Iwona zaczyna dostrzegać świat w jasnych kolorach, w jasnych barwach tęczy. Zaczyna coś w końcu planować, zaczyna coś w końcu chcieć. Zrobi to, zrobi tamto, albo po prostu nic nie robi. Po prostu odpocznie, gdzieś wyjedzie, coś zobaczy, o czymś zapomni. Iwona wie, że tak naprawdę potrzebuje teraz zapomnienia. Zapomnienia, które pomoże jej pójść dalej, o wiele dalej niż zazwyczaj.

Iwone kończą się ziarna. Postanawia wrócić do domu. Odpocząć. Jeszcze przez chwilę idzie przez rynek, a potem znika w sta-

rych uliczkach, dobrze jej znanych uliczkach. Idzie tymi uliczkami i czuje się wolna, tak bardzo wolna od wszystkiego co ją otacza.

W oddali słyszy dorożki, słyszy cały zgiełk miasta. Miasto żyje, miasto czuje, miasto idzie swoim rytmem do przodu.

Jeszcze będę szczęśliwa w tym mieście, myśli Iwona i wsiada do tramwaju. Tramwaj szybko znika pomiędzy kamienicami miasta.

Nie spotkałem już więcej Iwony. Była, a może jej nigdy nie było. Może to był tylko sen. Zły sen.

Ostatni raz ją widziałem na polanie w lesie. Klęczała, płakała. Obok niej stał Komisarz Rawicz. Coś jej tłumaczył, coś do niej mówił. A ja, gdy przechodziłem koło niej spojrzałem jej tylko w oczy i w tych oczach zobaczyłem pustkę, ogromną rozpacz, taką rozpacz która niesie człowieka w czarne odmęty rzeki. Złej rzeki.

Teraz normalnie żyję. Świat stał się dla mnie zwykłą rzeczywistością. Normalnością. Budzę się, coś jem, praca, obiad, Weronika. Normalne życie. Myślę, że nie ma nic złego w normalnym życiu. Ludzie szukają nie wiadomo czego w życiu. Szarpia się, za czymś nieustannie gonią. Wieczny pośpiech, wieczne opętanie. Nie rozumiem, albo nie chcą zrozumieć, że najważniejsze są proste rzeczy. Zwyczajne rzeczy. Dotyk kogoś bliskiego. Spacer po parku. Wspólne dotykanie rzeczywistości. Liczy się czas. Dobry czas w naszym życiu. I tyle. Teraz to rozumiem, teraz to wiem.

Jutro wyjeżdżam w góry z Weroniką. Pochodzimy po górach. Uciekniemy trochę od rzeczywistości. Zobaczymy świat z góry. Może okazać się inny, niż go teraz widzę. Cieszę się, że mam z kim jechać w te góry, bo teraz wiem, że w życiu najważniejsza jest miłość. Wspólne dotykanie tej miłości przez obrazy, które mamy przed oczami. Obrazy tworzące wspomnienia. Bo tak naprawdę w życiu liczą się wspomnienia, dobre wspomnienia, które niosą rzeczywistość w dobrą stronę. Naszą stronę.

Patrzę się na torbę. Buty górskie są schowane, kurtka przeciwdeszczowa też, mapy leżą obok torby. Nie mogę się jakoś zorganizować. Jestem jakiś wolniejszy od tamtej sytuacji. Złej sytuacji w moim życiu.

Wieczorem skończę pakowanie, tak będzie lepiej. Wychodzę na balkon. Osiedle, stare dobre osiedle. Kraków, stary dobry Kraków.

Tak wiele się zmieniło od czasów mojej młodości. Inni ludzie, inne twarze, inne miejsca.

Czasami nie poznaję już tego miasta. Myślę, że wciąż jeszcze tkwię w przeszłości. Starej, dobrej przeszłości. Może to dobrze. Przeszłość zawsze określa jakoś teraźniejszość.

Zamykam oczy. Uciekam myślami gdzieś daleko. Znów jestem sobą. Sobą z przeszłości. Znów jestem częścią tego miasta. Częścią ocierającą się o wspomnienia. Dobre wspomnienia.

I tak tkwię w tej przeszłości i jest mi z tym dobrze. Najchętniej nie otwierałbym już nigdy oczu. Nie wracałbym już nigdy do tych zmian, złych zmian w moim życiu.

W oddali słyszę samolot. Słyszę jak gdzieś ucieka. Znika. Ja znikam wraz z tym samolotem daleko. Bardzo daleko.

Otwieram oczy. Zaczynam żyć na nowo. Zaczynam oddychać na nowo. Zaczynam czuć wszystko dookoła siebie na nowo.

Biorę głęboki oddech. Wracam do pokoju. Zaczynam znów się pakować. Zaczynam znów czuć się lepiej. O wiele lepiej niż kiedyś.